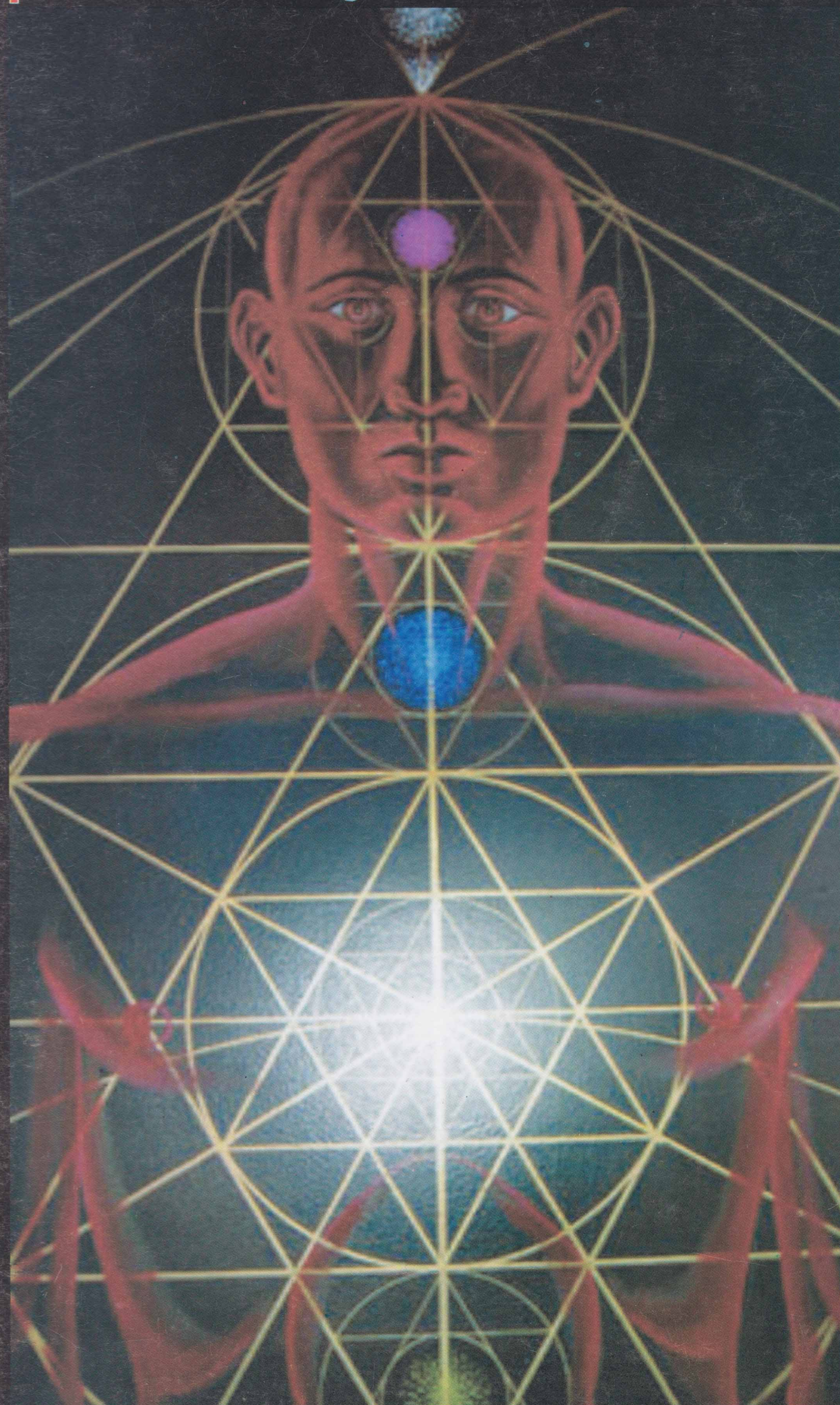
INNY ŚWIAT #21

pismo anarchistyczne



Anarchizm w Turcji

Wybory na Litwie

Włochy: represje i walka z ruchem anarchistycznym

Czeczeńska góra lodowa

Kreuzberg

Wolność kobiet od dupy strony

Erich Fried

Lawrence Ferlinghetti

Modernizm

Powstanie Warszawskie

Poradnik złodzieja książek

9/11

nadawca:
PASAŻER
PO BOX 42
39-201 DĘBICA 3

zawartość:
PUNKOWA KOLEKCJA
2004/2005

wkrótce na ekranach:
EYE FOR AN EYE / HUNKIES - To co nas łączy (tuzy polskiej sceny street core na wspólnej płycie, koprodukcja z Jimmy Jazz Records)
PRZECIW - Krzyczę (agresywny punk z Lublina, podwójny CD w promocyjnej cenie)
PROFANACJA - Znak (nowy materiał plus kilka szlagierów sprzed 15 lat w końcu nagranych w dobrym studio)
CELA NR 3 (klasycy biesiadnego ramones-punka, nowy studyjny materiał, stare i nowe hity...)
PIOSENKI DEZERTERA (czołówka polskiej sceny undergroundowej w swoich wersjach kawałków Dezertera)



SALUTO!

Witamy w kolejnym numerze naszego periodyku.

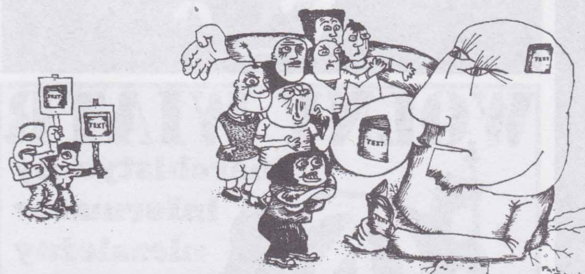
Normą chyba stanie się na naszych łamach to, iż wspominać będziemy na wstępie ludzi których nie ma już wśród nas, ludzi którzy odeszli z ziemskiego padołu na zawsze, ale pozostaną w naszych sercach. O **Marku „Duże Człowieki" Kłucińskim** pisze na następnej stronie Lele, My zaś chcieliśmy wspomnieć o kimś nie z „naszego podwórka", o kimś kto był zarówno zdeklarowanym anarchistą, jak i utalentowany artystą. 18 października 2004 roku w wieku 96 lat zmarł **Fermin Rocker**, syn znanego anarchisty i teoretyka anarchosyndykalizmu Rudolfa Rockera. Fermin Rocker już od dzieciństwa przesiąknięty był ideami anarchistycznymi, jego rodzinny dom w Niemczech odwiedzany był przez czołowych anarchistów XIX i XX wieku, bywali tam zarówno Kropotkin, Malatesta jak i Machno czy Durutti. Na początku lat 30. wraz z ojcem wyjechał do USA gdzie mieszkał przez 40 lat, w 1965 roku zamieszkał w Anglii gdzie żył do końca swych dni. Rocker był utalentowanym grafikiem jak i malarzem, malował zarówno krajobrazy jak i obrazy przedstawiające codzienne życie prostych ludzi. W swym dorobku miał również wiele politycznie motywowanych dzieł. Mimo, iż nie działał otwarcie w ruchu anarchistycznym, pozostawał anarchistą. Reprodukcje jego dzieł jak i większy tekst o nim mogliście zobaczyć w #19 „Innego Świata".

Zarówno **Marek „Duże Człowieki" Kłuciński**, jak i **Fermin Rocker** na zawsze pozostaną w naszej pamięci i w naszych sercach. **Ten numer „Innego Świata" dedykujemy właśnie im!!!**

Jak z pewnością zauważyło wielu stałych czytelników naszego periodyku, brakuje w nim tzw. „tematu numeru". Jednym z tego powodów było to, iż jesteśmy anarchistami i obce są nam wszelkie schematy. Postanowiliśmy więc, że tym razem zrobimy coś innego, porzucimy ustalone reguły do których byliśmy przyzwyczajeni zarówno my sami, jak i pewnie też stali czytelnicy pisma. „Temat numeru" powróci zapewne na łamy „Innego Świata", nie wiemy jeszcze czy aby na pewno w kolejnym numerze, ale już przygotowujemy się do tematu wspólnych powiązań ekologii i idei wolnościowych. Będziemy chcieli w nim poruszyć wszelakie odmiany zielonego anarchizmu (od bookchinowskiej ekologii społecznej po anarchoprymitywizm i radykalny zielony anarchizm) jak i spojrzeć też na ekologię z innych perspektyw, nie tylko anarchistycznych. Dlatego też apelujemy do wszystkich zainteresowanych takowym tematem o współpracę. Jeśli chcielibyście przekazać innym ludziom coś ciekawego w tej tematyce piszcie do nas!

Tymczasem zapraszamy do wnikliwej lektury bieżącego numeru pisma i życzymy wszystkim po niej wielu przemyśleń.

Redakcja



SPIS TREŚCI:

INNY ŚWIAT pismo anarchistyczne #21
Redakcja: Janusz Krawczyk, Arkadiusz Jeleń
Do powstania tego numeru przyczynili się: Małgorzata Ważyńska, Jarosław Tomasiewicz, Jany Waluszko, Rafał Leszczyński, Piotr Madej, Agnieszka Maria Wasieczko, Lech Lele Przychodzki, Andrzej Kliś, Alexander Vile, Tony von Pacuk, Wojtek Bryk, Soja, Jacek Uglik, Grzegorz Bula Cebula, Rafał Błachnio, Jacek Żebrowski, Remigiusz Kasprzycki, Aleksandra Wawrzyniak, Łukasz Weber, Natalia Krajewska, Łukasz Cholewicki, Michał Wojcieszak, Bartłomiej Ożóg, Michał Przyborowski, Aldona Kopkiewicz, Stanisław Ciesielski, Ondrej Slacalek, Darryl Eyle, Bob Black, Batur Ozdinc, Sergio Yahni, Killing King Abacus, Anarchoflash, VivaPalestyna.
Skład: Janusz Krawczyk
Kontakt z redakcją: innykrawat@wp.pl
www.innyswiat.most.org.pl
Dystrybucja: PASAŻER, po box 42, 39-210 Dębica, pasazer1@poczta.onet.pl

Lech "Lele" Przychodzki

W DÓŁ, DO ZIEMI...

... tak nazywała się jedna z najlepszych powieści Roberta Silverberga. Dotyczyła przemian, jakie pod wpływem zewnętrznych wypadków zachodzą w człowieku i uczciwości rozliczeń z sumieniem. Według autora - wady potrzebne są nam do zrozumienia własnej istoty, osiągnięcia (poprzez negację) wyższego szczebla rozwoju. Kto gra wygrywa, zdaje się mówić Silverberg.

Zbyt to jednak piękne, by mogło sprawdzać się za każdym razem. Marek Kłuciński jest ofiarą własnej świadomości. I wyborów, jakich dokonywał.

W marcu 1968 roku wyszedł na warszawskie ulice razem z kolegami z politechniki. Odsiedział swoje, o dokończeniu studiów w tamtej rzeczywistości mógł już tylko marzyć. Oglądałem kiedyś uzasadnienie całkiem wysokiego wyroku „Wysoki Sąd" przytaczał w nim słowa, kierowane przez „Duże Człowieki" do aresztujących go milicjantów: „gestapowiec", „żul", „skurwysyn"... Władza tego nie lubi. I karze.

W 1980 roku Marek po raz drugi uwierzył w społeczną sprawiedliwość - zaangażował się w ruch „S". Początek stanu wojennego wyznaczył mu nową rolę kuriera zdelegalizowanego związku. Potężny, rudowłosy potomek Vikingów rzucał się w oczy tak bardzo, iż... kontrole omijały go z daleka. Był zbyt podejrzany, by być podejrzanym naprawdę. Na szlakach kurierskich poznał swą późniejszą żonę, Jagnę, z którą emigrował do Australii. Pracował tam jako hodowca świń, zakładał sieci Novella w Chinach, włóczył się po Indonezji. Tęsknił. Za Polską i normalnością. Dziecko warszawskiego Grochowa nie umiało poza nim zagrzać dłużej miejsca.

Potem absolutna zdrada naszej inteligencji, eufemistycznie zwana „okrągłym stołem", sejm kontraktowy, Tadeusz Mazowiecki i „wolny" kraj. Kłucińscy wrócili, już nie nad Wisłę, a nad Bystrzycę. Marek zamieszkał w Lublinie, w mieszkaniu teściowej na Bronowicach, w ostatnim z bloków, które w 1955 r. wznosili przy Krańcowej jeńcy niemieccy, przed wyjazdem do NRD.

Kontakty i przyjaźnie, które nawiązał podróżując, zaowocowały liczną korespondencją i twórczością „Dużych Człowieków" w ramach Mail Artu. Na przełomie lat 80/90-tych XX wieku był jedną ze znaczących postaci ruchu. Pracował wówczas na UMCS jako informatyk, nim tubylcza „Solidarność" nie zaczęła usuwać ze swych szeregów (i z zajmowanych w pracy stanowisk) działaczy „S" prawdziwej, tej sprzed 10 lat. Stanowili zbyt duże niebezpieczeństwo: byli AKTYWNI.

Wspólnicy, z którymi założył firmę komputerową, oszukali go Marek wciąż ufał ludziom. Biznes, powstały za przywiezione z Australii pieniądze, ma się dobrze do dziś, tyle że bez „Dużych Człowieków". Jeden kruczek prawny wystarczył, by Kłuciński znalazł się całkiem bez środków do życia. Wolność bywa droga.

Pracowaliśmy potem razem w kilku redakcjach, normalnie i na czarno. Marek świetnie pisał, zaś komputery nie stanowiły dlań tajemnicy. Ale *boom* „wolnych" czasopism się skończył. Przyszły złe dla wszystkich ideowców lata. Mnie udało się pozbierać, „Duże Człowieki" czuł się fatalnie na utrzymaniu żony i teściowej.

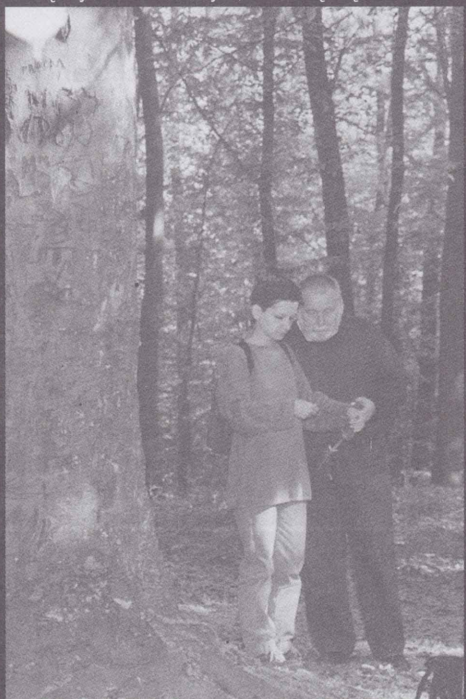
W 1999 r. wznowiliśmy z „Lu" Soroką pracę „Double Travel", w lutym roku 2000 wróciła „Ulica Wszystkich Świętych". W obu firmach Kłuciński rozkwitł. Nie zarabiał, ale był potrzebny i bawił się doskonale. Kiedy po dwu latach zrezygnowaliśmy z akcji terenowych na rzecz regularnej edycji pisma, coś zaczęło się psuć. Zbyt długie przebywanie na cudzym garnuszku zmęczyło Marka na tyle, iż zaczął się alienować. Pracy nie mógł znaleźć był w zbyt podeszłym wieku. Rozładowywanie TIR-ów też zdarzało się coraz rzadziej...

„Duże Człowieki" pałętał się coraz bardziej sfrustrowany i jego rolę redaktora technicznego „Ulicy..." - musiał przejąć „Amen" Popielnicki. Inaczej wychodzilibyśmy, niczym „IŚ", co pół roku...

Z „Double Travel" się nie wycofał, ale kontakty ograniczył do niezbędnego minimum. Marniał w oczach. Ci, którzy dopiero wówczas mieli okazję go poznać (jak Jany Waluszko, Vanda Zakrzewska czy „Sancho" Piekarski) zdawali się być zdumieni. Nie taki jawił im się z naszych opowieści.

Po ciężkim wylewie walczył Marek o życie przez długie trzy tygodnie. Zmarł o świcie 2. czerwca 2004 r. Na jego pogrzebie, w przeciwieństwie do pogrzebów wielu łotrów, nie było tłumów. I dobrze, byli ci, którzy powinni. Rodzina, kilku kumpli...

Kraj, który kochał, zabił go. Potem już tylko „w dół, do ziemi"... Bez żadnych filozoficznych podtekstów.



Savana Spasik i Duże Człowieki przed akcją DOUBLE TRAVEL koło Nałęczowa

PROSTE PYTANIE - NIEŁATWA ODPOWIEDŹ

Lech "Lele" Przychodzki

Jakby innych problemów było mało, Cravatescu postawił mi niezwykle konkretne pytanie: Dlaczego jestem antyglobalistą, nie zaś żadnym ALTERGLOBALISTĄ? Napomknąłem bowiem o tym cośkolwiek w majowej „Ulicy...".

Jak formacje społeczne formacjami społecznymi - ci, którzy stanęli na szczycie drabiny władzy zaprzęgają do pognębiania maluczkich również język. Pokazał to Orwell w „1984". I nie on jeden.

Każda ekipa, każdego czasu, buduje własny językowy obraz świata, ale nie tego, jaki JEST, tylko tego, który ich akurat zdaniem BYĆ POWINIEN. Tworzy się słowa zastępcze, eufemistycznie zastępujące np. wszechobecny bałagan zbiurokratyzowanych struktur terminem „trudności obiektywne" (to - za Gierka), rozprzedawanie i rozkradanie majątku narodowego „prywatyzacją" (to - niedawno całkiem) czy wreszcie wszystkich, sprzeciwiających się czynnie wszechwładzy trustów, określające jako „terrorystów".



Świat jest inny, w oczach opinii publicznej (znów to samo: CZYMŻE JEST OWA „OPINIA PUBLICZNA", wspólne kategoryzowanie narzuca pewną jednorodność) ma być zgodny z życzeniami władzy. A raczej z jednym, jedynym PRAWDZIWYM jej życzeniem: STOŁKI MAJĄ BYĆ NIEZMIENNIE „NASZE|".

Procesy globalizacyjne, występujące tak naprawdę już od lat 20-tych ubiegłego wieku bardzo późno (ZBYT późno) napotkały sprzeciw myślaków. Termin „myślak" nie jest tu wcale tożsamy z kategorią „intelektualisty", przeciwnie obejmuje tych tylko, którzy nie żyją z pieniędzy władzy i dzięki temu odważają się rozumować samodzielnie.

Jednakże, jak powiada przysłowie lepiej późno, niż wcale... Kiedy (u znajomych, sam unikam, niczym ognia) przeglądam tzw. mass-media, coraz częściej spotykam w nich kolejny przykład nowomowy, termin „alterglobaliści" (zazwyczaj w liczbie mnogiej). Do niedawna obcy świadomości ogółu, podobnie jak sama „globalizacja". Na temat tej ostatniej można (i trzeba) poczytać kilka książek Zygmunta Baumana. Ale czego i skąd dowiemy się o „alterglobalistach"?

Otóż WYŁĄCZNIE z publikatorów i równie wyłącznie informacja będzie tam krzywym zwierciadłem rzeczywistej treści. Powiedziałbym tak „antyglobalista" to gość zbyt niebezpieczny (jest przecież ANTY-), by w ogóle o nim wspominać. „Alterglobalista" nosi w sobie wszelkie cechy romantycznego... dziecka (nie darmo podkreślano w I obiegu LUDYCZNY charakter antyszczytu wwa.29). Owo dziecko jest nieoczytane, naiwne, często pijane lub pod wpływem narkotyków i buduje sobie równie naiwny i nierealizowalny świat, gdzieś na skrzyżowaniu bajek i marzeń. Świat ów postrzega jednak RÓWNIE GLOBALNIE, jak ci, przeciw którym się buntuje. Nie umie istnieć bez hip-hopu, telefonów komórkowych, kibicowania narodowej drużynie w kici polo... Jest więc naprawdę TAKI SAM, jak jego wrogowie. Tylko GORSZY. Nie posiadł był JEDYNEJ, NIEZBYWALNEJ PRAWDY, dotyczącej roli pieniądza i nade wszystko nie dzierży nijakiej władzy.

Nie jest też do jej kręgów kandydatem kartoteki nie zapomną mu udziału w tej czy innej demonstracji, podpisu pod listami protestacyjnymi czy odmowy udziału w spektaklu pt. wojsko.

Poza tym wszystkim jest doskonałym DOPEŁNIENIEM systemu, potrzebnym do wykazania, iż demokracja istnieje naprawdę.

Jeśli dzięki zrządzeniu Pana Bozi (szefowie karteli są przecież „wierzący", płacą składki na swoje kościoły) alterglobaliści przejmą kiedyś stołki dzisiejszych przeciwników, nic się nie zmieni. Tragedia stałaby się, gdyby los sprzyjał ANTYGLOBALISTOM. Ci próbowaliby odkręcać koło historii, demontując system. Toteż lepiej udawać, że ich nie ma, pod nos Kowalskiego podsuwając „alterglobalistę" - Radykalną Czirliderkę albo wodza Nowej Lewicy. Ci są na tyle „oswojeni" (i dla przeciętnego Polaka śmieszni), by nie drażnić nikogo.

Od kontroli myśli ANTYglobalistów są już służby specjalne. NA RAZIE mało skuteczne. Jutro?

GLOBALIZACJA WEDŁUG MACHAJSKIEGO

Antyalterglobalista

Ruch antyglobalistyczny z czasów Seattle czy Genui już nie istnieje. Zastąpił go ruch alterglobalistyczny [1]. Zjawisko typowe dla wielkich ruchów społecznych, z początku heterogenicznych, potem zdominowanych przez jedną z frakcji. Tak było i tym razem.

Baza ruchu antyglobalistycznego od początku była głęboko podzielona. Z jednej strony tworzyły ją ofiary globalizacji: pracownicy zakładów, które nie mogą wytrzymać zagranicznej konkurencji, bankrutujący chłopi i drobni przedsiębiorcy, osoby korzystające z usług publicznych (np. oświaty, służby zdrowia, policji), na które wydatki są obcinane w myśl wskazań MFW. W ich wspólnym interesie było utrzymanie dotychczasowych barier dla przepływu kapitału, towarów czy siły roboczej, utrzymanie narodowych „państw dobrobytu". Tym różnorodnym siłom brakowało jednak teoretyków, rzeczników, przywódców [2].



I tu swoją szansę dostrzegli intelektualiści. Intelektualiści nie czują żadnej więzi, żadnej solidarności ze swoim społeczeństwem - raczej z pokrewną sobie elitą w innych krajach (dobitnie wyartykułował to Zygmunt Bauman w „Krytyce Politycznej"). Zarazem intelektualiści gardzą finansistami, którzy władają światem za sprawą neoliberalnej globalizacji. W samej globalizacji intelektualiści spostrzegli jednak szansę na urzeczywistnienie swej idee fixe pamiętającej czasy imperium rzymskiego i stoicyzmu: światowej władzy urzeczywistniającej rozumną Utopię. No a któż lepiej nadaje się do mądrego i sprawiedliwego przewodzenia ludzkości? Właśnie ci intelektualiści. Przechwycili kierownictwo ruchu antyglobalistycznego i oficjalnie przemianowali go na alterglobalistyczny. To ma być wehikuł, który wyniesie ich do wymarzonego Rządu Światowego.

Powtarza się sytuacja sprzed stu lat, którą tak genialnie dostrzegł Machajski: inteligencja rywalizuje z burżuazją o władzę w społeczeństwie. Wykorzystuje więc niezadowolenie robotników aby obalić kapitalizm, ale na jego miejsce buduje państwo socjalistyczne, w którym warstwą kierowniczą staje się właśnie inteligencja. Teraz projektowane jest Państwo Sprawiedliwości Społecznej o zasięgu globalnym. Istnienie Rządu Światowego (maskowanego różnymi eufemizmami) ma być lekiem na całe zło. A że nowy jedynie słuszny wariant globalizacji nie wszystkim się to spodoba, że będą konieczne ofiary? No cóż, od czasów

Robespierre'a i Lenina wiemy, że nie czas żałować róż gdy płonie las.

Istnienie rządu światowego „lewicowi" globaliści (alterglobaliści) uzasadniają koniecznością redystrybucji zasobów w skali świata. Rzecz w tym, że taki rząd światowy musiałby powstać na bazie krajów wysokorozwiniętych - a w każdej wersji globalizacji Zachód pozostaje rdzeniem integracji globu. Tylko naiwny zaś może wierzyć, że oparty na cywilizacji zachodniej (czy nawet postzachodniej) Rząd Świata dokona znaczącej redystrybucji, odbierając profity swojej bazie. Nierówność i wyzysk zawsze będą owocem podziału świata na Centrum i Peryferie - nawet gdyby Centrum było socjalistyczne. Także wówczas firmy z Peryferii nadal będą przegrywały z zachodnimi koncernami - tyle, że te koncerny będą upaństwowione czy „uspołecznione". Narzucają się analogie z rewolucją rosyjską: miała ona urzeczywistnić społeczeństwo internacjonalistyczne, ale Związek Radziecki trzeba było budować opierając się na Centrum - Rosji. Siłą rzeczy już po kilkunastu latach Rosja zaczęła uciskać i eksploatować nierosyjskie Peryferie...

Dlatego alterglobalizm to utopia. Globalna demokracja jest niemożliwa zarówno z powodów technicznych jak i merytorycznych [3]. Jak wyartykułować wolę sześciu miliardów ludzi? Jak objąć sprawy planety, komplikujące się wraz ze wzrostem liczby ludności w ciągu geometrycznym? Jak pogodzić sprzeczne wartości i interesy? Czy euroamerykańscy intelektualiści pozwolą przegłosować się Chińczykom i muzułmanom? Władza w skali świata możliwa jest tylko w formie dyktatury. Jeśli globalizacja jest rzeczywiście nieuchronna to jej skutkiem może być tylko światowe imperium.

Dlatego - uzasadniając potrzebę globalnej władzy (choćby w formie demokracji) intelektualiści tworzą sprzyjający klimat dla globalnej władzy w formie dyktatury. Alterglobaliści zaczęli powtarzać slogan swoich przeciwników: „There Is No Alternative" - nie ma alternatywy dla globalizacji, możemy co najwyżej nieco zmienić jej formę [4]. Parafrazując mistrza retoryki i dialektyki Wałęsę - udaje im się być przeciw a nawet za.

Dlatego zgadzam się z publicystami „Wyborczej", którzy wypatrują wśród antyglobalistycznych zadymiarzy nowego Joschki Fischera. Nie takich już oderwanych od zwykłych ludzi „rewolucjonistów" establishment potrafił kupić [5].

Przypisy:

1. Na świecie terminy antyglobalizm i alterglobalizm wciąż koegzystują, przewagę zdaje się nawet mieć ten pierwszy. Natomiast w Polsce jak na komendę „antyglobaliści" przechrzcili się na „alterglobalistów" - tu media establishmentu z „Gazetą Wyborczą" na czele i kontestatorzy są zgodni
2. Przy okazji pozwolę się zapytać: co mają wspólnego prawa gejów z ofiarami globalizacji? Przecież właśnie gejowska kultura rozszerza się dzięki globalizacji. Nie chcę tu dyskutować o słuszności ich postulatów ale o braku związku z globalizacją.
3. A przecież alternatywą nie musi być autarkia i ksenofobia. Zamiast ponadnarodowych ośrodków władzy należy tworzyć poziomą współpracę, w której koalicja biednych wymusi redystrybucję na bogatych.
4. Osobiście mam nadzieję, że globalizacja nie jest nieunikniona - jak np. zauważa Giovanni Arrighi, u schyłku XIX w. mieliśmy do czynienia z równie „zglobalizowanym" rynkiem (i dużo bardziej imperialistyczną polityką), a jednak kilkanaście lat później wszystko rozsypało się w gruzy.
5. Ale realna walka to nie Seattle, Davos czy Warszawa - tylko Bagdad, Faludża, Nadżaf. A tam wymownych „alterglobalistów" nie ma.

Izrael:

DLACZEGO ODMAWIAM SŁUŻBY WOJSKOWEJ

Sergio Yahni

Sergio Yahni, współdyrektor - razem z Michelem Warschawskim Ośrodka Informacji Alternatywnej w Jerozolimie, odmówił jako rezerwista służby w armii izraelskiej. Napisał do ministra obrony Bena Eliezera poniższy list.

Podległy Panu oficer przekazał mi dziś wyrok skazujący mnie na 28 dni odsiadki w więzieniu wojskowym z powodu mojej odmowy służby wojskowej w charakterze rezerwisty. Nie tylko odmówiłem służby na Terytoriach Okupowanych, jak to czyniłem w ciągu minionych 15 miesięcy, ale również służby w armii izraelskiej w jakichkolwiek okolicznościach.

Od 29 września 2000 r. armia izraelska prowadzi "brudną wojnę" z Autonomią Palestyńską. Ta brudna wojna obejmuje mordy pozasądowe, mordy na kobietach i dzieciach, niszczenie infrastruktury gospodarczej i społecznej ludności palestyńskiej, podpalenia na terenach wiejskich, wyrywanie drzew z korzeniami. Pan sieje strach i rozpacz, ale nie osiągnął swojego celu ostatecznego - naród palestyński nie zrezygnował z marzeń o suwerenności i niepodległości. Nie udało się Panu również zapewnić bezpieczeństwa swojemu własnemu narodowi. Ani jedno, ani drugie nie udało się Panu mimo całej niszczycielskiej przemocy, jaką stosuje podległa Panu armia. W wyniku Pańskiego wielkiego fiaska jesteśmy dziś świadkami debaty intelektualnej między Izraelczykami na najniższym z możliwych poziomie - dyskutuje się o możliwości deportacji Palestyńczyków i Palestynek oraz ich masowego wymordowania.



Podjęta przez przywódców Partii Pracy próba narzucenia narodowi palestyńskiemu porozumienia doprowadziła nas do brudnej wojny, za którą zarówno Palestyńczycy, jak i Izraelczycy płacą cenę życia. Rasistowska przemoc establishmentu izraelskich organów bezpieczeństwa, które nie widzą osób, a jedynie "terrorystów", spotęgowała błędne koło przemocy między Palestyńczykami i Izraelczykami.

Izraelczycy też są ofiarami tej wojny. Są ofiarami nieodpowiedzialności i fiaska agresji armii, za którą Pan odpowiada. Nawet wtedy, gdy przypuścił Pan niesłychanie mordercze ataki na naród palestyński, nie potrafił wywiązać się z obowiązku zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom i obywatelkom Izraela. Czołgi w Ramalli nie zapobiegną temu monstrualnemu zjawisku, które to Pan stwarza - rozpaczy wybuchającej bombami w kawiarniach. Pan i wojskowi, którzy pozostają pod Pańskimi rozkazami, stworzyliście istoty ludzkie, których człowieczeństwo znika na skutek rozpaczy i poniżenia. To Pan doprowadził do tej rozpaczy i nie może jej zahamować.

Jest oczywiste, że Pan ryzykuje nasze życie tylko po to, aby nielegalnie i niemoralnie budować osady w Guszu, Ecjonie, Efracie i Keduminie tego raka, który pożera organizm społeczny Izraela. W ciągu minionych 35 lat osady te uczyniły ze społeczeństwa izraelskiego strefę niebezpieczną. Państwo Izrael posiało rozpacz i śmierć kosztem zarówno Palestyńczyków, jak i Izraelczyków.

Dlatego nie będę służył w Pańskiej armii. Ta armia, która sama zwie się "Siłami Obrony Izraela", jest jedynie milicją - zbrojnym ramieniem - ruchu kolonizacyjnego. Ona nie istnieje po to, aby zapewnić obywatelom i obywatelkom Izraela bezpieczeństwo. Istnieje po to, aby zapewnić kontynuację grabieży ziemi palestyńskiej. U mnie jako Żyda zbrodnie, które ta milicja popełnia na narodzie palestyńskim, budzą obrzydzenie.

Moją powinnością jako Żyda i istoty ludzkiej jest stanowcza odmowa służenia w tej armii. Jako syn narodu, który padł ofiarą pogromów i zagłady, nie mogę brać udziału w tej szaleńczej polityce. Jako istota ludzka uważam za swoją powinność odmawiać udziału w działalności jakiejkolwiek instytucji, która popełnia zbrodnie przeciwko ludzkości.

Sergio Yahni

za Viva Palestyna!

ZOBOWIĄZANY WASZĄ NADZIEJĄ

ANARCHO-REGIONALIŚCI W WYBORACH SEJMOWYCH NA LITWIE (2004 R.)

„A co wyście do nas z pustymi rękoma? Bo wczoraj był tu u nas jeden kandydat - wódki przywiózł, wina…" - narzekali mieszkańcy wsi Pailge w rejonie wileńskim podczas spotkania ze Staszkiem „S.T. rachem" Tarasiewiczem, anarchistycznym kandydatem na posła na Sejm Republiki Litewskiej. Kandydatem, który jako jedyny spośród prawie 1200 kolegów zobowiązał się, iż dobrowolnie poda się do dymisji, jeśli wyborcy uznają, że nie spełnił pokładanych w nim nadziei. „Jestem zobowiązany waszymi nakazami, instrukcjami i nadziejami" - powiedział S.T. rach, ale wyborców w Pailge to niezbyt przekonało. Wódki przecież nie przywiózł…

Gdy w maju 2002 roku na gruzach wileńskiego artzine'u „Chaos" (istniał w latach 2000 - 2002) powstała grupa twórców niezależnych TKM jej inicjatorzy już na wstępie założyli, iż będzie to organizacja o charakterze nieformalnym, ale bardzo aktywnym społecznie i politycznie. Kilka miesięcy później powstał społeczno - polityczny zine „W paszczu", portal internetowy nastawiony na propagandę regionalizacji i decentralizacji - RegioPolis oraz Klub Polaków na Litwie „ProLibera" (formalnie liberalny, zaś de facto w dużym stopniu wolnościowy, gdyż około 1/3 jego członków stanowili ludzie bezpośrednio związani z anarchoregionalistycznym zinem „W paszczu"). Nigdy nie byliśmy zwolennikami rewolucyjnych przeobrażeń, dlatego już w grudniu 2002 roku ekipa skupiona w TKMie i „W paszczu" wzięła udział w wyborach samorządowych zdobywając kilkaset głosów. Uznaliśmy to za niezbyt udaną próbę generalną…

W lipcu 2004 roku przyszedł czas na podniesienie planki. Prezydent Litwy Valdas Adamkus rozpisał wybory sejmowe na 10 października 2004 roku i uznając, iż jest to szansa na przedstawienie swoich poglądów szerszej publiczności - postanowiliśmy wystawić swojego kandydata. Takim królikiem doświadczalnym, który zgodził się zaryzykować własne pieniądze, został Stanisław Tarasiewicz, dziennikarz lokalnego dziennika „Kurier Wileński", asystent posła na Sejm RL Aleksandra Popławskiego oraz publicysta związany z „W paszczu" i RegioPolis. Staszek nie jest co prawda anarchistą w pełnym tego słowa znaczeniu (jest raczej radykalnym liberałem z ciągotami wolnościowymi), jednak jego sztab wyborczy poprowadziły osoby, co do których poglądów wolnościowych nie ma wątpliwości nawet Litewski Departament Bezpieczeństwa - Pacuk oraz Vile.

Wiem, że uczestniczenie anarchistów w wyborach nie jest mile widziane przez „środowisko" wyznające pogląd Emmy Goldman, iż „gdyby wybory coś zmieniały, byłyby zabronione". Dlatego spróbuję wyjaśnić tę kwestię pokrótce. Otóż zapewne wybory niewiele zmieniają, ale rewolucje czy zamachy terrorystyczne - jak się okazuje - zmieniają jeszcze mniej, a i to na gorsze. Poza tym wybory są wspaniałą okazją na przedstawienie swoich poglądów najszerszemu gronu publiczności (np. kandydaci mają bezpłatny dostęp do państwowej telewizji i radia, do lokalnej prasy itp). Jany Waluszko w którymś tekście stwierdził, że anarchistyczny pomysł na „neutralność prawa" jest w stanie zaakceptować nawet władza państwowa. Postanowiliśmy to sprawdzić wpisując do programu wyborczego naszego kandydata żądania wprowadzenia demokracji uczestniczącej i neutralności prawa. Anarchia wprowadzana ustawą niewątpliwie jest bardzo dyskusyjnym pomysłem, jednak skoro takie rozwiązanie się sprawdza w Porto Allegro, czemu nie miało by się sprawdzić u nas? Nie narzucamy nikomu gotowych schematów. Chcemy dać ludziom jedynie przysłowiową wędkę - możliwość stanowienia o swoich sprawach samym (bez gruntownej reformy prawodawstwa żaden skłot czy inna forma alternatywnej aktywności nie mają, według nas, szansy na dłuższe zaistnienie). Inna przyczyna naszego uczestnictwa w wyborach kryje się w lokalnej wileńskiej specyfice. Od wielu lat (z grubsza od 14-tu) podwileńskimi rolniczymi rejonami, zamieszkałymi przeważnie przez Polaków, rządzi Akcja Wyborcza Polaków na Litwie - partia zrzeszająca byłą nomenklaturę komunistyczna, agentów KGB i nacjonalistów a'la LPR, finansowana przez litewską filię Gazpromu. Akcja, stosując na przemian metody zastraszania oponentów oraz wyborców i kupowania głosów, rządzi w tych rejonach na sposób feudalno-postkomunistyczny. W zasadzie o ile w Wilnie można gadać o jakichś inicjatywach obywatelskich, w rejonach podwileńskich każda inicjatywa jest karana. Grupa TKM/W paszczu od chwili powstania uważała i nadal uważa za sprawę honoru rozsadzenia monolitu władzy Akcji Wyborczej na wszelkie możliwe sposoby. W tym także po przez uczestnictwo w wyborach. Nawet jeśli miejsce zajmie jakaś inna partia nie mająca z ideami wolnościowymi nic wspólnego, wierzymy (w skutek znajomości specyfiki regionu), iż nie będzie w stanie rządzić w ten sam arogancki sposób jak AWPL. Bez rozpieprzenia Akcji o działalności nawet nie wolnościowej, a typowo opozycyjnej w tzw. „polskich" rejonach na Litwie można jedynie marzyć.

Pierwszy etap. Na Litwie istnieją w zasadzie dwie możliwości na start w wyborach do parlamentu (litewski parlament składa się ze 141 posła; 70 wybiera się w okręgu wielomandatowym po przez glosowanie na listy partyjne, zaś 71 posła wybierają wyborcy w okręgach jednomandatowych): kandydata na posła może wysunąć każda zarejestrowana partia polityczna lub 1000 wyborców z okręgu jednomandatowego. Pierwsza możliwość w ogóle nie wchodziła w grę, gdyż program wyborczy żadnej z litewskich sił politycznych nam nie odpowiadał (pod względem stosunku do polityki regionalnej najbliżej nam było do Partii Pracy, ale ich propozycje w gospodarce, przekręty finansowe oraz prorosyjskie stanowisko wykluczały współpracę). Postanowiliśmy startować jako niezależni w okręgu szyrwincko-wileńskim (część rejonu wileńskiego (zamieszkałego przez Polaków) oraz część rejonu szyrwinckiego (zamieszkałego przeważnie przez Litwinów). Zbieranie podpisów poszło dosyć łatwo, ludzie chętnie się podpisywali za niezależnego kandydata (zapewne trochę z wrodzonej chęci zrobienia na złość rządzącym, a trochę przez wzgląd na rowery, które nasz kandydat dzielił wśród podpisujących się za jego kandydaturą; miejscowości w których wyborcy dostali rowery następnie dosyć masowo zagłosowały na S.T.racha, w innych przegraliśmy bezdyskusyjnie). W końcu sierpnia 2004 r. przedstawiliśmy okręgowej komisji wyborczej 1260 podpisów. Komisja wykreśliła nam około 150 z powodu braków formalnych, ale Stanisław Tarasiewicz i tak został na początku września zarejestrowany jako oficjalny niezależny kandydat w okręgu nr 55.

Drugi etap. Kampania wyborcza się rozpoczęła oficjalnie 10 września 2004 roku. W okręgu szyrwincko - wileńskim ogółem wystartowało 11 kandydatów. Najważniejszymi byli niewątpliwie: Leokadia Poczykowska - obecna szefowa rejonu wileńskiego, wiceprezes Akcji Wyborczej Polaków na Litwie, Vytautas Boguszis - były dysydent, były chrześcijanski-demokrata, obecnie radny w samorządzie wileńskim, wiceprzewodniczący Litewskiego Związku Liberałów i Centrystów, Gediminas Dalinkeviczius - poseł na Sejm z ramienia współrządzących socjalliberałów, Antonina Połtawiec - prezes Polskiej Partii Ludowej (niedawno powstała polska partyjka opozycyjna wobec Akcji Wyborczej) oraz Jonas Pinskus, przedsiębiorca z Szyrwint, przedstawiciel Partii Pracy (założona w roku 2003 przez litewskiego oligarchę Wiktora Uspaskicha prorosyjska organizacja polityczna niemieszcząca się w tradycyjnym podziale na lewicę i prawicę). Problemy z pijanym drukarzem, który sknocił pierwszą partię ulotek opóźniły początek naszej kampanii wyborczej. Jednak 18 października 2004 r. rozpoczęliśmy agitację na tradycyjnych dożynkach rejonu wileńskiego w Pikieliszkach. Nasz desant z kalendarzami, przedwyborczą gazetką „Wybór" narobił sporo zamieszania na imprezie zorganizowanej przez Akcję Wyborczą Polaków na Litwie.

- Dlaczego rozdajecie tu ulotki? - wrzeszczy do mnie Edmund Szot, szef Departamentu Kultury, Młodzieży i Sportu w rejonowym samorządzie, lider bojówek Akcji. - To nasza impreza! Wynoście się stąd!

- Przecież to jest impreza otwarta. Możemy tu być… - próbuję z nim dyskutować.

- Zorganizujcie własne dożynki i tam rozdawajcie swoje papierki! Nikt tu ich nie potrzebuje!

- Nikomu niczego nie wciskamy na siłę, jak ktoś nie chce to nie weźmie… - kontynuuje rozdawanie ulotek z uśmiechem na twarzy.

- Wiem kto was finansuje! - wydziera się Szot. - Liberałowie!!!

Ech, panie Szot, panie Szot! Dobrze by było, gdyby liberałowie nas finansowali! Po pewnym czasie Szot znika, zaś zjawia się młody aktywista „polskiej" partii w skórzanej kurtce. Ten już nie bawi się w dyskusje tylko z miejsca próbuje wydrzeć mi ulotki, gdy to się nie udaje zaczynają się pogróżki:

- Wyrzuć to natychmiast, bo jak nie to się z tobą policzymy.

Zbywam go:

- Ty masz swoją robotę, ja - swoją… - odgraża mi się, że dopadnie mnie przy wyjściu z imprezy i odchodzi. Policja, której na imprezie było pełno, nie reaguje. Po godzinie zwijamy się z Pikieliszek do Podbrzezia. Jak się okazuje w zasadzie każdy z nas miał na tym święcie plonu podobną przygodę z lokalnym awupeelowskim aktywem. Zresztą naszym aktywistom ciągle ktoś groził, może nie aż tak ostentacyjnie jeno…

Kampania wyborcza - to notoryczne spotkania z ludźmi. Nie tylko z bojówkami konkurencji, lecz także z tymi którzy się rozczarowali we wszystkim, i tymi którzy jeszcze mają nadzieję, iż wybory mogą coś zmienić. Rozmowy są typowe dla kraju, którym od ponad dziesięciu lat rządzą „swoi" czyli AWF

- Mają tu ludzie pracę?

- Gdzie tam… Kilka osób pracuje w szkole, kilka w mleczarni i wszystko.

- A jakiś dom kultury?

- Zamknięty od dawna.

- A co ludzie robią w dni wolne, wieczorami?
- Piją...
- A autobusy tu jakieś docierają?
- Nieee... Już z dziesięć lat minęło jak zlikwidowano linię autobusową. Jeśli kto chce do miasta dojechać to musi iść dziesięć kilometrów do szosy. Tam się zatrzymują międzymiastowe autokary...

Narkomania, pijaństwo, zabójstwa, brak perspektyw... Zresztą czasami miałem nieodparte wrażenie, że wielu z narzekających są sami sobie winni. Szczególnie gdy się widzi obok zadbane gospodarstwa agroturystyczne, farmy, przedsiębiorstwa do których ludzie są dowożeni z Wilna, bo dla miejscowych ta praca jest „za ciężka". Bywały oczywiście i bardziej zabawne sytuacje. Agitując we wsi Skirlany w rejonie wileńskim wpadłem na podwórko do jednego z rolników, który właśnie się krzątał przy traktorze. Podałem mu ulotkę, kalendarz i zaprosiłem do głosowania.

- No się muszę zastanowić, poczytać programy wszystkich kandydatów i dopiero wówczas zdecyduję na kogo oddam głos - odparł ten wileński farmer. - A co wy obiecujecie?

Rozglądam się po podwórzu: dwa traktory, kombajn, ciągnik, kilkuletnie Audi, murowany domek... Kurde, co takiemu można obiecać?

W swoim programie wyborczym Stach Tarasiewicz akcentował przede wszystkim chęć rozwiązania lokalnych problemów: bezrobocia, wygórowanych opłat komunalnych, dróg i komunikacji, zwrotu znacjonalizowanych przez sowietów nieruchomości... Poza tym postulował odpowiedzialność posła przed swoimi wyborcami. Zapewniał, iż po wygraniu wyborów i zostaniu posłem na Sejm Republiki Litewskiej co najmniej raz na miesiąc będzie organizował spotkania z wyborcami w każdej miejscowości swojego okręgu. Będzie przedstawiał wyborcom sprawozdanie ze swojej działalności oraz zasięgał ich rady. W programie znalazł się też cały szereg postulatów wybitnie anarchoregionalistycznych.

„Tylko ludzie z sąsiedztwa znają, czy potrzeba im nowego wodociągu bardziej niż asfaltowanej szosy, czy też remontu szkoły bardziej niż nowego budynku dla administracji. Dlatego postuluje przekazanie większości uprawnień administracyjnych na poziom starostwa (gminy), które powinno się stać podstawową jednostką administracyjną Republiki Litewskiej. Właśnie starostwo jest najbliżej mieszkańców, właśnie starostwo we współpracy z mieszkańcami może najwierniej ocenić ich potrzeby. Starostwa powinny jednoczyć się w samorządy rejonowe lub miejskie, których zadaniem byłaby realizacja jedynie takich projektów, których realizacja siłami jednego starostwa byłaby niemożliwa. Samorządy zaś powinny się jednoczyć w regiony (na zasadach historycznych i uwzględniając wolę ich mieszkańców, nie zaś według widzimisię urzędników z administracji rządowej), które powinny realizować projekty niemożliwe do zrealizowania siłami jednego samorządu" - zapisał Staszek w swoim programie. Wśród punktów programu przedwyborczego znalazł się także postulat wprowadzenia w samorządach demokracji uczestniczącej czyli partycypacji lokalnej ludności w tworzeniu budżetów samorządowych oraz wprowadzenie zasady wybieralności wszystkich ważniejszych urzędników samorządowych i ich odpowiedzialności przed wyborcami. *„Demokracja uczestnicząca oznacza Waszą bezpośrednią kontrolę nad działalnością administracji i jej wydatkami. Kontrolę sprawowaną przez zebrania mieszkańców gminy"* - stwierdzał program Staszka. Jednym z postulatów był także postulat neutralności prawa. *„Neutralność i liberalizacja prawa jest kolejnym moim postulatem. Neutralność prawa - Sejm, Rząd czy inny czort nie powinny regulować tego, co jest sprawą sumienia każdego człowieka. Na przykład aborcji. Proponuję by państwo zrezygnowało z ingerencji w tę kwestię, jako sprawę sumienia i pozostawiło wolny wybór ludziom. Niech ludzie sami decydują, czy mają zrobić zabieg czy nie. Przy czym prawo do decydowania musi mieć zarówno kobieta, jak i lekarz. Ale to nie wszystko, proponuję zasadę nieingerencji państwa rozszerzyć na wszystkie sporne zagadnienia: jak udzielanie ślubów i rozwodów (dlaczego państwo przywłaszczyło sobie udzielanie ślubów i rozwodów przecież to funkcja Kościoła, każdy zaś niewierzący może sporządzić odpowiednią umowę cywilną, wypić z tej okazji kieliszek szampana i mieć wszystkie kłopoty z głowy), eutanazja, przymus szkolny"* - twierdził nasz kandydat podczas spotkań z wyborcami. A w wydanej przez niego bezpłatnej gazetce przedwyborczej można było znaleźć słowa o wiele mocniejsze: *„Rząd kradnie pieniądze, które powinny były być przeznaczone na dofinansowanie szkól rejonu szyrwinckiego, budowę dróg w rejonie wileńskim czy kompensaty usług komunalnych. Nazwijmy rzeczy po imieniu: PAŃSTWO NAS OKRADA! I to się powinno skończyć. Czy jest na to szansa? Oczywiście wystarczy przekazać większość uprawnień rządowych - w tym także do pobierania podatków - regionom i samorządom."*

Tak więc program naszego kandydata był cholernie radykalny, sam kandydat cholernie niezależny, zaś kampania cholernie szeroko zakrojona: spoty reklamowe w lokalnym polskim radiu „Znad Wilii", plakaty, ulotki w języku polskim i litewskim, nalepki na autobusach, kalendarze, bezpłatna gazetka itp. Poza tym reszta kandydatów, za wyjątkiem Leokadii Poczykowskiej z AWPL i Jonasa Pinskusa z Arbeit Partei, właściwie nie prowadziła żadnej agitacji. Byliśmy dobrej myśli. A jednak...

Trzeci etap. 5 października rozpoczęło się głosowanie pocztą i tu się okazało kto ma wszystkie asy w rękawie. Do akcji ruszył aktyw niedawno powstałej, ale niebywale aktywnej, Partii Pracy. Aktywiści tej partii podstawiali autobusy do wszystkich wiosek, ściągali do nich lokalnych lumpów i zwozili ich do najbliższego urzędu pocztowego, w którym ten „wyborca" za pięć litów, butelkę piwa lub wódki oddawał swój głos na Partię Pracy i jej kandydata Jonasa Pinskusa. Akcja Wyborcza też stosowała podobne tricki, tyle, że głosy się częściej nie kupowało, a zdobywało poprzez zastraszanie wyborców. Starosta w każdej z gminy szedł przez wieś i wymuszał na zależnych od siebie mieszkańcach udanie się na pocztę w celu oddania głosu na „swoich" czyli panią Leokadię, wyznającą wartości chrześcijańskie i zmieniającą mężów jak rękawiczki (pan Poczykowski to już podobno trzeci). Opornym inwalidom, emerytom starosta groził, iż nie da przydziału węgla na opal lub pomocy socjalnej. Nic więc dziwnego, iż na panią Poczykowska więcej głosów padło pocztą niż w dniu wyborów (prawie jak w słynnym referendum Łukaszenki)... Niebywała aktywność w głosowaniu pocztą wzbudziła nawet nieufność szefa litewskiej Głównej Komisji Wyborczej, który w jednym z wywiadów stwierdził, że „wie o permanentnym kupowaniu głosów w niektórych okręgach podwileńskich". W nas ta aktywność budziła przeczucie klęski. Maszyna wyborcza toczyła się jednak dalej. 10 października odbyły się wybory, zaś kilka godzin później wiedzieliśmy już ze je przegraliśmy z kretesem. Stanisław Tarasiewicz zdobył 511 głosów (na blisko 20 tysięcy oddanych) i zajął 7 miejsce spośród 11 kandydatów. Do drugiej tury przeszła Leokadia Poczykowska (AWPL) oraz Jonas Pinskus. Jednym słowem klęska. Zresztą w ogóle nie był to dla Litwy najszczęśliwszy wieczór - prawie 30 proc. głosów zdobyła prorosyjska, populistyczna Partia Pracy.

BIULETYN WYBORCZY
WYBÓR
TRUDNO UWIERZYĆ W UŚMIECH LOSU
TRUDNO JEST UWIERZYĆ W UŚMIECH LOSU
Państwo nas okrada!!!
Zobowiązany Waszą nadzieją
Stanislav TARASEVIČ

Widmo populizmu. Czy zwycięstwo Partii Pracy w tegorocznych wyborach sejmowych było do przewidzenia? Raczej tak. Plus minus kilka mandatów w każdą stronę. Czy koalicja tęczy (próba zawiązania po wyborach sojuszu czterech partii „tradycyjnych", mającego na celu „niedopuszczenie Iwana do koryta") miała rację bytu? Jeśli już, to nie dłużej niż na rok. Za dużo ambicji. Zbyt wygórowane żądania. Zbyt charyzmatyczni (marazmatyczni) przywódcy. Podobną sytuację zresztą mieliśmy po wyborach 2000 r. Wtedy laury wyborcze zbierał Nowy Związek (jeden z filarów obecnej koalicji rządzącej) Arturasa Paulauskasa. Populistyczna partyjka byłego prokuratora generalnego i niedoszłego prezydenta RL. Swoją popularność zawdzięczała tym samym populistycznym hasłom i pieniądzom Wiktora Uspaskicha, obecnego lidera zwycięskiej Partii Pracy.

Czy zwycięstwo Partii Pracy oznacza wzrost wpływów Kremla na politykę Litwy? I tak, i nie. Wpływy Rosji, a raczej skutki uzależnienia od jej nafty i gazu, zawsze tutaj były odczuwalne. Zresztą, jak dowodzą, ostatnie śledztwa dziennikarskie, z kasy Gazpromu brali wszyscy: ci z lewa, i ci z prawa. Rokowania międzypartyjne nie dobiegły jeszcze końca. Bowiem tekst ten piszemy w ostatnich dniach października. Jednak z całą pewnością można stwierdzić, że Partia Pracy dogada się z obecną koalicją. Na czele państwa stać będzie Triumwirat. Socjaldemokraci - spadkobiercy Komunistycznej Partii. Nowy Związek czyli socjalliberałowie - partia, która wciągu czterech lat nieudolnych rządów przekształciła się z partii populistycznej w partię tradycyjną. No i oczywiście Partia Pracy (być może w koalicji z prorosyjskim Związkiem Chłopów i Akcją Wyborczą Polaków na Litwie), czarny konik litewskiej sceny politycznej. Wybory na Litwie odbyły się zgodnie ze scenariuszem, tylko pogratulować chłopakom z FSB (czy jak się to teraz nazywa) inwencji twórczej i perfekcyjnej roboty. Waldemar Łysiak mógłby na kanwie ich działań napisać „Konkwistę III". Gdy wszyscy byli

zajęci obalaniem prezydenta Paksasa, który niby wziął forsę od Rosjan, niepostrzeżenie dla elit politycznych wyrosła nowa siła polityczna. Na początku przez wszystkich lekceważona (być może na rozkaz). I stało się coś, co kilka lat temu było nie do pomyślenia. Prezesem ogólnokrajowej partii, bijącej wszelkie rekordy popularności, został nie Litwin, a Rosjanin - Wiktor Uspaskich. Urodzony gdzieś pod Archangielskiem. Mówiący z błędami po litewsku. W ojczystym, czyli rosyjskim, zresztą też mówiący fatalnie. Były spawacz. Następnie inżynier. Dziś - multimilioner. Oficjalnie dorobił się na handlu ogórkami. Nie oficjalnie - na dostawach gazu. Ile na jego zwycięstwie zyskają wyborcy? Tyle co zawsze, czyli nic. Na pierwszy rzut oka założenia programowe Partii Pracy są jak najbardziej OK: decentralizacja, bezpośredni wybór starost, wprowadzenie systemu większościowego w wyborach sejmowych, zmniejszenie podatków. Tylko pogratulować, że znalazła się wreszcie opcja polityczna, która dąży do ograniczenia władzy, a nie do jej zwiększenia. Wiadomo jednak nie od dzisiaj, że programów partii nikt nie czyta. Do tego przyznał się sam Uspaskich w jednej z telewizyjnych debat: ,,Po co czytać programy, kiedy każda partia ma taki sam". Coś w tym stwierdzeniu musi być. W kilka dni po wyborach Uspaskich obgadawszy kształt przyszłego rządu z socdemami i socliberalami zapomniał o wszystkich swoich obietnicach. Zapomniał o programie, którego nikt nie czyta. Stwierdził, że program premiera Brazauskasa jest jak najbardziej pozytywny i że popiera jego kandydaturę na kolejne cztery lata. A propos Algirdas Brazauskas zarządza Litwą, na różnych stanowiskach, już od ponad 40 lat. Wyborcy glosowali za zmianami, a dostali wciąż ten sam rząd. Za cztery lata możemy czekać na kolejnego zbawiciela. Za te same pieniądze....

Przyczyny naszej klęski. Przyczyny naszej klęski w tych wyborach jest sporo. Przede wszystkim brak funduszy. O ile stać nas było na wydrukowanie ulotek, kalendarzy i gazetek, to już kupowanie głosów, rozdawanie wódki, wina i piwa nie wchodziło w grę (zresztą aż tak nam na wyniku wyborów nie zależało). Na pewno swoją rolę odegrali urzędnicy samorządowi, którzy agitowali na rzecz kandydatki Akcji Wyborczej (nawet w dniu wyborów) i utrudniali działalność naszym aktywistom. Stanisława Tarasiewicza lokalny AWPLowski aktyw bał się bardziej niż któregokolwiek z litewskich kandydatów... Z drugiej strony braki kampanii były również poważne: zabrakło ulotek w języku rosyjskim, a zrusyfikowanych Polaków, Białorusinów na tych terenach jest bardzo wielu, zabrakło bardziej czytelnej koncepcji programowej (regionalizacja i neutralność prawa chyba są rzeczami zbyt dalekimi dla większości mieszkańców podwileńskich wsi). Zabrakło też naszemu kandydatowi charyzmy i popularności (trochę z braku czasu, trochę z lenistwa nie został wykonany cały misternie ułożony plan kreowania wizerunku), kilka imprez odwołaliśmy z przyczyn finansowych, zaś samą kampanię rozpoczęliśmy zbyt późno. „Skoro ludzie wolą żyć z taką władzą, która na nich żeruje mają ku temu prawo" skwitował wynik wyborów S.T. Rach.

Alexander Vile
Współpraca Tony von Pacuk

Finlandia:

ZNIEŚĆ POBÓR! OBALIĆ PAŃSTWO!

Poniżej oświadczenie fińskiego obdżektora ogłoszone przed sądem 11 sierpnia 2004r. Antti Rautiainen został skazany na 15 dni wiezienia.

Panie Sędzio,

Zostałem poproszony o przybycie przed sąd w Helsinkach w dniu 11 sierpnia 2004 aby przedstawić swoje oświadczenie w sprawie zamiany na areszt kar grzywny za niestawienie się na komisji poborowej 23 listopada 1998 i 26 listopada 2001.

Jestem anarchistą z przekonania i traktuję państwo jako twór, w którym skoncentrowana jest przemoc strukturalna, która musi zostać zniszczona. Dlatego walczę z instytucjami wojskowymi i innymi instytucjami, które są z wojskiem powiązane, takimi jak komisja poborowa. Od jesieni 1997 r. kazano mi się stawić przed komisją 17 razy. Za każdym razem odmówiłem. Ostatni raz nie stawiłem się w zeszły poniedziałek, 9 sierpnia 2004.

Przez ostatnie 7 lat państwo konsekwentnie mnie prześladowało z powodu mojej odmowy stawiania się przed komisją motywowanej pobudkami światopoglądowymi. Cały czas obowiązywał nakaz aresztu wobec mojej osoby. Nie zapłaciłem ani jednej z grzywien, które zostały wobec mnie zasądzone i nigdy tego nie zrobię. Sąd może mnie skazać na taki wymiar kary jaki sobie chce, ale zapewniam Sąd, że międzynarodowy ruch anarchistyczny nie będzie przymykał oczu na prześladowania wobec mojej osoby, które ciągną się od lat.

Jeżeli zostanę skazany na karę więzienia, zniszczymy Państwo Fińskie. Jako anarchiści jesteśmy przeciwnikami każdej władzy i każdego państwa. Możemy równie dobrze zacząć od zniszczenia Finlandii. Ciągłe ataki ruchu anty-autorytarnego przeciwko USA są nie tylko banalne, ale krótkowzroczne z punktu widzenia strategicznego. Dlaczego próbować zniszczenia wszystkich państw poczynając od najsilniejszego? Finlandia na pewno będzie łatwiejsza do zniszczenia i choć rewolucja nie może zwyciężyć w izolacji, czasowa realizacja wolnościowego komunizmu w Finlandii daje nam szansę praktykowania "rewolucyjnej gimnastyki", tak jak to zostało zdefiniowane przez hiszpańskich anarchosyndykalistów w latach 30. Ta gimnastyka pozwala szkolić klasę pracującą do globalnej rewolucji. Od tej chwili, będziemy palić przede wszystkim flagi Finlandii.

Jesteśmy gotowi uderzyć w najsłabsze ogniwo fińskiego systemu ekonomicznego: korporację Nokia, znanej ze złej jakości telefonów komórkowych i będącej kluczem do utrzymywania iluzji pokoju społecznego w Finlandii. 50 tyś. anarchistów na całym świecie jest gotowych do rozpoczęcia akcji kradzieży telefonów Nokia. Dzięki temu możemy szybko zrujnować równowagę finansową korporacji i pogrążyć giełdę w Helsinkach i fiński system ekonomiczny w głębokim kryzysie. Na pierwszy rzut oka dobrze reklamowane telefony Nokia mogą się wydawać dobrej jakości, ale w codziennym użyciu szybko się psują. Są tak przegniłe, jak cały reżim socjaldemokratyczny w Finlandii.

Panie Sędzio, nie proszę Pana o nic. Dokonałem swojego wyboru, jaki jest Pański?



Helsinki, 11 sierpnia 2004
Antti Rautiainen

STRAJK DEMONSTRANTÓW

Związek Nihilistów w Jyvaskyla w Finlandii ogłosił strajk zawodowych demonstrantów.

Strajk odbył się 6 grudnia 2004r., w dniu niepodległości Finlandii, w dniu w którym organizowano tzw. akcję ***"Niezaproszonych gości"*** z okazji bankietu odbywającego się w pałacu prezydenta w Helsinkach.

Akcja została zorganizowana z powodu braku wynagrodzeń za demonstrowanie ze strony organizacji, takich jak: **Attac**, **Przyjaciele Ziemi**, **Sprawiedliwość dla Zwierząt**, **Związek Obdżektorów**, **Młoda Lewica**, **Młodzi Zieloni**, studentów, **Partii Komunistycznej Finlandii** i **Akcji Anarchistycznej**.

Związek Nihilistów użyczał siły roboczej na demonstracjach od 1996 roku dostarczając takich usług jak: apatyczne demonstrowanie, rzucanie piguł śniegowych, rysowanie lakieru na taksówkach, fizyczne atakowanie gości zaproszonych na bankiet, zwłaszcza tych ubranych w futra, blokowanie samochodów i bicie policji. Te prace były zlecane przez wyżej wymienione organizacje, ale nigdy nie zostały wynagrodzone.

Związek domaga się też uznania swojego udziału w doprowadzeniu do uchwalenia prawa o zakazie maskowania się na demonstracjach i domaga się udziału w zyskach z tego tytułu czerpanych przez państwo.

Związek chce też zwrócić uwagę na fakt zatrudniania lumpenproletariatu do wywoływania zamieszek przez organizatorów demonstracji. Spowodowało to obniżenie stawek na rynku pracy demonstrantów.

Związek Nihilistów podkreśla, że ich strajk nie oznacza nie wykonywania działalności strajkowej. To swoista "negacja negacji".

Dział strategii marketingowej **Związku Nihilistów** postanowił zanegować strajk strajkujących wzywając do strajku ogólnospołecznego.

Podane za
www.alteree.hardcore.lt/anarchoflash

WŁOCHY: REPRESJE I WALKA Z RUCHEM ANARCHISTYCZNYM

Włoskie władze od lat utrzymują jasną politykę prześladowań, dominacji i represji przeciwko wszystkim dysydentom wewnątrz państwa. Anarchiści, antyfaszyści, komuniści, rewolucjoniści... wszyscy ludzie, których włoskie represyjne siły starają się uciszyć. Nowoczesna historia Włoch pokazuje wiele zbudowanych przez państwo spraw, wymierzonych na wyniszczenie i zaginiecie tych, którzy niszczą komfort rządzących i tych, którzy są im posłuszni.

- Sprawa Piazza Fontana: 12 grudnia 1969 roku wybucha kilka bomb, które powodują śmierć 17 osób i ranią 88. Wybuchy przypisuje się anarchistom. 25 lat później państwo przyznało, że bomby przygotowały i zdetonowały włoskie służby specjalne w ramach tzw. "strategii napięcia" mającej zastraszyć ludzi i zdobyć poparcie dla wzmocnienia władzy państwowej. Anarchista Giuseppe Pinelli, sekretarz włoskiego ABC, aresztowany na podstawie podejrzeń o udział w zamachach zginął wyrzucony z 4 piętra komisariatu. Pietro Valpreda spędził w wiezieniu 8 lat na podstawie tych samych oskarżeń.

- W 1980 roku kilkudziesięciu anarchistów zostaje oskarżonych o napady rabunkowe, przynależność do grupy zbrojnej i przygotowywanie powstania. Sprawa nie wyszła nawet poza pierwszy etap z powodu braku dowodów.

- Pomiędzy 1984 i 1988 rokiem wielu anarchistów jest objętych śledztwem z powodu wzrostu sabotaży przeciwko instalacjom elektrycznym na terenie całych Włoch.

- W 1989 roku sprawa "organizacji wywrotowej" po aresztowaniu kilku anarchistów podczas napadu, Sprawa zakończyła się bez wyroków.

- W 1991 roku państwo wymyśla grupę "Anarchismo e provocazione" (od tytułów pism "Anarchismo" i "Provocazione"). Grupa zostaje oskarżona o porwanie Mirelli Silocchi, żony znanego biznesmena. Ponownie sprawa nie wyszła poza pierwszy etap.

Największym jak do tej pory montażem jest "sprawa Mariniego" (od nazwiska prokuratora), niesławna z powodu jego fantazji i surowości. W 1996 roku rozpoczyna się potężna operacja represyjna na terenie Włoch i przyległych wysp. ROS (Grupa Operacji Specjalnych Karabinierów), na podstawie rozkazów Antonio Mariniego, przeprowadza kilkadziesiąt przeszukiwań w domach anarchistów. Dostają oni "Avvisi de Garanzia", dokument klasyfikujący ich jako objętych śledztwem za poważne przestępstwa (organizacja wywrotowa, grupa zbrojna, ataki na budynki publiczne, uczestnictwo w napadach rabunkowych, posiadanie broni i środków wybuchowych a dla kilku z nich również udział w morderstwie). Sprawa ta zakończyła się ostatecznie w kwietniu 2004, po 8 latach aresztowań, fałszywych dowodów, fałszywych zeznań i represji następującymi wyrokami:

- Orlando Campo, 10 lat
- Rose Ann Scrocco, 30 plus 15 lat
- Angela Maria LoVecchia, 15 lat
- Francesco Porcu, dożywocie plus 18 miesięcy w izolacji
- Gregorian Garagin, 30 plus 9 lat
- Alfredo Maria Bonanno, 6 lat i 2000 euro grzywny.

Wszyscy oprócz A. M. Bonanno zostali skazani za działanie w porozumieniu, co znacznie podwyższyło wysokość wyroków i za co nigdy wcześniej anarchiści nie zostali we Włoszech skazani. Z 55 osób oskarżonych w tych procesach, 44 zostały uniewinnione. Zarzuty "grupy zbrojnej" zostały oddalone, jak również w większości przypadków "działania w porozumieniu".

Stworzenie sekcji Europolu (oraz innych europejskich sił policyjnych) wyspecjalizowanych w zwalczaniu anarchizmu daje włoskiemu państwu "konieczne środki" do prowadzenia ofensywnej wojny, przez którą my, anarchiści, cierpimy na całym świecie. Ta "wojna z terroryzmem" jest wspierana przez media, czyniące to w dialektyczny i społeczny sposób: kiedy te media kreują "stan podwyższonej gotowości", otwierają drogę do usprawiedliwienia represji przeciwko "wrogowi". Od kiedy w procesie Mariniego zarzuty "grupy zbrojnej z wywrotowymi celami" zostały odrzucone z powodu niemożliwości ich udowodnienia, włoskie państwo potrzebuje istnienia grup terrorystycznych do usprawiedliwienia nowych akcji represyjnych. W tej chwili wprowadzane są nowe prawa odnośnie represji, karania i eliminacji wszystkich walczących o zakończenie nędzy życia w kapitalizmie.

W tych dniach jesteśmy świadkami czegoś, co niektórzy dziennikarze nazywają "drugi proces Mariniego". Spektakularność włoskich mediów czyni bardzo łatwym ukazanie represji jako izolowanych przypadków, zdarzających się od czasu do czasu. Ale anarchiści wiedzą bardzo dobrze, że nie są to izolowane przypadki: represje, jak też nieustanne i natychmiastowe akcje przeciwko kapitalizmowi i jego symbolom są trwającym procesem.

W listopadzie 2003 policja dokonała około 50 przeszukiwań w całym kraju, ogarniając w większość ruch anarchistyczny, ale także niektórych marksistów i komunistów. Operacja "Black Out" jest kierowana przez prokuratorów Canepa i Canciani z Genui, czego rezultatem jest dostarczenie 12 "avvisi di garanzia" za "organizacje wywrotowa" (artykuł 270 bis włoskiego prawa) z powodu bezpośrednich akcji solidarnościowych z eko-anarchistą Marco Camenischem (np. ataki na instalacje elektryczne, wieże telefonii komórkowej, spalarnie śmieci, wyciągi narciarskie etc.)

W 2004 roku miało miejsce wiele represyjnych akcji dokonanych przez państwo:

- 3 lutego został aresztowany Luca Farris (w tej chwili w areszcie domowym), oskarżony o "obalanie demokratycznego porządku", "terroryzm" a także o przynależność do grupy ASAI (Anonimowi Anarcho-Insurekcjoniści Sardynii). Aresztowania dokonano podczas wizyty Campiego na wyspie.

- 17 czerwca policyjna akcja przeciwko COR (Komórki Rewolucyjnej Ofensywy - grupa marksistów-leninistów) zakończyła się aresztowaniem 5 osób z eko-anarchistycznej grupy Il Silvestre z Pizy. Ich przestępstwem było posiadanie dokumentu wysłanego przez COR (przyznającego się do kilku akcji). Taki sam list został wysłany do dwóch innych gazet, ale oczywiście ich redakcje nie zostały przeszukane. Jedna osoba została zwolniona, dwie są w areszcie domowym, jednej udało się uciec a dwie osoby, William i Alessio są w wiezieniu Reggina Coeli, ten drugi przebywa w izolacji. Grupa COR wystosowała list otwarty, w którym stwierdza, ze anarchiści z Il Silvestre nie maja nic wspólnego z ich akcjami.

- 21 lipca 6 przeszukiwań w Trento pod zarzutem bójki z faszystami po demonstracji w grudniu 2002. 6 anarchistów spędziło kilka miesięcy w wiezieniu, ostatnio zostali zwolnieni z powodu braku dowodów.

- 27 lipca Minister Giuseppe Pisanu ostrzegł przed niebezpieczeństwem ze strony anarcho-insurekcjonalistów. W tym samym czasie w całym kraju odbyło się ponad 100 przeszukiwań, dostarczono 40 "avvisi de granzia" i aresztowano 4 osoby: Marco Feruzzi oskarżony o wysłanie bomby w liście do komisariatu Karabinierów (jeden policjant strącił kilka palców w wybuchu), David Santini i Simono del Moro oskarżeni o podłożenie bomby przed sadem w Viterbo (na podstawie przechwyconych rozmów telefonicznych) oraz Sergio Maria Stefani oskarżony o posiadanie prochu strzelniczego i rozprowadzanie broszury "Każdemu to, na co zasłużyli. 1000 sposobów na sabotaż tego świata."

Sprawie nadano kryptonim "Operacja Cervantes" w odniesieniu do bomby umieszczonej 17 czerwca 2003 roku przed Instituto Cervantes w Rzymie w solidarności z więźniami reżimu FIES w Hiszpanii (FIES to "niebezpieczni" więźniowie trzymani pod specjalnym nadzorem w izolacji, w celach karnych).

4 uwięzionych oraz 34 osoby objęte śledztwem zostały oskarżone na mocy

paragrafu 270 oraz 270/2, który oznacza "organizacja wywrotowa z celami terrorystycznymi" - artykuły których używają sędziowie, prokuratorzy i inne śmieci przeciwko komukolwiek, kto walczy przeciwko zgniłemu życiu codziennemu (...).

Te artykuły prawne mogą zostać podsumowane następująco:

- "...wraz z innymi wspierali, budowali i uczestniczyli w organizacji, której celem jest gwałtowne zniszczenie ekonomicznych i społecznych instytucji państwa, zamierzali gwałtownie obalić demokratyczny porządek poprzez sabotaż, ataki na ludzi oraz własność.

- Byli zorganizowani na wielu poziomach podążając za wywrotowym schematem podwójnego poziomu: otwartego i pozornie legalnego oraz innego, ukrytego i nielegalnego, próbując zorganizować komórki operujące na lokalnym poziomie, połączone wzajemnymi stosunkami, wiedza i wzajemnym zaufaniem; oparte na dotacjach innych ludzi, którzy wspierają ich akcje; połączone ze sobą poprzez nieformalne źródła komunikacji, zjednoczone we wspólnym projekcie "małych akcji bezpośrednich" przeciwko państwu i instytucjom UE.

- Operowali pod rożnymi nazwami połączonymi pod FAI (Nieformalna Federacja Anarchistyczna)

Zostali także oskarżeni o:

- rewolucyjną solidarność z uwięzionymi towarzyszami

- przyłączenie się do rewolucyjnych kampanii w niezależny sposób wraz ze swoimi grupami

- przyłączenie się do akcji bojowych

Konieczna jest natychmiastowa solidarność wyrażoną w dowolny sposób. Mowa władzy oparta na polaryzacji pomiędzy niewinnymi i winnymi stała się zbyt skuteczna. Solidarność (i ponad wszystko jej brak) akceptuje wartości wyrażone w mowach, które nadchodzą z góry, a w międzyczasie włoscy towarzysze są uwięzieni, objęci śledztwami, przeszukiwani i szpiegowani. Uważamy za zawstydzające, że tak wysoki poziom represji w Hiszpanii i Włoszech jest po prostu zapomniany.

Niezależnie od innych walk, ci ludzie musza być uwolnieni i wspierani. Jest wiele sposobów na wyrażenie solidarności i podtrzymywanie społecznej wojny, każdy powinien wybrać swój.

Apelujemy o rozszerzenie walki na wszystkie poziomy, dla naszych aresztowanych towarzyszy, dla nas wszystkich i dla lepszej przyszłości.

KILKU ANARCHISTYCZNYCH BOJOWNIKÓW

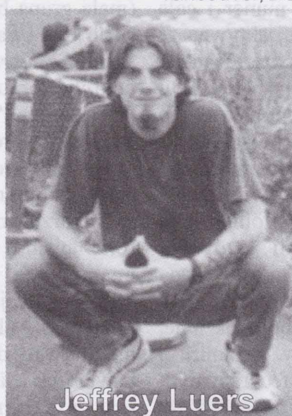
Artykuł oparty głownie na tekście złożonym przez anarchistów z Barcelony i informacji z włoskiego ABC
www.ack-bialystok.prv.pl



WIĘŹNIOWIE EARTH LIBERATION FRONT (FRONTU WYZWOLENIA ZIEMI)



Ted Kaczynski
#04475-046, USA
Pen-Admin Maximum Easy,
P.O.Box 8500, Colorado St.,
Florencja 81226. USA
Skazywany na dożywocie za samo bycie "Unabomberem", człowiekiem stosującym zamachy bombowe w walce z zindustrializowany światem.


Jeffrey Luers

Jeffrey Luers
#13797671, OSP,
2605 Street, Salem, OR 97310, USA
Odsiaduje karę 22 lat i 8 miesięcy za podpalenie 3 pojazdów SUV w salonie Chevroleta w Eugene. Jaff jest nadal aktywny, pomimo zamknięcia. Pisze artykuły, angażuje się w więzienne protesty.

Marco Camenisch
Postfach 3143,
CH-8105 Regensdorf, Szwajcaria.
Odbywa 27 lat kary wiezienia.
- 10 lat za używanie substancji wybuchowych niszczących urządzenia przesyłowe z elektrowni atomowych.
- 17 lat za przypuszczalne zabicie "klawisza" podczas ucieczki z wiezienia. W 2002 r. Marco zakończył 12 letni wyrok we Włoszech, za tamtejsze zniszczenia urządzeń przesyłowych z elektrowni atomowych.

Craig Marshall (Critter)
#13797662, SRCI,
777 Stanton Blvd, Ontario, OR 97914. USA
Odbywa karę 5 lat i 5 miesięcy za podpalenia i posiadanie urządzeń i materiałów zapalnych, wykorzystanych m.in. przeciwko SUV, za zniszczenia środowiska naturalnego przez te środki transportu.

Fran Thompson
#1090915 HU 1C, WERDCC,
PO Box 300, Vandalia,
MO 63382, USA
Wieloletni ekoaktywista E.L.F., odbywający dożywotnią karę wiezienia za zabicie w samoobronie rządowego agenta, który wtargnął do jego domu. Przed zatrzymaniem, Fran był bardzo aktywną aktywistą ruchu ekologicznego i przeciwników energii nuklearnej.


Craig Marshall (Critter)

Tre Arrow
c/o Rudy Kischer,
Embarkation Law Group,
609 W. Hastings St., 6th Floor,
Vancouver, BC, V6B4W4, Canada.
Oskarżony o podpalenie środków lokomocji posiadanych przez przedsiębiorstwa eksploatujące żwir i piasek.

Dr Yurl Bandazhevsky
Valiuk for Bandazhevsky Y.I.
231318 Grodnenskaya oblast,
Lidski raion
PESKOVTSY ul. Oktiabrskaya, 2, BELARUS
Odbywa 8 letnia karę wiezienia za ujawnienie światu o tym, że nuklearne radiacje wokół Czarnobyla są silniejsze, niż białoruski rząd podał publicznie.

William Cottrell
#29526112,
Capital Centrum Arrest,
P.O. Box 1500, Los Angeles, CA 90053, USA
Podejrzewa o współudział w wielu akcja E.L.F., które spowodowały zniszczenie lub uszkodzenie około 125 samochodów typu SUV, będących jednym z głównych celów ruchu ekologicznego USA. Billemu grozi nawet 70 lat więzienia.

Angela M Cesario
66522-065, Federal Prison - Dublin,
5675 Camp St 8-y Found Park,
Dublin CA 94568, USA
Odbywająca karę 41 miesięcy za podpalenia samochodów Eagle Creek.

Jeremy Rosenbloom
66521-065, Federal Prison - Sheridan
P.O.Box 6000, Sheridan ALBO 97378, USA
Odbywający karę 41 miesięcy za podpalenia samochodów Eagle Creek.

John Wade
#38548-083, FCI
Sankt-Petersburg Low,
P.O.Box 1000, Sankt-Petersburg,
VA 23804, USA
Odbywający karę 37 miesięcy za uczestniczenie w seryjnych akcjach E.L.F. przeciwko McDonalds i Burger King; miejskiemu przemysłowi budowlanemu; środkom transportu SUV.

Inaki Garcia Koch
Carcel de Pamplona,
C/San Roque. Apdo.
250, 31080 - Irunez Pamplona, Navarra (Espan), Espania
Odsiaduje wyrok 4 lat i 8 miesięcy za akcje sabotażu budowy ogromnej tamy w Itoiz, która zniszczy tamtejsze środowisko naturalne.

Ibai Ederra
Carcel de Pamplona,
C/San Roque. Apdo.250,
31080 - Irunez - Pamplona, Navarra (Espan), Espania
Oczekujący na wyrok za sabotaż na firmach budowlanych w Itoiz, w odpowiedzi za zniszczenie środowiska naturalnego.

Nikos Maziotis
c/o Dafni Vaganou,
Ozortz 3, 10689 Ateny, Grecja
Skazany na 5 lat więzienia za podłożenie bomby w Ministerstwie Przemysłu Grecji w proteście przeciw budowie fabryki w Zatoce Strymonikos przez firmę TVX-Gold.

Silvano Pellissero
Com. Mastrolierto,
Via Ferrerinoli no2,
Sanponso 10080, Torino, Włochy.
Odbywa karę 6 lat i 8 miesięcy pod zarzutem sabotażu na budowie kolejki linowej.

Betta, Gioacchino i Leonardo
c/o Il Silvestre
Across del Cuore 1, 56100 Piza, Italy.
Odbywają kary aresztu domowego za propagowanie działalności rewolucyjnej takiej jak sabotaż.

Alessio Perondi
Casa Circondariale di Prato,
Via La Montagnola 76, 59100 Prato, Italy.
Przebywa w areszcie za propagowanie sabotażu.

Costantino Ragusa
c/o Il Silvestre
Across del Cuore 1, 56100 Piza, Italy.
Odbywa karę aresztu domowego za propagowanie sabotażu. Oskarżony jest również w sprawie przeprowadzanych akcji AntiGM.


Marco Camenisch

Batur Ozdinc

ANARCHIZM W TURCJI

Osiemnaście lat minęło od wydania pierwszego tureckiego anarchistycznego pisma "Kara" (Czarny) w 1986 roku. Turecki ruch anarchistyczny cieszy się więc jeszcze swoimi młodzieńczymi latami, bardzo niepewny jeszcze swojej przyszłości i sposobu w jaki będzie się dalej organizował i rozwijał, choć z dnia na dzień stajemy się liczniejsi i skuteczniejsi. Ostatnio, przed i w trakcie protestów przeciwko NATO, które odbyły się końcem czerwca, anarchiści zaczęli mobilizować się już miesiące wcześniej i to jest najszersza i najbardziej aktywna działalność w jaką kiedykolwiek byliśmy zaangażowani.

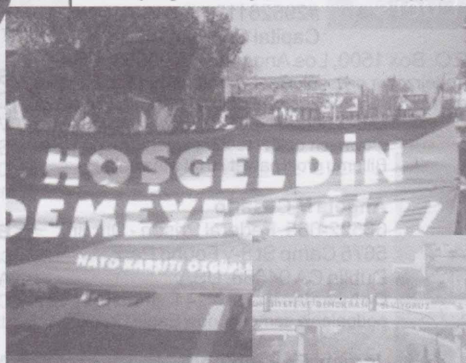


OGÓLNY ZARYS GRUP I CAŁEGO RUCHU

Zasadniczo, anarchiści są znacznie lepiej zorganizowani w większych miastach, jak Istambuł, Ankara i Izmir. Z drugiej jednak strony miasta takie, jak: Izmit, Mersin, Malatya, Bolu, Eskisehir, Antalya, Bursa, Denizli, Kayseri mają różnorodne kolektywy, grupy, czy po prostu "grupy przyjaciół" grupujące anarchistów, aczkolwiek nie są tak aktywne, jak te w dużych miastach. Ruch osiągnął swoje największe apogeum w czasie antywojennych demonstracji (1 marzec 2003) w Ankarze, co spowodowało także dyskusje na temat istoty organizowania się. Ponad 400-tu anarchistów na tej demonstracji szło jako ***"Kara Blok"*** (Czarny Blok), czyli całkiem pokaźna liczba! Uczestnicy tej demonstracji to jednak nie tylko mieszkańcy Ankary, lecz także przyjezdni z wielu innych miast.

Debaty odnośnie organizowania się w Ankarze i Izmirze nie zakończyły się żadnymi konkretnymi postanowieniami, lecz pomogły nam przynajmniej zrozumieć różnorodne tendencje. Część osób preferowała ideę bardziej elastycznej sieci różnych grup, inni woleli federacyjny typ organizacji. Choć nie mogliśmy dojść do konsensusu, to dzięki temu pojawiły się pewne nowe projekty i pomysły.

W Istambule, po doświadczeniach związanych z ***"Kara Ev"*** (Czarny Dom), pojawiły się zupełnie nowe inicjatywy. Także ***"Kara MecmuA"*** (Czarny Periodyk) od 2003 roku opublikował tylko jeden numer i cała grupa zdaje się być coraz mniej aktywna. Z drugiej strony niektórzy anarchiści zaczęli gromadzić się wokół nowego projektu: ***"Kara Gazete"*** (Czarne Pismo), którego wydano dziesięć numerów, włącznie z różnymi wieściami dotyczącymi całego ruchu anarchistycznego. Pojawiła się też grupa określająca się jako "wolnościowi socjaliści", którzy wydali swój zin ***"Liberter"***. Jest także pismo oraz grupa ***"Otonom X"***, która także pojawiła się dopiero w tym roku. Podobnie jak inne, także grupuje anarchistów z Izmiru i Ankary opowiadając się z federacyjnym modelem organizacji. Z kolei anarcho-prymitywiści zaczęli wydawać własny info-biuletyn ***"Uygarliga Karsi"*** (Przeciwko Cywilizacji) i wykonali kilka akcji bezpośrednich. Tureccy anty-militaryści także nie ustają w swej walce; udało im się zorganizować w tym roku imprezę, o przewrotnej nazwie ***"Festiwal Militaryzmu"***. Jako niezrównane wydawnictwo w Turcji, działa w Istambule ***"Wydawnictwo Kaos"***.



W Ankarze mamy dwie różne anarchistyczne organizacje; ***Ankarska Inicjatywa Anarchii*** jest zbiorem różnych anarchistycznych kółek i grup zajętych własną działalnością. Część osób zaangażowała się w pismo ***"Inat"*** (Wytrwałość) i wydali pierwszy numer. ***AIA*** ma cotygodniowe spotkania i zazwyczaj bierze udział w różnych demonstracjach w Ankarze i wszędzie indziej (mała grupa była w Tesalonikach w tamtym roku). Ponadto istnieje także grupa ***Tacanka/KaraKizil*** określające się jako anarchokomunistyczna, platformistyczna (zwolennicy *"Platformy"* Nestora Machno). W czasie protestów anty-NATO szli pod czarno-czerwonymi sztandarami razem z anarchokomunistami z Istambułu. Jest jeszcze w Ankarze wolnościowo zorientowana grupa (oraz pismo) gejów i lesbijek ***KAOS GL*** posiadająca swoje centrum kulturalne. Jednakże w tej chwili nie ma żadnego anarcho-miejsca w Ankarze (wcześniej były dwa, lecz nie dotrwały do dziś), choć mamy infoshop z kawiarnią i księgarnią o nazwie ***Anarres***, które jest niezłym miejscem na spotkania anarchistów.

W Izmirze mamy kilka inicjatyw, głównie zorientowanych na publikacje i wydawanie. ***"Asymetryczne Wydawnictwo A4"*** jest grupą anarchistów wydających dawne broszury na temat teorii i praktyki anarchizmu. Inny kolektyw wydaje i rozprowadza anarchistyczny biuletyn ***"Anarsizmir"***. Są także w Izmirze undergroundowe anarcho-grupy tworzące własną muzykę, a niekiedy nawet ziny,



Protesty przeciwko zjazdowi NATO w Istambule

podobnie zresztą, jak i w innych miastach.

Anarchistyczny dwumiesięczny art-zine *"ImlAsIz"* wydawany jest w Kayseri i rozpowszechniany na cały kraj, w tej chwili można go kupić w około 15 miastach. W Malatya istnieje anarchistyczny kolektyw *"ozgur KarArt"* (wolne KarArt) tworzący zin o tej samej nazwie. Anarchiści z Mersin zajmują się dziś głównie problemami ekologii i najbliższego środowiska naturalnego. W ostatnich latach działalność rozwinęła się w kilku miastach, było kilka akcji bezpośrednich w Izmit, dyskusje i pokazy filmów w Antalya, Bolu, Denizli, i w Usak, gdzie anarchiści doświadczyli państwowych represji. Mała grupa wolnościowych komunistów mieszka w Eskisehir. Generalnie anarchiści biorą udział w uroczystościach 1 majowych, czy demonstracjach antywojennych indywidualnie lub w oddzielnych pochodach.

Anarchistyczne i wolnościowe idee wywarły wpływ również na pewne grupy lewicowe; jedna z nich, działająca głównie w Istambule studencka organizacja *"Otonom"* określa się jako antykapitalistyczna i antypaństwowa, aczkolwiek nie jako wprost antyautorytarna, są przede wszystkim zainspirowani poglądami Negri'ego(1).



PROTESTY ANTY-NATO

W dniach 28-29 czerwca 2004 r. miało miejsce w Istambule spotkanie NATO. Anarchiści i antyautorytaryści zaczęli się mobilizować już miesiące przed terminem szczytu. Powstała ***"Wolnościowa Koordynacja Przeciwko NATO"*** i udało się zrealizować wiele pomysłów. Koordynacja wydała własną deklarację i uruchomiła stronę internetową. Dokumenty takie, jak deklaracja, odezwy i aktualności były tłumaczone na prawie 20 języków. Czwartego kwietnia, czyli w rocznicę powstania NATO (4 kwietnia 1949r.) zorganizowano pikietę. Później, w połowie maja ***"Festiwal Militaryzmu"*** dał nam dobrą okazję do antywojennej, antymilitarystycznej i anty-NATO agitacji. Rozklejono wiele naklejek i plakatów, rozdawano ulotki, zorganizowano debatę ***"Kapitalizm, NATO i kontrruch"***. Pierwsza akcja ***Food not Bombs*** w historii Turcji miała miejsce 5 czerwca pod McDonalds'em w Taksium.

Parę tygodni później zorganizowaną kolejną akcję ***Food not Bombs***, tym razem naprzeciwko McDonalds'a w Besiktas. Był tam obecny również jeden z założycieli ***FNB***, Keith McHenry, który w czasie demonstracji anty-NATO szedł w ***Czarnym Bloku*** z transparentem ***FNB***. ***"Wolnościowa Koordynacja"*** wzięła udział w corocznych uroczystościach pierwszomajowych w Istambule i pracowała wspólnie z innymi anarchistycznymi grupami z całej Turcji. W Izmirze ***"Asymetryczne Wydawnictwo A4"*** wydało *"Poradnik aktywisty"*, zaś ***Ankarska Inicjatywa Anarchii*** wydrukowała ulotki i naklejki.

Organizacja wielkiej demonstracji przeciwko NATO 27 czerwca i dwóch następnych dni upłynęła w solidarnej współpracy anarchistów z całego kraju. 27 czerwca anarchiści szli w ***Czarnym Bloku*** i w *"Czerwono-Czarnym pochodzie"* gromadząc w sumie 300-400 osób. W następnych dniach były pewne starcia z policją, ale żaden anarchista nie został aresztowany. Po raz pierwszy anarchiści pojawili się na ulicy jako realna siła i nawet lewicowe pisma wspominały o udziale anarchistów w protestach przeciwko NATO.



ANTYMILITARYZM

Anarchistyczny ruch w Turcji jest blisko powiązany z antymilitaryzmem. Turecki rząd nadal nie akceptuje prawa do totalnej odmowy służby wojskowej (*"total objector"*), a ci, którzy to robią są przeważnie anarchistami i wolnościowcami. Ich liczba przekroczyła już 30 osób i każdego roku rośnie. Warto pamiętać, że bardzo ciężko jest uniknąć wojska legalnymi środkami i dlatego pozostaje odmowa i narażanie się na aresztowanie. Państwowa policja (i żandarmeria) raczej stara się nie robić zbyt wiele w sprawie osób odmawiających służby wojskowej, ponieważ nie chcą zwiększać jeszcze liczby takich osób i obawiają się powstania w ten sposób skutecznego ruchu politycznego. Ale wciąż antymilitaryści nie dysponują żadnymi "legalnymi prawami i wolnościami", dzięki którym mogliby uniknąć służby wojskowej. ***Istambulska Inicjatywa AntyMilitarystyczna*** jest najwybitniejszą pod względem aktywności grupa antymilitarystyczną i w tym roku zorganizowała wspomniany już ***"Festiwal Militaryzmu"*** w dniu 15 maja - ***Międzynarodowy Dzień Odmawiającego Służby Wojskowej***. Po "wizycie" w ważnych miejscach wojskowych i kilku firmach produkujących broń jako konwój trzech autobusów pełnych anarchistów, antymilitarystów i wolnościowców, jak również dziennikarzy, zostaliśmy zatrzymani. Kilka lat temu działała także w Izmirze antymilitarystyczna grupa - ***Izmirskie Stowarzyszenie Przeciwników Wojny*** (ISKD), lecz dziś już w ogóle nie jest aktywne.

VİCDANİ RETÇİLER
TOTAL RETÇİLER
PİLAV GÜNÜ



PİLAVDAN DÖNENİN
KAŞIĞI KIRILSIN!

ANTYSEKSIZM

KAOS GL pojawiło się jako wolnościowe pismo gejów i lesbijek we wrześniu 1994 roku i od tego czasu grupa ta jest coraz bardziej aktywna. W swoim czasie zorganizowali dużo rzeczy (seminaria i debaty) i byli pierwszą grupą homoseksualistów, która pojawiła się na demonstracji pierwszomajowej (w praktyce przez długi czas byli jedną z nielicznych grup gejów i lesbijek w ogóle). W 2000 roku utworzyli swoje centrum kulturalne w Ankarze. Grupa ta jest nie-hierarchiczna i ma postawy antykapitalistyczne, grupuje także anarchistów i wolnościowców. Mają dużo kontaktów z anarchistami w Ankarze i w całym kraju.

W Turcji niestety nie mamy anarchofeministycznej grupy ani organizacji, jednakże jest kilka kobiet-anarchistek, które indywidualnie są aktywne w niezależnych kobiecych organizacjach i inicjatywach. W ubiegłym roku rozdawano na demonstracji antywojennej ulotki anarchofeministyczne, jednakże nie zauważyliśmy nigdy później żadnej innej działalności na tym polu.

WALKA ROBOTNICZA

W temacie walki klasowej ruchu robotniczego anarchiści tureccy są bardzo aktywni. Jednakże nie mamy jeszcze żadnej inicjatywy anarchosyndykalistycznej, choć co prawda, w ciągu ostatnich kilku lat idee wolnościowego komunizmu stają się coraz bardziej popularne. Grupy takie, jak ***Liberter*** (Istambuł) i ***Tacanka/KaraKizil*** (Ankara) rozpoczęły dyskusję na temat zaangażowania anarchokomunistów w ruch klasowy. Niestety nie ma żadnego realnego i zorganizowanego udziału w ruch robotniczy, oprócz bieżących dyskusji. Inną ważną rzeczą jest to, że są pojedynczy anarchiści aktywni w różnych związkach zawodowych nie będącymi jednak zorganizowanymi w sposób anarchistyczny.

Sprzymierzony Robotniczy Związek Zawodowy (Birlesik Isci Sendikasi - BIS) powinien być tu wspomniany jako wyjątkowy przykład oddolnie zorganizowanego

rewolucyjnego klasowego związku zawodowego w Turcji. W zeszłym roku **BIS** zdołał zorganizować grupy pracowników firmy wykonującej zlecenia dla PTT(2). Ludzie ci pracowali na umowę i dostawali około 1/3 przeciętnej pensji pracownika PTT, choć wykonywali tę samą pracę. Zorganizowali strajk, trwający kilka miesięcy, zanim związek zawodowy (**BIS**) został zamknięty.

WIĘZIENIA I WIĘŹNIOWIE

W tej chwili nikt nie przebywa w więzieniu za działalność anarchistyczną. Jedynie ludzie, którzy nie stawili się na odbycie służby wojskowej żyją z poczuciem ryzyka aresztowania, lecz od czasu incydentu z Mehmedem Bal w 2002 nie było żadnego poważnego aresztowania.

W więzieniach Turcji przebywają tysiące lewicowych i kurdyjskich działaczy politycznych. Z powodu autorytarnego sposobu organizowania się i prowadzenia walki przez ich macierzyste organizacje, niektórzy więźniowie zaczęli krytykować swoje organizacje i kilku z nich jest pod wpływami idei anarchistycznych.

W praktyce jest bardzo ciężko i ryzykownie pozostać niezależnym od lewicowych i kurdyjskich organizacji w więzieniach. Spowodowane jest to faktem, że inni więźniowie mogą cię wtedy prawdopodobnie uznać za współpracującego z państwem i władzami. Nie znamy dokładnej liczby osób o ideach anarchistycznych przebywających w więzieniach. Lecz są oni w kontakcie z anarchistycznymi pismami, więc jest to pewien sposób wymiany informacji. Jedyna grupa *Anarchistycznego Czarnego Krzyża*, jaka powstała w Ankarze podczas sprawy anarchisty Usaka, w tej chwili zdaje się zaprzestać działalności, jednakże z drugiej strony grupa zielonych anarchistów założyła ***ELP- Turcja*** (***Earth Liberation Prisoners - Więźniowie Wyzwolenia Ziemi***), aby informować tureckie środowiska anarchistyczne i wolnościowe o więźniach w innych krajach.

PISMA, PUBLIKACJA, INTERNET

Najpoważniejszym tureckim wydawnictwem jest ***"Wydawnictwo Kaos"***, obecne już od 1994. Obraca się ono w kręgu szeroko pojętego anarchizmu i wydało już 22 książki oraz dwie broszury. Ostatnimi dwoma książkami były *"Wieści znikąd"* Williama Morrisa i *"Bolo'Bolo"*.

W najbliższej przyszłości planują wydać *"Filozofię nędzy"* Proudhona oraz książki Kropotkina i Stirnera.

Jest trochę pism anarchistycznych w Turcji. Są to wspomniane wcześniej ***Kara MecmuA***, ***Kara Gazete***, ***Liberter***, ***Anarsizmir***, ***Otonom X***, ***Inat***, ***ImlasIz***, ***Uygarliga Karsi***. ***Kara MecmuA*** w styczniu tego roku wypuściła swój 10 numer, podobnie jak ***Kara Gazete***, ***Anarsizmir*** i ***Uygarliga Karsi*** - do dziś, wszystkie z nich wydały po 10 numerów. Pozostałe, oprócz ***ImlasIz***, wydały tylko po jednym



Winiety tureckich pism anarchistycznych i stron internetowych

numerze. Do tego jest wiele różnorodnych zinów, alternatywnych pism i newsletterów, jak ***Pasli Teneke*** (Izmir), ***ozgur KarArt*** (Malatya). Trzyletnie ***"Asymetryczne Wydawnictwo A4"*** wydało serię broszur (około 15) nie tylko klasyków, jak Bakunin, Kropotkin i Proudhon, ale także współczesne dzieła.

Należy także wspomnieć o anarchistycznym art-zinie ***ImlasIz***. Powstał w 2003 w Kayseri, jest dwumiesięcznikiem i rozpowszechniany jest w całym kraju. Aktualnie wyszedł już ósmy numer. Większość współpracowników to wolnościowo myślący artyści, poeci, intelektualiści, pisarze, jak i "zwykli" anarchiści, którzy pisywali wcześniej także to innych pism o sztuce.

Anarchistyczne i wolnościowe idee znajdują miejsce w przeróżnych pismach, dzięki artykułom takich osób, jak Sureyyya Evren, Rahmi Ogdul, Halil Turhanli. Kilka niezależnych lewicowych pism, jak np. nowy dziennik ***Birgun***, także daje możliwość na szerzenie anarchistycznej myśli.

Mamy wiele anarchistycznych stron internetowych po turecku. Poza stronami grup i pism, są także inne strony anarchistyczne. Turecka sekcja ***A-Infos*** działa już od 4 lat (od wiosny 2000) i jest dobrym źródłem wieści zarówno ze świata, jak i z kraju. Strona internetowa ***"Anarsist Bakis"*** (Anarchistyczne spojrzenie) jest doskonała pod względem licznych artykułów (głównie tłumaczeń). Istambulski kolektyw ***Indymediów*** jest złożony także z anarchistów i wolnościowców. Poza stronami są też różne listy e-mailowe, jedną z nich jest ***"anarsistiletisim"*** (anarcho-komunikacja), która powstała zaraz po demonstracji antywojennej pierwszego marca 2003. Lista w tej chwili składa się ze 150 adresów e-mailowych.

GRUPA *"OZGUR HAYAT"*

Jest także inna grupa, głównie działająca w Istambule i wydająca dwutygodnik ***"Ozgur Hayat"*** (Wolne Życie) i działające pod stowarzyszeniem o nazwie ***Społeczno-Ekologicza Transformacja*** (SED). Parę lat temu stali się izolowani przez inne anarchistyczne grupy po ich fizycznym ataku na jednego towarzysza i pogróżki wymierzone w innych.

Od tego czasu działają samodzielnie i na demonstracjach można ich zobaczyć maszerujących osobno. Działali pod nazwą ***"Anarsistanbul"*** w czasie protestów anty-NATO i udało im się zmobilizować kilkaset osób. Obecnie są skupieni na kampanii przeciwko budowie tam na rzece Munzur.

BaturOzdinc z ***Ankarskiej Inicjatywy Anarchii***

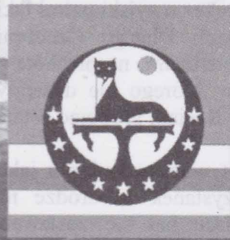
Przypisy:

(1) Antonio "Toni" Negri - francuski filozof i politolog. Profesor uniwersytetu w Padwie, neomarksista. W latach 70-tych zwolennik zbrojnej walki, za co został uwięziony pod zarzutem przynależności do "Czerwonych Brygad". Obecnie jedna z wybitniejszych postaci ruchu alterglobalistycznego. (przyp. tł.)

(2) PTT - Turecka Poczta (przyp. Tł.)

Tłum: **Wojtek Bryk**

CZECZEŃSKA GÓRA LODOWA



Rafał Błachnio

Siedzimy w jednym z mieszkań w cieszącej się złą sławą, biedniejszej dzielnicy Lublina. Mój rozmówca i jego żona wyjaśniają czemu nie ufają żurnalistom. Ich zdaniem dziennikarz nie może powiedzieć wszystkiego. Zawsze pozostaje od kogoś zależny i tego kogoś zmuszony jest słuchać. Nie chodzi tylko o brak zaufania do rzetelności mediów. Gadanie po prostu nic nie zmieni. W czasie pierwszej wojny czeczeńskiej całą rodziną chodzili na demonstracje - tam w domu. Po przyjeździe do Polski pisali listy do władz, skargi, spotykali się z dziennikarzami lecz powoli zaczęli dostrzegać znikomość tych działań. Protesty nie mogą przebić muru obojętności jakim władze otaczają wojnę.

Teraz są już tym wszystkim zmęczeni, pragną odpocząć. On - głowa rodziny, chce tylko jednego - zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie. Pragnie opłacić dom, ubrać pięcioro dzieci, żeby mogły chodzić do szkoły i normalnie dorastać w pokoju. To jest jego świat, mówi pokazując na biegające maluchy. Reszta jest poza kontrolą zwykłych ludzi. Patrzy przy tym wnikliwie, prosto w oczy, cierpliwie tłumacząc i robiąc długie przerwy między zdaniami. Żona częstuje nas herbatą i ciastkami. Proponuje obiad, co prawda bez mięsa bo nie wiedzie im się zbyt dostatnio ale ważne jest by przyjąć gościa.

Pozostajemy przy herbacie i wracamy do rozmowy. Czasami przychodzi taka ochota by zostawić za sobą miasto, cały ten zgiełk, innych ludzi i gdzieś uciec. Znaleźć spokój i zapomnienie od zmartwień, tego co dzieje się na świecie, w zabijanej ojczyźnie.

Pytam czy mają nagrane na video jakieś materiały na temat Czeczenii. Jusman, zaprzyjaźniony z nami uchodźca który jakiś czas temu opuścił Polskę wraz z rodziną, zbierał wszystkie filmy do jakich udało mu się dotrzeć. Dzięki niemu lepiej mogliśmy zrozumieć i poczuć tragedię tej wojny. Mój rozmówca zaskakuje mnie swoją odpowiedzią. Po co? Nie nagrywają żądnych programów, nie interesują ich relacje z wojennej pożogi, nawet żeby obejrzeć.

Oni to widzieli na własne oczy. Żyli pośród tego co na ekranie. Widzieli na własne oczy jak bomba wybucha - po co jeszcze teraz siedzieć i patrzeć na to w telewizji. Mieli tego dosyć wokół siebie przez całą pierwszą wojnę. Teraz nie chcą do tego wracać, przeżywać po raz drugi tego co ciąży i kładzie się cieniem na całe ich życie.

Nagle używa zaskakującej metafory. Z pokazywaniem wojennego zniszczenia i zbrodni jest jak z Titanikiem, który wpadł na górę lodową. Czubek widoczny był dla każdego ale była to tylko niewielka część tego co kryło się pod powierzchnią wody. Podobnie jest w przypadku Czeczenii. Nie ma sensu rozprawiać o tym co każdy widzi, o czubku. To co naprawdę jest ważne, cała prawda o tym z czego on wyrasta, pozostaje ukryta. O tej całej mrocznej prawdzie tkwiącej pod wodą w ciemnościach żurnalista już tak chętnie nie powie. Trudno je rozświetlić a jeżeli ktoś podejmuje się tego wyzwania to tu wymownie przykłada palce do głowy- aż zostaną tylko tacy którzy najwyżej o czubku napiszą albo całkiem zamilkną. Tak rzeczy mają się nie tylko w Rosji.

W TV można nawet pokazywać wojenne okrucieństwo, żołnierzy strzelających do cywili ale to nie jest najważniejsze bo oni są tylko instrumentami, oni tylko wykonują polecenia. Ważne jest żeby zrozumieć kto wydał im rozkaz, kto zapłacił za tę morderczą pracę. Najważniejsza prawda której nie wolno mówić o Titaniku: Kto na tym korzysta? Jakie układy na górze, czyje interesy i zakulisowe rozgrywki na szczycie nakręcając spirale śmierci.

LUDOBÓJSTWO Z LUDZKĄ TWARZĄ!



Kto nie chce by wojna się skończyła.

Mój rozmówca zgadza się co do tego że polityka jest brudna, a żurnalista zaplątany w jej tryby nie będzie chciał powiedzieć prawdy. Oznaczałoby to dla niego podwójne zagrożenie: ryzyko utraty pracy a nawet życia. Dlatego nie warto jest mówić, udzielać już więcej wywiadów. Prawda jest albo cała albo w ogóle jej nie ma. Trzeba by całą górę lodową wyciągnąć na wierzch a na to nikt nie pozwoli .Władza i naród to dwie zupełnie inne sprawy. Gdyby nie Polacy - zwyczajni ludzie, to by sobie nie poradzili. Dzięki nim jakoś udało się przetrwać, choć teraz to już okres stawania na własne nogi bo udało się znaleźć pracę. Polacy są podobni do Czeczenów, nie tylko niekiedy z wyglądu ale i z charakteru, z tego że oni tak samo długo zmagali się z obcą okupacją. Jedna jeszcze rzecz uderza mojego rozmówcę: że Polacy mają o sobie zaniżone mniemanie. Nie są wcale tak źli jak twierdzą. Jeżeli zaś idzie o politykę państwa to inna sprawa. W telewizji propaganda taka sama jak w Rosji - mówi, co budzi u mnie pewien sprzeciw ze względu na to że puszczane są czasem dokumenty obrazujące kaukaski koszmar bez przekłamań na korzyść Rosji.

Rządzący myślą w ten sposób, że jaki będą mieli w tym interes, gdy wejdą w konflikt z Rosją w obronie małej republiki. Dla nich ważne jest aby utrzymać się przy władzy dlatego biednych nie może być za dużo, by nie rodziło to wybuchowych sytuacji. A jak Rosja zakręci kurki z gazem i ropą to ceny w kraju pójdą do góry, kryzys się nasili i ludzie mogą się zbuntować. Dlatego rządzący siedzą cicho bo tak jest wygodniej, żeby stanowisk nie stracić. Co dalej z Czeczenią? To wielka niewiadoma bo tu nie tylko decydują proporcje sił między walczącymi stronami ale także nagłe zwroty w polityce międzynarodowej. Najwyższy plan znajduje się w umyśle Allaha i to on o wszystkim zadecyduje.

Kwestia zamachów.

Co to znaczy terrorysta? Ja nie rozumiem takiego słowa? - mówi mój rozmówca lekko wzburzony. Gdy Palestyńczyk albo Czeczeniec robi zamach to on jest terrorysta a jak rosyjski albo izraelski generał wysyła 10 tys. żołnierzy, każe czołgom ostrzeliwać wioskę, zrzuca bomby na domy, to on nie jest terrorysta tylko żołnierz, bohater?! I jeszcze otrzymuje odznaczenia wojskowe za służbę ojczyźnie! Czemu jego

nikt nie nazwie terrorystą? Przypominam sobie słowa Jusmana przekonującego że dla większości Czeczenów zamachowcy z Dubrowki to bohaterowie, mówiącego że przy takiej polityce Rosji czeczeńskie ataki będą się nasilać. Oni nie chcieli przecież ani pieniędzy ani władzy, niczego dla siebie, tylko pokoju - argumentował Jusman - żeby nareszcie skończyła się wojna i wycofano wojska okupacyjne.

"To nie są nasze metody" - mówi o Dubrowce mój obecny rozmówca - "My takich metod nie używamy ale jak walczysz z niehonorowym przeciwnikiem, który żadnych zasad nie przestrzega, to jak ty się chcesz obronić to nie masz wyjścia" Musisz też takie zastosować, zrezygnować w pewnym momencie z litości. "A oni, Rosjanie nie mają honoru, bo im Boga w sercach wytruła propaganda już od 1917 ". I trudno jest z Rosjanami dyskutować ponieważ są odporni na wszelkie argumenty. Odrzucają je zasłaniając się tylko jednym, mówią : "Jak to ? Niemożliwe. Przecież w telewizji powiedzieli co innego." Ponuro kwituje: "Jak Boga nie ma w sercu to się go zastępuje czym innym i teraz telewizor jest Bogiem, a każde jego słowo święte i prawdziwe". Dodaje zaraz jednak, że spotkali także dobrych Rosjan. Niebezpiecznie jest cały naród uważać za zły albo dobry gdyż wewnątrz niego żyją zawsze i tacy i tacy. I u nich - tych złych Czeczenów Rosja wykorzystywała do swoich celów porywając ich rękoma (80 % przypadków jak twierdzi) dziennikarzy dla okupu, dzięki czemu rosyjskie służby specjalne destabilizowały sytuację w wyczerpanym wojną kraju.



Potem można posądzać cały naród o skłonności kryminalne. Podobnie jak władza zdaje się rozumować także część Rosjan. W czasie zajęć na lubelskim wydziale socjologii dotyczących mniejszości etnicznych, jeden z rosyjskich studentów podczas dyskusji tłumaczy grupie, że Czeczeni są narodem który od wielu lat specjalizuje się wyłącznie w wykonywaniu wojennego rzemiosła. Jego zdaniem ludzie umiejący posługiwać się przede wszystkim bronią stwarzają zagrożenie dla bezpieczeństwa wewnętrznego kraju, ponieważ ich dawna 'profesja" popycha ich na drogę przestępczą. Rosyjscy studenci reagują raczej wrogo na sprzeciw wobec wojny prowadzonej przez ich kraj.



Gdy pytam mojego rozmówcę o ostatnie zamachy dokonane w Moskwie przez młode czeczeńskie szahidki, uśmiechając się z rozgoryczeniem odpowiada słowami:

" ...chcieliby, żeby Czeczeni jak te barany potulnie kładli się pod nóż, żeby podstawiali im szyje, gdy ich mordują" Jego zdaniem to nie okrucieństwo lecz desperacja, brak nadziei popycha ludzi do terroru. Wolą umrzeć na terytorium wroga, niż po cichu, w komfortowych warunkach dla Rosjan dać się zarżnąć we własnym domu, na oczach dzieci.



Cicha wojna

Wojna to nie tylko artyleryjski ostrzał, walki partyzanckie czy ludobójstwo. Nawet nie przede wszystkim. Naród niszczy się zabierając mu pamięć. Każąc dzieciom mówić po rosyjsku, nadając im rosyjskie imiona. To, że się ludzi zmusza do ucieczki za granice, gdzie asymilując się przyjmują inną tradycję i kulturę prowadzi także do niszczenia ich narodowej tożsamości, do wymazania z pamięci młodego pokolenia tradycji i pochodzenia. To także jest wojna. Dlatego w domu mojego rozmówcy z dziećmi rozmawia się po czeczeńsku, aby znały ojczysty język i nie zapomniały kim są.

Polska - dwulicowy przyjaciel

Dla Jusmana kłopoty w Polsce to początek tułaczki po całej Europie w poszukiwaniu azylu. Pomimo dwukrotnie składanych odwołań, odmówiono mu prawa do pozostania w kraju. Po kilku wzmiankach w lokalnej prasie na temat trudnej sytuacji jego rodziny sprawą obiecał zająć się lubelski wojewoda. Nie odezwał się do nich ani razu.

Przed wyjazdem Jusman pokazuje mi, wyjmując zza pazuchy, strzeżony z czułością swój czeczeński paszport, drukowany poza granicami ojczyzny, na którym , wytłoczony na zielonej okładce głowę zadziera czujnie siedzący wilk. Tego dokumentu nie miał przy sobie gdy nielegalnie przedostawał się do Polski. Strach było zabierać ze sobą własną narodowość. Dla schwytanego przez rosyjski patrol taki dokument mógł oznaczać niechybną śmierć. Dlatego Czeczeni uciekający z okupowanego kraju, całymi rodzinami, na piechotę z resztkami pośpiesznie pakowanego dobytku, którego nie dosięgły jeszcze rosyjskie kule, podają się czasem za Rosjan, próbując zataić swoje pochodzenie.

Jusman początkowo traktował swój pobyt w naszym kraju jako tymczasowy przystanek w drodze na Zachód. W Polsce bał się zostawać. Obawiał się prześladowań i deportacji na życzenie Kremla. Takie wyobrażenie o sytuacji politycznej wyrobił sobie na podstawie telewizyjnych przekazów, gdzie serdeczne uściski i kurtuazyjne wymiany uprzejmości oraz gesty sympatii wymieniane z prezydentem Putinem są na porządku dziennym polityki zagranicznej naszych władz. Nie należy się temu dziwić. Wystarczy przypomnieć wizytę Putina w polskim parlamencie podczas której Donald Tusk komentował wystąpienie prezydenta Federacji Rosyjskiej stwierdzeniem: "Miałem wrażenie, że zachowuje się jak amerykański prezydent" dołączając wyrazy swojego uznania do słów innych posłów, takich jak Jarosław Kaczyński, mówiący: "To jest polityk naprawdę robiący bardzo dobre wrażenie i budzi sympatię" czy posłów Samoobrony, bijących gościowi brawo na sejmowym korytarzu, wyjaśniających potem swoje zachowanie: "A dlaczego mieliśmy nie bić ? Przecież to nasz przyjaciel" (Super Express, 17stycznia 2002, Gazeta Wyborcza, 16 stycznia 2002 r.)

Podobne podejrzenia i niepewność, do których dochodzi lęk przed zemstą rosyjskich siepaczy, zagrażającą również ich rodzinom pozostałym w Czeczenii, przejawia wielu uchodźców, którzy podczas manifestacji antywojennych organizowanych w Polsce, obawiają się publicznie występować i zabierać głos w proteście przeciwko eksterminacji ich narodu. Manifestacje antywojenne podczas agresji na Irak przyciągały wiele uciskanych mniejszości. Byli Palestyńczycy, grupa Kurdów, oraz Czeczeni, którzy mimo namów nie chcieli skorzystać z mikrofonu, zwracając uwagę na policyjnych kamerzystów filmujących protest. Nikt nie da im gwarancji, że taśmy z ich twarzami nie trafią w ręce rosyjskich służb specjalnych. Dlatego ze swoimi flagami milcząco tkwili w tłumie demonstrantów, przypominając o swojej obecności jedynie narodowymi kolorami powiewającymi, tu i ówdzie, nad głowami tłumu.

Czy ich obawy są nieuzasadnione? Czy świat zachodni pamięta o nich, dając gwarancje bezpieczeństwa, choćby dla ofiar wojny? Status uchodźcy otrzymują nieliczni. Pozostali są wydalani z kraju. Nie czekając na to, wolą przedostawać się nielegalnie dalej na Zachód. Na jednym ze spotkań w Krakowie Isa Adajew, dyrektor biblioteki i muzeum w Groznym podsumował ich doświadczenie, mówiąc, że największym błędem jaki popełnili Czeczeńcy było to, że uwierzyli w zachodnio-europejskie ideały demokracji, wolności i sprawiedliwości, po tym jak USA nieformalnie obiecały im poparcie dla dążeń niepodległościowych podczas I wojny rosyjsko-czeczeńskiej.

Czeczeni znaleźli się w sytuacji podobnej do ofiar tonącego Titanika, które po zderzeniu z górą lodową przez pewien czas jeszcze żyły, unosząc się na powierzchni wody. Z 20 szalup ratunkowych jedna odważyła się wówczas zawrócić tylko po to, aby stwierdzić: "przybyliśmy za późno".

KREUZBERG ZUERST

czyli alternatywne i snobistyczne spotkanie z dawnym grodem połabian

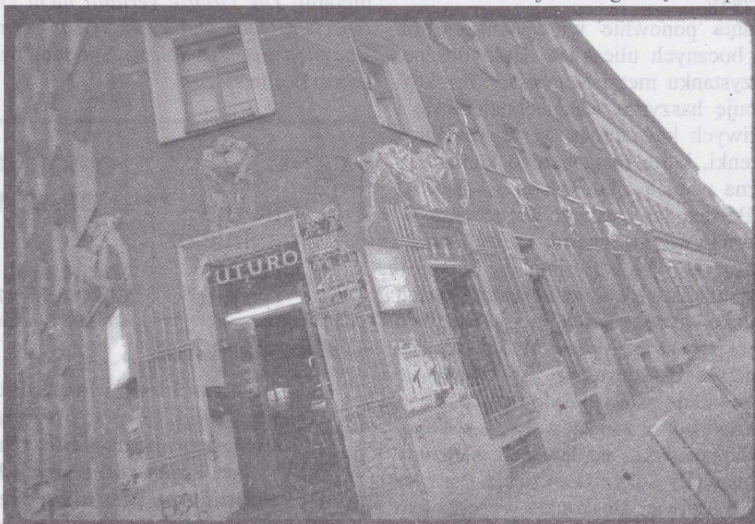
Remigiusz Kasprzycki

Kreuzberg Zuerst!, czyli *Najpierw Kreuzberg!*, tak zatytułowana jest jedna z piosenek niemieckiej punkowej kapeli *Terrorgrupe* o tej blisko 200.000 dzielnicy Berlina. Miejscu o którym po raz pierwszy świadomie usłyszałem w maju 1989 roku. Właśnie wtedy PAP (dla nie wtajemniczonych; Państwowa Agencja Prasowa) w nieistniejącym już Echu Krakowa (wychodzi jako wkładka do Gazety Krakowskiej), wyczytałem, że grupy lewackiej młodzieży z tej zachodnioberlińskiej dzielnicy całą noc z 1/2 maja ścierały się z policyjnymi formacjami niemieckiej prewencji. Około 300 niemieckich policjantów zostało rannych. Jako 17 latek bardzo zazdrościłem młodym Niemcom, bo bilans naszych krakowskich demonstracji z 16 - 18 maja był dużo gorszy. Udało się tylko wyeliminować niecałe ponad 50 milicjantów z ZOMO. Tak właśnie po raz pierwszy usłyszałem o niemieckim *Kreuzbergu*.

Po piętnastu latach włóczyłem się po zaułkach *Kreuzberga*. Poznawałem duszę tej dzielnicy, jak i innych mniej znanych miejsc Berlina. Starałem się ogarnąć i zrozumieć to wielkie i barwne miasto. Odkryć jego tajemnicę. Mając za motto słowa Josifa Brodskiego, że: *uciekając ku peryferiom, oddalasz się od wszystkiego i trafiasz na świat autentyczny,* ruszyłem na spotkanie prawdziwej rzeczywistości. Dlatego np. reprezentacyjna *Unter den Linden* znajdowała się na mojej drodze, tylko wtedy gdy musiała.

Lecz cała wyprawa do Berlina o mało nie doszła do skutku. Na moich oczach zwiał mi pociąg. Szlak trafił miejscówki i pojawiło się retoryczne pytanie: co dalej? Jak zwykle trzeba było działać, a nie myśleć. Ostatecznie poprzez Gubin i Frankfurt nad Odrą dotarłem do Berlina. Była już północ, kiedy wysiadłem na dworcu *Berlin - Friedrichstrasse*. Zadzwoniłem do znajomej, aby ją uspokoić. Kiedy piliśmy wieczorną, a właściwie nocną herbatę wyznała mi, że zaniepokojona, iż nie wysiadłem z oczekiwanego pociągu, zawiadomiła wszystkie ważniejsze berlińskie dworce. Ponoć ogłaszano przez głośniki, że jestem poszukiwany (Ciekawe jak wypowiadali moje nazwisko?). Przynajmniej więc przez minutę byłem w centrum uwagi tego kilku milionowego miasta. Na dalszy plan zeszły jego główne problemy. Choćby ogromne zadłużenie miasta. Za przyczyną mego permanentnego braku punktualności nazwisko Kasprzycki zostało na trwałe zapisane w historii Berlina.

Berlin posiada dziesiątki muzeów, co ciekawe spora ich część jest poświęcona starożytności, albo wczesnemu średniowieczu. Zaczynając od najbardziej znanego *Pergamon museum*, a skończywszy na sieci muzeów zlokalizowanych w okolicach pałacu *Charlottenburg*. Można się poczuć jak w obrębie morza śródziemnomorskiego. Zobaczyć to co panowie archeolodzy z XIX wiecznych Niemiec razem ze swoimi kolegami z Anglii i Francji nakradli w Grecji, Persji czy Egipcie. Mnie najbardziej fascynował fakt, że tyle tego przetrwało mimo zjawienia się w 1945 Armii Czerwonej. Widoczni Czerwonoarmistów interesowały bardziej przyziemne rzeczy: *czasy i wielosipiedy*. Przez te wszystkie wystawy poświęcone starożytności przepłynąłem niczym w piosence Świetlickiego. Raczej snobistycznie zaliczyłem, niż zwiedziłem. Jednak podobnym snobom chciałem podpowiedzieć, że najlepiej powyższe muzea zwiedzać w czwartki, bo większość z nich ma wtedy gratisowy wstęp.



Warto natomiast wybrać się do muzeum poświęconym II wojnie światowej, które mieści się w historycznym budynku, gdzie przywódcy III Rzeszy podpisywali z aliantami majową kapitulację w 1945. Bardzo fajna jest makieta poświęcona walką o Berlin w 1945 roku. W jednej zaś z gablot można sobie pooglądać galowy mundur marszałka Żukowa. Muzeum to znajduje się w *Karlshorscie*, wschodniej części Berlina. Kolejną ciekawą propozycją do zobaczenia jest moim zdaniem *Hohenschönhausen*, więzienie Stasi. Ekspozycja uzmysławia, jak daleko w NRD zbudowano państwo policyjne. Aparaty telefoniczne z podsłuchem, pluskwy wkładane wszędzie gdzie to możliwe. Inwigilacja obywatela doprowadzona do perfekcji. Zwracają również uwagę dokumenty STASI przesłuchujące kilku studentów z Drezna, którzy mieli odwagę rozlepiać ulotki w proteście przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego, w 1968 roku na Czechosłowację. Zapłacili za to wysoką cenę. Dostali kilkuletnie wyroki więzienia. Do wątku dysydenckiego jeszcze powrócę. Co do niemieckich muzeów, to spore wrażenie, zrobiła na mnie wystawa w *Deutsches Historisches Museum* poświęcona pierwszej wojnie światowej. Ukazano na niej konsekwencje tej wojny. Łącznie z 1939 roku. Znalazł się tutaj wątek polski. Plakaty plebiscytowe z 1920 roku i ciekawe popiersie Piłudskiego.

Potem przyszła kolej na *Kreuzberg*. Dzielnicę poznawaną o różnych porach dnia i nocy. Przy różnej pogodzie. W słońcu i upale, w deszczu i przy grzmotach burzy. Miejsce o różnych barwach.

Jak przystało na staroświeckiego kryptopunka po 30-tce zwiedzanie fascynującego miejsca rozpocząłem od zagadnięcia kilku 20-latków w podartych dżinsach z naszywkami *Nazis Raus* o muzyczne sklepy z punkową muzyką. Popatrzyli na mnie jak na idiotę. Jak na pytającego w lesie o grzyby. Wyjaśnili mi, że takich miejsc jest tutaj sporo. Tylko trzeba poszukać. Zapuściłem się więc w Kreuzberg... Szedłem sobie bocznymi ulicami. Oglądałem plakaty i napisy polityczne na murach kamienic. Wreszcie przy *Gneisenaustrasse* moja punkowa peregrynacja osiągnęła swój pierwszy przystanek. Nad wejściem do rockowego sklepu powiewała piracka flaga. Na progu siedziało kilku osobowe punkowe bractwo i powoli, melancholijnie sączyło piwo w butelkach. Ze sklepu doleciała mnie muzyczka, która nie pozwoliła pozostać u wejścia. W środku przywitało mnie bardzo fajne wyposażeni sklepu. Zgromadzone duże ilości, ostrej rockowej muzyki z całego świata. Na ścianach plakaty, kopie archiwalnych zdjęć z zadym. Sporo różnych koszulek, anarchistycznej prasy, rozmaitych zinów i naklejek. Zagadnąłem sprzedawcę o legendę niemieckiej punkowej grupy. 40 kilkuletniemu gościowi bez zęba na przedzie zaiskrzyły oczy. Sięgnął po CD zespołu Slime. Pomyślałem, że chyba dobrze pamięta początki chłopaków z Hamburga, z końca lat 70 - tych. Popłynęły utwory: *We don't need the Army*, *Hey Punk*, czy *A.C.A.B.* Przy tym kawałku nieoczekiwanie pojawił się strumień świadomości. Oświeciło mnie, że głupie Ziomale z mojej Wiochy Zabitej Dresiarzami (jak nazywam moją drogą [naprawdę drogą!] Nową Hutę), co to popisały mur mego śmietnika *CHWDP - KSC* (Cha! Cha! Jak to w Wiosze Zabitej Dresiarzami się szybko zmienia. Niedawno Biała Gwiazda, teraz Pasy!?), w swoich hip - hopowych zwidach nie były pierwsze. Bo już dawno było *A.C.A.B* (dla nie wtajemniczonych: *All cops are bastards* [W wersji ocenzurowanej: *Wszyscy gliniarze są gnojkami.*) a *CHWDP* to jakiś pseudoliteracki plagiat łysych cymbałów w dresach i

szerokich portkach. I było mi tak fajnie, że trudno mi było wyjść z tego duchowego przybytku. Patrząc na europejskie ceny płyt w mojej typowo polskiej głowie zrodził się pewien plan. Zaproponowałem jednemu kolesiowi z irokezem (Tak na oko w moim wieku, czyli przecież dobry rocznik!) muzyczną wymianę naszych rockowych archiwów. Mikro, bo tak się nazywał, dość chętnie przystał na propozycję. Wymieniliśmy adresy. Na koniec zrobiliśmy sobie zdjęcie przed sklepem. Nie wiem czemu to wszystko wprawiło mnie zaraz w dobry humor. Nie zepsuło mi go nawet, jak Turek u którego kupiłem kebaba niemiłosiernie nabijał się z mojej niemczyzny powtarzając: dobzie mówiź, dobzie...Tak oto, upłynął mój pierwszy dzień spotkania z *Kreuzbergiem.*

Kiedy wieczorem w rozmowie z moją berlińską gospodynią ekscytowałem się na temat *Kreuzbergu,* stwierdziła, że ta dzielnica i tak straciła swój stary urok. Według niej zatracił się klimat dawnej, artystycznej bohemy, a miejsce to zdominował wyrafinowany snobizm. Dawny duch Kruzbergu przeniósł się do *Prenzlauerbergu,* byłej dzielnicy wschodniego Berlina. Miejsca gdzie mieszkało najwięcej dysydentów, opozycjonistów doby NRD. Właśnie tutaj istnieje autentyczne, artystyczne życie Berlina. Z *Kreuzbergu* przeniosło się sporo miejscowej bohemy. Znacznie chętniej przesiaduje się tutaj w kawiarnianych ogródkach niż w sławnej dzielnicy Berlina Zachodniego. Co najważniejsze wszystko jest tańsze. Jeżeli chodzi o odkrywanie na nowo, często starych dzielnic miast, to dzieje się tak w całym świecie. Oczywiście kierują tym nie tyle zwykli ludzie, co raczej zmanierowana śmietanka tzw. artystów. To oni kreują modę i tak np. Nowy Jork odkrył Harlem, a u nas Warszawa Pragę, czy Kraków Kazimierz. Może podobnie jest z Berlinem?

Aby wyrobić sobie zdanie o tych dwóch zakątkach Berlina moja znajoma „porwała mnie" na nocną wycieczkę po tych dwóch zakątkach niemieckiej stolicy. Na początku wylądowaliśmy na najbardziej zakręconej giełdzie staroci, na jakiej było mi dane być w życiu. W jednym z budynków przy *Oranienstrasse* odbywała się wieczorowo nocna sprzedaż wszystkiego, czego dusza zapragnie: stare analogowe płyty, książki, ubrania, zegarki etc. Na małej scenie jakaś rockowa grupa grała ostre kawałki. Wszystko podziałało na mnie tak, że na pamiątkę zakupiłem małą plakietkę *The Clash.* Potem spacerowaliśmy jeszcze długo po nocnym *Kreuzbergu.* Wszędzie kawiarnie były pełne ludzi, z wnętrza dobiegała przeróżna muzyka. Było tak fajnie, że zapragnąłem przyjść tu znowu. Ale jeszcze tej nocy przemknęliśmy przez *Prenzlauerberg.*

Sprawdziło się. Kolejnego dnia ponownie włóczyłem się po *Kreuzbergu.* Spacerowałem po bocznych uliczkach. Było duszno. Zanosiło się na burzę. Koło przystanku metra *Kottbusser Tor* ktoś zagadnął mnie czy nie potrzebuję haszyszu. Uśmiechnąłem się i poszedłem dalej. Oprócz urokliwych kawiarenek, w tej dzielnicy podobały mi się liczne księgarenki, które mają bardzo kameralny wymiar. Co najważniejsze można w nich znaleźć sporo książek i albumów związanych z historią Berlina, jak i samego Kreuzbergu. W kilku z nich był też dział z alternatywnymi zinami, leżały ulotki i plakaty wzywające na demonstracje (których w Berlinie nie brakuje). Zabrałem kilka na pamiątkę. W delikatesach kupiłem ciastka i karton mleka (staram się degustować mleko we wszystkich miejscach, gdzie rzucą mnie tułacze losy) i usiadłem przy *Oranienplatz.* W tym miejscu zaczynają się wszystkie ważniejsze demonstracje. Spotykają się wszyscy myślący inaczej niż przewidują ustawy. Było dość pusto, a nawet cicho. Tylko dalekie pomruki burzy zwiastowały, że wieczór może nie być zbyt pogodny. Naprzeciwko, na ławkach, siedziały niemłode i grube Turczynki. Rozmawiały o czymś zawzięcie. Patrzyły na mnie podejrzliwie i zarazem litościwie. Doskonale wypełniałem krajobraz okolicznych starych alkoholików z tanimi winami. Turczynki spluwały na ziemię. Jakiś gość sikał pod drzewem. Coraz bardziej mi się podobało. Kiedy następnego dnia przy moście *Kottbusser* zobaczyłem tureckich handlarzy sprzedających różnej maści tandetę zrozumiałem, że naprawdę żyjemy w globalnej wiosce. Tylko dlaczego potrzebny był ten cyrk z wejściem do Unii Europejskiej? Przecież krakowskie bazary wyglądały już tak z 20 lat wcześniej. Były o wiele wcześniej we wspólnej europejskiej Ojczyźnie. Jednak już tego burzowego popołudnia, czy raczej wieczora, bo zaczynało zmierzchać *Kreuzberg* wydał mi się niezmiernie swojski. Według niektórych Berlińczyków ta dzielnica ze względu na Braci z Anatolii, nazywana jest Małym Stambułem. Grzmoty nadciągającej burzy stawały się coraz bliższe. Turczynki opuściły ławki. Też ruszyłem dalej, ale wtedy zagadnął mnie podpity, ale sympatyczny facet w okularach. Pamiętam, że miał bardzo zniszczone dłonie. W sekundzie wyrecytowałem:

- Ich bin aus Polen. Ich habe keine Geld. Gość jednak powiedział, że nie potrzebuje forsy. Wzruszony rzekł, że *Papst ist O.K. Walensa ist O.K.* Jakoś mnie to ujęło i znowu przysiedliśmy na ławeczce przy *Oranienplatz.* Niemiec się rozgadał się o swojej autobiografii. Opowiedział mi, że w czasach NRD był dysydentem. Jego początkowy sprzeciw wobec komunistycznego reżimu polegał na parodiowaniu przemówień towarzysza Honeckera. Za to trafił na psychiatryczne badania, a potem, kiedy jeszcze bliżej związał się z formalną opozycją, powędrował już do więzienia. Nie pozwolono mu skończyć studiów. Był nawet przeniesiony do innego miasta. Potem pracował jako ślusarz, ciągle nawiedzali go smutni panowie ze *Stasi.* Później zaś nadszedł cudowny rok 1989. I nagle wypłynęli na powierzchnię ci co siedzieli najbardziej cicho. Gość odjechał na boczne tory. Nie załapał się. Potem pracował dalej jako ślusarz, ale go zwolnili. Miał trochę szczęścia, odszedł na wcześniejszą, osłonową rentę. Zawsze umiał dobrze gotować, więc zaczął dorabiać w knajpach. Rozpił się. Czy w to wszystko można uwierzyć? Historia bardzo podobna do tysięcy zbliżonych, w naszym pięknym kraju.

Wreszcie przyjechałem pożegnać się z *Kreuzbergiem.* Było wczesne południe. Szedłem patrząc po ludziach, domach, placach. Minąłem zakochaną, trzymającą się za dłonie, parę gejów. Wysokiego jasnowłosego Niemca i mniejszego, skośnookiego Azjatę. Przypomniało mi się jak dzień wcześniej widziałem ich gruchających do siebie w jednej z kawiarni przy *Oranienstrasse.* Zaczął wiać chłodny wiatr. Wstąpiłem do jednego z pustych i smutnych berlińskich kościołów. Klęknąłem. Pomyślałem sobie, czy Bóg w Berlinie jest inny niż w Krakowie, czy Wrocławiu? Jednak chyba był taki sam. Przeżegnałem się. Wyszedłem. Pod dachem jednej z kamienic na skrzyżowaniu *Köpenickerstrasse* i *Engeldamm* ktoś napisał wielkimi literami: *Die Grenze verläuft nicht zwischen den Völkern, sondern zwischen Oben und Unter* (*Granice nie przebiegają między ludźmi, lecz między górą a dołem*). Spodobało mi się. Opuściłem *Kruezberg,* a potem Berlin.

OD PODSTAW!

Jarosław Tomasiewicz

Od prawie dziesięciu lat staram się propagować wolnościowy municypalizm jako jedną z idei, która pozwala ruchowi wolnościowemu odnaleźć ziemię. Z Murrayem Bookchinem korespondowałem w 1995 r., w numerze 9 *„Innego Świata"* ukazał się mój napisany dużo wcześniej artykuł o bookchinizmie. Ale ilekroć coś zaczyna nabierać realnych kształtów - we mnie odzywają się wątpliwości. Diabeł tkwi w szczegółach.

Tak jest i tym razem.

Podstawowy problem polega na tym, że te hołubione ostatnio przez wolnościowców wspólnoty lokalne mają niewiele więcej wspólnego z rzeczywistością niż wcześniej będące w modzie Kropotkinowskie komuny. Po prostu FAKTYCZNIE nie istnieją - egzystują głównie w wyobraźni alternatywistów.

Jeśli coś widać gołym okiem to nie ma potrzeby przywoływania naukowych autorytetów, ale w tym przypadku powołam się na tzw. Lustro Ingleharta - raport zawierający wyniki badań nad społeczeństwami przeszło 80 krajów. Wynika z niego, że Polacy należą do najmniej uspołecznionych narodów na świecie. Jedynie 35 % Polaków należy do jakiejś dobrowolnej organizacji (wliczając w to związki zawodowe i komitety rodzicielskie) - zaś Amerykanów ponad 80 %. Nie dotyczy to jednak tylko życia publicznego ale też prywatnego. Na tle współczesnego świata jesteśmy skrajnymi samotnikami i indywidualistami - tylko w ośmiu krajach świata ludzie rzadziej utrzymują kontakty towarzyskie niż w Polsce! Na pytanie „czy można ufać większości ludzi" pozytywnie odpowiada 37 % Amerykanów i 9 % Polaków.

Mamy do czynienia w Polsce z dramatycznym kryzysem więzi społecznych. Co więcej - wcale się tu nie sprawdza zasada, że „koszula bliższa ciału". Okazuje się, że w dużo mniejszym stopniu identyfikujemy się z naszą gminą niż ze społecznościami wyższego rzędu. Przyczyna jest prosta: łatwiej zmienić miejscowość (i większość z nas robi to w ciągu swego życia kilka razy) niż kraj. Rozkład więzi lokalnej następuje wskutek rozwoju transportu i komunikacji (tych wszystkich czatów i gadu-gadu, dzięki którym wolimy niezobowiązujących wirtualnych „przyjaciół", których możemy wyłączyć jak telewizor, niż ziomków z krwi i kości). W dodatku kultury lokalne są za mało wyraziste (o ile jeszcze gdzieś się w ogóle ostały) by mogły stanowić punkt odniesienia czy tym bardziej przedmiot dumy. Przyczyna tkwi w unifikującym działaniu mediów - z reguły przecież ponadlokalnych. W zatomizowanym społeczeństwie coraz mniejszy wpływ mają na nas bezpośrednie kontakty z innymi ludźmi - sąsiadami, kolegami z pracy, pasażerami w pociągu, klientami stojącymi w kolejce - a w coraz większym media. W rezultacie z wszystkich poziomów (form) integracji społecznej Polacy w największym stopniu identyfikują się z rodziną i narodem. Co za pech: to wspólnoty akurat najbardziej przez anarchistów nielubiane!

Dlatego, jeśli w tekście napisanym przez anarchistę i kosmopolitę czytam, że należy praktykować „regionalistyczne przywiązanie do kultury lokalnej", to obawiam się, że jest to pusty slogan. Co to niby ma znaczyć? Że autor chodzi w wyszywanym serdaku, tańczy oberki i w mowie mazurzy? Nie żebym miał coś przeciwko temu ale po prostu w to nie wierzę. Do tego dochodzi jeszcze groźba manipulacji: gdy władza z tych znienawidzonych państw narodowych odpłynie nie w dół - lecz w górę, do Brukseli czy Waszyngtonu.

Czy to oznacza, że wszystkie te ideały lokalnych wspólnot, bezpośredniej demokracji etc. możemy wyrzucić na śmietnik? Nie. Oznacza to jednak, że zanim zaczniemy postulować przekazanie władzy w ręce lokalnych społeczności najpierw TRZEBA JE ODBUDOWAĆ. Taki XIX-wieczny programu pracy organicznej w wykonaniu anarchistów XXI stulecia.

To trudne: kilka razy obserwowałem, jak autentyczni społecznicy wypalali się w zmaganiach z małostkowością, zawiścią, kołtuństwem sąsiadów. Nie wiem, czy to w ogóle w naszych warunkach wykonalne - ale, jak mawiał Korwin-Mikke, choć nie można posiąść wszystkich kobiet na świecie to warto działać w tym kierunku. Zacznę od powtórzenia swego najbardziej niepopularnego postulatu: zacznijcie od samych siebie. Nie próbujcie przerabiać swego osiedla na Christianię czy Kreuzberg, tylko zaakceptujcie mieszkających tam ludzi takich, jakimi są. Trzeba przeprosić się z sąsiadami, przestać nimi pogardzać. Pogodzić się z tym, że babka spod piętnastki jest fanką Ojca Rydzyka. Nie nawracać sąsiadów na wegetarianizn, feminizm, prawa gejów etc. ale szukać tego, co łączy, koncentrując się wyłącznie na interesie lokalnej społeczności.

A potem można spróbować wspólnie coś zmienić. Może najpierw sprawa najbardziej podstawowa, choć wcale nie najprostsza. Warto wytłumaczyć małolatom z blokowisk, że nie wypada okradać sąsiadów (wbrew pozorom anarchiści są do tego bardziej predestynowani niż policja). Za moich młodych lat też kwitła chuliganka, kradzieże też się zdarzały - ale okradzenie kogoś z osiedla (a nawet niegrzeczne potraktowanie jakiegoś znajomego rodziców) było w bardzo złym tonie. A teraz? Mojego dwudziestoletniego kuzyna okradł o dwa lata młodszy chłopaczek mieszkający balkon niżej.

Przypuszczam, że na zorganizowanie czasu wolnego młodzieży anarchiści mają sto pomysłów, więc niczego nie ośmielam się tu proponować. Ale dużo ważniejsze jest odbudowanie więzi międzypokoleniowej. Niestety, odnoszę wrażenie, że „ageistyczne" (ciekawe, że akurat ten termin ze słownika Political Correctness w Polsce się nie przyjął) uprzedzenia wolnościowców wobec starszego pokolenia są bardzo silne - nawet jeśli nieuświadamiane. A to przecież ludzie starsi potrzebują codziennej doraźnej pomocy w dużo większym stopniu niż młodzi. Niedawno podwoziłem na pocztę przypadkowego staruszka, który cztery kilometry kuśtykał z laską po rentę. A co z codziennymi zakupami (sklepu też brak jest w pobliżu), co z innymi załatwieniami? Autentyczna WSPÓLNOTA sąsiedzka powinna się tym zająć: transport dla starych i niedołężnych ludzi, zaopatrzenie ich, opieka w stylu pielęgniarki środowiskowej, czy po prostu zwykłe zainteresowanie się, czy stary jeszcze dycha.

Sposobów na integrowanie społeczności może być nieskończenie wiele: społeczne przedszkola czyli doglądanie na zmianę dzieci, sąsiedzkie patrole chroniące samochody przed złodziejami, rozgrywki sportowe, „święto ulicy". Ten ostatni znam z mojej miejscowości - mieszkańcy domków na jednej z ulic skrzyknęli się i raz w roku urządzają własny festyn. Za zgodą burmistrza ulica zostaje zamknięta dla ruchu, oni kupują beczkę piwa, wynajmują orkiestrę, wystawiają stoły - i biesiadują.

I dopiero, gdy ten „społeczny piasek" zlepi się w bryłę autentycznej wspólnoty można myśleć o oparciu życia na społecznościach lokalnych.

Ale chyba za wiele wymagam.

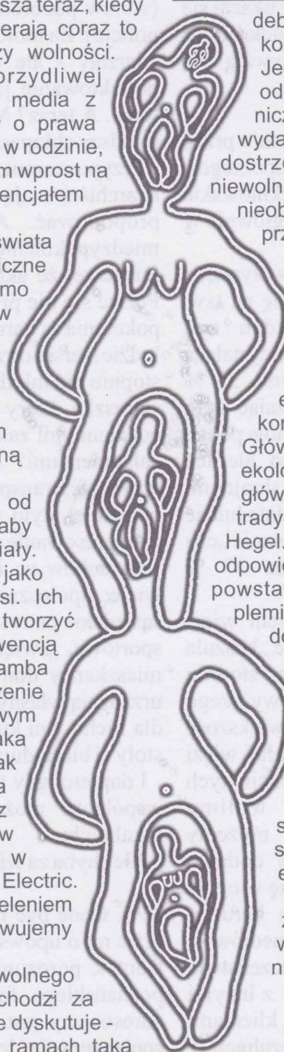
PS. Choć być może wyważam tu otwarte drzwi. W gruncie rzeczy idzie mi o upowszechnienie tego, co robi ekipa poznańska: Food Not Bombs, porozumienie Miasto dla Ludzi, loferka czyli wskrzeszanie poznańskiego folkloru przez Metysa. Powyższy tekst adresowany jest do tych wszystkich kolesi, których społecznością lokalną jest jedynie Przystanek Woodstock



ANARCHIZM, ANACHRONIZM I SPOŁECZNA EKOLOGIA

Darryl Eyle

Są dwa powody, dla których wciąż uważam się za anarchistę. Po pierwsze, wierzę, iż anarchistyczna krytyka hierarchii z ostatnich dwóch wieków jest nie tylko słuszna ale i wydaje się być istotniejsza teraz, kiedy to ataki na naszą osobistą wolność z czasem przybierają coraz to podstępniejsze formy. Po drugie, anarchizm dotyczy wolności. Pomimo chwilowej mody na promowanie obrzydliwej charakterystyki „wszystko wolno", którą państwo i media z radością się zachłystują, anarchizm zawsze walczył o prawa jednostki, w ramach grupy, czy to w miejscu pracy, czy to w rodzinie, czy też w całym społeczeństwie. Umieszcza to anarchizm wprost na radykalnej platformie wraz z niewiarygodnym potencjałem emancypacji socjalnej i rewolucji.



Niestety wraz z nadejściem nowego porządku świata zaadoptowano nowy „naturalny" porządek. Hierarchiczne struktury władzy są dziś akceptowane przez rzekomo zróżnicowane grupy począwszy od szefów międzynarodowej biurokracji państwowej, społecznych konstruktorów zajmujących kierownicze stanowiska w sektorze państwowym i prywatnym, który prowadzą biznes prosto przez to, co niegdyś zwykło być określane mianem bardziej „postępowych" ruchów społecznych takich jak ruchy pokojowe czy zajmujące się ochroną środowiska.

Teorie systemów zostały stworzone we wszystkim, od ekonomii po ekologię, które nie dopuszczają do tego, aby jakieś spontaniczne, postępowe procesy zaistniały. Niektórzy tak zwani ekolodzy promują hierarchię jako „naturalny" porządek. Lewicowcy wcale nie są lepsi. Ich akademickie oszustwo skryło się w instytucjach, by tworzyć (post)modernistyczne dystopie. Nieuniknioną konsekwencją tego odrażającego, irracjonalnego, intelektualnego szamba jest systematyczna destrukcja historii oraz tworzenie etycznej i moralnej pustki. W takim środowisku niemożliwym jest zakorzenienie się i pojednanie. Często każda taka próba postrzegana jest jako intelektualnie opresyjna! Tak więc stworzona próżnia jest obecnie szybko wypełniana przez prawicę. Indywidualizm głoszony przez postmodernistów i niektórych dzisiejszych anarchistów mógłby równie dobrze pochodzić od zasiadających w pokojach rady nadzorczej Westinghouseor General Electric. Wraz z takim bezwzględnym i całościowym wcieleniem lewicowych ideałów w kulturę konsumpcyjną obserwujemy totalną dezintegrację znaczenia!

Podobnie, dyskusje na temat wolności i pojęcia wolnego społeczeństwa (utopii) są nieobecne w tym, co uchodzi za radykalną debatę. Jedyną wolnością o jakiej się obecnie dyskutuje - jest wolność osobista. Umieszczona w społecznych ramach taka debata może mieć prawdziwe znaczenie kiedy tyczy się roli kościoła/państwa/policji/wojska i ich wpływu na jednostkę. Jednakże może ona z łatwością wyrodzić się w wolność od odpowiedzialności społecznej i w narcystyczną, yuppie niczym neurotyczną obsesję indywidualnych żądz. Lewica wydaje się być pozbawiona myślicieli / marzycieli, którzy potrafią dostrzec inną rzeczywistość. Nieustannie żąda państwa niewolnictwa / tyranii po to, aby konceptualizować jego nieobecność! Prawica mówi o wolności bardziej elokwentnie i przekonywująco a niżeli lewica i wykształciła zintegrowaną wizję mocno osadzoną w ludzkim strachu przed tym, co nieznane (bogiem) i przed sobą nawzajem (darwinizm społeczny), by wyrazić nową wspaniałą i konkurencyjną przyszłość. Jako anarchiści powinniśmy opisywać inne światy, inne możliwości.

Pojawienie się spójnych i radykalnych filozofii takich jak ekologia społeczna pozwalają mi pozostać optymistą. Jej korzenie leżą w ruchu anarchistycznym i ekologicznym. Głównym celem jej pracy jest zrozumienie problemów ekologicznych i przede wszystkim problemów społecznych. Jej główny przedstawiciel Murray Bookchin sięgnął do organicznych tradycji zachodniej filozofii, pochodzących od takich myślicieli jak Hegel. Mówi on o ludzkiej wolności w kontekście społecznej odpowiedzialności. Szczególnie pouczająca jest jego analiza powstawania hierarchicznej władzy począwszy od kultur plemiennych skończywszy na obecnym stopniu zaawansowania dostrzeganego w zachodnim kapitalizmie. Porównuje rozwój organicznego potencjału w naturalnym świecie ku coraz większej złożoności z rozwijającą się złożonością kulturalną.

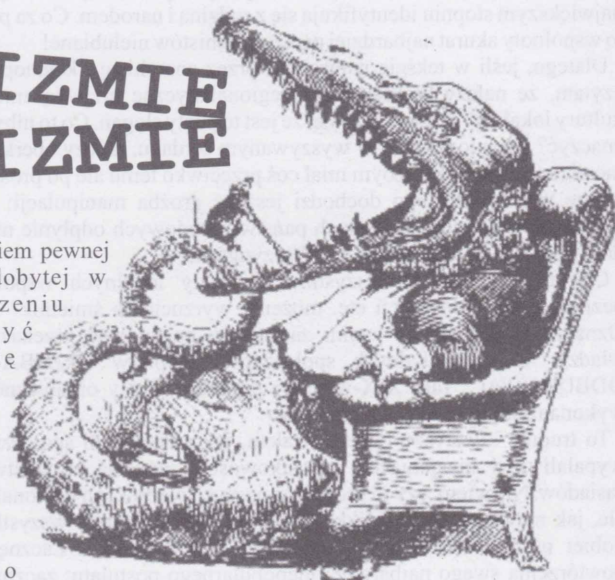
Tym, czego potrzebujemy jako działający na rzecz społecznych przemian jest lepsze zrozumienie systemów politycznych i społecznych, które pozwalają nieokiełzanemu i zachłannemu kapitalizmowi przeorać na swój sposób? Wraz z alternatywnymi systemami społecznymi musimy wytworzyć odmienne systemy ekonomiczne, które nadadzą pracy głębszy sens.

W czasach, kiedy historia gwałtownie zostaje wyzbyta znaczenia, a najważniejszą rzeczą na świecie jest nasze własne ego, spójność jaką dostarcza idea społecznej ekologii nie może pozostać niedoceniona.

Tłum. **Aleksandra Wawrzyniak**

TEZY O ANARCHIZMIE PO POSTMODERNIZMIE

Bob Black



1. Anarchizm, rzecz. 1. Doktryna według której społeczeństwo bezpaństwowe jest możliwe i pożądane. Przestarzałe. 2. Rządy anarchistów.

2. Anarchizm, poprawnie rozumiany, nie ma nic wspólnego z wzorcami i wartościami w sensie moralnym. Moralność ma się do umysłu tak, jak państwo do społeczeństwa: obce i wyobcowujące ograniczenie wolności, inwersja granic i możliwości. Dla anarchistów, wzorce i wartości powinny być co najwyżej rozumiane - czyli najbardziej użyteczne - jako ułatwienia, wygoda, droga na skróty. Mogą być streszczeniem pewnej praktycznej mądrości zdobytej w społecznym doświadczeniu. Ponadto, mogą być samoobsługującym się nakazem władzy albo jednorazowymi formułami, które, przy zmianie okoliczności, nie służą więcej anarchistycznemu celowi, ani żadnemu dobremu celowi.

3. Mówienie o anarchistycznych wzorcach i wartościach nie musi być jednak koniecznie nonsensowne - ale łączy się z pewnym ryzykiem, którego często można uniknąć. W społeczeństwie wciąż przesyconym chrześcijaństwem i jego świeckimi surogatami, ryzyko kryje się w tym, że tradycyjnie absolutystycznie używane słowa związane z moralnością przenikną

sposób, w jaki używają ich anarchiści. Czy to ty masz wzorce i wartości, czy one mają ciebie? Zazwyczaj lepiej jest (choć oczywiście nie koniecznie czy absolutnie lepiej) , gdy anarchiści unikają zdradliwego słownika moralizmu i gdy mówią po prostu bezpośrednio czego chcą, dlaczego tego chcą i dlaczego chcą, by wszyscy inni też tego chcieli. Innymi słowy, by wyłożyć karty na stół.

4. Jak wzorce i wartości, tak i anarchistyczne „izmy", stare i nowe, są postrzegane bardziej jako źródło zasobów, pomysłów niż poskromienia, hamulca. To one istnieją dla nas, a nie my dla nich. Nie ma znaczenia, czy, na przykład, jestem bardziej sytuacjonistą czy syndykalistą, podczas gdy inny anarchista ma więcej z feminizmu czy Marksizmu, czy Islamu. W których zaułkach idei byliśmy gośćmi, czy nawet z których pochodzimy, jest mniej ważne niż gdzie jesteśmy i gdzie, jeśli gdziekolwiek, idziemy - albo: czy idziemy w to samo miejsce.

5. Niech „Typ 1" będzie anarcholewakiem. Niech „Typ 2" będzie anarchokapitalistą. Niech „Typ 3" będzie meta-typem („nazwy nie nazywają mnie"). Typ 3 anarchisty kategorycznie odrzuca kategoryzację. Jego „egzystencja wyprzedza esencję" (Sartre) Dla niej, nic nie jest koniecznie konieczne, a wszystko jest możliwie możliwe. Myśli on, że natychmiastowość trwa zbyt długo. „Ona lata na osobliwych skrzydłach" (Shocking Blue). Żona Winstona Churchilla narzekała kiedyś na jego pijaństwo. Churchill odpowiedział, że to on czerpie bardziej z alkoholu, niż alkohol z niego. Typ 3 anarchisty czerpie bardziej z anarchizmu, niż anarchizm z niej. I to on próbuje brać więcej od życia, niż życie bierze z niego. Kochająca, myśląca, afirmująca siebie, drapieżna orientacja ma tyle praktycznych możliwości użycia, jak wiele pomysłowość i wyobraźnia Typu 3 jej zasugeruje.

6. W zasadzie, odrzucenie reguł uniwersalnych zastosowań ma zastosowanie uniwersalne. W praktyce, każda jednostka ma swoje ograniczenia, działa też siła różnych okoliczności. Nie ma recepty na sukces, ani nawet spostrzeżenia, że nie ma recepty na sukces. Jednak rozum i doświadczenie pozwalają rozpoznać przewidywalną daremność naszych wysiłków. Na przykład łatwe i rozsądne dla anarchistów jest trzymanie się z dala od polityki wyborczej. Preferowana, choć często niemożliwa, jest też abstynencja od pracy, warto jednak pamiętać, że często można po prostu zaangażować się bez zbytniego ryzyka w opór w miejscu pracy. Występek, czarny rynek, uchylanie się od płacenia podatków bywają rzeczywistymi alternatywami lub dopełnieniem do wplątania się w system państwowy. Każdy powinien z otwartym umysłem sam ocenić okoliczności, w jakich się znajduje. Rób jak najlepiej potrafisz i postaraj nie dać się złapać. Anarchiści mają już wystarczająco dużo męczenników.

7. Anarchizm jest w okresie przejściowym i wielu anarchistów czuje się niepewnie. Bardzo łatwo bronić idei zmiany świata. Mowa jest tania. Nie jest łatwo zmienić swój własny skrawek tego świata. Różnice między tradycyjnymi prądami anarchizmu są nieistotne, ponieważ same tradycyjne prądy anarchistyczne są nieistotne. (Pominmy teraz Typ 2, wolnorynkowych anarchistów którzy występują chyba tylko w Stanach Zjednoczonych i nawet tam nie mają zbytnich wpływów). Na całym świecie lewica nieodwracalnie i niewcześnie upada, co powoduje przyśpieszenie obecnego kryzysu anarchistów.

8. Anarchiści mają kryzys tożsamości. Czy są ciągle, a może czy są tylko lewą stroną lewej strony? A może są czymś więcej albo nawet czymś innym? Anarchiści zawsze robili dużo więcej dla całej reszty lewicy niż cała reszta lewicy kiedykolwiek zrobiła dla nich. Jakikolwiek dług anarchistów wobec lewicy już dawno został w pełni spłacony. Teraz w końcu anarchiści mogą czuć się wolni by być sobą. Ale wolność jest przerażająca, to widok mglisty i majaczący, podczas gdy stare ścieżki, lewicowe frazesy i rytuały, są wygodne niczym stare buty (także sztywne buty). Co więcej, od kiedy lewica nie stanowi żadnego zagrożenia, anarcho-lewacy nie muszą bać się państwowych represji kiedy pamiętają i powtarzają swoje stare, mityczne chwile chwały. Jest to tak rewolucyjne, jak palenie haszu, a państwo stawia oba te zjawiska, z tych samych powodów, na równi.



9. A tak w ogóle to na ile „anarchistyczny" jest dzisiejszy świat? Z jednej strony, bardzo anarchistyczny; z drugiej, wcale nie. Jest bardzo anarchistyczny pod tym względem że, jak twierdził Kropotkin, ludzkie społeczeństwo, ludzie, życie jako takie, zawsze zależy dużo bardziej od spontanicznej, dobrowolnej ludzkiej współpracy niż od czegokolwiek, co nakazuje państwo. Biorąc pod uwagę statystki drastycznych reżimów - dawny Związek Radziecki czy dzisiejszy Nowy Jork - reżim sam w sobie zależy od pogwałcania jego własnych praw, wtedy może utrzymywać władzę i bieg życia. Z drugiej strony, świat w ogóle nie jest anarchistyczny, ponieważ żadna ludzka populacja nie istnieje nigdzie pozbawiona pewnego stopnia kontroli jakiegoś państwa.

Wojna jest zbyt ważna dla generałów, by ją porzucili, a anarchia jest zbyt ważna dla anarchistów, by ją porzucili. Każda taktyka jest warta spróbowania przez kogokolwiek zdolnego jej spróbować, choć pewne oczywiste błędy - jak głosowanie, wyklinanie książek (zwłaszcza moich), przypadkowa przemoc, alianse z autorytarną lewicą - winny być unikane. Jeśli anarchiści nie nauczyli się, jak rewolucjonizować świat, mam nadzieję, że nauczyli się jak się tego nie robi. Lekcja niewystarczająca, ale to zawsze coś.

10. Mówienie o priorytetach to udoskonalenie mówienia od wzorach i wartościach, by nie obciążać świata tak bardzo moralistycznymi przegięciami. Ale jednak, czy to ty masz priorytety, czy priorytety mają ciebie?

11. Poświęcanie siebie jest kontrrewolucyjne. Każdy zdolny poświęcić siebie dla sprawy jest zdolny poświęcić też kogoś innego. Solidarność między takimi osobami jest niemożliwa. Nie można ufać altruiście. Nigdy nie wiesz, kiedy dokona on jakiegoś zgubnego aktu dobrodziejstwa.

12. „Walka z dyskryminacją" jakże wyrafinowane hasło! Namiot cyrkowy zdolny pokryć każdą sprawę lewicy, a że błazeński, a im mniej istotny dla rewolucji codziennego życia - tym lepszy! Uwolnić Mumię! Niepodległość dla Wschodniego Timoru! Lekarstwa dla Kuby! Precz z minami lądowymi! Precz ze sprośnymi książkami! Viva Chiapas! Zalegalizować trawę! Ocalić wieloryby! Uwolnić Nelsona Mandelę! - nie, czekajcie, to już zrobili i teraz on jest prezydentem; i czy życie jakiegokolwiek anarchisty będzie teraz takie samo jak przedtem? Zapraszamy wszystkich do namiotu cyrkowego, ale pod jednym warunkiem: że będzie wystrzegał się jakiejkolwiek i każdej krytyki kogokolwiek i każdego innego. Ty podpiszesz moją petycję, a ja podpiszę twoją...

Podtrzymując publiczny obraz wspólnej walki przeciwko dyskryminacji, lewica zataja nie tylko swoje obecne rozdrobnienie, bezwład i słabość, ale - paradoksalnie - co naprawdę jest jej zasługą i udziałem: zgodę na konstytutywne elementy państwowego/klasowego społeczeństwa. Ci, którzy zadowalają się iluzją wspólnoty niechętnie ryzykują utratę skromnej satysfakcji, jaką z tego czerpią. Wszystkie wysokorozwinięte, uprzemysłowione demokracje tolerują prawomyślną lewicową opozycję, co jest sprawiedliwe, od kiedy ona toleruje je.

Tłum: **Aldona K.**

KILKA UWAG O ANARCHIZMIE INSUREKCJONALISTYCZNYM

Killing King Abacus

Anarchizm insurekcjonalistyczny nie jest ideologicznym rozwiązaniem wszystkich problemów społecznych, towarem na kapitalistycznym rynku ideologii i opinii, ale trwającą praktyką wymierzoną w zakończenie dominacji państwa i trwania kapitalizmu, która wymaga analizy i dyskusji aby mogła się rozszerzać. Nie oczekujemy jakiegoś idealnego społeczeństwa ani nie oferujemy obrazu utopii dla publicznej konsumpcji. Historycznie większość anarchistów, oprócz tych wierzących w rozwój społeczeństwa do poziomu w którym zostawi państwo za sobą, było anarchistami insurekcyjonalistycznymi. Najprościej ujmując, oznacza to, że państwo nie rozpłynie się, więc anarchiści muszą atakować, ponieważ czekanie oznacza porażkę; to co jest potrzebne, to otwarta rebelia i rozszerzanie się działalności wywrotowej pomiędzy wyzyskiwanymi i wykluczonymi. Wyrażamy tutaj kilka implikacji, które my i część innych anarchistów - insurekcjonalistów widzi w tym ogólnym problemie: jeśli państwo samo nie zniknie, jak mamy zakończyć jego istnienie? Jest to tym samym głównie praktyka i skupia się na organizacji ataku. Te uwagi nie są w żadnym razie zakończoną i zamkniętą pracą; mamy nadzieje, że staną się częścią trwającej dyskusji i oczekujemy odpowiedzi(...)

Państwo nie zniknie samo - Atak

- Państwo kapitału nie „odejdzie" samo, jak wielu anarchistów najwyraźniej uważa - nie tylko okopując się na abstrakcyjnych pozycjach „czekania", ale też otwarcie potępiając czyny tych, dla których stworzenie nowego świata zależy od zniszczenia starego. Atak jest odmową mediacji, pacyfikacji, poświecenia, przystosowania i kompromisu.
- To właśnie poprzez czyny i uczenie się jak działać, a nie poprzez propagandę, możemy otworzyć drogę do powstania, mimo iż propaganda ma swoją rolę w wyjaśnieniu jak działać. Czekanie uczy tylko czekania, w działaniu uczymy się działać.
- Siła insurekcji jest społeczna, a nie militarna. Jednostką miary dla oceny wagi rozpowszechnionej rewolty jest nie zbrojne starcie, ale amplituda paraliżu ekonomii i normalności.

Niezależna aktywność kontra zarządzana rewolta - Od insurekcji do rewolucji

- Jako anarchiści uważamy, iż rewolucja jest naszym ciągłym punktem odniesienia, niezależnie co robimy lub jakimi problemami się zajmujemy. Ale rewolucja nie jest mitem, który jest po prostu użyty jako punkt odniesienia. Dla nas jest to konkretne wydarzenie, musi więc być budowane codziennie poprzez najbardziej skromne próby, które nie mają całej wyzwoleńczej charakterystyki rewolucji społecznej w prawdziwym znaczeniu. Te skromne próby to insurekcje. To insurekcje najbardziej wyzyskiwanych i wykluczonych ze społeczeństwa, oraz najbardziej politycznie wyczulonej mniejszości, otwierają drogę do możliwego zaangażowania się szerszego kręgu wyzyskiwanych w wybuch rebelii, która może doprowadzić do rewolucji.
- Walka musi się rozwijać, zarówno ta przejściowa jak i ta na dłuższą metę. Jasne strategie są konieczne, aby umożliwić użycie rożnych metod w skoordynowany i skuteczny sposób.
- Autonomiczna akcja: samozarządzanie walki oznacza, że ci którzy walczą są niezależni w swoich decyzjach i akcjach; jest to przeciwieństwo organizacji, która zawsze stara się przejąć kontrolę nad walką. Walki, które toczą się w ramach jednej organizacji sprawującej nad nimi kontrolę, łatwo integrują się ze strukturami władzy obecnego społeczeństwa. Niezależnie organizowane walki są w swej naturze niekontrolowane, kiedy rozszerzają się na teren społeczny

Brak kontroli kontra zarządzana rewolta - Rozszerzanie się ataku

- Nie możliwe jest określenie z góry efektu danej walki. Nawet ograniczona walka może mieć najbardziej nieprzewidziane konsekwencje. Przejście od rożnych powstań (ograniczonych i wybuchających w danych okolicznościach) do rewolucji nigdy nie może być zagwarantowane z wyprzedzeniem. To, czego system się obawia, to nie same akty sabotażu, ale raczej ich społecznego rozszerzenie. Każda jednostka, która dysponuje nawet najbardziej skromnymi środkami może określić swoje cele, samemu lub z innymi. Jest materialną niemożliwością, aby Państwo i Kapitał skonstruowały taki aparat kontroli, który mógłby kontrolować całe społeczne terytorium. Każdy, kto tak naprawdę chce kontestować sieć kontroli, może mieć swój teoretyczny i praktyczny wkład. Pojawienie się pierwszych pękniętych ogniw łączy się z rozszerzaniem się aktów sabotażu. Anonimowa praktyka społecznego samowyzwolenia może rozszerzyć się na wszystkie pola, łamiąc kody prewencji umiejscowione tam przez władze.
- Małe akcje, będąc łatwymi do naśladowania, nie wymagające specjalistycznych środków, są przez swą prostotę i spontaniczność niekontrolowane. Ośmieszają nawet najbardziej zaawansowane technologicznie wynalazki w dziedzinie przeciwdziałania powstaniom.

Permanentna konfliktowość kontra mediacja z zinstytucjonalizowanymi siłami

- Konfliktowość powinna być rozpatrywana jako stały element walki przeciwko władzy. Walka, której brakuje tego elementu, kończy się na przesuwaniu nas w kierunku mediacji z instytucjami, przyzwyczaja nas do nawyku delegowania i wierzenia w iluzyjną emancypację wprowadzoną przez ustawę sejmową, aż do momentu aktywnego uczestnictwa w naszym własnym wyzysku.
- Być może istnieją indywidualne powody do zwątpienia w osiągniecie swoich celów gwałtownymi metodami. Kiedy jednak non-violence urasta do poziomu zasady i kiedy rzeczywistość zaczyna dzielić się na „dobrych" i „złych", wtedy ten argument przestaje mieć wartość i wszystko jest rozpatrywane w pojęciu poddaństwa i podporządkowania. Oficjale antyglobalistycznego ruchu, poprzez zdystansowanie i oczernianie innych, nakreślili w szczególności jeden punkt: że widzą swoje pryncypia, co do których mają poczucie obowiązku, jako próba zdobycia władzy nad całym ruchem.

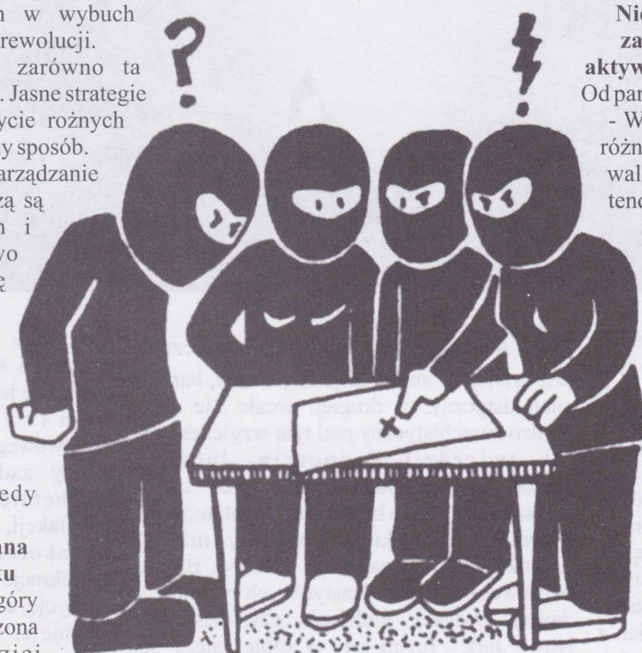
Nielegalność - Powstanie to nie tylko rabowanie banków

- Anarchizm insurekcjonalistyczny nie jest moralizowaniem na temat przeżycia: wszyscy staramy się przeżyć w najróżniejszy sposób, czasem wchodząc w kompromis z Kapitałem, zależnie od naszych pozycji społecznych, talentów i gustów. Z pewnością nie jesteśmy molarnie przeciwko używaniu nielegalnych środków do wyzwolenia się od pieniężnego niewolnictwa w celu życia i kontynuowania naszych projektów, ale nie podniecamy się też nielegalnością ani też nie przekształcamy jej w religię z męczennikami. Jest to po prostu środek i to często dobry.

Nieformalna organizacja - Żadnych zawodowych rewolucjonistów lub aktywistów, żadnych stałych organizacji.

Od partii/związku do samoorganizacji:

- W ruchu rewolucyjnym istnieją poważne różnice: anarchistyczna tendencja ku jakości walki i jej samoorganizacji oraz autorytarna tendencja ku ilości i centralizacji.
- Organizacje służą do konkretnych zadań, tym samym jesteśmy przeciwko partiom, syndykatom i wszelkim stałym organizacjom, bo wszystkie one syntetyzują walkę i stają się elementami integracji z Państwem i Kapitałem. Ich celem staje się ich własna egzystencja, w najgorszym przypadku najpierw budują organizację, potem zaś szukają lub kreują walkę. Naszym zadaniem jest działać; potrzebujemy generalnej akcji, która prowadzi do powstania, a nie zarządzanej walki. Organizacja tym samym nie powinna być środkiem obrony pewnych interesów, ale atakiem na pewne



interesy.

- Nieformalna organizacja jest oparta na pewnej liczbie towarzyszy/ek połączonych wspólnym pokrewieństwem idei, jej najważniejszym elementem jest zawsze akcja. Im większy wachlarz problemów z którymi mierzą się towarzysze/ki, tym większe ich pokrewieństwo. Prawdziwa organizacja to efektywna zdolność do wspólnego działania tzn. wiedzy, jak wzajemnie się odszukać, wspólne studiowanie i analizowanie problemów i wspólne przechodzenie do akcji. Wszystko to ma miejsce w odniesieniu do osiągniętego pokrewieństwa i nie ma nic wspólnego z programami, platformami, flagami czy też mniej lub bardziej zakamuflowanymi partiami. Nieformalna anarchistyczna organizacja jest więc specyficzną organizacją, która skupia się wokół wspólnego pokrewieństwa idei.

Anarchistyczna mniejszość a wyzyskiwani i wykluczeni

- Jesteśmy wyzyskiwanymi i wykluczonymi, więc naszym zadaniem jest działać. Jednak niektórzy krytykują wszystkie akcje, które nie są częścią dużego i widocznego ruchu społecznego, jako „działanie w imieniu proletariatu". Wydają analizy i czekają, zamiast działać. Podobno nie jesteśmy wyzyskiwanymi obok wyzyskiwanych; nasze marzenia, nasz gniew i nasze słabości nie są częścią walki klas. Jest to nic innego, jak tylko kolejny ideologiczny podział pomiędzy wyzyskiwanymi i wywrotowcami.

- Aktywna anarchistyczna mniejszość nie jest niewolnikiem liczb, ale nie przestaje działać przeciwko władzy nawet jeśli konflikt klasowy jest na bardzo niskim poziomie wśród wyzyskiwanych w społeczeństwie. Anarchistyczna akcja tym samy nie powinny być ukierunkowana na organizowanie i obronę całej klasy wyzyskiwanych w jednej rozległej organizacji by widzieć walkę od początku do końca, ale powinna identyfikować pojedyncze aspekty walki i doprowadzać je do ich konkluzji, którą jest atak. Musimy także odejść od stereotypowych obrazów wielkich, masowych walk i koncepcji wzrostu ruchu, który ma wszystko kontrolować i dominować.

- Stosunki z wyzyskiwanymi i wykluczonymi nie mogą być ustalone jako coś, co musi przetrwać upływ czasu tzn. opierać się na wzroście do nieskończoności i oporowi przeciwko atakom wyzyskiwaczy. Muszą one mieć bardziej ograniczony specyficzny poziom, który będzie oznaczał atak, a nie straż tylnią.

- Możemy zacząć budować nasze walki w ten sposób, że warunki rewolty mogą powstać a dany konflikt może się rozwinąć (...). W ten sposób nawiązuje się kontakt pomiędzy anarchistyczną mniejszością i specyficzną sytuacją, gdzie walka może zostać rozwinięta.

Jednostka i społeczeństwo: Indywidualizm i komunizm - fałszywy problem

- Bierzemy to co najlepsze z indywidualizmu i z komunizmu

- Powstanie zaczyna się z pragnieniem jednostki do wydostania się z ograniczonych i kontrolowanych okoliczności, pragnieniem odzyskania zdolności kształtowania swojego własnego życia w sposób, jaki jej pasuje. Wymaga to wydostania się ponad podział pomiędzy nimi oraz ich warunkami życia. Kiedy kilku uprzywilejowanych kontroluje warunki życia, nie jest możliwym dla większość jednostek, aby tak naprawdę kształtować swoją egzystencję na ich własnych warunkach. Indywidualność może rozwijać się jedynie wtedy, kiedy równość dostępu do warunków życia jest społeczną rzeczywistością. Równość dostępy to komunizm; to, co jednostki robią z tym dostępem, zależy tylko od nich i ich najbliższego otoczenia. Tym samym nie ma równości lub tożsamości jednostki w prawdziwym komunizmie. To co zmusza nas do tożsamości lub równości bycia to role społeczne narzucone nam przez obecny system. Nie ma sprzeczności pomiędzy indywidualizmem i komunizmem.

Jesteśmy wyzyskiwani, jesteśmy sprzecznością - Nie ma czasu na czekanie



- Z pewnością kapitalizm zawiera w sobie głębokie sprzeczności, które popychają system ku procedurom zmian wymierzonych w omijanie okresowych kryzysów; my nie możemy ograniczać się do czekania, aż te kryzysy nastąpią. Kiedy już się pojawią zostaną przywitane przez nas, jeśli będą odpowiadać wymaganiom przyspieszenia powstańczego procesu. Jako wyzyskiwani jesteśmy jednak fundamentalną sprzecznością dla kapitalizmu. Tym samy zawsze jest odpowiedni czas na powstanie, bo widzimy to, że ludzkość mogła zakończyć istnienie państwa w jakimkolwiek momencie historii. Załamania w ciągłej reprodukcji tego systemu wyzysku i opresji zawsze były możliwe.

REWOLUCYJNA ANARCHISTYCZNA ORGANIZACJA INSUREKCJONALISTYCZNA

Alfredo Bonanno

Wierzymy, że zamiast federacji i zorganizowanych grup w tradycyjnym sensie - części ekonomicznej i społecznej struktury należącej do rzeczywistości, która już dłużej nie istnieje - powinniśmy formować grupy pokrewieństwa (affinity groups-dop.tłum.) opierające się na sile wzajemnych osobistych znajomości. Te grupy powinny być zdolne do przeprowadzania skoordynowanych akcji przeciwko wrogowi.

Jeśli chodzi o aspekty praktyczne, wyobrażamy sobie współpracę pomiędzy grupami i jednostkami w celu znalezienia środków, dokumentacji i wszystkiego innego potrzebnego do przeprowadzania takich akcji. Z kolei jeśli chodzi o analizy, staramy się rozpowszechniać je w tak dużej liczbie jak to możliwe, poprzez nasze publikacje, spotkania i debaty nt. konkretnych zagadnień. Struktura organizacji insurekcjonalistycznej nie obraca się wokół okresowych kongresów typowych dla dużych, syndykalistycznych organizacji lub federacji oficjalnego ruchu. Jej punkty odniesienia dostarczane są przez całość sytuacji w walce, czy są to ataki na klasowego wroga czy momenty refleksji i zadania teoretyczne.

Grupy pokrewieństwa powinny wnosić wkład do formacji bazowej komórki. Rolą tych struktur jest zająć miejsce starych związkowych organizacji oporu - włączając w to te, które naciskają na anarchosyndykalistyczną ideologię - w różnych walkach przejściowych. Polem akcji komórki bazowej byłaby każda sytuacja, gdzie klasowa dominacja wznosi podział pomiędzy włączonymi i wyłączonymi.

Bazowe komórki prawie zawsze formowały się jako konsekwencja akcji anarchistów-insurekcjonalistów, ale nie składają się one tylko z anarchistów.

Pewna liczba bazowych komórek może tworzyć strukturę koordynującą z takim samym celem. Te specyficzne struktury organizacyjne są oparte na zasadach permanentnej konfliktowości, samorządności i ataku.

Poprzez permanentną konfliktowość rozumiemy nieprzerwaną walkę przeciwko klasowej dominacji i tym, którzy są za nią odpowiedzialni.

Poprzez samorządność rozumiemy niezależność od wszystkich partii, związków zawodowych i sponsoringu, jak również znajdowanie środków koniecznych do organizowania i prowadzenia walki wyłącznie na podstawie spontanicznych wkładów.

Poprzez atak rozumiemy odmowę jakiejkolwiek negocjacji, mediacji i kompromisu z wrogiem.

Polem akcji grupy pokrewieństwa i bazowej komórki są masowe walki. Te walki są prawie zawsze przejściowe, co oznacza, że nie mają bezpośredniego, natychmiastowo niszczącego efektu. Często proponują proste cele, ale mają na celu zebranie sił w celu rozwinięcia walki w kierunku większej ilości [celów].

Tak czy inaczej, ostatecznym celem tych przejściowych walk jest zawsze atak. Jest także oczywiście możliwe, aby pojedynczy towarzysze/ki i grupy pokrewieństwa uderzały w jednostki lub organizacje Kapitału i Państwa niezależnie od jakiejkolwiek bardziej kompleksowego układu.

Sabotaż stał się główną bronią wyzyskiwanych w ich walce, w scenariuszu, którego rozszerzenie zobaczyliśmy przed naszymi oczami. Kapitalizm kreuje warunki kontroli i dominacji na poziomie nigdy wcześniej niespotykanym poprzez technologię informacyjną, która nie może być używana do niczego innego, jak utrzymywania władzy.

Dlaczego jesteśmy anarchistami - insurekcjonalistami?

- ponieważ uważamy, że możliwym jest wniesienie czegoś do rozwoju walk, które spontanicznie pojawiają się wszędzie, zmieniając je w masowe powstania, czyli inaczej mówiąc, rzeczywiste rewolucje.
- ponieważ chcemy zniszczyć kapitalistyczny porządek świata, który dzięki komputerowej nauce restrukturyzacji nie jest technologicznie użyteczny dla nikogo, poza zarządcami klasowej dominacji.
- ponieważ jesteśmy za natychmiastowym, niszczącym atakiem przeciw strukturom, osobom i organizacjom kapitału i państwa
- ponieważ konstruktywnie krytykujemy tych wszystkich, którzy są w sytuacji kompromisu z władzą w swojej wierze, że walka rewolucyjna jest w obecnym czasie niemożliwa.
- ponieważ zamiast czekać, zdecydowaliśmy się prowadzić akcje, nawet jeśli czas nie jest odpowiedni.
- ponieważ chcemy doprowadzić ten stan rzeczy do końca już teraz, zamiast czekać do czasu, gdy warunki uczynią możliwym jego transformację.

TO SĄ POWODY, DLA KTÓRYCH JESTEŚMY ANARCHISTAMI, REWOLUCJONISTAMI I INSUREKCJONALISTAMI

U SIEBIE
pochwała zaścianka

Jarosław Tomasiewicz

Czy anarchista może być patriotą?

Oczywiście nie - zakrzykną anarchistyczni ortodoksi. Anarchista to duch wolny, który nie może być związany żadnymi anachronicznymi więziami. Prawdziwa wolność jest możliwa tylko po zniesieniu granic i tradycji.

Na naszych jednak oczach taka wizja się urzeczywistnia. Globalizacja realizuje utopię świata bez granic i bez tradycji, społeczeństwa wolnych atomów, cywilizacji nomadów. Utopia ta w praktyce okazuje się wszakże być koszmarem; ma się tak do marzeń anarchistów jak stalinowskie łagry do Marksowskich wyobrażeń komunizmu.

Dlatego ja odpowiem na postawione na wstępie pytanie inaczej: wolnościowiec nie tylko może ale i powinien być patriotą. Nie ma wolności bez tożsamości bo nie ma wolności bez osobowości; żeby manifestować swą wolę trzeba najpierw zaistnieć jako samookreślający się podmiot. Swoją indywidualną tożsamość tworzymy nie tylko samodzielnie, własnym, świadomym wysiłkiem; w dużej części (w większości?) została ona ukształtowana przez otoczenie, jest pochodną zbiorowej tożsamości grupy, w której wyrośliśmy. Można z tym walczyć, można próbować się wykorzenić - ale po co? Dlaczego mam zabijać jakąś cząstkę samego siebie? Nie - raczej ZAAKCEPTUJMY SIEBIE takimi, jakimi jesteśmy.



Będąc ukorzenionymi w jakiejś zbiorowej tożsamości łatwiej ustrzeżemy się manipulacji. Jednostka bez oparcia w grupie jest samotna i bezbronna - stąd konieczność solidarności wobec potężniejszego Nieprzyjaciela. Z kolei tożsamość, zwłaszcza oparta na tradycji, jest dla każdej zbiorowości niezbędnym spoiwem.

...Przytoczę tu autentyczny przypadek. W czasie wojny koreańskiej Zachód przeżył szok, gdy wzięci do niewoli Amerykanie zaczynali jeden po drugim deklamować komunistyczne slogany. Początkowo podejrzewano zastraszenie, tortury - o dziwo, nic takiego stwierdzono. Co więcej, nawet po powrocie do Stanów dawni jeńcy wciąż podtrzymywali wiarę w słuszność komunizmu. W ten sposób świat poznał skuteczność „brainwashing" - prania mózgu, polegającego na intensywnej obróbce propagandowej i psychologicznej ofiary. Ale co ciekawe, praktycznie wszyscy nawróceni w obozie na komunizm byli Amerykanami, nie znalazł się natomiast wśród nich żaden ujęty Turek z oddziałów sojuszniczych. Problemem zajęli się psychologowie i doszli do mało budujących wniosków. Otóż Amerykanie to indywidualiści: krytyczni wobec rzeczywistości, otwarci na zmiany, nastawieni na samodzielne poznawanie i ocenianie świata. W rezultacie, postawieni twarzą w twarz z potężną machiną propagandową komunistów ulegali jej wierząc, że odkrywają prawdę. Natomiast turecka kultura ma charakter kolektywistyczny, oparta jest na tradycji. Uwięzieni żołnierze tureccy instynktownie odrzucali nowy światopogląd. Żywiołowo łączyli się w grupę, która wyłaniała swoich przywódców pilnujących przestrzegania zasad. Likwidowanie przywódców przez komunistów nic nie pomagało, bo na ich miejsce pojawiali się następni. Wspierając się wzajemnie Turcy wytrwali przy swoich poglądach.

Czymże jednak jest ów patriotyzm? Składają się nań trzy elementy (które czasem mogą być traktowane też rozdzielnie): więź z ziemią, solidarność z ludźmi i przywiązanie do kultury.

Więź z ziemią łatwo zrozumiemy w kontekście ekologii: to w pierwszej kolejności odpowiedzialność za stan konkretnego środowiska naturalnego, w którym żyjemy (a nie tylko zainteresowanie problemami globalnymi typu lasów tropikalnych). Dbałość o przyrodę, która nas otacza, dzieli tylko krok od uczucia sentymentu wobec swojskiego krajobrazu, roślinności, zwierzyny. Rozumie to bioregionalizm, kładący nacisk na dostosowanie człowieka do geograficznie zróżnicowanej biosfery.

Solidarność z ludźmi, z którymi współtworzymy daną zbiorowość, jest trudniejsza niż abstrakcyjna miłość do całej ludzkości. Łatwiej utożsamiać się ze wspierającymi zapatystów Indianami Maya - których w swoich umysłach idealizujemy tak, by odpowiadali naszemu obrazowi utopii - niż ze swoimi realnymi, często niesympatycznymi sąsiadami. Tylko, że ucieczka we wspólnoty wyimaginowane, wirtualne jest tak naprawdę znieczulicą zasłanianą pięknymi sloganami.

Przywiązanie do rodzimej kultury - z jej zaściankowością, z całym tym balastem różnych anachronizmów - też może budzić opory. To oczywiste: trudno zaakceptować w całości tradycję kulturową, tym niemniej powinno na niej się opierać. Należy rozwijać bliskie nam rodzime wątki. Zamiast tłumaczyć na polski Kropotkina czy Goldman - sięgnąć po Machajskiego, Abramowskiego czy Brzozowskiego, odwołać się do tradycji Janosika, sarmatyzmu i powstania 1032 r.

Stary działacz anarchistycznej CNT, weteran hiszpańskiej wojny domowej Manolo Gonzales, polemizując z pewnym ortodoksyjnie kosmopolitycznym anarchistą, napisał: „Aby stworzyć socjalizm, wolnościowy komunizm, anarchizm czy jakąś inną utopię, musimy mieć terytorium zamieszkałe przez ludzi o wspólnym języku, wspólnej tożsamości i wspólnej historycznej spuściźnie".

Dlatego nie wyrzekajmy się tego „zaściankowego" patriotyzmu. Uczyńmy z zaścianka naszą fortecę!

Istnieją jeszcze gdzieniegdzie narody i stada, ale nie u nas, bracia moi: tu są państwa.

Państwo? Co to jest? Hejże! Otwórzcie uszy, gdyż teraz powiem wam słowo o śmierci narodów.

Państwem nazywa się najzimniejszy spośród zimnych potworów. Kłamie tez ozięble; i takie kłamstwo wypełza z jego ust: „Ja, państwo, jestem narodem".

To kłamstwo! Twórcy stworzyli narody i rozwiesili nad nimi wiarę i miłość: a przeto służyli życiu.

Niszczyciele zaś stawiają pułapki dla wielu i nazywają je państwem: oni-to zawieszają miecze i sto żądz nad nimi.

Gdzie jeszcze istnieje naród, nie rozumie on i nienawidzi państwa, jako złego spojrzenia i grzechu w obyczajach i prawach.

Daję wam ten znak: każdy naród mówi językiem dobra i zła: języka tego sąsiad nie rozumie. Wynalazł własną mowę w obyczajach i prawach.

Ale państwo kłamie we wszystkich językach dobra i zła: cokolwiek powie kłamie, cokolwiek posiada skradło.

Wszystko w nim jest fałszywe: kąsa kradzionymi zębami zgryźliwie. Fałszem są nawet jego trzewia.

Pomieszanie języków dobra i zła: ten znak daję wam, jako znak państwa. Zaprawdę znak ten wskazuje na chęć śmierci.

Aż-nazbyt-wielu się rodzi: dla zbytecznych wynaleziono państwo!

Patrzcież mi, jak państwo przyciąga owych aż-nazbyt-wielu! Jak ono ich pochłania, żuje i przeżuwa!

Tak, tu wynaleziono śmierć dla wielu, śmierć, która sama siebie głosi życiem: zaprawdę, serdeczna to służba dla kaznodziejów śmierci!

Państwem nazywam to, gdzie wszyscy piją truciznę dobrzy i źli; państwem, gdzie wszyscy sami siebie zatracają dobrzy i źli: państwem, gdzie powolne samobójstwo wszystkich nazywa się „życiem".

Otworem stoi jeszcze ziemia dla dusz wielkich. Dla samotników i samowtórnych jest jeszcze dużo miejsc pustych, wokół których wieje zapach cichych mórz.

Otworem jeszcze stoi życie swobodne dla dusz wielkich. Zaprawdę, im kto mniej posiada, tym mniej będzie posiadany: niech będzie pochwalona mała bieda.

Tam dopiero, gdzie ustaje państwo, zaczyna się człowiek, który nie jest zbyteczny: tam rozpoczyna się pieśń niezbędnego, melodia jednokrotna i niczym niezastąpiona.

Spójrzcie mi, bracia moi, tam, gdzie państwo ustaje! Czy nie widzicie tęczy i mostów nadczłowieka?

Fryderyk Nietzsche *„Tak mówił Zaratustra"*

Aldona Kopkiewicz

Wolność kobiet od dupy strony



Anarchistko! Czujesz, że życie przecieka Ci przez palce? Twoja codzienność to paskudny melanż zszarzałego po socrealizmie nieba, blokowisk, biurowych uniformów i pastelowej pstrokacizny kapitalizmu? I ładnie to tak? A jak tam praca czy studia? Nie pustoszą zbytnio pogodnej harmonii Twego ducha? Ups, pewnie dotknęłam czułego miejsca; no co, nie lubimy myśleć o pracy, nieprawdaż? Ale jeszcze bardziej niż nędza pracy doskwiera Ci wizja nędzy ubóstwa, wolisz więc pewnie przemęczyć się jakoś, aby potem odbić sobie w apetycznych posiłkach, lepszych alkoholach i podróżach. No no, to żaden wstyd, wstyd to kłamać, że potrzeby materialne Ciebie nie dotyczą, bo oto jesteś dzielną bojowniczką o Wyższe Sprawy i Idee, przyznaj jednak, że to cudownie taplać się w wonnej kąpieli zamiast liczyć czas pod prysznicem, że tak naprawdę radość sprawia Ci używanie dobrych perfum, a nie lektura Kropotkina. Gwiżdż na ascetów, dandyzm to najpiękniejsza forma buntu, a rewolucja zaczyna się od folgowania zmysłom, od rozpieszczania i rozpuszczania samej siebie. Kuszące? Znajdźmy więc Trzecią Drogę między kowadłem kapitalizmu i młotem pracy... Znajdźmy bogatego męża.

Dotychczas zdumiewająco prosta i skuteczna koncepcja posażnego zamążpójścia nie znajdowała poklasku w kręgach radykałek. Pragnienie to wydaje nam się godne nieuświadomionej, poddanej represji systemu mieszczki o ptasim móżdżku, płytkiej i pozbawionej ideałów niewolnicy patriarchatu. Oczywiście, należy założyć pewną słuszność tego stereotypu, jednakże sądzę, że niechęć do pomysłu na bogatego męża wynika z pewnych umysłowych naleciałości po wychowaniu w etosie mieszczańskim, a właściwie to z przesadnej negacji tegoż etosu. Nieprzyjmowanie do wiadomości istnienia filisterstwa, póki sami przedstawiciele tego ścieku umysłowego żyją sobie w swych strasznych mieszkaniach, skazuje na życie w wykluczeniu. To pewnie całkiem przyjemny stan, problem w tym, że burżuj ma Cię w nosie i wcale mu nie przeszkadzasz swoim świętym obrażeniem na świat. Chcąc naprawdę burżujowi dać prztyczka w nos, policzek w twarz, a może i kopa w dupę, należałoby raczej przechwytywać i odwracać jego etos. My zaś dwulicowość kołtunerii wymieniamy na swoistą naiwność i prostolinijność, które, choć same w sobie są jak najbardziej pozytywne, winny zostać ciut zrelatywizowane. Pokrótce: do burżuja, kapitalisty, partyjnego gbura podchodzimy z kijem, a nie z sercem na dłoni. Jak już dotykamy takich szubrawców, to patykiem z gównem, a nie kwiatkiem. Nasze życie w systemie bierzmy za grę, wojnę podjazdową, formę partyzantki; a te domagają się taktyki, przemyślanych manewrów i masek. Bądź jak kameleon, zmieniaj barwy, skóry, twarze; stosuj kamuflaż przeciwko systemowi, byś mogła pozostać sobą. Tego wymaga czasem sytuacja i taktyka; zachowaj pozory, ta walka toczy się o Ciebie. Gdy uwierzą, że jesteś z nimi, uderz. Dopiero tak powstaje element zaskoczenia. Przyjdź do nich niepostrzeżenie, bądź nagła i niby przypadkowa, bo tylko taka niespodzianka może być naprawdę rewolucyjna. Kamuflażu potrzeba, gdy męża bierzesz bez miłości (uważaj na intercyzę!). Gdy kochasz, a jego pokaźne konto w banku to tylko kwestia przypadku, rób, co chcesz.

W czasach, gdy Rewolucja urwała się na popołudniową drzemkę, w naszej mieszczańskiej dżungli, wolność to kwestia pieniędzy albo ucieczki w świat ducha. To drugie rozwiązanie jednak nie każdą interesuje. Wybieramy więc pracę, jak najmniej alienującą albo chociaż dobrze płatną. Sprzedajemy się. Jesteśmy dziwkami państwa i kapitału. Dlaczego więc wzdragamy się na myśl o wyjściu za faceta tylko dla pieniędzy? I tak same siebie zdradzamy, na tym polega cały psikus systemu, zdradzajmy więc tak, by bolało jak najmniej, by jednak jak najwięcej siebie w sobie zachować. Miły i bogaty kandydat na męża może być więc lepszym wyjściem niż kiepska praca. Że to prostytucja jakby? Jest precedens Emmy Goldman. Uważacie, że to nieszczere wobec wybranka? A czy kontestacja potrzeb materialnych nie jest kłamstwem wobec nas samych? Bogaty mąż dobrany do waszych potrzeb umożliwi Wam nie tylko życie w wygodzie i pięknie, ale też pomoże zakupić ksero dla Waszego kolektywu anarchistycznego... Wizja, której warto dać się uwieść. Daj się skusić mniejszemu złu, przecież miłość można znaleźć poza oficjalnym związkiem, a Twoja przysięga przed państwem czy kościołem i tak nic nie znaczy. Pomysł na bogatego męża może okazać się rewolucyjny, wystarczy odpowiednio przechwycić go z panieńskich snów otępiałych mieszczek...

Być może nie powinnam mieszać do tego rewolucji, ani nawet reformizmu. Bogaty mąż nie zmieni świata, po prostu pozwoli więcej czerpać z życia, zwiedzać egzotyczne kraje, pić dobre wino a ono lepiej uśmierza ból głowy od jazgotu i bylejakości rzeczywistości, lepiej niż piwo za 2 zł rozładuje melancholię pustki, która dopada, gdy brak naprawdę rewolucyjnych pomysłów na przyszłość.

ERICH FRIED

1921 – 1988



ANGST UND ZWEIFEL

ZWEIFLE NICHT
AN DEM
DER DIR SAGT
ER HAT ANGST

ABER HAB ANGST
VOR DEM
DER DIR SAGT
ER KENNT KEINEN
ZWEIFEL

Nie wątp w tego, który mówi Ci, że się boi.
Ale bój się tego, który mówi Ci, że nie zna wątpliwości

Erich Fried urodził się 6 maja 1921 roku w Wiedniu. Wcześnie rozpoczął pisanie, czynił to do momentu wkroczenia w 1938 roku wojsk niemieckich i wtedy "z austryjackiego ucznia zamienił się w prześladowanego żyda". Po zamordowaniu ojca przez gestapo, Fried uciekł do Londynu.

Po wojnie był współpracownikiem wielu czasopism, potem pracował jako komentator do niemieckojęzycznych programów w BBC. W 1968 roku odszedł z pracy z powodu niezmiennej zimnowojennej pozycji BBC.

Zdobył sławę tomikami wierszy, jedynym romansem "Żołnierz i dziewczyna" (1960) oraz prawie kompletnym przekładem dzieł Shakespeare'a. Często popadał w konflikt z opinią publiczną, albowiem w swej twórczości otwarcie zajmował krytyczne stanowisko wobec tematów politycznych. W październiku 1977 CDU przedłożyło "dokumentację" z cytatami o terroryzmie , w której to rozdziale pt. "Agitacja przeciw wolnemu praworządnemu państwu" znalazły się także cytaty autorstwa Ericha Frieda.

Zmarł w 22 listopada 1988 roku i został pochowany na Kensal Green w Londynie.

Przemoc

Przemoc nie zaczyna się
kiedy ktoś kogoś dusi
Zaczyna się
kiedy ktoś powie:
"Kocham ciebie:
Należysz do mnie!"

Przemoc nie zaczyna się
kiedy chory powinien być zabity.
Zaczyna się
kiedy ktoś powie:
"Jesteś chory:
Musisz robić to, co ja powiem"

Przemoc panuje tam
gdzie państwo mówi:
"Aby zwalczyć przemoc
nie może być już żadnej przemocy
oprócz mojej przemocy"

Przemoc panuje
gdzie ktoś
lub cokolwiek
jest za wysoko postawione
lub za święte
aby jeszcze mogło być krytykowane

Lub tam, gdzie krytyka nic nie może zrobić
lecz tylko mówić
a święci lub wysoko postawieni
mogą więcej robić niż mówić

Przemoc panuje tam, gdzie się nakazuje:
"Możesz stosować przemoc"
lecz także często tam, gdzie się nakazuje:
"Nie możesz stosować przemocy"

Przemoc panuje tam
gdzie oni zamykają swoich przeciwników
i ich szkalują
jako podżegaczy do przemocy

Konstytucja przemocy
brzmi: „Prawem jest to, co my robimy.
A co robią inni
jest przemocą"

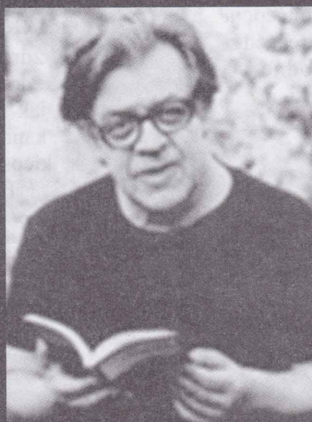
Możliwe, że przemocy nigdy nie można
będzie przezwyciężyć przemocą
ale możliwe, że nie zawsze też
bez przemocy

Czas kamieni

Czas roślin
potem nadszedł czas zwierząt
potem nadszedł czas ludzi
teraz nadchodzi czas kamieni

Kto słyszy mówiące kamienie
wie
że tylko pozostaną kamienie

Kto słyszy mówiących ludzi
wie
że tylko pozostaną kamienie



Rządy wolności

Powiedzenie
" Tutaj rządzi wolność"
jest zawsze pomyłką
lub także kłamstwem:
wolność nie rządzi

Odpowiedź

Ktoś powiedział do kamieni:
bądźcie ludzkie
Kamienie odpowiedziały:
Jeszcze nie jesteśmy
wystarczająco
twarde

Bańki mydlane

Uczepiłem się słomki
i wydmuchałem
polityków
generałów
i policjantów
nadmuchani mienili się
we wszystkich kolorach
ale pękali
jak tylko się ich dotykało
policjant, któremu to powiedziałem
bez jego poruszania
poruszył mnie
swoją pałką
tak, że to ja pękłem

Przeciw karze śmierci

Kto człowieka
skazuje na śmierć
lub własną ręka
zabija
ten jest mordercą

Kto dwóch ludzi
skazuje na śmierć
lub własną ręka
zabija
ten jest podwójnym mordercą

Kto dwudziestu ludzi
skazuje na śmierć
lub zabija z pistoletu maszynowego
jest masowym mordercą

Kto dwadzieścia milionów
lub dwieście milionów ludzi
skazuje na śmierć
lub zmusza do zabijania
lub własną ręką
naciska na guzik
jest
lub był
czołowym politykiem

Przysłowie

Zostaw
dzikie zwierzęta
w spokoju
żadne
nie morduje
jak
ty

Zabić

najpierw czas
potem muchę
może mysz
potem
możliwie wielu
ludzi
potem
znowu czas

Tekst i tłumaczenia: Małgorzata Ważyńska

TEATR SPOŁECZNY W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ

Natalia Krajewska

Pomysł na ten artykuł zrodził się już kilka lat temu gdy odkryłam jak bogatą tradycję ma teatr społeczny - zwany też czasami rewolucyjnym w Ameryce Łacińskiej. Wtedy to pierwszy raz rozczytywałam się w materiałach dotyczących działalności różnych grup jak i metod teatralnych tam rozwiniętych. Tekst jednak nie powstał a moim zdaniem szkoda, więc postanowiłam powrócić do tej tematyki. Z góry chcę też zaznaczyć, że nie jest to pełny przegląd tego co w krajach łacińskich w teatrze społecznym się wydarzyło. Zabraknie tu choćby takich grup ja Rajatabla z Wenezueli czy Ictus z Chile, znalazłam jednak zbyt mało informacji by przedstawić ich działalność.

Augusto Boal, brazylijski ojciec teatru społecznego.

Trudno jest mówić o teatrze w Ameryce Łacińskiej bez znajomości twórczości a przede wszystkim metod Augusto Boala. To on w latach 60. ubiegłego wieku opracował nową metodę Coringa. Teatr Uciskanych, bo o nim tu mowa, jest teatrem żywym, w którym publiczność uczestniczy bezpośrednio mogąc zmieniać samą sztukę przerywając grę aktorów i dodając własne sugestie co do przedstawienia. W trakcie jednego ze spektakli kobieta z publiczności poirytowana grą niezgodną z jej wcześniejszymi uwagami, weszła na scenę i odegrała to co zaproponowała. To był przewrót w metodologii Teatru Ucińionych. Boal zapraszał publiczność aby zaprezentowała na scenie swoje idee. Pomogło mu to odkryć, że publika nie tylko wprowadza jakieś drobne zmiany ale, że one stają się częścią całości i następnie prowokują resztę do wspólnych przemyśleń i powodują działanie grupowe-społeczne. Teatr zmienia się w „pojazd" do działań kolektywnych. Należy dodać, że tematem przedstawień są sytuacje wzięte z życia codziennego, często konflikty społeczne, więc reakcja publiki jest żywa gdyż łatwo jest jej utożsamiać się z aktorami. W swojej sztuce z 1971 roku *El gran acuerdo internacional del Tio Patilludo* w ironiczny sposób pokazuje konflikt miedzy studentami i robotnikami a bogatą inteligencją wspieraną przez zagraniczny monopol finansowy. Dochodzi do rozstrzelania pokojowych negocjatorów i uratowania własnego tyłka i kapitału, ludziom pozostaje system polityczny. W kolejnej sztuce (1973) *Revolucion en America del Sur con lamento proverbial Ay Ay ! no hay Cristo que aguante* mamy biednego chłopa Jose da Silva, który bierze udział w rewolucji ale ta zawodzi. Boal ukazuje to jako farsę, ponieważ liderzy rewolucyjni po dojściu do władzy zawierają pakt w kapitalistami. Jose w zamian za oddanie głosu w wyborach dostaje mnóstwo jedzenia, wcześniej cierpiał głód, w efekcie nieprzyzwyczajony umiera z obżarstwa. W paraboliczny sposób lud umiera wraz z Jose. Następnie szuka się kolejnych ofiar, bo bez tego nie może funkcjonować polityka. Pojawia się więc sobowtór Jose wśród publiczności, ta buntuje się wobec czytelnej wygranej opresorów . Boal nie ma wątpliwości, mówi: *Teatr jest działaniem! Być może teatr nie jest rewolucyjny sam w sobie ale jest próbą rewolucji!* Metoda teatralna przyjęta przez Boala szybko zyskała nowych zwolenników nie tylko w samej Brazylii, do dziś sporo grup teatralnych na całym świecie odwołuje się do jego metodologii, prowadzone są też warsztaty.



El Galpon czyli jak powstał niezależny teatr w Urugwaju.

Grupa teatralna El Galpon powstała w 1949 roku w Montevideo. W 1951 roku wystawia po raz pierwszy *Bohaterów* Showa. W swojej siedzibie przy ulicy Mercedes tworzy trzy szkoły teatralne: dramatyczną, publiczną i kukiełkową. El Galpon to 40 osób. Gra sztuki różnych autorów ale jego dyrektywą jest repertuar realistyczny dala zwykłych ludzi i prześladowanych. Również jeśli chodzi o reżyserię jest bardzo elastyczny, pozwala na udział kilku reżyserów w poszczególnych scenach. Wewnętrznie grupa rządzi się w sposób demokratyczny to znaczy najpierw wybierany jest tekst, potem reżyser, który ma wolną rękę w swoich wyborach uwzględniając tylko wymowę społeczną lub polityczną przedstawienia. Grupa ma kilka założeń, na których się opiera jej działalność:

1. Demokracja wewnętrzna w organizowaniu się
2. Wolność w podejmowaniu decyzji
3. Obrona teatru jako sztuki
4. Teatr bez celów lukratywnych, komercyjnych, prywatnych i jakiegokolwiek podporządkowania

W 1969 roku El Galpon otwiera swoją pierwszą własną siedzibę. W tym samym czasie zmienia się sytuacja polityczna w Urugwaju, kraj ogarnia kryzys. W 1973 roku władze przejmuje dyktatura wojskowa. Sytuacja robi się coraz bardziej skomplikowana. Teatr działa ale pojawiają się pogróżki, aresztowania aktorów etc. W 1975 zostaje zamknięta Szkoła Dramatyczna a aktorzy osadzeni w więzieniu. W marcu i kwietniu 1976 zostają zwolnieni gdyż nie napotkano żadnych dowodów ich winy. Próbują znów zacząć grać ale dekret z 7 maja zabrania ostatecznie jakiejkolwiek aktywności kulturalnej i teatralnej. Większość z aktorów decyduje się na emigrację do Meksyku. Tam zespół funkcjonuje aż do 1984 roku. W trakcie swego wygnania grupa dużo wystawia w terenie, również na wsi. W trakcie tych 8 lat teatr zaprezentował około 2750 przedstawień w 20 krajach Ameryki i Europy. Oprócz tego El Galpon zajął się inną aktywnością, zorganizował szereg warsztatów, kursów i seminariów.

W 1984 roku kończą się represje w Urugwaju i teatr powraca z emigracji. W 1985 odzyskuje utraconą przed laty siedzibę i ponownie otwiera Szkołę Dramatyczną i lalkarską. Dużo podróżuje po szkołach realizując spektakle także dla dzieci. Obecnie zespół liczy około 150 osób. Niedawno obchodził swoje 50 lecie. Żaden inny teatr w Ameryce Łacińskiej nie może się pochwalić tak długą i nieprzerwaną historią.



Kreacja kolektywna a teatr kolumbijski.

W latach 50 z Meksyku do Kolumbii przyjeżdża Japończyk - Seki Sano, uczył się technik teatralnych w Rosji u Stanisławskiego. Wprowadza on realizm do reżyserii oraz gry aktorów. Seki Sano pracuje z młodzieżą i właśnie to wśród jego uczniów pojawia się młody architekt Santiago Garcia. O swoim japońskim nauczycielu wypowiada się tak: *Dal mnie jego wpływ był fundamentalny, jego techniki, etyka, wizja sztuki jako medium w odnajdywaniu rzeczywistości, nowej rzeczywistości.*

Jeśli chcemy czegoś dowiedzieć się o teatrze w Kolumbii to warto zwrócić uwagę na dwie postacie, Santiago Garcie i grupę stworzoną w 1958 roku - El Buho, następnie zaś teatr La Candelaria gdzie rozwinął kreację kolektywną jako metodę specyficzną dla dramaturgii kolumbijskiej oraz na Enrique Buenaventurę i jego Teatr Eksperymentalny z Cali. Obie grupy rozwinęły nową metodologię bazując również na teoriach Bertolda Brechta jak i strukturalistów językowych, analizie tekstów i semiologii. Metodę tę można ująć następująco: grupa dzieli się na podgrupy mające za zadanie zgłębić różne etapy procesu twórczego; dzieli się tekst ogólny, schemat przedstawienia i modyfikuje się go podczas dyskusji w podgrupie przeznaczonej do tekstu, potem pierwszy tekst, który z tej dyskusji wychodzi poddaje się poszukiwaniom środków wyrazu artystycznego,

wyznacza się miejsce i czas akcji. Wyznacza się także temat wiodący i inne wątki poboczne, wyznacza się postacie które uosabiają konflikt i atrybuty, które mają je identyfikować; pracuje się nad montażem i tekstem bazowym jako podstawą dla improwizacji. Improwizacje przeprowadza się na bazie sprzeczności lub analogii. Każde ćwiczenie z improwizacji formuje różne teksty ostatecznego przedstawienia.


La Candelaria

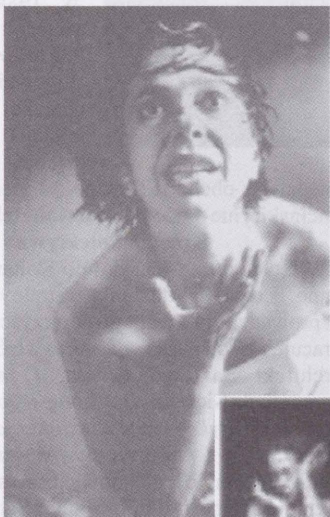
Swoją własną drogę obrał teatr z Cali (miasto na południu Kolumbii). Teatr według zasad przyjętych przez grupę ma być czymś więcej niż sztuką, ma brać udział w przemianach zachodzących w społeczeństwie. Przedstawienia mają być źródłem polemiki społecznej. Nie ma co czekać, aż publiczność zapłaci i przyjdzie do teatru, należy samemu wyjść do niej, znaleźć ją na placu, ulicy czy w fabryce. Zerwał też z wewnętrzną hierarchią w zespole teatralnym: autor, aktor, reżyser, personel techniczny mają takie samo znaczenie, pracuje się jako zespół tworzący coś wspólnie. Za sposób pracy przyjął kreacje kolektywną Buenaventury.

Od lat 80 teatr kolumbijski przeżywa kryzys i zwraca się raczej ku komercji lub tradycyjnej sztuce dramatycznej.

Yuyachkani - od rewolucji na zewnątrz do rewolucji w sobie.

W latach 60 dwójka nastolatków Miguel Rubio i Teresa Ralli występują wraz z grupą Yego . Grupa ta koncentruje się na typowych konfliktach miedzy starymi a młodymi, uczniami a nauczycielami, rodzicami a dziećmi etc. Yego wychodzi do ludzi, zaczyna grać w biednych dzielnicach Limy. Tam dochodzi do kontaktu z ludźmi, z którymi aktorzy nigdy wcześniej nie mieli nic wspólnego. To prowokuje do dyskusji i w efekcie do wystąpienia z Yego i stworzenia własnej grupy Yuyachkani co oznacza w jezyku quechu - myślę. Yuyas jak ich się powszechnie zwie tak tłumaczą wybór nazwy:

- W tym wyrazie napotkaliśmy sens nowego zjednoczenia, nazwę dla sposobu uprawiania teatru pretendującego do bycia częścią doświadczenia twórczego ludzi, ich refleksji i pamięci; tego wszystkiego to czym jesteśmy jako naród, lud, co się w tym zawiera, co jest możliwe i co wyznacza przyszłość. To było zespolenie w walce aby zmienić nasz kraj, odnajdując w kulturze andyjskiej źródło wspomagające naszą pracę



Pierwsza sztuka yuyas to kreacja kolektywna *Puño de cobre* zainspirowana strajkiem Federacji Górniczej przeciwko zagranicznej firmie wydobywającej miedź Cerro de Pasco Corporaton. W trakcie strajku zginęło 25 górników a wielu innych uwięziono. Tekst sztuki powstał na podstawie rozmów z górnikami biorącymi udział w strajku, Komitetem Matek i Żon Aresztowanych Robotników i na podstawie zebranych dokumentów. Całość opracowano zgodnie z metodą Augusta Boala, skupiono się na treści do minimum redukując scenografię i stroje, aktorzy występowali w dżinsach i koszulkach. Z tą sztuką po raz pierwszy ruszyli w głąb Peru do osiedli górniczych. W trakcie przedstawienia i konfrontacji z publiką doszło do znacznej modyfikacji sztuki. Sławne stało się zwłaszcza przedstawienie w Allpamina (1973) gdy jeden z górników podszedł do aktorów i powiedział: *przyjaciele bardzo ładna ta sztuka, jaka szkoda, że zapomnieliście strojów do przebrania.* Kilka lat później yuyas zrozumieli, że zwykli ludzie, robotnicy peruwiańscy maja swoje tradycje ludowe, bardzo bogatą kulturę regionu i nie wolno o niej zapominać chcąc mówić o ich życiu. Yuyachkani kontynuowało swoją pracę. Oprócz teatru grupa wydawała gazetę, organizowała warsztaty, wspierała walkę z dyktaturami w Chile i Hiszpanii. W latach 1974-77 grupa więcej pracowała na polu muzyki i tańca niż teatru sensu stricto. To był czas odkrywania i nauki tradycji andyjskich. W latach 1979-80 zespół po raz pierwszy podróżuje poza krajem, odwiedzają miedzy innymi Nikarague. Efektem tej podróży jest wystawienie sztuki *Hijos de Sandino* (Dzieci Sandino) w 1981 roku. Sięgając do kultury i tradycji tamtejszej mówi ona o rewolucji sandinistów. Wcześniej Yuyachkani zorganizowało przedstawienie poetyckie *Escuchame Somoza* (Słuchaj mnie Somoza) oparte na wierszach Ernesto Cardenala.

Hijos de Sandino oraz inna sztuka *Allpa Rayku* (1979) stanowią przełom w twórczości grupy. Wcześniej yuyas koncentrowali się głównie na dydaktyźmie politycznym bez dbałości o artystyczne środki wyrazu czy korzenie kultury andyjskiej. W *Allpa Rayu* (Za ziemię) wprowadzają nie tylko historię walk chłopskich, ale także tradycyjne postacie, mity, stroje, muzykę, tańce, maski i sposób zabawy co ważne również język bądź dialekt indiański bądź hiszpańską gwarę regionalną.

W latach 80 teatr Yuyachkani się rozwija i dojrzewa. Na uwagę zasługuje przede wszystkim trylogia *Los musicos ambulantes* (1982), *Encuentro de zorros* (1985) i *Contraelviento* (1989) sztuki te odwołują się do problemów migracji ze wsi do miasta, sytuacji społecznej i politycznej w kraju jak i przemocy w walce o zmiany. Pamiętajmy, że są to lata gdy mamy nieprzerwaną wojnę Świetlistego Szlaku i Sił Zbrojnych. To co się dzieje jest nie do zniesienia, a rozwiązania nie widać. Pozostają wątpliwości, sytuacje bez wyjścia gdzie jedynym konkretem są rany pozostawione przez wojnę. Yuyachkani wkracza w kolejny etap swojej artystycznej drogi.

W sztukach *No me toquen ese valse* (1990) i *Hasta cuando corazon* (1994) mamy wyraźne wycofanie się do zewnątrz, aktorzy mówią o sobie samych, utracie partnera, samotności, odwróceniu mitów i utopi. Jedna z aktorek mówi: *w Hasta cuando corazon jest 70% mnie a tylko 30% postaci* . O poprzedniej sztuce mówią:

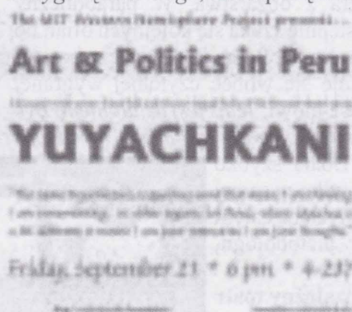
- No me toquen ese valse to jest moment gdy włączamy siebie do pracy. Pozostawiamy mówienie o innych i mówimy o tych co tworzą grupę. Przemoc nie tylko jest obecna w gazetach...

W *Retorno* (1996) w sztuce inspirowanej sprawą wypędzonych czyli rolników, którzy musieli opuścić swoje ziemie i uciekać przed jedną z armii a po latach wracają do wsi, dwójka mężczyzn spotyka się gdzieś na rozstajnej drodze. Obaj mają wątpliwości, w którą stronę się udać, nie wiedzą *czy idą czy przychodzą* pod koniec jeden konkluduje: *nie jest ważne czy idziemy czy wracamy, ważne jest co będziemy robić gdy już dojdziemy.*

Z okazji 25 lecia, yuyas grali codziennie przez 3 miesiące inną sztukę ze swojego repertuaru, to monumentalne przedsięwzięcie miało pokazać, że ***teatr to życie***. Ostatniego dnia wszyscy aktorzy wyszli na ulice i place.

W ostatnich latach zespół przygotował dwa kolejne przedstawienia *Antygonę* i *Santiago,* nadal podąża drogą skierowaną do wewnątrz.





Być może nie napisałam o wielu rzeczach, mam jednak nadzieję, że choć w części udało mi się przedstawić kawałek historii teatru mało u nas znanego a moim zdanie zasługującego na uwagę gdyż poszedł on własną drogą , czasami bardzo pokrętną jak Yuyachkani, ale zawsze był blisko ludzi i ich problemów, był w pełnym tego słowa znaczeni społecznym.

Bibliografia:

Małgorzata Oleszkiewicz *Teatro popular Peruano,* Ediciones CESLA UW, Warszawa 1995

Magaly Maguercias *Cuerpo y politica en la dramaturgia de Yuyachkani*, Cuba 1997

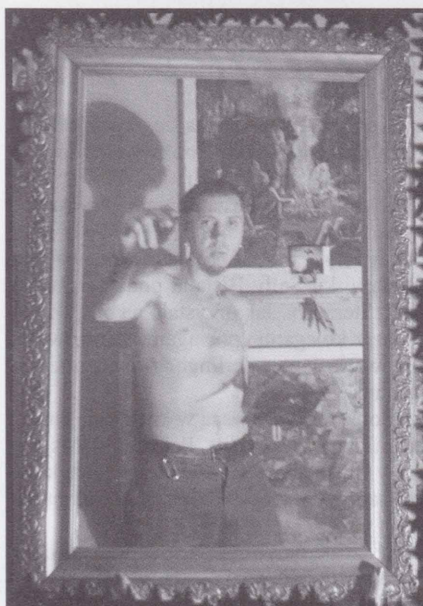
Santiago Soberon *Treinta anos de Yuyachkani,* 2001

Maria Lamus Obregon , nota biograficzna *Santiago Garcia* , *Enrique Buenaventura*

Fabio Prieto *El Galpon y permanencia (Homenaje a sus 50 anos),* 2000

Klaus Portl *La identidad venezolana o latinoamericana en el teatro contemporaneo de America Latina*

NIEPOKÓJ TWÓRCZY





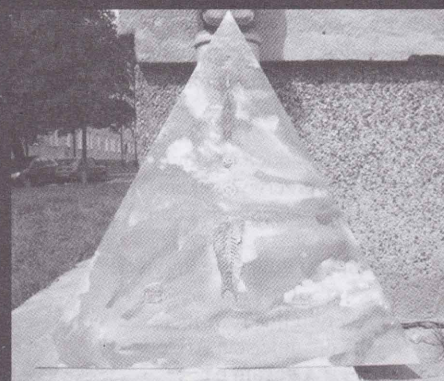
Błękitna karta

Na tym świecie wszystko się psuje
Jak to naprawić, szukasz znajdujesz
Chcesz odlatujesz
Nie można nikogo zmusić do miłości
Każdy kocha tego kogo chce
Jesteśmy tutaj wszyscy razem
Na dobre i złe
Każdy kiedyś budzi się ze snu
I staje nagi przed wyborem
Czy chce tu żyć czy nie
Ale po co jak nie ma dla kogo
Gdy na niebie świeci tylko pół księżyca
Kiedyś na pewno siła mojej pasji nie wystarczy
I samotność
Przyćmi sens całego życia

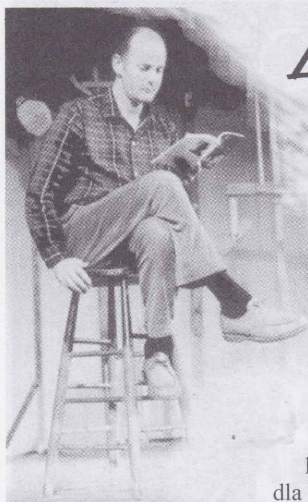




Grzegorz „Bula" Cebula (ur.27.11.1971 w Mielcu). W 1986 roku uczęszczał do PLSP w Rzeszowie, w 1988 do PLSP w Jarosławiu, nie ukończył żadnego.
W Hiszpanii malował na ulicy kopie hiszpańskich malarzy.
Pierwsza indywidualną wystawę po powrocie do Polski miał w 1996 roku w ODK Mielec, potem udział w zbiorowych wystawach STKP w Mielcu i Młodzi - Młodym 2003 w Mielcu.
Uprawia malarstwo olejne i maluje z zamiłowania
Jednostka anty-społeczna, wolny duch, nonkonformista...
www.artbula.republika.pl
Kontakt: tel. *0698041649* (wystawy, sprzedaż obrazów, kontakty osobiste...)







Lawrence Ferlinghetti

Pisząc o Beat Generation i jego najbardziej znanych przedstawicielach, często zapomina się o tym, który w dużym stopniu całą sprawę zainicjował. To Lawrence Ferlinghetti założył City Lights Bookstore, w którym spotykali się wszyscy wolnomyśliciele San Francisco, to on wydawał Ginsberga i innych.

Ferlinghetti urodził się w Yonkers w stanie Nowy York w 1919 roku. Jego matkę zamknięto w zakładzie psychiatrycznym i chłopiec wysłany został do Francji, gdzie spędził pierwsze 5 lat życia. Kiedy miał kilkanaście lat został członkiem ulicznego gangu zwanego „Parkway Road Pirates". Policja aresztowała go wtedy za małą kradzież. W tamtym okresie pewna kobieta o nazwisku Sally Bisland podarowała mu książkę z wierszami Baudelaire'a i obudziła w chłopaku miłość do literatury. Jak przystało na przyszłego bitnika, Ferlinghetti włóczy się po Ameryce i jednego razu wraz z kolegami pociągami towarowymi dociera do Meksyku, po drodze oczywiście czyta zakazanych poetów. Następnie Ferlinghetti zaciąga się do marynarki i m.in. ogląda Nagasaki kilka tygodni po spuszczeniu bomby.

W 1953 roku Ferlinghetti założył w San Francisco City Lights Bookstore, pierwszą w kraju księgarnie, gdzie sprzedawano tylko tanie paperbacki. W 1955 zaczęła działać oficyna City Lights. Po dzień dzisiejszy księgarnia Ferlighettiego jest ośrodkiem kontrkultury. Publikacja wierszy Ginsberga w 1956 roku zakończyła się dla Ferlinghettiego aresztowaniem pod zarzutem obscenicznośći i proces sądowy zwrócił uwagę całego kraju na bitników.

W 1994 San Francisco nazwało nazwiskiem Ferlinghettiego jedną ze swoich ulic, co jest faktem szczególnym ze względu na otwarty anarchizm i społeczny krytycyzm autora. Ferlinghetti prowadzi tygodniową kolumnę w San Francisco Chronicle, gdzie ostatnio występował m.in. przeciwko eksmisjom biedniejszych obywateli z centrum San Francisco.

Piotr Madej

„Czekam"

Czekam na mój proces
Cały czas czekam
na odrodzenie się cudu
Czekam aż ktoś
naprawdę odkryje Amerykę
i białego wieloryba
Czekam
na odkrycie
nowej symbolicznej zachodniej granicy
Czekam aż
Amerykański Orzeł
naprawdę rozwinie skrzydła
i naprężony wzbije się w niebo
Czekam aż
padnie i zdechnie
Era Niepokoju
Czekam aż
pierwszy raz wojna
uczyni świat bezpiecznym
czekam na anarchię
Czekam
na ostateczny rozkład
wszystkich rządów
Bez przerwy czekam
na odrodzenie się cudu

Czekam na Powtórne Przyjście
Czekam
na religijną rewolucję
jaka opanuje stan Arizona
Czekam na
obfity zbiór Gron Gniewu
Czekam aż
wreszcie dowiodą
że Bóg jest Amerykaninem
Czekam aż
pokażą Go w telewizji
podłączonej do kościelnych ołtarzy
Żebym tylko złapał
odpowiedni kanał
na którym to będą nadawać
Czekam
na Ostatnia Wieczerzę
podaną jeszcze raz
z małą ilością środków konserwujących
Zawsze czekam
na odrodzenie się cudu

Czekam
aż ktoś zadzwoni pod mój numer
Czekam aż
Armia Zbawienia zacznie rządzić
Czekam
aż pokorni będą błogosławieni
i odziedziczą ziemię
bez podatków
Czekam
aż lasy i zwierzęta
przejmą na nowo ziemię która jest ich
Czekam
na wynalezienie sposobu
który zniszczy wszystkie nacjonalizmy
bez zabijania kogokolwiek
Czekam
aż planety i makolągwy zaczną spadać jak deszcz
Czekam aby kochankowie
położyli się znów obok siebie
w nowym odrodzeniu cudu

Czekam aż ktoś przekroczy Wielką Granicę
Czekam
aż jakiś nieznany nikomu lekarz
odkryje tajemnicę życia wiecznego
Czekam
aż uspokoją się burze życia
Czekam aż moje żagle
poniesie ku szczęściu
Czekam aż zrekonstruowany Mayflower
dotrze do Ameryki
w której kino i prawa telewizyjne
należą do Indian
Czekam aż
zaginiona muzyka zabrzmi ponownie
w nowym odrodzeniu cudu

Czekam na dzień
który uczyni wszystkie rzeczy jasnymi
Czekam na zadośćuczynienie
dla Tomka Sawyera
na które może wreszcie stać Amerykę
Czękam aż
Amerykański Chłopiec
zdejmie z Pięknej wszystkie ubrania
i pokryje ją
Czekam aż
Alićja z Krainy Czarów
przekaże mi
swoją totalną wizję niewinności

Czekam aż
Childe Roland dotrze
do ostatniej ciemnej wieży
Czekam aż Afrodyta
na ostatniej konferencji rozbrojeniowej
pokaże swoją żywą broń
w nowym odrodzeniu cudu

Czekam aż
otrzymam jakieś
znaki nieśmiertelności
ukryte we wspomnieniach z dzieciństwa
Czekam aż
zielone poranki wrócą do mnie
aż wrócą zielone głupie pola młodości
Czekam aż
tony nieprzemyślanej sztuki
wydobędą się z mojej maszyny do pisania
Czekam aż
uda mi się napisać niezniszczalny poemat
Czekam
na ostatnie długie beztroskie uniesienie
Wiecznie czekam
aż goniący się kochankowie z Greckiej Urny
schwycą się wreszcie
i zatoną w uściskach
Czekam
bez przerwy i bez końca
Czas na renesans cudu

1958

Przekład: ***Piotr Madej***



Ferlinghetti na swej własnej ulicy.

MODERNIZM

próba krytyki w perspektywie wolnościowej

Agnieszka Maria Wasieczko

W końcu czerwca 2004 roku uczestniczyłam jako obserwatorka w dość niecodziennym wydarzeniu, jakim był „Obóz Opozycyjnej Architektury" (*Camp for Oppositional Architecture*, 25-27.06) w Berlinie. W dużej mierze zainspirował mnie on do napisania tego tekstu, najogólniej mówiąc - poświęconego krytyce koncepcji architektury modernistycznej i jej recepcji we współczesnej przestrzeni miejskiej. Ten międzynarodowy, otwarty kongres zorganizowany przez niezależne, niszowe pismo „An Architektur", poświęcony był różnym formom oporu i kontestacji wobec wolnorynkowej rzeczywistości na polu architektury i planowania. W jaki sposób poddawać krytyce roszczenia systemu kapitalistycznego do jedynie słusznej „produkcji", organizacji przestrzeni? Jak można wypracować różne formy koegzystencji i sąsiedztwa bez zgody na zastaną rzeczywistość? Nie ukrywam, że z dużym entuzjazmem przyjęłam koncepcję kongresu, gdyż w Polsce takiej refleksji nad charakterem przestrzeni zdominowanej przez nowobogackie wieżowce ze szkła i stali nikt nie przeprowadza. Jednak później uczucia miałam mieszane. Współczesne otoczenie - architektura i budownictwo tylko w niewielkim stopniu jest planowane zgodnie z potrzebami i aspiracjami jej użytkowników. Nade wszystko zostało ono poddana wymogom logiki kapitalistycznej. Zunifikowanych przestrzeni pożądają globalny rynek i kultura masowa. Targana jest ona sprzecznościami. Z jednej strony państwa narodowe i korporacje domagają się spektakularnych form architektonicznych do celów reprezentacyjnych, natomiast z drugiej liczni użytkownicy potrzebują indywidualnych przestrzeni dla swej prywatności. Dlatego w założeniu organizatorów celem obozu miało być poszukiwanie, badanie i dyskusja nad opozycyjnymi formami aktywności zmierzającymi do krytyki otaczającego nas kapitalistycznego budownictwa. Jak politycznie nośne dzieło z dziedziny planowania i architektury mógłby dziś stać się formą krytyki i emancypacji? Jakie opozycyjne postawy, praktyki, strategie i koalicje można by sobie dziś wyobrazić i zrealizować? Nieprzypadkowo miejscem „Obozu Opozycyjnej Architektury" stał się budynek produkcyjny dawnej fabryki maszyn drukarskich w berlińskiej, robotniczej dzielnicy Wedding zamieszkanej głównie przez imigrantów pochodzenia tureckiego. W niej właśnie zorganizowano trzydniową komunę - eksperymentalną „wioskę" ze wspólną przestrzenią do pracy i miejscem do wypoczynku. Sypialnię zaprojektowaną przez studentów wydział architektury berlińskiej Akademii wzniesiono z 7000 niebieskich plastikowych skrzynek na butelki. Wspólnie przygotowywano również posiłki w prowizorycznej kuchni zaaranżowanej na dziedzińcu. Uczestnikami Kongresu byli zarówno architekci, jak i jej teoretycy, krytycy, dziennikarze, socjologowie oraz uczestnicy inicjatyw i grup artystycznych aktywne na polu krytyki współczesnej architektury komercyjnej, osoby zaangażowane w różne projekty społeczno - polityczne. W sumie przyjechało 100 osób z 16 krajów. Udział w nim był bezpłatny. Wszyscy uczestnicy musieli zaprezentować swe stanowisko, czym dla nich jest architektura opozycyjna. Obok kilku wykładów poświęconych takim tematom, jak „projektowanie bez architekta", przerostowi współczesnej architektury ekskluzywnej oraz potencjałowi i słabości projektowania, obóz w znacznej mierze wypełniły warsztaty, których stało się:

1. Opozycyjne zaangażowanie społeczne;
2. Opozycyjne koncepcje projektowania;
3. Opozycyjne strategie i interwencje.

Robocze grupy tematyczne zastanawiały się nad tym, w jaki sposób można odnieść się do współczesnej rzeczywistości społecznej? Jak można projektować architekturę krytyczną? W jaki sposób można przeprowadzać interwencje w otoczeniu? Grupy robocze pracowały nad takimi zagadnieniami, jak: alternatywny przemysł budowlany dla nowych klientów, system planowania otwartego i partycypacji, architektura jako forma protestu / oporu. Rezultaty obrad były sukcesywnie upubliczniane podczas wystaw. Organizatorzy nie taili swego lewackiego zaangażowania politycznego. Nad całością dominował szyld z sakramentalnym pytaniem Lenina „What can be done"? („Co robić?"). Uczestnicy Kongresu stawiali sobie pytania, w jaki sposób architekci mogą angażować się w politykę? W jaki sposób politycy mogą być dla nich użyteczni? Jaka byłaby rola polityków w architekturze i architektury w polityce?

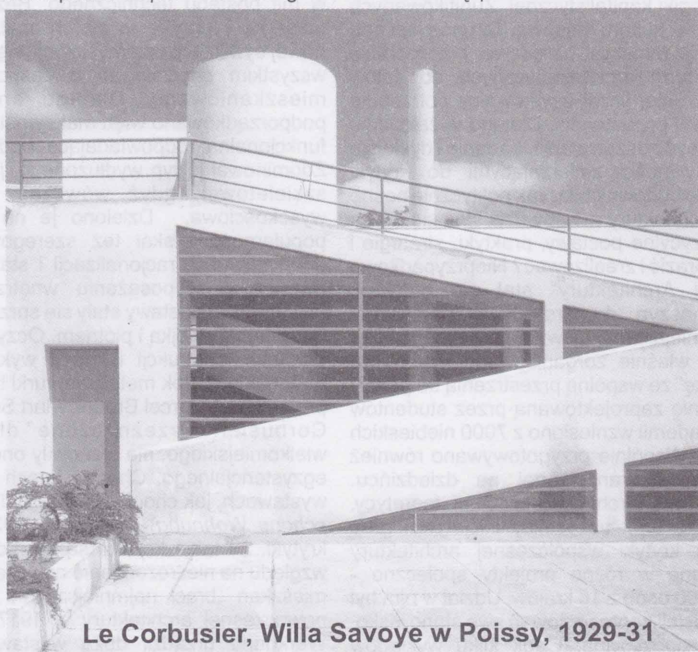
Służbę społeczeństwu, jak żaden inny kierunek artystyczny wpisała do swego programu awangarda. Polem, na którym miał się spełnić mit o nowym ładzie, stała się architektura modernistyczna. Zarówno w kręgach holenderskiej grupy De Stijl, niemieckim Bauhausie, w kręgu radzieckiego konstruktywizmu i Le Corbusiera we Francji, w polskim ugrupowaniu Blok, szukano możliwości oddziaływania na życie codzienne ludzi. I połowa XX wieku przyniosła radykalną zmianę estetyki, która została poddana funkcji i celowości. Po I wojnie światowej doszło do odrzucenia starych konwencji estetycznych oraz popularyzacji nowych idei dążących do nadania wszystkim konstrukcjom celowości i racjonalności, rezygnacji z dekoracji w myśl hasła Adolfa Loosa „ornament to zbrodnia" (1908). Modernistów pociągała przede wszystkim prostota i jasność, specyficzna koncepcja przestrzeni. „Gładkie powierzchnie, ostre krawędzie, wyraźne krzywizny, połyskliwe materiały, proste kąty, światło i cień, porządek - oto logiczny, geometryczny dom jutra" - tak zachwycał się francuski architekt Robert Mallet - Stevens w 1926 r. Architektura modernizmu zrodziła się z akceptacji modelu stechnicyzowanego świata. Stała się uosobieniem jego rytmu, pędu ku świetlanej przyszłości. Architekci europejscy zafascynowani hasłami futuryzmu: „miasto - masa - maszyna" uwierzyli w mit postępu technicznego. Bezkrytycznie ufni w zbawienie przez maszynę i fabrykę, w swych realizacjach wykorzystywali oni motywy nowej cywilizacji przemysłowej i sięgali po najnowsze materiały. Przede wszystkim chodziło im o zaspokojenie na masową skalę głodu mieszkaniowego. Dlatego architekturę stawianych dzielnic podporządkowano więc maksymalnej prostocie. Miała być ona prosta, funkcjonalna, odpowiadająca podstawowym funkcjom mieszkalnym. Zdominował ją typ wydłużonego, jednopiętrowego bloku o konstrukcji szkieletowej, gdyż wówczas nie istniała jeszcze zabudowa wysokościowa. Dzielono je na 2-poziomowe mieszkania. Wtedy popularność zyskał też szeregowy układ zabudowy. Dążenie do anonimowości, racjonalizacji i standaryzacji form daje się zauważyć również w wyposażeniu wnętrz. W meblarstwie symbolem tej nowatorskiej postawy stały się sprzęty z giętych rurek stalowych, często łączonej ze sklejką i płótnem. Oczywiście musiały one spełniać wymóg prostoty konstrukcji i być z wykonane tanich, ogólnie dostępnych materiałów. Obok metalowej rurki była to sklejka i płótno. Takie krzesła projektowali Marcel Breuer, Mart Stam, Ludwig Mies van der Rohe i Le Corbusier. Przeznaczone dla zamożnego społeczeństwa wielkomiejskiego, nie stanowiły one bynajmniej niezbędnego minimum egzystencjalnego. Choć w latach 20. pojawiały się na niezliczonych wystawach, jak choćby na „Tanim i ładnym mieszkaniu" (*Die billige und schone Wohnung*) w Berlinie (1929), podniosły się głosy ówczesnej krytyki, że takie krzesła są za drogie dla przeciętnego robotnika. Ze względu na niezrozumienie nowej estetyki trafiały raczej do salonów niż mieszkań „braci najmniejszych". Najważniejszym forum prezentacji nowoczesnej architektury w 1917 roku stał się Stuttgart. Deutsche Werkbund urządził dużą wystawę pod hasłem „Mieszkanie" (*Die Wohnung*), na której pokazano nowe materiały budowlane, technologie i projekty mieszkań. Do nich należało osiedle wzorcowe Weissenhof położone w dzielnicy Stuttgartu. Wzniesione w 1927 r., odsłoniło zupełnie nową filozofię mieszkania. Nowością stał się stalowy szkielet, który umożliwił dowolne modyfikowanie planu budynków i standaryzację elementów budowlanych. Berliński architekt Mies van der Rohe opracował plan jego przebudowy, dla którego przewidział 21 zgrupowanych różnych budynków mieszkalnych, wzniesionych przez 17 zaproszonych, czołowych



Le Corbusier, Pierre Jeanneret, Cahrlotte Periand - szezlong model Lc4 1928

ówczesnych, architektów europejskich, m.in.: Le Corbusiera, Josefa Franka, Jacobusa Johannesa Pietera Ouda, Marta Stama, Ludwiga Miesa van der Rohe, Waltera Gropiusa i Hansa Scharouna, którzy wnętrza wzbogacili zaprojektowanymi przez siebie meblami. Osiedle Weissenhof stało się kwintesencją stylu nazwanego wkrótce „międzynarodowym". Paradoksem jest to, że choć jego budowę sfinansowano w ramach realizacji nowego programu socjalnego, projekty wnętrz mieszkalnych przeznaczono jakby dla zupełnie nowego „człowieka wielkiego miasta".

Budowę i wyposażenie mieszkań dla najuboższych warstw społecznych zakładał też projekt *Habitation minimum* Le Corbusiera z końca lat 20., który uchodzi za najbardziej ortodoksyjnego funkcjonalistę. Zasady nowoczesnej architektury, które sformułował w 1915 r. i rozwinął w 1920 r. na łamach *L'Esprit Nouveau* oraz *Vers une Architecture*, pozwalały na standaryzację elementów budowlanych i mechaniczną konstrukcję. Zastosowanie szkieletu konstrukcyjnego budynku pozwalało uwolnić jego elewacje od funkcji nośnych, a podłużne okna osadzone na całej szerokości ściany - otworzyć bryłę na przestrzeń i światło. Potraktowanie dachu jako tarasu - ogrodu integrowało budowlę z otoczeniem. Wyróżniały je również płaskie dachy, białe ściany, ewentualnie niezwykle przemyślane stosowanie koloru, asymetria i elastyczność planu, równowaga pionów i poziomów w elewacjach, rozbicie budowli na szereg niewyróżniających się brył o zróżnicowanej kubaturze tak, że odsłania ona swe zróżnicowanie dopiero po jej obejściu. Dla zrozumienia doktryny Le Corbusiera kluczowe jest pojęcie „maszyny". Wypracował on holistyczną koncepcję, wedle której wyposażenie było fizycznie zintegrowane z całą tkanką budynku, natomiast architektura miała bezpośrednio wpływać na ludzkie zachowanie. Od 1920 roku na łamach pisma *Esprit Nouveau* głosił szokujące wszystkich hasła. - „Oto jest nowy duch konstrukcji i syntezy, które wynikają z jasnej koncepcji" - nawoływał. W 1921 roku wylansował słynną formułę: „Dom jest maszyną do mieszkania" stanowiącą podstawę jego ideologii. Niestety, 20 lat później stała się symbolem wszelkiego zła, które dziś niekiedy chciałoby się wyplenić. Wedle europejskich awangardzistów forma przedmiotów powinna wynikać z konstrukcji i technologii, dlatego dla Le Corbusiera meble były tylko narzędziami do pełnienia określonych funkcji. Nadając im jasną, czytelną konstrukcję, włączył je do kategorii „maszyn". Chyba najbardziej znanym meblem modernistycznym stał się szezlong zaprojektowany w 1928 roku przez mało dotąd znaną projektantkę Charlotte Perriand, sygnowany nazwiskiem Le Corbusiera i jego kuzyna Pierre'a Jeannereta. Jest on najczystszym wyrazem estetyki modernizmu wyrażającej się w poszukiwaniu prostoty i funkcjonalności.



Le Corbusier, Willa Savoye w Poissy, 1929-31

Jako gigantyczną maszynę Le Corbusier postrzegał również miasto. Odrzucając zastaną rzeczywistość, tradycję i kontekst lokalny postanowił stworzyć niczym *tabula rasa* całkiem nową metropolię. Jego *Plan Voisin* (1922) opracowany dla Paryża obejmował zniszczenie całego, starego centrum od Sekwany po dworzec Gare de l'Est, od Placu Republiki, po okolice Luwru. Na miejscu tym powstanie „miasto interesów, 20 drapaczy chmur po 300 metrów każdy. „Miasto rezydencji" będzie się rozciągać ku zachodowi, utworzone przez parcele do wynajęcia; podstawowe zabytki: Giełda, Opera, Plac Vendome, Pałac Elizejski ... zostaną zachowane." Pionowy podział miasta na strefy odpowiadający różnym strefom ludzkiej aktywności i połączenie ich ciągami dla pieszych Le Corbusier powtórzy w projekcie Promieniującego Miasta *La Ville Radieuse* - tzw. „Promieniującego miasta" (1930). Stał się jedną z najistotniejszych, ale i najbardziej kontrowersyjnych koncepcji urbanistycznych XX wieku. Tworząc model nowoczesnego miasta, Le Corbusier sięgnął po wcześniejsze, wizjonerskie założenia Tony Garniera i Antoniego Sant'Elii. To przede wszystkim wielopoziomowa struktura miasta. Projekt „Nowego miasta" (*La Cittta Nuova*; 1913-14) Sant'Elii, do którego odniósł się bezpośrednio, to futurystyczna wizja wyrastająca z umiłowania maszyny, ruchu i wielkich mas. Autor postrzega swe futurystyczne, industrialne miasto jako gigantyczną maszynę. Na rysunku pod dominującymi nad poziomem wieżowcami z żelbetu umieścił sieci telekomunikacyjne i elektroenergetyczne. To zrywające z tradycją rozwiązanie architektoniczne symbolizuje postęp i tempo życia. W inspirowanej nią bezpośrednio koncepcji *La Ville Radieuse* Le Corbusier wykorzystał podział miasta na strefy przebiegające w formie horyzontalnych, rozszerzających się pasów. Miały one odpowiadać zasadniczym sferom ludzkiej aktywności: mieszkalnictwu, rozwojowi przemysłu, komunikacji, trosce o zdrowie i uprawianiu sportu. Aby wyznaczyć miejsce dla terenów zielonych, wszystkie swe budynki architekt wznosił na filarach ponad poziomem gruntu. Poziomy w podziale miasta wyznaczyły ciągi dla pieszych przeprowadzone nad ulicami. Wizje Le Corbusiera, wpłynęły niezwykle silnie na powojenne planowanie miast, miały jednak podstawową wadę: poprawne funkcjonowanie miast zakładało ich gruntowaną przebudowę od podstaw. Zakrojone na szeroką skalę powojenne plany przebudowy ich przyczyniły się do cierpienia wielu ludzi. Dziś postrzegamy je jako nieludzkie i bezduszne. Wprowadzenie podziału strefowego w praktyce równało się wyburzeniu istniejących budynków niezależnie od woli mieszkańców. Oznaczało to poddanie ich życia skrajnej kontroli i wymazanie lokalnej historii.

Z dziedzictwa modernizmu i Lecorbusierowskiego myślenia o architekturze wyrósł popularny „blok" - kubiczna, monumentalna budowla z wielkiej płyty podzielona na szereg komórek. To ekstremalna forma „maszyny do mieszkania". Ten wielorodzinny wysokościowiec mieszkalny zastąpił pojęcie dawnego prywatnego lokalu mieszkalnego. Codzienne czynności poddano w nich skrajnej kolektywizacji. Jako stały element pejzażu miejskiego niesie liczne, raczej negatywne konotacje. Blok, czyli budowlana tandeta, degradacja wielkiej utopii architektonicznej: szarzyzna, obdrapane tynki, łuszcząca się farba, zasprayowane ściany. Obskurne windy. Anonimowość, wyobcowanie i rozpad więzi sąsiedzkich. Przestępczość. Zmonumentalizowane rozmiary, bezsensowna liczba krzywo wstawionych okien, nieskończone ciągi korytarzy. Monotematyczne pejzaże blokowisk. Wzniesioną przez Le Corbusiera słynną „Jednostkę Mieszkalną" w Marsylii (1947-52) stanowi blok o 337 bliźniaczych lokalach dla 1600 mieszkańców. Program funkcjonalny wzbogacił dodatkowo wewnętrzny pasaż handlowo - usługowy oraz urządzenia rekreacyjne umieszczone na dachu. Budowla o szkieletowej żelbetowej konstrukcji przytłacza swym ogromem, jednak. uniesienie nad ziemią na masywnych podporach nadało jej lekkości. „Podstawą jest standard" - napisał Le Corbusier w *Urbanisme*, Złożona z modułów siatka, stała się emblematem nowoczesności i podstawą myślenia awangardzistów, jednak tu standaryzację architekt doprowadził niemal do absurdu. Na frontonie słynnej Jednostki Mieszkaniowej w Marsylii umieścił płaskorzeźbę postaci męskiej nazwanej „Modulorem", która stanowiła przeprowadzone przez niego studium proporcji. Zdaniem Le Corbusiera mężczyzna ten był uosobieniem harmonii. To właśnie od niego wywiódł wszystkie skale zastosowane w budynku. Postać „Modulora" wyznacza nie tylko proporcje ciała ludzkiego, ale i mniejsze skale, oparte na złotym podziale odcinka. Wzrost mężczyzny wynosi 183 cm, z uniesionym ramieniem - 226 cm. Podzielony zgodnie ze złotym podziałem daje 113 cm, co stanowi zarazem połowę wysokości z uniesioną ręką. Z prawej strony mężczyzny znalazły się dwa ciągi pomiarów - jeden to podziałka wysokości z uniesioną ręką, drugi wzrostu mężczyzny - podzielonych w malejącym ciągu zgodnie ze złotym podziałem odcinka. Podobne budowle Le Corbusier wzniósł jeszcze w 4 innych miastach, wpisując je w koncepcję *Cite Radieuse*. Autorytarne myślenie Le Corbusiera o planowaniu przestrzennym wynikała z jego przesadnie optymistycznej oceny ludzkości i bezkrytycznej akceptacji ówczesnych przemian technicznych. Kariera blokowisk w XX wieku zakończyła się wraz ze zmierzchem estetyki modernizmu. Jednak bloki stoją i wryły się we współczesny pejzaż. W Polsce w osiedlach z wielkiej płyty żyje blisko połowa mieszkańców. Architektura wielkopłytowa jako niezbyt wygodne dziedzictwo prowokuje więc do dyskusji: czym są dla nich blokowiska i ich tożsamości? W jaki sposób ludzie zamieszkujący niezliczone, drobne komórki dzielące masywną, prostopadłościenną bryłę reagują na ich architekturę? W jaki sposób spędzają czas? Czym są więzi towarzyszące życiu w swoistej blokowej społeczności?

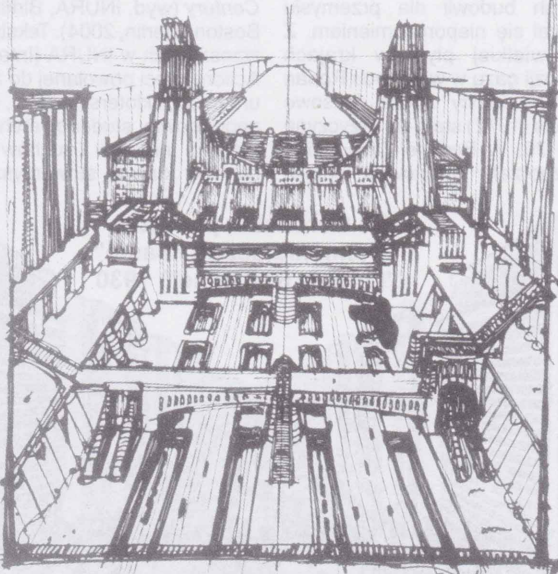
Na przełomie lat 20. i 30. „styl międzynarodowy" zaciążył prawie w każdym miejscu na myśleniu o architekturze (nazwy tej użył po raz pierwszy krytyk Alfred H. Barr w recenzji albumu *Internationale Architektur* Waltera Gropiusa z 1924 roku. Utrwalili ją Henry Russel Hitchock i Philip Johnson wystawą *Internationale Style - Architecture Since 1922*, która w 1932 roku odbyła się w Muzeum Sztuki Nowoczesnej (MoMA) w Nowym Jorku.). W 1928 r. na zamku La Sarraz

w Szwajcarii odbył się pierwszy Congres Internationaux d'Architecture Moderne (CIAM). Nadał on też nazwę instytucji istniejącej do 1956-57 roku, która zmieniła myślenie architektów XX wieku - zbiorowe manifestacje w formie międzynarodowych konkursów. Modernizm zunifikował architekturę wielu miast. Czy nie był on zatem pierwszą zapowiedzią globalizacji, zmory prześladującej współczesność? To niebezpieczeństwo „nowej architektury", jakim było tworzenie jedynie użytecznych, znormalizowanych przestrzeni, zostało dostrzeżone bardzo wcześnie. Le Corbusier zajął się zbiorowością, a nie indywidualnością. W swych koncepcjach urbanistycznych nie przewidział on miejsca na prywatność, emocje. Jego_idee zostały zawłaszczone przez innych architektów i życie ludzi pogorszyło się.

Zdaniem jego krytyków modernizm wydał architekturę niepraktyczną, niezindywidualizowaną. Jej twórcom zarzucano lekceważenie indywidualnych potrzeb mieszkańców. Z czasem na skutek niezrozumienia przez odbiorcę idealistyczny projekt architektonicznego modernizmu uległ więc degradacji. W artykule napisanym w 1932 roku, gdy popularność europejskiego funkcjonalizmu sięgnęła szczytu, nazywając się „stylem międzynarodowym", amerykański architekt Frank Lloyd Wright napisał trafnie: „(...) Twórcza architektura może powstać tylko dla indywidualnego człowieka. Forma „stylu" głoszona przez „międzynarodowych" to zabicie, w imię dyscypliny, twórczych zdolności jednostki. Jeśli nawet nie jest to zamierzonym celem, to zawsze jest skutkiem." Wright twierdził, że „tyle jest domów, ile ludzi". Według niego dom winien odzwierciedlać osobowość mieszkańca, zapewniać mu poczucie bezpieczeństwa i kontakt z przyrodą. Jak mawiał, sam projektował „architekturę organiczną". Jego domy to „żywe organizmy przeniknięte duchem poezji." Odrzucił w nich wszelki rygoryzm i ślepe poddanie formy wymogom technologii. Czerpał dowolnie z przeszłości i kultur pozaeuropejskich. Przejawiło się to w słynnych domach prerii, inspirowanymi japońskimi domami, znanymi z licznych podróży. „Styl międzynarodowy jest totalitaryzmem" - powiedział Frank Lloyd Wright.

Dogmatyzm funkcjonalizmu najdobitniej skrytykowano w 1956 r. podczas X kongresu w Dubrowniku. Skończył się on rozpadem CIAM. Formy awangardy zużyły się. Przeszły do historii wraz ze śmiercią „wielkich" funkcjonalizmu - Le Corbusiera i Miesa van der Rohe. W 1964 roku Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku zaprezentowało wystawę „Architektura bez architekta" (*Architecture without Architects*), na której znalazły się tak różne mieszkania ludzi, jak szałasy, ulepione z gliny chaty afrykańskie i z Bliskiego Wschodu, domy drewniane z Europy i Azji, a nawet imponujące konstrukcje z kopalni soli w Wieliczce. Christopher Alexander, autor książki *Notes on the Synthesis of Form* („Notatki o syntezie formy") uznał, że formy architektury stosowane przez kultury prymitywne niosą szczególnie głębokie treści. Wyrosły bowiem z konkretnego kontekstu kulturowego. Ukształtowały się w drodze powolnego, organicznego rozwoju. G. Cullen w swej książce *Townscape* („Trzon miasta") w opozycji do organizującej urbanistykę miast „Karty Ateńskiej" opracowanej przez Le Corbusiera, Hilbersheimera i innych architektów twierdzących, że „kręte ulice są przyczyną tego, że miasta zamierają, a klasy rządzące są obalane" (sic!), ułożył katalog rozmaitych sytuacji wyrastających z tkanki miasta średniowiecznego, które jego zdaniem warto kontynuować: załamaną, pełną niespójności zabudowy z malowniczymi uliczkami, nieregularnymi placami. W imię poprawy warunków życia ludzi moderniści uszczęśliwiali ich sterylną, poddaną skrajnej standaryzacji architekturą funkcjonalną. Była ona anonimowa i zionęła chłodem. W imię postępu społecznego likwidowali slumsy, wszelkie przejawy niedostatku i nędzy. Tymczasem Jacob opisała rewaloryzację dzielnicy biedoty North End w Bostonie, którą ku zadowoleniu mieszkańców z czasem zamieniono w zadbaną, chętnie odwiedzaną część miasta. „Zamiast niewygód, brudu i nieładu, otrzymaliśmy nudę higieny. Substancja ruder znikła - na przykład w Holandii tak się stało - ale co je zastąpiło? Mila za milą zorganizowanego, nigdzie i nikt już nie czuje, że jest kimś, kto gdzie mieszka" - powiedział o modernizmie jeden z jego krytyków, holenderski architekt Aldo van Eyck w 1956 r. Podobnie, jak inni młodzi przedstawiciele tego zawodu, tj.: Jacob Bakema, Georges Candilis, Alison i Peter Smithsonowie, a z Polski - Jerzy Sołtan - zwrócili się ku tradycji lokalnej. Odchodząc od techniki zainteresowali się budową systemów otwartych, podatnych na potrzeby mieszkańców. Jakość ich życia miała podnieść dbałość o detal i piękno materiałów. Hasło „forma wynika z funkcji", które legło u podłoża awangardy XX wieku, przemianowali na „forma wynika z kultury". Z kolei Jane Jacobs, autorka książki *Life of Great American Cities* współczesne miasto potraktowała jako niejednolity, pełen sprzeczności organizm. Jej zdaniem moderniści, którzy chcieli projektować domy dla „nowego człowieka", o okaleczonych potrzebach psychicznych, nie umieli uwzględnić tego bogactwa. Zniszczyli bogactwo przestrzeni publicznej z ulicami, placami i ogrodami stawiając bloki luźno rozrzucone w otwartej przestrzeni. Twórcy awangardowej utopii uniwersalnego „stylu międzynarodowego" lekceważyli to, co lokalne, wyrastające z tradycji, budzące emocje.

Antonio Sant'Elia, plan "Nowego Miasta" ("Citta Nuova") 1913-14



Sposób postrzegania architektury, która musiała odpowiadać wymogom trwałości i materialnego prestiżu, zmienił się całkowicie na fali rewolty kulturalnej lat 60. Organizacja przestrzeni mieszkalnej i otoczenia niekoniecznie musi być domeną architekta. W szczególności - tego kierującego się dogmatami modernistycznego funkcjonalizmu, który zaczął gwałtowanie tracić zaufanie społeczne. Jak zatem można budować „bez architekta"? - zastanawiano się. Poszukując alternatywnych budowli nonkonformiści zwrócili się ku wszelkim formom architektury marginalnej, efemerycznej, tymczasowej, nietrwałej, ulotnej, ubogiej. Jej zwolennicy świeżym okiem spojrzeli na tworzywa, dotychczas lekceważone przez profesjonalistów. Jej podstawą stały się tanie, banalne materiały z odzysku. Szkielety budowli konstruowano z bali tworzących ogrodzenia, do których przybijano arkusze blachy. Pozyskiwano ją często z pociętych palnikiem, wygładzonych karoserii samochodowych lub porozkładanych, rozpłaszczonych baniek. W przeciwieństwie do oficjalnej nowa „architektura marginalna" twórczo wykorzystała niedocenione pomysły Buckminstera Fullera, jak choćby pojazd „Dymaxion". „Architektura oparta na mobilności i płynności mogłaby dać ludziom wolność" - napisał autor dzieł o futurystycznym wyglądzie. Hipisowskie komuny przyswoiły sobie przede wszystkim adaptowane na potrzeby mieszkalne wehikuły, autokary, mikrobusy i furgony pomalowane jaskrawymi kolorami, przywodzące indiańskie i kolumbijskie autobusy sprzyjały ulubionemu, koczowniczemu trybowi życia, przemieszczaniu się i beatnikowskiemu „byciu w drodze". Przykładem takiego niekonwencjonalnego domu może być samochód - furgonetka (około 1970) z nadbudowaną dwupiętrową chatką pokrytą cedrowym gontem. Nawiązująca do form tradycyjnego, prostego budownictwa, idealnie parodiuje hasło „home sweet home". Twórcy architektury marginalnej w znacznej mierze pozostali anonimowi. Wyjątkiem jest Chris Roberts, który w swych pełnych ekspresji realizacjach inspirował się architekturą azjatycką. Nie istniejąca już „Madonna" z osady wodnej Sausalito w Waldo Point koło San Francisco z końca lat 60. to unikalna, przypominająca katedrę, strzelista konstrukcja o wysokości 30 m., którą utworzyły płyty pozyskane ze stoczni. Wbrew mieszkańcom Waldo Polint przeciwnym założeniu osady wodnej władze Kalifornii uznały ją za dzieło sztuki, lecz wkrótce później pochłonął ją pożar. Spłonął również niezwykły „Dom Luster" Clarence'a Schmidt'a, który na wysokość siedmiu pięter stanął na wzgórzu Woodstock (1948-71). Do jego konstrukcji wykorzystano drzwi i okna z odzysku. Utworzyły one bezładny konglomerat mieszkań o zindywidualizowanym obliczu, oddających upodobania ich właścicieli. Za przykład poszukiwania nowych materiałów i technik budowlanych można również uznać dom z poliuretanu wzniesiony przez Tao Design Group w Austin w stanie Teksas około 1970 roku. Wstrzelenie materiału za kratę zbrojoną, pozwoliło mu nadać fantastyczne formy, przywodzące na myśl te znane z utopii architektonicznych niemieckich ekspresjonistów: Ericha Mendelsohna i Hermana Finsterlina. Z prefabrykatów sprzedawanych w supermarkecie dom w Monachium zbudowali również Doris i Ralph Thut (1972). Nowa, kontestatorska architektura wyrosła z potrzeby odpowiedzialności bezpośrednio zainteresowanych za swe otoczenie. Była ona wyrazem buntu wobec prób autorytarnego organizowania przestrzeni przez wszechwiedzącego architekta - demiurga, która nie odpowiadałaby ich potrzebom. Zaproszenie przyszłych mieszkańców do projektowania, samodzielnego budowania i organizowania sobie miejsca do życia i pracy, interesowało również Luciena Krolla. Chętnie sięgając po standardowe prefabrykaty budowlane trudnił się on doradztwem w zakresie samodzielnego opracowywania projektów. Wprowadziwszy pojęcie „partycypacji" odrzucającej arbitralne kształtowanie budowli zgodnie z upodobaniami architekta, zajął się

rewaloryzacją modernistycznych osiedli, z których uciekli mieszkańcy. W kształtowaniu formy mieszkania ośrodka uniwersyteckiego Louvain, w Wolwe - Saint - Lambert w Belgii (1970) współpracował ze swymi studentami. Miała ona odpowiadać założeniom „systemu otwartego”, w którym „żadne miejsce nie jest ważniejsze od drugiego”. Zdaniem Krolla podstawowym założeniem tej architektury było to, że „każdy mieszkaniec jest osobą różną od sąsiada i chce odzwierciedlać tę rozmaitość.” W jedną całość łączyć miały się dachy, piętra, balkony i sutereny budowli oraz nieciągłe, poprzerywane schody, przywodzące na myśl dzikie ścieżki. Fasady budynków campusu Louvain oddających preferencje estetyczne każdego, zaproszonego do projektu mieszkańca utworzyły dość niespójny kolaż. Z uwagi na zdezintegrowaną, niespójną jej formę krytycy budowli okrzyknęli ją przykładem „anarchitektury”, a jego samego uznano za niebezpiecznego wywrotowca - „anarchistę”. (*)

Idei „partycypacji”, tak różnej od doktryny modernizmu, odpowiada też przebudowa starego osiedla robotniczego Byker w Newcastle w Anglii kierowana przez Ralpha Erskina w 1972 roku. Prowadząc długie debaty z mieszkańcami, umożliwił im wybór lokalizacji, plan i sąsiedztwo mieszkania. Odrzucił przy tym koncepcję zburzenia całości dzielnicy, pozostawiając kilka starych budynków. Podkreślmy, iż przeciw architekturze modernistycznej - skrajnej formie ingerencji w życie mieszkańca i uszczęśliwiania go na siłę, z początku zaprotestowali nie teoretycy, ale całe społeczności lokatorów. Kształtowane zgodnie z dyrektywami CIAM fragmenty zabudowy miejskiej nie sprzyjały budowie więzi międzyludzkich. Mieszkańcom nie odpowiadało skoszarowanie w „jednostkach promiennego miasta”. Narzucenie im jednego typu skolektywizowanego mieszkalnictwa i odcięcie ich w bloku na peryferiach miasta nie mogło się powieść. Nic więc dziwnego, że „jednostki mieszkalne”, w latach 50. wzniesione przez Le Corbusiera w kilku miejscowościach na południu Francji nigdy w pełni nie zasiedlono, a w „Jednostce Marsylskiej” nie użytkowano urządzeń rekreacyjnych na dachu i pasażu handlowego. W Nantes nie wyburzono jej tylko ze względu na wysokie koszty. Przykład degradacji wielkiej utopii architektonicznej - kombinat betonowych budowli dla przemysłu turystycznego w Zatoce Marsylskiej okazał się nieporozumieniem. Z pogardą spotkały się blokowiska z wielkiej płyty w krajach postkomunistycznych. Po tragicznej eksplozji gazu w wieżowcu Ronan Point we wschodnim Londynie (1968) mieszkańcy uciekli. Masowe opuszczenie osiedla Purrit Igore w St. Louis (1972) stało się przyczyną jego wysadzenia w powietrze. W latach 70. W Berlinie Zachodnim, Amsterdamie, Londynie i Brukseli rozgorzała gwałtowna batalia mieszkańców domagających się od władz rewaloryzacji starych dzielnic, pozostawienie oryginalnej zabudowy.

Również kongres w Berlinie przyniósł więcej pytań niż odpowiedzi. Podczas warsztatu poświęconego zaangażowaniu społecznemu uczestnicy zadawali sobie pytanie, w jaki sposób można wypracować „architekturę opozycyjną”? Jak odnosić się do klientów i kontaktować się z użytkownikami? W jaki sposób pozyskiwać wiedzę? Jak odnosić się do kwestii praw własności? Jakie badania należy wykonać, by pozyskać wiedzę będącą bazą dla opozycyjnej architektury? Jak być „opozycyjnym” w świecie współczesnego kapitalizmu? W jaki sposób przeciwstawiać się rzeczywistości rynkowej i pracować poza nią? - niestety, tego się nie dowiedziałam. Co z praktyką nielegalną i subwersją? Jak kontynuować tworzenie opozycyjnej architektury, kiedy obiekt już powstał? Czy może być ona trwała, czy mieć charakter tymczasowy? Należy zmienić system, czy wypracować zupełnie nowy? Jak tworzyć wspólne przestrzenie i współpracować? - niestety, te pytania pozostały bez odpowiedzi. „Obóz Architektury Opozycyjnej” w Berlinie zakończył się spisaniem "Karty Obozu Architektury Opozycyjnej". W wersji wstępnej została ona opublikowana na stronie internetowej „An Architektur” (www.anarchitektur.com), poddana ponownej lekturze i dyskusji. Oto jej punkty:

„Nie powinniśmy szkodzić”

„Powinniśmy walczyć z wszystkimi objawami wykluczenia i wyzysku”

„Należy brać pod uwagę zbiorową pamięć i kontekst lokalny”

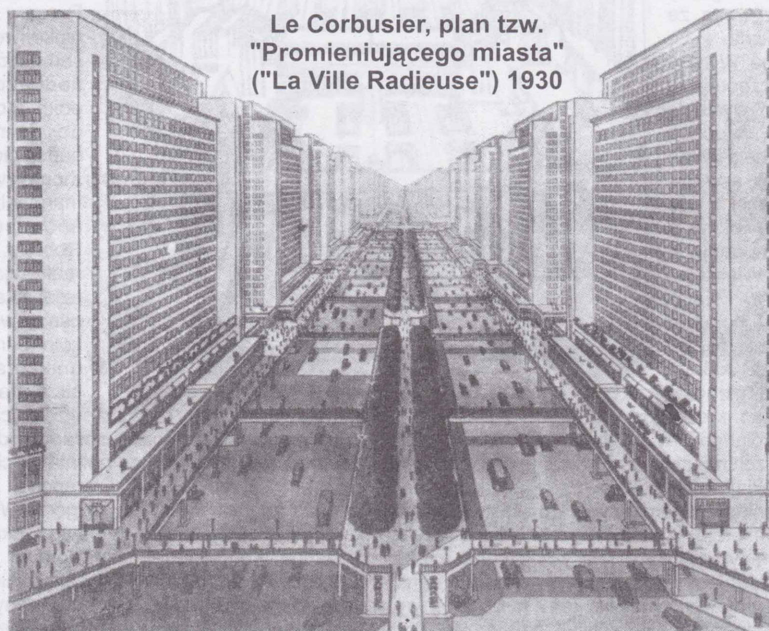
„Powinniśmy rozwijać krytykę kapitalistycznych i autorytarnych form produkcji i użytkowania otoczenia”

„Interweniujemy tworząc przestrzeń wykorzystując wiedzę, społeczno-polityczne zaangażowanie, proces planowania i budowania”

„Jednostkom i grupom społecznym zaangażowanym w zmagania zmierzające do przekształcenia ich otoczenia pragniemy służyć radą i oferować usługi.”

Organizatorzy i znaczna część uczestników kongresu nie taiło swej interwencjonistycznej postawy wobec zastanej rzeczywistości i potrzeby aktywnego jej zmieniania. Ich znaniem definicja postępu „zostanie wypracowana w procesie radykalnej demokracji”. Tymczasem współczesne miasto nie jest jednorodnym organizmem ani „maszyną”. To złożony, niespokojny, zmieniający się kompleks, w którym ścierają się różne sposoby życia, kultury, języki. Współczesna *metropolis* zostaje zdominowane przez różnych „aktorów”. Ścierają się w nim siły, które roszczą sobie prawo do życia, pracy i zabawy. Wydaje się zupełnie niepodatne na formy opisu zaproponowane w Berlinie. Modernistyczny, doktrynerski język się przeżył. Na obozie, na który w dużej mierze złożyły się przeintelektualizowane, jałowe dysputy, zabrakło praktycznych rozwiązań „tu i teraz”. Zlekceważono kontekst lokalny. Rację miał więc jeden z uczestników kongresu, który powiedział, że nie zacznie żadnych warsztatów bez przechadzki (*walking tour*) po najbliżej okolicy. Najbardziej autentyczną formą „architektury opozycyjnej”, jaką zobaczyłam włócząc się po Berlinie, był ustawiony „na dziko” wagenburg, „przytulony” do placu budowy w okolicach Kunstalle Bethanien. Do refleksji nad niejednorodną przestrzenią miejską zmusiła też seria „interwencji” przeprowadzona przez jedną z grup warsztatowych. Wykorzystała ona owe niebieskie, plastikowe skrzynki organizujące halę przeznaczoną do spania. Ustawienie ich na chodnikach, na skwerze między dwupasmową, ruchliwą jezdnią, wznoszenie z nich barykady zagradzającej zejście do stacji metra przypominało słynne „gry” sytuacjonistów, które miały wprowadzać zamieszanie (*detournement*) i zmieniać kontekst w pozornie znanej przestrzeni.

Współczesne miasto widziane jako przestrzeń różnorodnych sporów i konfliktów (ang. *the contested metropolis*) zostało również opisane w książce *The Contested Metropolis. Six Cities at the Beginning of the 21st Century* (wyd. INURA, Birkhäuser Publishers for Architecture, Basel - Boston - Berlin, 2004). Teksty przygotowała grupa osób z różnych krajów zrzeszonych w INURA (International Network for Urban Research and Action), sieci powołanej do życia w Szwajcarii w 1991 r. Należą do nich urbaniści, skłotersi, artyści, aktywiści starszego i młodszego pokolenia, geografowie, studenci, architekci, lokalni urzędnicy miejscy, uczestnicy różnych inicjatyw i ruchów społecznych, socjolodzy oraz członkowie centrów kultury, stowarzyszeń i organizacji, którzy „sprzeciwiają się globalnemu kapitalizmowi, wyzyskowi, seksizmowi, rasizmowi, konsumeryzmowi i zainteresowanych ich zmianą”. Na przykładzie sześciu metropolii zachodniej Europy: Berlina, Brukseli, Florencji, Londynu, Toronto i Zurychu opisali serię epizodycznych happeningów i zdarzeń, które można zauważyć w kontekście transformacji przestrzeni miejskiej. Uważają, że na nowo trzeba zdefiniować kwestię tożsamości miasta i nadać mu płynne, otwarte znaczenie. Autorzy, Sandercock i Magnaghi, którzy postawili sobie wyzwanie, jakim było głębokie wniknięcie w społeczeństwo, w książce swej skupili uwagę na tym, co stało się w miastach, które bezpośrednio należą do swych mieszkańców, na znaczeniu lokalnych akcji rozgrywających się w przestrzeni miejskiej. Obaj wskazali na potrzebę jej demokratyzacji poprzez bezpośrednią odpowiedzialność wszystkich współuczestników przestrzeni, również tych marginalizowanych, za proces transformacji społeczeństwa. W przeciwieństwie do modernistów przekonują, że nie ma jednego, idealnego typu organizacji życia miejskiego. Opowiadają się za różnorodnością. Intencją autorów stało się odrzucenie społeczeństwa, miasta i metropolii, które są chore, niesprawiedliwe i złe zarówno dla ludzi, jak i natury, lecz ich zdaniem „utopię” tę można wcielić w życie na drodze ciągłego procesu. Okazuje się, że nowy, lepszy świat jest możliwy „tu i teraz”.



Le Corbusier, plan tzw. "Promieniującego miasta" ("La Ville Radieuse") 1930

Przypis:

(*) Por. artykuł „Anarchitektura”, oprac. Rafał Górski, (w:) „A-tak” pismo anarchistyczne, nr 6, ss. 10-13

DLACZEGO MARKSIZM NIE STANOWI ALTERNATYWY DLA KAPITALIZMU?



Dr Rafał Wieniawa

Pojęcie *alternatywa* ma trzy podstawowe znaczenia. Po pierwsze, w nauce formalnej zwanej logiką mówi się o alternatywie w sensie związku pomiędzy dwoma zdaniami (p, q). Alternatywa logiczna zachodzi wtedy, gdy z pośród dwóch powiązanych ze sobą zdań, choć jedno zdanie jest zdaniem prawdziwym (p lub q (p v q)). Po drugie, mianem alternatywy określa się sytuację wymagającą wyboru między dwiema wyłączającymi się możliwościami*. Po trzecie, w polityce (gospodarce) używa się pojęcia *alternatywa* w odniesieniu do poglądów polityczno-ekonomicznych, których praktyczne zastosowanie ma wytworzyć nową jakość życia społecznego, przemienić stary system polityczno-gospodarczy w nową rzeczywistość. Pewne poglądy polityczne i idący w ślad za nimi sposób zorganizowania życia społecznego są zatem wtedy alternatywą, gdy stanowią przeciwieństwo zastanego systemu, różnią się od niego w sposób zasadniczy, istotnie przemieniając życie społeczeństwa. W tym znaczeniu pojęcie *alternatywa* szczególnie wyraźnie nawiązuje do łacińskiego słowa *alter*, od którego zresztą pochodzi, *alter* znaczy bowiem tyle, co *inny*. Alternatywą nie jest więc program polityczny, który modyfikuje zaledwie zastany system, dokonuje większych lub mniejszych reform w jego obrębie, przejmując jednak paradygmat polityczny, na jakim opiera się ów system. Obecnie sporo ugrupowań i grupek politycznych lubi określać swój program mianem *alternatywy*, a nawet używać słowa *alternatywa* w nazwie swej organizacji, choć w gruncie rzeczy poglądy reprezentowane przez te ugrupowania są jedynie pewnym wariantem programu opartego na zasadach demokracji parlamentarnej i ekonomii kapitalistycznej. Z powyższego wynika, iż pojęcie *alternatywy* jest w polityce nadużywane.

Jesteśmy ostatnio świadkami, jak wraz z rozwojem ruchu antyglobalistycznego nastąpiło ożywienie radykalnych grup lewicowych, przyznających się z dumą do wyznawania poglądów marksistowskich. W przekonaniu ludzi należących do owych ugrupowań marksizm jest alternatywą dla obecnego systemu polityczno-ekonomicznego. Warto zatem zastanowić się jak jest naprawdę, postawić pytanie, czy marksizm stanowi alternatywę dla kapitalizmu i demokracji parlamentarnej? Jeśli marksizm jest alternatywą, powinien w sposób zasadniczy zmienić paradygmat polityczny, na którym wspiera się obecny system, odrzucić sposób myślenia charakterystyczny dla kapitalizmu. Istotnie, pod wieloma względami marksizm różni się od ideologii głoszonej przez rzeczników kapitalizmu, wydaje się wszakże, iż w marksizmie tkwią pewne koncepcje, które każą zapytać, czy różni się on na tyle, aby stanowić rzeczywistą alternatywę dla obecnego systemu. W artykule niniejszym postaram się wskazać kilka marksistowskich koncepcji, które stawiają pod znakiem zapytania alternatywny charakter myśli marksistowskiej.

1. Historiozofia.

Po 1989 roku wśród rzeczników kapitalizmu pojawiło się przekonanie, że wraz z załamaniem się ustroju „realnego socjalizmu" w Związku Radzieckim i w państwach zależnych od niego oraz wejściem owych państw w strefę gospodarki kapitalistycznej nastąpił *koniec historii*. Za sprawą rozkładu bloku państw socjalistycznych świat wkroczył w erę całkowitej dominacji kapitalizmu, który okazał się jedynym systemem zgodnym z oczekiwaniami ludzkości. Wszelkie przeciwstawne do kapitalizmu poglądy na urządzenie gospodarki (i społeczeństwa) znalazły się na śmietniku historii. Walka pomiędzy kapitalizmem, a ideologiami mu przeciwnymi skończyła się, skończyły się mrzonki o możliwości stworzenia gospodarki innej niż kapitalistyczna. Historia ludzkości rozpłynęła się w radosnej konsumpcji towarów wytwarzanych przez gospodarkę kapitalistyczną i nie sposób nawet pomyśleć, aby ten stan rzeczy uległ kiedyś zmianie. Do takiej wizji historii przekonują nas codziennie - mniej lub bardziej otwarcie - tabuny neoliberalnych polityków i ekonomistów, wpajając w ludzi przekonanie, iż obecny system jest **naturalnym i koniecznym** zwieńczeniem ewolucji gatunku *homo sapiens*. Wszyscy ci, którzy mają odmienne od nich zdanie są marginalizowani przez kreujące rzeczywistość media, przedstawiani jako relikt zeszłej epoki i przykre przypomnienie o niedawnej niedoskonałości świata. Jak więc widać kapitalistyczni ideolodzy zwiastując nastanie na świecie Wiecznego Królestwa Kapitalizmu, wykazują się myśleniem **ahistorycznym** w odniesieniu do przyszłych losów ludzkości. Ów ahistoryczny błogostan, w którym pogrążyło się konsumpcyjne społeczeństwo zachodnie, zmąciły wystąpienia antyglobalistów oraz atak na USA 11września 2001 roku, ponieważ zdarzenia te ukazały, że na świecie istnieją spore grupy ludzi, które mają ochotę w ten czy inny sposób uderzyć w Królestwo Wieczne Kapitalizmu, a co za tym idzie, tworzyć nadal historię. Możliwość dalszego trwania historii jest dla ideologów kapitalistycznych i konsumpcyjnego społeczeństwa wielkim szokiem i odbierana bywa niemal jako świętokradztwo, a walka z przeciwnikami Królestwa Wiecznego przedstawiana jest przez przynajmniej niektórych polityków (na czele z Bushem) niemal w kategoriach religijnych (odwołania do Boga, walki dobra ze złem itp.).

Zapoznając się z historiozofią marksistowską odkrywamy, iż również w niej pojawia się myślenie **ahistoryczne**, a to oznacza, że ahistoryczne myślenie jest wspólne dla marksizmu i współczesnych ideologów kapitalizmu, tyle tylko, iż zamiast Wiecznego Królestwa Kapitalizmu marksizm obwieszcza rychłe przyjście Wiecznego Królestwa Komunizmu. Marks uważał, iż nastanie komunizmu jest dziejową **koniecznością.** Jego zdaniem zarówno świat przyrody, jak i historia ludzkości rozwija się według prawideł dialektyki, które w sposób nieunikniony prowadzą do powstania społeczeństwa komunistycznego.

Termin *dialektyka* pojawił się pierwotnie w filozofii Platona i oznaczał platońską metodę dowodzenia tez filozoficznych, zwaną przez współczesnych logików *metodą przypadków przeciwnych*. Metoda ta polega na wygłoszeniu pewnej tezy, a następnie na zanegowaniu jej za pomocą zdania zwanego antytezą. Teza i antyteza ścierają się ze sobą, ale jednocześnie również łączą, dając syntezę, czyli nowe twierdzenie obejmujące sobą tezę i antytezę, synteza z kolei staje się w dyskusji naszą nową tezą, która w stosunku do wcześniejszej tezy jest na wyższym stopniu zaawansowania poznawczego. Oczywiście nowej tezie również można przypisać antytezę, co prowadzi do powstania nowej syntezy...itd. itp. Proces dowodzenia dialektycznego trwa aż do osiągnięcia tezy, której prawdziwość jest niepodważalna. Reprezentant niemieckiego idealizmu filozoficznego Georg W. F. Hegel przeniósł prawa platońskiej dialektyki ze sfery logiki na sferę bytu, twierdząc, iż prawa rozwoju i przemiany świata są prawami dialektyki. Świat rozwija się w skutek ścierania się i łączenia ze sobą przeciwieństw, tworzących wyższy stopień ewolucji kosmosu, w efekcie czego wszechświat, a wraz z nim człowiek, osiągną kiedyś stan doskonałości, pełni, stan, w którym sprzeczności zostaną wchłonięte przez totalność Absolutu. Marks przejął od Hegla pogląd o dialektycznej(a więc także logicznej) naturze rzeczywistości, negując jednak heglowski idealizm. Według Hegla prawa dialektycznego rozwoju kosmosu są tożsame z prawami zawartymi w rzeczywistości duchowej, z której wywodzi się świat materialny, nazwanej przez Hegla Ideą, Logosem, Intelektem, Absolutem, Pojęciem. Zachodząca według

praw dialektyki ewolucja przyrody i społeczeństwa jest zatem wynikiem rozwoju duchowej zasady rzeczywistości, która wcieliła się w przyrodę i ludzkość.

Marks - w przeciwieństwie do Hegla - za jedyną zasadę rzeczywistości uznał materię, a heglowską koncepcję ducha manifestującego się w przyrodzie i historii człowieka traktował jak burżuazyjną mitologię. Materialistyczny filozof uznał jednak, iż ewolucja materii odbywa się według praw dialektyki. Na skutek ścierania się i syntetyzowania ze sobą przeciwieństw materia ewoluuje ku coraz większej złożoności, wydając z siebie życie, a w końcu człowieka myślącego. Ludzie z kolei zaczynają tworzyć historię, która - podobnie jak rozwój przyrody - podlega prawom dialektyki zapisanym w materii, a zatem także prawu ścierania się i syntetyzowania ze sobą przeciwieństw. Historyczne państwa niewolnicze wyłoniły z siebie dwie sprzeczności - posiadaczy niewolników i ludzi zniewolonych. Syntezą powstałą z owych przeciwieństw było społeczeństwo (państwo) feudalne, w którym doszło do podziału na panów (szlachetnie urodzonych) i poddanych. Część poddanych zajmując się handlem i wytwórczością zaczęła akumulować kapitał stając się burżuazją. Pomiędzy burżuazją a klasą feudałów (arystokratów) zachodzi sprzeczność interesów, która prowadzi do starcia pomiędzy tymi klasami (rewolucja burżuazyjna) i zarazem powstania kolejnej syntezy, jaką jest państwo kapitalistyczne. Kapitalizm rodzi wszakże kolejną sprzeczność; otóż na arenie historii pojawia się klasa robotnicza, której siła robocza wykorzystywana jest przez kapitalistów do pomnażania ich kapitału. Ze starcia pomiędzy kapitalistami a ludźmi pracy (rewolucja proletariacka) wyjdzie zwycięsko klasa robotnicza, która wyzwalając siebie, wyzwoli jednocześnie wszystkich ciemiężonych w systemie kapitalistycznym, tworząc państwo socjalistyczne, a później bezpaństwowe i bezklasowe społeczeństwo komunistyczne. W komunizmie ulegną rozwiązaniu sprzeczności występujące w społeczeństwie kapitalistycznym, gdyż znikną źródła generujące sprzeczności: klasy, państwo, własność, praca najemna, pieniądze. Marks był przekonany, że tak się stanie, ponieważ komunizm jest **koniecznością** dziejową, wynikającą z poddanej prawom dialektyki historii.



I tu pojawia się problem w teorii Marksa. Zauważmy, sprzeczności (teza i antyteza) zgodnie z prawami heglowsko-marksistowskiej dialektyki stanowią siłę napędową ewolucji, gdyż tworzą syntezę, która oznacza wejście na wyższy poziom ewolucyjny. Bez sprzeczności nie ma postępu i rozwoju. Zresztą jeśli istnienie sprzeczności jest rzeczą **konieczną**, ze względu na dialektyczną naturę wszechświata, to nawet na chwilę nie możemy przypuścić, aby sprzeczności przestały istnieć. Jednak okazuje się, że prawa dialektyki przestają obowiązywać w ustroju komunistycznym, ponieważ według Marksa w społeczeństwie komunistycznym sprzeczności zostaną rozwiązane, w związku z czym w stosunku do komunizmu nie zaistnieje żadna antyteza. Tymczasem **brak antytezy oznacza również brak syntezy, a więc i postępu społecznego**. Po co jednak w społeczeństwie komunistycznym ma zachodzić jeszcze jakiś postęp społeczny, skoro komunizm jest najwyższą formą zorganizowania społeczeństwa? Przecież jeśli osiągnęliśmy coś najwyższego, to już nie ma nic, do czego moglibyśmy dążyć. Komunizm będzie tedy zakończeniem ewolucji społeczeństwa, końcem historii, gdyż po nim żaden inny ustrój nie ma prawa się pojawić. W ten sposób ludzkość znajdzie się w Wiecznym Królestwie Komunizmu. Okazuje się, iż w celu afirmacji komunizmu jako najwyższego etapu ewolucji społeczeństwa, Marks posunął się nawet do niekonsekwencji, wyłączając z powszechnych praw dialektyki historycznej ustrój komunistyczny.

Jak widać w marksistowskiej historiozofii napotykamy myślenie **ahistoryczne** bardzo podobne do myślenia współczesnych piewców Królestwa Wiecznego Kapitalizmu. Oczywiście obydwa Wieczne Królestwa różnią się od siebie sposobami produkcji, podejściem do własności, pieniądza itp., jednak nad oboma unosi się duch ahistoryczności. **Ahistoryczna wizja przyszłych dziejów ludzkości jest zatem wspólna dla kapitalizmu i marksizmu.** Czy marksistowska alternatywa nie jest w tym przypadku jakoś mało alternatywna?

Przyjęcie ahistorycznej wizji przyszłych dziejów ludzkości niesie ze sobą określone konsekwencje. Po pierwsze: myślenie ahistoryczne jest charakterystyczne dla wierzeń religijnych, a nie dla racjonalnych koncepcji polityczno-społecznych, które starają się oprzeć swoje twierdzenia na faktach. W ten sposób zamiast teorii naukowych powstaje nowa mitologia *złotego wieku,* gdzie wiara w dobroczynne działanie kapitalistycznego wolnego rynku lub w socjalistyczne państwo wypiera rzeczowy osąd rzeczywistości.

Po drugie: zarówno marksiści, jak i ideolodzy kapitalizmu uważają, iż głoszone przez nich ahistoryczne Wieczne Królestwo jest **koniecznością** dziejową, twierdzą bowiem, że cały dotychczasowy rozwój ludzkości prowadził w sposób nieunikniony do lansowanego przez nich modelu organizacji społeczeństwa. Z tego bierze się przekonanie jednych i drugich, że **tylko** ich ustrój odpowiada na potrzeby człowieka, że **tylko** on racjonalnie organizuje produkcję i dystrybucję dóbr, skoro bowiem jakiś ustrój jest koniecznością dziejową, a na dodatek zwieńczeniem ewolucji społeczeństwa, to wszelkie odmienne od niego propozycje polityczno-gospodarcze są po prostu niedorzecznymi teoriami, dziwactwami i herezjami. W komunistycznym świecie Marksa nie ma miejsca na wspólnoty ludzkie, które kierowałyby się zasadami niekomunistycznymi; przecież tym, co zaspokaja potrzeby człowieka, daje mu osiągnąć pełnię człowieczeństwa, jest komunizm marksistowski, jakże więc człowiek chciałby żyć w innym świecie? Jeśli natomiast komuś przyjdzie do głowy myśl, iż społeczeństwo komunistyczne nie jest tym jedynym i wymarzonym, to przecież istnieje *dyktatura proletariatu*, która nie dopuści do pojawienia się niekomunistycznych enklaw w komunistycznym społeczeństwie. W ten sposób ludzie sprzeciwiający się dziejowej konieczności zostaną usunięci w cień historii.

Również w świecie kapitalistycznym nie ma miejsca dla osób, które nie rozumieją, iż dla kapitalizmu nie istnieje alternatywa i wyłamują się z zastanego systemu. Gdy kontestatorzy owi nie są zbyt liczni i silni, walczy się z nimi w ten sposób, iż albo pomija się ich obecność (np. w mediach), albo przedstawia jak muzealny eksponat, ciekawostkę, uliczny folklor itp. Jeśli natomiast kontestatorzy rosną w siłę i zaczynają zagrażać Królestwu Wiecznemu Kapitalizmu, wyprowadza się przeciw nim policję i wojsko, bo kapitalizm oprócz tego, iż posługuje się *dyktaturą pieniądza,* potrafi także posłużyć się *dyktaturą państwa*. Z powyższego wynika, że zarówno w kapitalizmie, jak i w komunizmie marksistowskim nie istnieje **pluralizm** społeczno-polityczny, gdyż obydwa systemy roszczą sobie prawo do jedynozbawczości, dążąc do zawłaszczenia całej przestrzeni polityczno-gospodarczej. Czy w tej sytuacji marksizm stanowi alternatywę dla kapitalizmu?

2.Państwo

Do realizacji swoich celów marksiści i wyznawcy kapitalizmu potrzebują państwa. To kolejna wspólna cecha łącząca oba systemy. Wbrew temu, co mówią lewicujący antyglobaliści, pomiędzy współczesnymi państwami a wielkim kapitałem nie występuje sprzeczność i konflikt, a co najwyżej pewne nieporozumienia, które zdarzają się nawet w najlepszych rodzinach. Państwo powstało po to, aby chronić interesy klas posiadających i podobnie jak wieki temu, tak i teraz wywiązuje się sumiennie ze swej roli. Za organizacjami wspierającymi globalny kapitał tj. Bank Światowy, MFW, WTO, stoją państwa burżuazyjne, których elity czerpią zyski z przekazania części kompetencji władz krajowych międzynarodowym instytucjom finansowym. Wbrew temu, co mówią liberałowie, kapitał wcale nie jest zainteresowany zanikiem interwencjonizmu państwowego, oczywiście o ile interwencjonizm ten jest wyrazem protekcjonizmu państwa wobec wielkiego kapitału. Możni tego świata liczą na korzystne ustawy państwowe umożliwiające swobodny przepływ kapitału przez granice, oczekują ulg podatkowych, dzięki którym mogliby jeszcze skuteczniej eliminować lokalne formy drobnej produkcji i handlu, korzystają z ochrony państwowej policji i wojska, zawsze gotowych bronić „świętego prawa własności". Kompetencje ustawodawcze państwa i jego aparat represji są więc potrzebne kapitałowi, aby utrzymać system gospodarki kapitalistycznej.

Również marksizm nie może obyć się bez państwa. W broszurze propagandowej Chrisa Hermana pt. *Marksizm w działaniu,* wydanej przez marksistowską *Solidarność Socjalistyczną*, na s.51 czytamy: „Według Marksa i Lenina nowe państwo jest potrzebne, jeśli klasa pracownicza ma narzucić swoją wolę tym, którzy pozostali z dawnej klasy panującej i średniej. Dlatego nazwali je oni *dyktaturą proletariatu.* Proletariat ma *dyktować*, jak społeczeństwo ma być rządzone." Oczywiście w założeniu państwo to ma różnić się zasadniczo od państwa burżuazyjnego, gdyż we władzach owego państwa znajdą się przedstawiciele lokalnych rad pracowniczych reprezentujący opinie swoich społeczności, w ten sposób powstanie oddolna demokracja pracownicza.

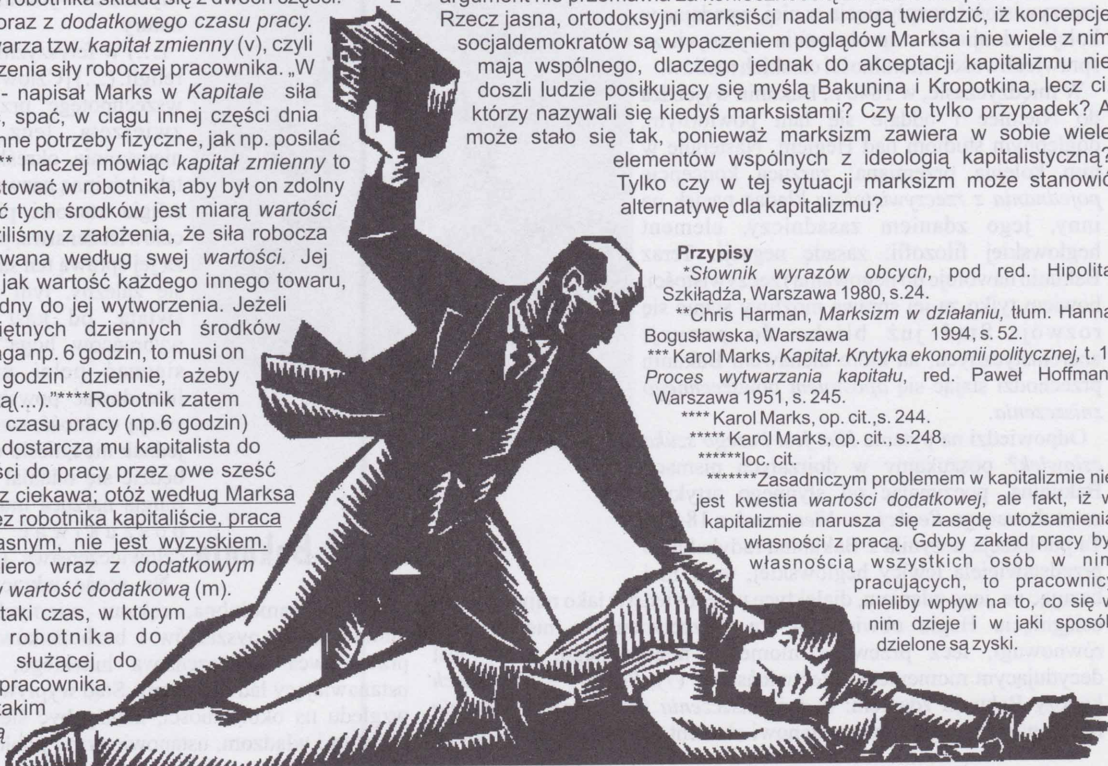
Z pozoru wszystko wygląda pięknie, należy jednak dodać, iż władze tego państwa zostaną wyposażone w olbrzymie kompetencje, ponieważ nie tylko będą miały w swoim ręku wojsko i milicję, ale także w sposób centralny zarządzać będą gospodarką (produkcją i dystrybucją). Ponadto „w państwie robotniczym reprezentanci pracowników (czytaj: władze centralne od autora) będą pilnować, czy ich prawodawstwo jest wprowadzane w życie."** W gruncie rzeczy wspólnoty lokalne i pracownicze utracą swoją autonomię, gdyż nie będą mogły sprzeciwić się ustawom i dekretom wydawanym przez władze centralne. Tak więc - podobnie jak miało to miejsce w państwie burżuazyjnym - pracownicy nie będą mogli swobodnie decydować o swoim zakładzie pracy. Ponadto wyposażenie pewnych ludzi w tak olbrzymie kompetencje związane ze sprawowaną władzą nieuchronnie doprowadzi do *alienacji* władzy. Osoby obdarzone wielkimi uprawnieniami, możliwością decydowania o najmniejszych szczegółach życia gospodarczego, z całą pewnością zaczną tracić zrozumienie dla spraw zwykłych obywateli i rozmijać się z rzeczywistymi potrzebami ludzi. Zauważyć też trzeba, iż państwo marksistowskie występuje w roli powszechnego pracodawcy, akumulując kapitał na niezwykłą skalę, bowiem całość środków produkcji znajdzie się w jego rękach, a że owym kapitałem zarządzać będą ludzie stojący u władzy, więc w praktyce to właśnie oni staną się zbiorowym dyrektorem i przedsiębiorcą. Watro wspomnieć w tym miejscu o roli jaką w państwie marksistowskim ma spełniać partia komunistyczna. Już w *Manifeście komunistycznym* z roku 1848 Marks sugerował, że partia komunistyczna jest przewodnią siłą ludu, stanowiąc jego elitę intelektualną, ponieważ jej członkowie przewyższają masy ludowe teoretycznym rozumieniem świata. Oczywistym jest, że oświeceni członkowie partii są znakomitym materiałem na reprezentantów rad ludowych w rządzie marksistowskiego państwa, i że to oni będą wydawać ustawy, dekrety, nadzorować produkcję, decydować o użyciu wojska i milicji. W konsekwencji partia komunistyczna stanie się owym zbiorowym przedsiębiorcą i dyrektorem, o którym wspomniałem wyżej, a także czerwonym policjantem i sędzią. Słusznie zatem o koncepcji *dyktatury proletariatu* wypowiada się anarchokomunistyczna płaszczyzna programowa Anarchistycznej Federacji Polski z roku 1926, w której czytamy, że *dyktatura proletariatu*: „Jako instytucja państwowa(...) musi opierać się na jednej klasie lub grupie, nielicznej w stosunku do całego pozostałego społeczeństwa. Reprezentacja interesów przez państwo jak zawsze, tak i tym razem nie będzie reprezentacją interesów społeczeństwa, a tylko grupy uprzywilejowanej, dlatego dyktatura będzie istniała nie tylko nad dawną klasą uprzywilejowaną, lecz również nad całym społeczeństwem wywłaszczonym i ciemiężonym przez tzw. *państwo proletariackie*."

Marksistowska alternatywa proponuje nam zatem zamianę burżuazyjnego aparatu represji na partyjny aparat represji, przewodniej siły burżuazyjnych naukowców i polityków w stylu Balcerowicza - na przewodnią siłę oświeconej partii komunistycznej, w końcu - zamianę pracodawcy prywatnego na pracodawcę państwowego (partyjnego). Można rzec: zamienił stryjek siekierkę na kijek!

3.Wartość dodatkowa.

W celu wyjaśnienia istoty kapitalistycznego wyzysku robotnika sformułował Marks w dziele *Kapitał* koncepcję *wartości dodatkowej.* Według Marksa dzień pracy robotnika składa się z dwóch części: z *niezbędnego czasu pracy* oraz z *dodatkowego czasu pracy. Niezbędny czas pracy* wytwarza tzw. *kapitał zmienny* (v), czyli środki potrzebne do odtworzenia siły roboczej pracownika. „W ciągu pewnej części dnia - napisał Marks w *Kapitale* siła robocza musi odpoczywać, spać, w ciągu innej części dnia musi człowiek zaspokajać inne potrzeby fizyczne, jak np. posilać się, myć się, ubierać itp."*** Inaczej mówiąc *kapitał zmienny* to środki jakie należy zainwestować w robotnika, aby był on zdolny do pracy i właśnie *wartość* tych środków jest miarą *wartości* pracy robotnika. „Wychodziliśmy z założenia, że siła robocza jest sprzedawana i kupowana według swej *wartości.* Jej wartość wyjaśnia Marks jak wartość każdego innego towaru, określa czas pracy niezbędny do jej wytworzenia. Jeżeli więc wytworzenie przeciętnych dziennych środków utrzymania robotnika wymaga np. 6 godzin, to musi on pracować przeciętnie 6 godzin dziennie, ażeby wytworzyć swą siłę roboczą(...)."****Robotnik zatem wymienia wartość swojego czasu pracy (np.6 godzin) na wartość środków, które dostarcza mu kapitalista do podtrzymania jego zdolności do pracy przez owe sześć godzin. I tu następuje rzecz ciekawa; otóż według Marksa sprzedaż siły roboczej przez robotnika kapitaliście, praca na cudzym, a nie na własnym, nie jest wyzyskiem. Wyzysk pojawia się dopiero wraz z *dodatkowym czasem pracy*, który tworzy *wartość dodatkową* (m). *Dodatkowy czas pracy* to taki czas, w którym pracodawca zmusza robotnika do wykonywania pracy nie służącej do odtworzenia siły roboczej pracownika. Wartość wytworzona w takim czasie jest *wartością dodatkową* i zabierana jest przez pracodawcę. Źródłem zysków kapitalisty i wyzysku robotnika jest zatem *wartość dodatkowa.* Czy kapitalista ma prawo wykorzystywać robotnika obciążając go *dodatkowym czasem pracy*? Otóż ma prawo napisał Marks bowiem „kapitalista broni swego prawa nabywcy pracy, gdy usiłuje przedłużyć jak najbardziej dzień roboczy i bodaj zrobić dwa dni robocze z jednego. Z drugiej zaś strony swoista natura sprzedawanego towaru (pracy - od autora) stawia spożyciu go przez nabywcę pewne granice, a robotnik broni swoich praw sprzedawcy(...). Mamy tu więc do czynienia z antynomią: prawo przeciwko prawu, przy czym oba prawa jednakowo są usankcjonowane przez prawo wymiany towarowej(podkreślenie moje)."***** Nie da się zatem - według Marksa - przy pomocy argumentów ekonomicznych, filozoficznych, etycznych itp. udowodnić, iż kapitalista nie ma prawa do narzucania robotnikowi *dodatkowego czasu pracy,* choć oczywiście z punktu widzenia robotnika ów czas pracy to wyzysk. Jedynym sposobem rozstrzygnięcia owej antynomii jest siła, gdyż „między równymi prawami rozstrzyga siła" - konkluduje autor *Kapitału.****** Z tego starcia wyjdzie zwycięsko klasa robotnicza, bo taka jest *dziejowa konieczność* wpisana w proces dialektycznego rozwoju społeczeństwa. Klasa robotnicza przejmie środki produkcji, aby w ten sposób pozbawić kapitalistów *wartości dodatkowej.* Stając po stronie klasy robotniczej nie stajemy wszelako po stronie słuszności (etycznej, filozoficznej, ekonomicznej), lecz po stronie *konieczności dziejowej,* która prowadzi do zwycięstwa proletariatu.

Podsumujmy nasze rozważania o *wartości dodatkowej.* Według Marksa zamiana pracy robotnika w towar, który następnie kupuje kapitalista, a także praca robotnika nie na swoim, ale na cudzym, odsunięcie pracownika od cyklu produkcji, nie stanowi istoty wyzysku. Wyzysk polega jedynie na tym, iż kapitalista każe pracownikowi wytwarzać więcej *wartości* niż jest to niezbędne dla odtworzenia zdolności do pracy robotnika, przywłaszczając sobie następnie ową *wartość.* Ponadto prawa wymiany towarowej dają kapitaliście **obiektywne prawo** do narzucania robotnikowi *pracy dodatkowej* i przejęcia *wartości* wytworzonej w czasie tej pracy. Co wynika z takich twierdzeń Marksa? Otóż jeśli zasadniczy problem z kapitalizmem polega tylko na tym, iż robotnik nie ma udziału w podziale *wartości dodatkowej,* a nie na tym, iż jego praca stanowi towar lub że nie pracuje na swoim i nie ma wpływu na cykl produkcji, to problem ów można rozwiązać nie poprzez zniesienie kapitalizmu, ale przez wywalczenie udziału pracowników w podziale *wartości dodatkowej.* Taką właśnie drogą poszli socjaldemokraci. Zgodnie z doktryną socjaldemokratyczną nie trzeba na drodze rewolucyjnej znosić kapitalizmu, lecz wystarczy rozwiązywać powstałe w nim sprzeczności w ramach demokracji parlamentarnej, reformując kapitalizm w taki sposób, aby pracownicy mieli większy udział w podziale zysków. Marks oczywiście był przeciwny reformizmowi, głosząc rewolucję proletariacką, lecz w jego doktrynie kryją się *de facto* koncepcje potencjalnie prowadzące do poglądów socjaldemokratycznych, a więc akceptacji kapitalizmu. Jeśli na przykład Marks twierdzi, że kapitalista ma prawo do narzucenia robotnikowi *dodatkowego czasu pracy* i przejęcia *wartości dodatkowej* z uwagi na reguły wymiany towarowej, a o zwycięstwie interesu robotnika nad prawem kapitalisty decydują prawa dialektyki historycznej, to wystarczy odrzucić dialektyczną wizję dziejów, aby dojść do wniosku, iż żaden argument nie przemawia za koniecznością zniesienia kapitalizmu.******* Rzecz jasna, ortodoksyjni marksiści nadal mogą twierdzić, iż koncepcje socjaldemokratów są wypaczeniem poglądów Marksa i nie wiele z nim mają wspólnego, dlaczego jednak do akceptacji kapitalizmu nie doszli ludzie posiłkujący się myślą Bakunina i Kropotkina, lecz ci, którzy nazywali się kiedyś marksistami? Czy to tylko przypadek? A może stało się tak, ponieważ marksizm zawiera w sobie wiele elementów wspólnych z ideologią kapitalistyczną? Tylko czy w tej sytuacji marksizm może stanowić alternatywę dla kapitalizmu?



Przypisy

**Słownik wyrazów obcych,* pod red. Hipolita Szkiłądźa, Warszawa 1980, s.24.

**Chris Harman, *Marksizm w działaniu,* tłum. Hanna Bogusławska, Warszawa 1994, s. 52.

*** Karol Marks, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej,* t. 1: *Proces wytwarzania kapitału,* red. Paweł Hoffman, Warszawa 1951, s. 245.

**** Karol Marks, op. cit., s. 244.

***** Karol Marks, op. cit., s.248.

******loc. cit.

*******Zasadniczym problemem w kapitalizmie nie jest kwestia *wartości dodatkowej,* ale fakt, iż w kapitalizmie narusza się zasadę utożsamienia własności z pracą. Gdyby zakład pracy był własnością wszystkich osób w nim pracujących, to pracownicy mieliby wpływ na to, co się w nim dzieje i w jaki sposób dzielone są zyski.

CZŁOWIEK W SPOŁECZEŃSTWIE I HISTORII. PRZYCZYNEK DO POGLĄDÓW ANTROPOLOGICZNYCH MICHAŁA BAKUNINA

Jacek Uglik

Na mapę świata, na której nie ma Utopii, nie warto nawet spojrzeć, ponieważ brak na niej jedynego kraju, do którego ludzkość stale zmierza, a kiedy ludzkość tam dotrze, zaczyna się rozglądać i spostrzegłszy jeszcze lepszy ląd wciąga żagle na maszty. Postęp jest Utopią wcielaną w życie" (1).

Oscar Wilde

Rosyjskiego myśliciela Michała Bakunina (1814-1876) nazywa się anarchistą, nie odbiegając więc od utartych szlaków zajmiemy się jego, teoretyka anarchizmu, poglądem na człowieka. Warto jednak wiedzieć, że Bakunin do swej radykalnej filozofii dorastał, wszak od pojmowania jej jako "nauki ludzkiej, wywodzącej się wprost od człowieka, i zarazem boskiej, albowiem mieszczącej w sobie potęgę łaski, oczyszczenie człowieka od urojeń i jego zjednoczenie z Bogiem" (2), prowadzącej człowieka do pojednania z Bogiem i pozwalającej się w nim rozpłynąć, brnąc przez życie krętymi ścieżkami przechodzi Bakunin do twierdzeń o człowieku jako istocie przyrodniczej, "a więc punktem wyjścia jego historii jest stadium zwierzęcości" (3); przechodzi do świata, w którym "Bóg jest (...) reprezentantem interesów bardzo konkretnych, bardzo realnych kasty uprzywilejowanej kleru" (4), zatem do świata, w którym "idea Boga jest najbardziej stanowczą negacją wolności ludzkiej, (...) [w którym] unicestwienie Boga jest koniecznym warunkiem wolności człowieka" (5).

Z twórczości Bakunina daje się wyłuskać poszczególne jej okresy. Jako młodzieniec, poznawszy w 1835 r. Mikołaja Stankiewicza (6) i wstąpiwszy do utworzonego przezeń intelektualnego kółka, zgłębiał dzieło Fichtego szukając w nim samookreślenia się w brudnej i fałszywej rzeczywistości doby Mikołaja I. Fichteanizm dawał mu odpowiedź, pozwalał sensownie trwać w mikołajowskich realiach poprzez oczyszczanie się z tego, co ziemskie, co przynależy do świata zewnętrznego i dbanie o uszlachetnienie ducha. Celem było doskonalenie moralne.

Rozwikłanie relacji "jednostka - świat zewnętrzny" na gruncie filozofii Fichtego rychło prysło kiedy tylko Bakunin zapoznał się z dziełem Hegla. Teraz nie ucieka w siebie, nie unieważnia rzeczywistości zewnętrznej, teraz pragnie ją rozumieć. Głosi hasło *pojednania z rzeczywistością*, podporządkowania człowieka rzeczywistości, rozpłynięcia w niej, wpadając w kolejną skrajność - aprobowania wyzutych ze sprawiedliwości i moralności carskich realiów.

W międzyczasie, w 1840 r., Bakunin wyjeżdża do Niemiec i oddaje się tam powtórnym, dogłębnym studiom nad Heglem. Następuje w nim kolejna przemiana: zarzuca koncepcję *pojednania z rzeczywistością* kładąc nacisk na inny, jego zdaniem zasadniczy, element heglowskiej filozofii: zasadę negacji. Teraz Bakunin nawołuje do negowania rzeczywistości, bowiem tylko za jej sprawą możliwy stanie się rozwój. Stąd już blisko do pozycji anarchistycznych, na które niebawem Bakunin przechodzi stając się *apostołem powszechnego zniszczenia*.

Odpowiedzi na pytanie *Kim jest i czego szuka człowiek?* poszukamy w dojrzałych pismach Bakunina, poczynając od słynnego artykułu zatytułowanego *Reakcja w Niemczech* z 1842 r. Ta publikacja uczyniła z Bakunina radykalnego przedstawiciela lewicy heglowskiej, to w niej bazując na, jego zdaniem, dialektyce przeciwieństw jako największym osiągnięciu Hegla obwieszcza, że "przeciwieństwo nie oznacza równowagi, lecz przewagę momentu negatywnego, który jest decydującym momentem przeciwieństwa" (7). *Reakcję w Niemczech* kończy Bakunin zdaniem: *radość niszczenia jest zarazem radością tworzenia*. Negacja bowiem stanowi element tworzący, wszak "to, co pozytywne, wydaje się nam początkowo czymś, co pozostaje w stanie spokoju, w bezruchu. Jest ono przecież tym, co pozytywne, tylko dlatego, że bez zakłóceń spoczywa w sobie i nie zawiera w sobie niczego, co mogłoby być jego negacją; a dzieje się tak tylko dlatego, że w sobie samym nie zawiera ono momentu ruchu, każdy ruch bowiem jest negacją" (8). Podług wykładni Bakunina człowiek stał się człowiekiem "przez akt nieposłuszeństwa i poznania. A więc wzorem dla niego powinien być szatan - odwieczny buntownik, pierwszy wolnomyśliciel i pierwszy bojownik o emancypację światów" (9). Szatan i Bóg, negatyw i pozytyw, ruch i bezruch. Człowiek idąc w ślad za *bogiem negacji* pragnie poznawać i odkrywać nieznane lądy. "Historia człowieka nie jest niczym innym jak stopniowym wyzwalaniem się z tego, co jest czysto zwierzęce, i kształtowaniem się tego, co ludzkie, stąd wynika, że dawność jakiejś idei nie tylko nie świadczy na jej korzyść, ale przeciwnie, czyni ją podejrzaną" (10). Jedną z takich idei stanowi idea bóstwa będąca tworem historycznego rozwoju ludzkości. Zdaniem Bakunina człowiek-zwierzę MUSIAŁ w toku swego dojrzewania, wyswabadzania się, wyzwalania ze świata rządzonego przez ślepą konieczność zbudować ideę Boga. W ogólności trwanie człowieka nie różni się wiele od trwania zwierzęcia, z wyjątkiem myślenia i poznania. Słowem, "jeden z naszych największych współczesnych myślicieli, Ludwik Feuerbach, bardzo słusznie zauważył, że człowiek czyni wszystko, co czynią zwierzęta, ale czyni to coraz bardziej po *ludzku*. Na tym polega cała różnica, ale jest to różnica ogromna" (11). W taki oto sposób powstała cywilizacja, stworzono cuda nauki i sztuki, w taki sposób, rzecze Bakunin, "dokonał się cały religijny, estetyczny, filozoficzny, polityczny, ekonomiczny i społeczny rozwój ludzkości, słowem powstał świat historii" (12).

Dzięki rozumowi człowiek wydostaje się z niewoli, w której tkwią zwierzęta. Na drodze abstrahowania pozyskuje wiedzę i wszelakie idee wznosząc się ponad własną zwierzęcość. Wyzwalając się. Wszak zadaniem człowieka jest założenie królestwa wolności. Jednak, zauważa Bakunin, pierwotnemu rozumowi nie towarzyszy logiczne myślenie, ale myślenie wyobrażeniowe. Ono to narzuca człowiekowi ciężar nowej niewoli, "tysiąc razy cięższej, bardziej okrutnej brzemię niewoli religijnej. Myślenie wyobrażeniowe przekształca kult natury

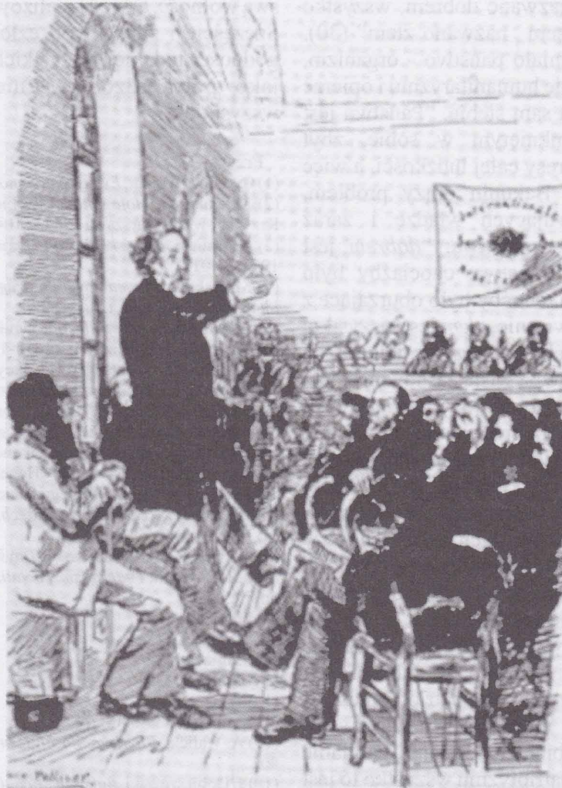
(...) w fetyszyzm pierwotną formę ludzkiej religii. (...) [Człowiek dziki] nie tylko odczuwa wszechpotęgę przyrody, tak jak wszystkie zwierzęta, lecz ponadto myśli o niej nieustannie, określa ją i uogólnia, nadając jej taką lub inną nazwę" (13). Stąd prawdą jest, że religia stanowi pierwszy krok w kierunku człowieczeństwa, prawdą jednak jest też i to, że za jej sprawą ten sam człowiek na powrót staje się zależny, tym razem "od możnych tego świata, od kast uprzywilejowanych, od wybrańców boga" (14). Człowiek pragnąc sięgnąć pełni człowieczeństwa, winien likwidować powstające bariery i walczyć o swoją wolność, swoją podmiotowość. Dopóki jednak nie zniesie własnej religijności, dopóty będzie się oddalał od celu, "ponieważ każda religia narzuca mu wiarę w absurd, każe mu poszukiwać boskości zamiast człowieczeństwa" (15).

Michał Bakunin

Na scenę wkracza Bóg, istota zazdrosna, próżna i samolubna, rękami wiernych zdolna karać okrutnie buntowników, pyszałków i bezbożników. Na scenę wkracza Bóg, prawodawca społeczeństwa ludzkiego, założyciel państwa, Bóg ustanawiający ład społeczny. Stąd wypływa wniosek, "że zawsze, bez względu na okoliczności, należy być ślepo posłusznym wszystkim prawom i władzom, ustanowionym i pobłogosławionym przez niebo.

Jest to wniosek bardzo dogodny dla rządzących, lecz bardzo niedogodny dla tych, którymi oni rządzą" (16). Ta wizja rzeczywistości stoi w zupełnej sprzeczności do wyobrażeń Bakunina o człowieku kształtującym własny świat i własne człowieczeństwo. Przecież religia nakłada więzy ludziom i ogranicza wolność. Bakunin postulował "więc odrzucenie idei Boga (...) w imię wolności. Było to zgodne z jego ogólną koncepcją, głoszącą, że do całkowitej emancypacji człowieka nie wystarczy myśl potrzebny jest również bunt" (17). W ten sposób historia ludzka rosyjskiemu filozofowi ułożyła się w triadę: zwierzęcość ludzka, myśl, bunt. Bunt, będący negacją, stanowi koło zamachowe historii, odgrywa rolę twórczą, wychodzi naprzeciw teraźniejszości tworząc nową rzeczywistość, jeśli do buntów "dochodziło rzadko, to za sprawą państwa" (18) [również Kościoła-Państwa Bożego - J. U.]. Bunt nie był dla Bakunina tożsamy z niszczeniem, jakąś totalną, nieodwracalną destrukcją, ale pojmowany na podobieństwo "negacji jako głównego czynnika heglowskiego pojmowania bytu, mającego przecież nade wszystko charakter dynamiczno-historyczny" (19).

Tymczasem Bóg w systemach religijnych jest istotą wieczną, z góry wyznaczającą bieg zdarzeń, niezmienną i zawsze równą sobie, co nijak ma się do poglądu o "rzeczywistej jedności wszechświata, która polega na wiecznym i powszechnym procesie przemiany, powszechnym ruchu, który trwał wiecznie i nigdy nie ustanie" (20). Ów pogląd oznacza negację istnienia Boga. Sąd Bakunina w kwestii Boga jest jasny: "bóg nie istnieje, jest jedynie tworem myśli abstrakcyjnej skojarzonej z uczuciem religijnym, które pozostało nam z okresu życia zwierzęcego; bogu, jako abstrakcji uniwersalnej nie przysługuje zdolność do ruchu i działania; jest on absolutnym niebytem, który jedynie wyobraźnia religijna uczyniła istotą najwyższą i obdarzyła życiem; jest pojęciem, które samo przez się jest absolutnie pozbawione treści, a któremu przypisuje się treść całej ziemskiej rzeczywistości; niczego nie daje on człowiekowi, lecz jedynie zwraca to, co mu przedtem zabrał (...). Dlatego bóg nie może być ani dobry, ani zły, ani sprawiedliwy, ani niesprawiedliwy. Nie może niczego pragnąć ani niczego ustanawiać, ponieważ w rzeczywistości jest niczym, a staje się wszystkim tylko dzięki naiwnej wierze religijnej" (21). Słowem aby utrzymać przy życiu Boga, szczerze wiarę w niego muszą podzielać inni bowiem wiarę, której nikt nie podziela, nazywa się schizofrenią. Znikają wierzący, znika też i Bóg.



Bakunin w czasie przemówienia na kongresie Pierwszej Międzynarodówki w 1869 roku

Religia niszczy rozum, a Bóg będący wszystkim sprawia, że świat realny i człowiek są niczym, że posłuszni Bogu muszą być posłuszni także Kościołowi i państwu, wszak państwo jest pobłogosławione przez Kościół. Wszystko to są dla człowieka kajdany; religia, Bóg, Kościół i państwo, wszystkie te abstrakcje stają naprzeciw wolnemu człowiekowi. "Kto mówi o objawieniu, mówi o objawicielach, o prorokach, o kapłanach; kto zaś uznaje ich za przedstawicieli boga, za nauczycieli, za przewodników ludzkości na drodze do życia wiecznego, przez to samo daje im prawo kierować ludzkością, rządzić nią i rozkazywać jej tutaj na ziemi. (...) uznanie istnienia boga jest logicznie związane z pozbawieniem ludzkiego rozumu wszelkich praw i z wyrzeczeniem się zasad ludzkiej sprawiedliwości; oznacza negację wolności ludzkiej i prowadzi niechybnie do niewoli nie tylko w teorii, lecz i w praktyce. (...) kto powie A, musi z konieczności powiedzieć Z, kto chce wielbić boga, musi wyrzec się swej wolności i godności ludzkiej. Bóg istnieje a więc człowiek jest niewolnikiem. Człowiek jest rozumny, sprawiedliwy, wolny a więc boga nie ma" (22).

Istotą filozofii Bakunina było wyzwolenie człowieka spod wszelakich form ucisku, dlatego w wizji jego świata brakło miejsca dla Boga, abstrakcji, która ogranicza. W wizji autora *Państwowości i anarchii* brakowało miejsca dla państwa, dla Kościoła, obcych, zewnętrznych człowiekowi sił. Brakowało miejsca dla każdej władzy, bowiem jest ona władzą wyalienowanej mniejszości nad większością w imię fikcyjnego zaspokojenia potrzeb większości. Człowiek może rozwijać się w pełni tylko w naturalnym środowisku, a tym jest społeczeństwo: "swobodny organizm jednoczący jednostki, wspólnoty, narody w spontaniczną federacyjną całość" (23). Bakunin żywił przekonanie, że człowiek jest istotą najbardziej społeczną na ziemi i wychodził naprzeciw koncepcjom mówiącym, że społeczeństwo pierwotne powstało na zasadzie dobrowolnej umowy. W trwanie organizmu jakim jest społeczeństwo nie można ingerować prawnie, albowiem jest ono "naturalnym sposobem istnienia zbiorowości ludzkiej. Społeczeństwem nigdy nie rządzą kanony prawne, lecz obyczaje i tradycja. Bodźcem rozwoju społeczeństwa nie jest myśl i wola prawodawcy, lecz inicjatywa poszczególnych jednostek. Wprawdzie istnieją prawa rządzące społeczeństwem, ale są to inherentne naturalne prawa organizmu społecznego, tak jak inherentne są fizyczne prawa ciał materialnych. (...) rządziły one społeczeństwem ludzkim od chwili jego narodzin, niezależnie od myśli i woli ludzi" (24).

Bakunin dotykając kwestii umowy społecznej atakował głównie J. J. Rousseau, który miał twierdzić, iż społeczeństwo pierwotne powstało wskutek dobrowolnej umowy zawartej przez ludzi dzikich. Z punktu widzenia Bakunina podobne tezy mijają się z prawdą: jeśli bowiem pierwotni ludzie zrzeszali się po to by zapewnić sobie bezpieczeństwo, a więc bronić się przed światem zewnętrznym, ludźmi żyjącymi poza pewną wspólnotą, to musieli potrzebować strażników czuwających nad owym organizmem. Musiały powstać reguły funkcjonowania w organizmie, prawo, a to już nie ma nic wspólnego ze społeczeństwem: tu zaczyna formować się państwo (społeczeństwem nie rządzą kanony prawne, lecz obyczaje i tradycja). Wraz z funkcją strażnika powstawała hierarchia, co powodowało że wolność, czego Bakunin przyjąć nie mógł, była wydzielana. Nie przyjmował do wiadomości istnienia hierarchii, bo wraz z nią ginęła wolność, a wolność jest niepodzielna, tak że nie można jej w imię dobra ogółu trochę uszczknąć. Albo jest, albo jej nie ma. Zdaniem Bakunina człowiek posłuch dawać może tylko przyrodzie, Rousseau natomiast trąbił o cudach dokonywanych przez prawo przenoszące "stosunki między ludźmi (...) w sferę zobiektywizowanych norm, którym wszyscy są posłuszni, przy czym posłuszeństwo to nie staje się niczyją niewolą. Oto był ten niezwykły cud, że zmuszano czyjąś wolę do posłuchu, a przecież człowiek pozostawał wolny; co więcej właśnie dzięki temu posłuszeństwu stawał się wolny" (25).

Poza tym, stawianie znaku równości między zawarciem umowy społecznej a sprawiedliwością i wolnością, przy zachowaniu wiedzy o ludziach żyjących poza nawiasem owej "społeczności", których treści umowy nie obejmują, jest sprzeczne z *walką* Bakunina o wolnego człowieka.

W szczególności: podług Bakunina sednem teorii umowy społecznej jest tak oto brzmiąca konstatacja: wolność absolutna człowieka pierwotnego stanowi ograniczenie takiej samej wolności innych ludzi, bowiem w bezpośrednich kontaktach wolność jednego człowieka musi kolidować z wolnością innego, ażeby więc nie unicestwić wolności ostatecznie zawierają ludzie między sobą umowę i w ten sposób zachowują jej część. Bakunin zauważa, że owa teoria stanowi początek nie społeczeństwa, ale państwa. Po pierwsze, państwo nie jest bezpośrednim "tworem natury i w przeciwieństwie do społeczeństwa powstaje dopiero po obudzeniu się myśli w człowieku (...), [po drugie] państwo jest to negacja wolności poszczególnych jednostek; całkowicie pozbawia je ono wolności w imię wszystkich albo w imię ogólnego prawa. Gdzie zaczyna się państwo, tam kończy się wolność jednostki, i *vice versa*" (26). Bakunin sprzeciwia się sztucznym strukturom regulującym ludzką wolność. Nie można człowiekowi zabierać wolności, aby potem jakiś jej fragment w imię dobra ogółu, z powrotem oddać. Nie można, albowiem "ta mała cząstka, którą mi zabieracie, stanowi istotę mojej wolności, jest wszystkim. Cała moja

wolność z konieczności skupi się właśnie w tej cząstce, której mnie pozbawiacie, choćby to była cząstka znikoma" (27). Przy tej okazji Bakunin przywołuje historię grzechu Adama i Ewy, którym "nie wolno było skosztować owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego tylko dlatego, że Pan tak postanowił; zakaz ów był aktem straszliwego despotyzmu i gdyby oni nie przekroczyli tego zakazu, cała ludzkość zostałaby pogrążona w najbardziej upokarzającej niewoli. Złamanie zakazu wyzwoliło nas i uratowało" (28). Zaprzecza też Bakunin tezie, jakoby państwo demokratyczne, oparte na wolnym, powszechnym głosowaniu, nie mogło unicestwiać wolności swych obywateli. A dlaczegóż by nie?, zapytuje rosyjski anarchista. "Pod pretekstem, że reprezentuje wolę ogółu, może ograniczać swobodę wszystkich poszczególnych jednostek i dławić ich wolę całym ciężarem swej kolektywnej władzy" (29). Jeżeli obrońcy państwa ośmielają się twierdzić, że ogranicza ono wolność po to tylko, by przeszkodzić w czynieniu zła, to należy od razu odpowiedzieć na dwa pytania *czym jest zło?* i *czym dobro?* w tym sensie. Bakunin zauważa, że według J. J. Rousseau różnicy pomiędzy dobrem a złem przed zawarciem umowy społecznej nie dostrzegano. Wraz z wcieleniem jej w życie "wszystko, co uznano za zgodne z interesem ogółu, nazwano dobrem, wszystko zaś, co uznano za sprzeczne z tym interesem nazwano złem" (30). Rozstrzygać o zgodności i niezgodności miało państwo - organizm, którego działalność nie opiera się na zasadzie humanitaryzmu i opierać się zresztą nie może gdyż unicestwiłby on sam siebie. "Państwo jest tworem zbyt wyizolowanym, zbyt zamkniętym w sobie, zbyt ograniczonym, aby uwzględnić mogło interesy całej ludzkości, a więc również ogólnoludzką moralność" (31). Bakunin drąży problem, zapytuje o drogowskaz moralny sprawujących władzę i zaraz odpowiada, że jest nim wyłącznie interes państwa: "*dobrem* jest wszystko, co utrwala wielkość i potęgę państwa, chociażby było świętokradztwem z punktu widzenia religii, choćby było oburzające z punktu widzenia moralności ludzkiej; i odwrotnie, *złem* jest wszystko, co jest sprzeczne z interesem państwa, choćby było czymś najbardziej zgodnym z sumieniem ludzkim. Takie są rzeczywiste zasady moralne, którymi od wieków kierują wszystkie państwa" (32). Świat został pocięty sztucznymi granicami, a ludzkość pogrupowano we wrogie sobie państwa nie połączone ani wspólnym prawem ani umową społeczną. Państwo jest "najbardziej jaskrawym, najbardziej cynicznym i najbardziej pełnym zaprzeczeniem tego, co ludzkie. Państwo niweczy powszechną solidarność wszystkich ludzi i jednoczy ich część jedynie po to, by podbić, ujarzmić i zniszczyć wszystkich pozostałych. Państwo otacza opieką tylko swych własnych obywateli, broni zdobyczy cywilizacji, uznaje ludzkie prawa i zasady humanitaryzmu jedynie w obrębie własnych granic" (33). Zupełne zaprzeczenie zasady człowieczeństwa i ludzkiej moralności, stanowiące zarazem istotę państwa, nazywa się patriotyzmem. I zgodnie "z zasadami zwykłej, ludzkiej moralności uznajemy za przestępstwo znieważanie, gnębienie, ograbianie, okradanie, zabijanie i ujarzmianie bliźnich. Z punktu widzenia patriotyzmu wszystko to jest obowiązkiem i cnotą, jeśli tylko utrwala lub wzmaga potęgę państwa i zwiększa jego chwałę" (34).

Człowiek w społeczeństwie i historii to istota, której istotą rozwoju jest wolność, "w której wolność jednych nie będzie kamieniem granicznym dla drugich, lecz w której znajdą oni potwierdzenie oraz możliwość rozszerzenia swojej wolności (...), wolności, która obaliwszy wszystkich bożków niebiańskich i ziemskich, stworzy i zorganizuje świat nowy, świat solidarnej ludzkości na gruzach wszystkich Kościołów i wszystkich Państw" (35). Naturalnym środowiskiem człowieka jest społeczeństwo i ono stanowi warunek jego rozwoju. W społeczeństwie człowiek "wyzwala się z jarzma przyrody zewnętrznej, co stanowi z kolei niezbędny materialny warunek wyzwolenia moralnego i intelektualnego" (36). Społeczeństwo jest naturalnym środowiskiem człowieka, w nim rodzi się on tak, jak mrówka w mrowisku, poza nim człowiek może istnieć tylko jako dzikie zwierzę albo święty. "Przeciwstawiając społeczeństwo państwu i podkreślając, że społeczeństwo jest zjawiskiem naturalnym, a państwo sztucznym, Bakunin szuka realnej podstawy, na której mogłaby się oprzeć wolność jednostki, pojęta jako wolność ludzka, to jest wolność człowieka, który jest zawsze członkiem kolektywu, nie zaś wyizolowaną, abstrakcyjną jednostką" (37). Bakunin przeciwstawiał w swej filozofii *instytucję naturalną*, czyli społeczeństwo - państwu, czyli *instytucji sztucznej* (również Kościołowi-Państwu Bożemu); przeciwstawiał człowieka obywatelowi i wiernemu.

Kim więc jest człowiek? Jest nim ten, kto pożąda wiedzy, kto zadaje sobie trud poznania świata i praw nim rządzących, bowiem to jest zdaniem Bakunina cena naszego człowieczeństwa. Człowiek to istota rozumna i myśląca, istota obdarzona świadomością i to właśnie świadomość odróżnia przede wszystkim człowieka od innych przedstawicieli świata zwierzęcego.

Czego człowiek szuka? Wolności, rzecz jasna. Zdobycie wolności stanowi zasadniczy sens ludzkiego żywota i rozwoju historycznego człowieka. Tę wolność człowiek uzyskać może jedynie w społeczeństwie. Człowiek może czuć się wolny i uświadamiać sobie swą wolność, a więc i realizować ją, jedynie w środowisku innych ludzi. Szczęście i ziemski raj człowieka polega na pragnieniu wolności i godności ludzkiej wszystkich ludzi, na odczuwaniu swojej wolności jako potwierdzonej i nieskończenie rozszerzonej wolnością wszystkich.

Przypisy:

(1) Cyt. za: I. Wojnar, *Estetyczna samowiedza człowieka*, Warszawa 1982, s. 9.
(2) M. Bakunin, *Moje notatki*, [w:] idem, *Pisma wybrane*, t. 1, przeł. B. Wścieklica i Z. Krzyżanowska, Warszawa 1965, s. 104.
(3) A. Walicki, *Rosyjska filozofia i myśl społeczna od oświecenia do marksizmu*, Warszawa 1973, s. 401.
(4) M. Bakunin, *Przedmowa do drugiego zeszytu "Imperium knuto-germańskiego"*, [w:] idem, *Pisma wybrane*, t. 2, s. 153.
(5) A. Walicki, *Rosyjska filozofia i myśl społeczna…*, op. cit., s. 401-402.
(6) Stankiewicz Mikołaj (1813-1840), organizator kółka intelektualnego, które zapoczątkowało powstanie ruchu okcydentalistów. Do grupy, obok Bakunina, należeli także W. Bieliński, K. Aksakow i M. Lermontow. W kółku Stankiewicza oddawano się studiom m. in. nad myślą Schellinga i Hegla, koncentrowano się na twórczości Goethego, Szekspira oraz Beethovena. Uważa się, że gdyby nie wczesna śmierć Stankiewicza, to jego intelektualne poszukiwania nie zakończyłyby się na Heglu, wszak zdążył jeszcze w jednym z listów napisać na jego temat: "Hegel mrozi mnie zimnem". Nie potrafił bowiem przystać Stankiewicz na heglowskie negowanie zasady nieśmiertelności osoby.
(7) M. Bakunin, *Reakcja w Niemczech*, [w:] idem, *Pisma Wybrane*, t. 1, op. cit., s. 143.
(8) Tamże, s. 142.
(9) A. Walicki, *Rosyjska filozofia i myśl społeczna…*, op. cit., s. 402.
(10) M. Bakunin, *Federalizm, socjalizm i antyteologizm*, [w:] idem, *Pisma Wybrane*, t. 1, op. cit., s. 300.
(11) Tamże, s. 318.
(12) Tamże, s. 319.
(13) Tamże, s. 322.
(14) Tamże, s. 339.
(15) Tamże.
(16) Tamże, s. 339-340.
(17) A. Walicki, *Rosyjska filozofia i myśl społeczna od oświecenia do marksizmu*, op. cit., s. 402.
(18) J. Dobieszewski, *Bakunin Michał*, [w:] A. de Lazari (red.), *Idee w Rosji*, t. 5, Łódź 2003, s. 10.
(19) Tamże, s. 4.
(20) M. Bakunin, *Federalizm, socjalizm i antyteologizm*, op. cit., 334.
(21) Tamże, s. 340.
(22) Tamże, s. 282-283.
(23) J. Dobieszewski, *Bakunin Michał*, op. cit., s. 8.
(24) M. Bakunin, *Federalizm, socjalizm i antyteologizm*, op. cit., s. 345.
(25) B. Suchodolski, *Rozwój nowożytnej filozofii człowieka*, Warszawa 1967, s. 700.
(26) M. Bakunin, *Federalizm, socjalizm i antyteologizm*, op. cit., s. 345, 347.
(27) Tamże, s. 347.
(28) Tamże, s. 347-348.
(29) Tamże, s. 348.
(30) Tamże, s. 349.
(31) Tamże, s. 350.
(32) Tamże, s. 351.
(33) Tamże, s. 352.
(34) Tamże, s. 353.
(35) Cyt. za R. Rudziński (red.), *Idea demokracji w tradycji myśli socjalistycznej. Wybór tekstów*, Warszawa 1974, s. 132-133.
(36) H. Temkinowa, *Bakunin i antynomie wolności*, Warszawa 1964, s. 126.
(37) Tamże, s. 130.





UPADEK I ZANIK CZESKIEGO RUCHU ANARCHISTYCZNEGO W LATACH 914-1923

Ondřej Slačalek

Na przełomie XIX i XX w. ruch anarchistyczny w Czechach był relatywnie silny - uczestniczyło w nim około tysiąca ludzi, wśród nich znani ówcześni intelektualiści. Ukazywało się wiele anarchistycznych czasopism i broszur. Po I wojnie światowej większość współtwórców ruchu przeszło na pozycje narodowo-socjalistyczne, by rozpłynąć się zupełnie wśród członków partii komunistycznej, którą zresztą pomagali zakładać. ***Cóż takiego się stało?***

UGRUPOWANIA ANARCHISTYCZNE W CZECHACH

Aby próbować odpowiedzi na powyższe pytanie, trzeba osadzić je mocno w kontekście całej historii ruchu anarchistycznego. Wszystko zaczęło się w Czechach (będących wówczas częścią Monarchii Austro-Węgierskiej) około lat 90-tych XIX stulecia wśród radykalnych socjaldemokratów, nie zgadzających się z polityką własnej partii, grupy równie radykalnych robotników, będących pod wpływem **Johanna Mosta**, postępowej młodzieży i nonkonformistycznie nastawionych intelektualistów. Silne było oddziaływanie tych kręgów na północy Czech, szczególnie w Pradze, gdzie ruch anarchistyczny zasilił cały szereg artystów, o których do dziś dnia uczy się dzieci w szkołach. Od wewnątrz całość złożona była z wielu kręgów, czasopism i organizacji, często uwikłanych we wzajemne spory, podczas których używano zupełnie niewybrednych argumentów. Ruch wytworzył dwa nurty. Pierwszy z nich, **anarchosyndykalistyczny**, skierowany był na praktyczną walkę robotników o swoje prawa. Drugi **ideowy** skupiony wokół **ČAF** (Czeska Federacja Anarchistyczna), zajmował się głównie propagowaniem podstawowych założeń anarchizmu. W warunkach czeskich anarchosyndykalizm nie miał szans powodzenia, strajki wywoływane przez anarchistów nie znajdowały bowiem poparcia szerszych mas. **ČFVO** (Czeska Federacja Związków Zawodowych) - główna z ekip anarchosyndykalistycznych, została rozwiązana w roku 1908 w wyniku represji. Pozostałe organizacje tego typu nie odegrały już poważniejszej roli. Sporą liczbę anarchistów-robotników po nieudanych próbach strajków zwolniono z pracy; niektórzy zakładali niewielkie firmy rzemieślnicze, które jednak wkrótce upadały. Wielu członków ruchu żyło z paserstwa i drobnych włamań - z tych nielegalnych dochodów wspierali działalność swoją i kolegów. Także dzięki nim udawało się relatywnie często edytować czasopisma: organ ČFVO **„Komuna"** - ukazywał się niekiedy jako dziennik, bywało, iż tylko 3 razy w tygodniu. Z jednej strony dawało to możność propagowania działalności ruchu, z drugiej wyłączało wielu aktywistów z normalnego życia, było kryminogenne i doprowadzało do wzrostu wpływów tych, którzy szczycili się funkcjonowaniem na nielegalnej stopie. Owocem były tak osobiste, jak czysto polityczne spory, trawiące czeski anarchizm.

Walkę o przewodzenie ruchowi wygrali w końcu „ideowcy", reprezentowani przez ČAF i jej gazety: **„Práce"** (Praca), po niej zaś **„Zádruha"** (Zaciąg) i **„Mladý průkopník"** (Młody Pionier). ČAF skupiła najwartościowszych czeskich działaczy i stanowiła (wedle słów jednego z członków) - „mózg" całego ruchu. (1) Skoncentrowana była głównie na szerzeniu myśli i zasad anarchizmu wśród związków zawodowych, ale także poprzez czasopisma i bezpośrednie akcje. Podobnie jak inne organizacje anarchistyczne, zorganizowano ją w formie lokalnych kół. Każde z nich wyłaniało z siebie dwu mężów zaufania, którzy razem tworzyli Komisję Federacyjną, organ przedstawicielski, jaki podczas jeden rok trwającej kadencji ustanawiał kierunek, przyjmowany przez całą ČAF, ustalał zasady współpracy, starał się likwidować spory i reagować na aktualne wydarzenia. Biorąc pod uwagę wielkość Federacji i kłopoty z komunikacją miedzy poszczególnymi kołami, rozwiązanie nie należało do szczęśliwych. Przede wszystkim nastąpił tu konflikt pomiędzy sprawowaniem przez te same osoby funkcji honorowych mężów zaufania i etatowych redaktorów anarchistycznych wydawnictw. Doszło wreszcie do odsunięcia części aktywu od kierowania organizacją, co w przyszłości miało przynieść konsekwencje wybitnie negatywne. Po dwu dekadach istnienia ruchu przyszło rozczarowanie (najwyraźniejsze w szeregach ČAF), iż tak długa działalność nie przyniosła żadnych konkretnych rezultatów. W przededniu I wojny światowej to właśnie grupa aktywistów Federacji pokusiła się o refleksję nad istniejącym stanem rzeczy i wyciągnięcie zeń wniosków.

RUCH ANARCHISTYCZNY JAKO PARTIA POLITYCZNA?

Początek roku 1914 przyniósł ożywione polemiki wewnątrz ruchu i kolejną inicjatywę. Przyczyną wszystkiego stała się grupa aktywistów, na której czele stali - dentysta, **Bohuslav Vrbenský**, od dawna członek ruchu i **Vlasta Borek**, redaktor niezliczonych czasopism, tłumacz Kropotkina i autor wydanej właśnie wówczas biografii Michaiła Bakunina. Postulowali oni utworzenie przez anarchistów „swoiście rozumianej" partii politycznej. Zwrot w tym kierunku, jak i jego przyczyny, starał się teoretycznie uzasadnić Vrbenský. (2)

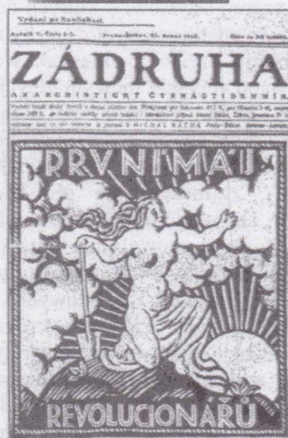
Za najistotniejszą kwestię stomatolog uznał programowe zjednoczenie anarchistów i anarchokomunistów. Tak powstałą organizację proponował nazwać **ŠCAK** (Partia Czeskich Anarcho-Komunistów), w czym dostrzec można paralelę z „Platformą" Machna, Arszynowa i innych. Tekst Vrbenský'ego był projektem nowej partii (mającej różnić się od innych ugrupowań tym, iż nie przewidziano wyborów do ciał ustawodawczych w pozostałych ważkich kwestiach aż tak jednoznacznych zmian nie proponował), jej programu i struktury organizacyjnej. Od pozostałych tekstów teoretycznych, powstałych wówczas w środowisku anarchistycznym, różnił się nade wszystko wyraźnym zaakcentowaniem kwestii narodowościowych. Wcześniej były one przez uczestników ruchu albo przemilczane, albo atakowane, co stanowiło wyraźną opozycję do głównego prądu, obowiązującego w polityce, tworzonej przez inne ugrupowania na obszarze Czech. Wpływ na zmianę poglądów, tak Bohuslava Vrbenský'ego, jak wielu jego kolegów, miała sytuacja w Czechach Północnych. Chcąc nie chcąc włączali się oni w walkę obywateli z ograniczaniem swobód narodowych. Dentysta jasno postulował aktywność w ramach i na rzecz własnego narodu, w konsekwencji wycofując się z perspektywy internacjonalistycznej. W dodatku wspierał swój wywód zgranymi poniekąd tezami o możliwości prowadzenia przez Czechów polityki ekonomicznej, gwarantującej im samowystarczalność. Vrbenský

opowiedział się przeciw dalszemu istnieniu Austro-Węgier i za niepodległością Czech. Największe nadzieje na zmiany społeczne pokładał w praktycznym zastosowaniu dorobku anarchistycznego a odwołując się do Bakunina (poniekąd go zniekształciwszy) za najistotniejszy uznał antymilitaryzm. Trudno wyobrazić sobie rewolucję według Vrbenský'ego, skoro we wstępie do tekstu pisze on: *„Cel może zostać osiągnięty poprzez wszechobecne strajki ekonomiczne, ewolucja musi wtedy samorzutnie przeobrazić się w rewolucję. Czy sam przewrót będzie miał przebieg gwałtowny, to zależy nie tylko od rozszerzającej się fali strajków, ale również od władzy i burżuazji."* (3) Organizacyjnie nowa partia miała być samorządna. O podstawowych celach federacji miał rozstrzygnąć walny zjazd poszczególnych organizacji. Gdyby członkowie niektórych z nich nie głosowali wcześniej nad tezami i byli w stanie przedstawić jedynie stanowisko, stwierdzające, iż część członków jest za przyjęciem, inni za odrzuceniem danej uchwały, zjazd musiałby sprawę raz jeszcze zbadać i odłożyć decyzję na później. W znacznym stopniu eliminowałoby to dyskusję nad tezami w czasie samego zjazdu. W dodatku dentysta upierał się, by tak „przyjęte" uchwały uznawać tymczasowo za ważne.

Propozycja kręgu Vrbenský'ego nie była wcale wśród innych anarchistów przyjęta entuzjastycznie, przynajmniej z początku. Zasadniczy sprzeciw wyraził długoletni redaktor wydawnictw anarchistycznych i aktywista ČAF, **Michal Kácha.** (4) Przede wszystkim odrzucił on sam pomysł stworzenia partii politycznej, co uznał za odejście od podstawowych zasad anarchizmu, a także (dość przewidująco) za *„zarodek przyszłych kompromisów"*. (5) Protestował również przeciwko organizacyjnym ustaleniom stomatologa, przeciwstawiając anarchistyczną wolną wolę każdego z osobna - partyjnej dyscyplinie, zaś dyskusję umieszczając zdecydowanie **ponad** głosowaniem. Twierdził, że upartyjnienie doprowadzi do instytucjonalizacji anarchizmu czeskiego, od czego Vrbenský przecież we wstępie wyraźnie się odcinał. Wykazał też sprzeczność jego tezy o samowystarczalności ekonomicznej poszczególnych nacji z zasadami socjalizmu i opowiedział się za umiarkowanym internacjonalizmem przy akcentowaniu tematyki narodowej. Uznał, że partia polityczna nie może być zaczynem żadnej akcji, bo będzie to już „akcja polityczna", przeciwstawiając jej **akcję bezpośrednią**, z powołaniem się na przykład Amerykanki, **Voltairine de Cleyre**. Tekst Kachy wyrastał z dotychczasowej czeskiej tradycji anarchistycznej; zgodny był też z obowiązującymi i ogólnie akceptowanymi zasadami ruchu. Może i nie we wszystkim bowiem autor wystąpił np. przeciwko możliwości odwoływania przedstawicieli poszczególnych kół do dziś uznawanej za jedną z podstawowych zasad anarchizmu. Wystąpienie znanego powszechnie publicysty wywołało kolejne protesty, nawet w czasopiśmie **„Volné listy"** (Swobodne Karty), już od 1890 roku wydawanym w Nowym Jorku przez związanych z ruchem czeskich emigrantów.



Redakcja pisma Zadruha, lato 1918r. Od lewej stoją: Bohuslav Vrbensky, Luisa Landova - Stychova, Vlasta Borek, Ladislav Klement



Większość środowiska była jednak zbyt zmęczona sporami, by brać w nich czynny udział. W tej sytuacji podczas zjazdu ČAF w kwietniu 1914 roku większość postulatów Vrbenský'ego przyjęto. ČAF przekształciła się we **FČAK** (Federacja Czeskich Anarcho-Komunistów) i rozpoczęła powolną ewolucję w stronę upartyjnienia. Dla przyszłej partii miał być wypracowany nowy program, na bazie założeń kręgu Vrbenský'ego. Jego ludzie zdobyli również przewagę liczebną w najważniejszych organach Federacji. Duch partyjności przeniknąć zdołał do każdego niemal szeregu członków ruchu, stąd pewnie w dokumentach zjazdu czytamy: *"Wszystkie publikacje anarchistyczne, jeśli chcą być za takowe uważane i by można za ich prawomyślność brać odpowiedzialność, muszą zostać przedłożone specjalnej komisji, która roztropnie zaopiniuje jakie czasopisma i druki mogą być uznane za anarchistyczne."* (6)

Tylko wybuch I wojny światowej przeszkodził temu, by zakończyć przeobrażenie ČAF w partię polityczną.

OKRES I WOJNY ŚWIATOWEJ

Wojna oznaczała rozłam w szeregach czeskich anarchistów. Ich czasopisma zostały natychmiast zamknięte, wielu działaczy wysłano na front, gdzie część zginęła w walce, część rozstrzelano. Niemała liczba czołowych aktywistów znalazła się w więzieniach, a ci, którzy pozostali na wolności, zmuszeni byli skrzętnie skrywać dalszą pracę pod szyldem neutralnie brzmiących organizacji (np. Robotniczego Związku Abstynentów).

W dodatku I wojna światowa przyniosła zmiany w całym czeskim ruchu socjalistycznym. Znakomita większość obywateli stała się otwartymi opozycjonistami wobec Austro-Węgier, żądając najpierw autonomii, potem wręcz niepodległości Czech. Polityka lojalizmu, reprezentowana przez socjaldemokratycznych przywódców (takiej postawie sprzeciwiali się m.in. anarchiści) wiodła masy ku reformie socjaldemokracji, owocowała powstawaniem kręgów narodowo-socjalistycznych - ale też skupianiem się wokół **Františka Modráčka**, czynnego socjaldemokraty, niegdyś anarchisty, który ze swych dawnych przekonań zachował uporczywą niechęć do marksizmu, a nacisk kładł na przyjaźń i samokształcenie. Opozycja wśród socjalistów postulowała nie tylko niepodległość Czech, ale też ich socjalistyczny charakter.

Pod wpływem kolejnych wydarzeń, choćby rewolucji w Rosji, anarchiści rozpływali się wśród ugrupowań socjalistycznych. Zapomniawszy, iż jeszcze niedawno nie interesowała ich niepodległość Czech, wstępowali do rad, tworzonych przez opozycję socjaldemokratyczną. Jeszcze przed wybuchem wojny wielu akcentowało przecież konieczność rozpadu Monarchii Austro-Węgierskiej; myśleli także, iż przyszła republika będzie miała charakter socjalistyczny, co umożliwi przejście od cesarstwa do państwa anarodowego. Priorytetem było dla nich zniszczenie Austro-Węgier w ich ówczesnej postaci. Sądzili naiwnie, że druga strona sporu będzie się starała uniknąć otwartej walki i wszystko zakończy się jakimś kompromisem, powoływali się przy tym na rozmyślania Kropotkina.

Kluczową rolę odegrał, po swym powrocie z więzienia w roku 1917, Bohuslav Vrbenský. Postanowił on zjednać sobie socjaldemokratyczną opozycję (wspierał np. czasopismo **„Socialistické listy"** (Stronnice Socjalizmu) Františka Modráčka) i ze wszystkich sił inicjował zjednoczenie wszystkich prosocjalistycznych sił przeciw Austro-Węgrom.

3. lutego 1918 roku w **Duchcově** na północy Czech zwołano zjazd FČAK, gdzie dyskutowano nad koniecznością ścisłej współpracy. Anarchokomuniści wystosowali stamtąd apel o zjednoczenie wszystkich sił socjalistycznych, adresowany tak do socjal- jak i nacjonaldemokratów. Apel ów wywołał w szeregach anarchistycznych relatywnie silny opór. Działacze, nie zgadzający się z linią Vrbenský'ego, nie mieli jednak poparcia mas. Sam zjazd - wobec skomplikowanych warunków wojennych - trudno nazwać reprezentatywnym dla ruchu, co wywołało kolejne protesty przeciw zasadniczym ustaleniom z Duchcová. Jednakże stał się faktem dokonanym po prostu się odbył. Z drugiej jednak strony, o tym, że istniała wówczas realna potrzeba konsolidacji sił socjalistycznych świadczy fakt, iż misję mediacji z ugrupowaniami socjalistycznymi powierzono tak różnym postaciom, jak: **Jaroslav** i **Luisa Štychové** (anarchokomunistyczne małżeństwo, aktywne też w ruchu antyklerykalnym), **Jaroslav Kolář**, Bohuslav Vrbenský czy... Michal Kácha, zasadniczy oponent Vrbenský'ego w roku 1914!

Zasadnicza część socjaldemokratów odmówiła zjednoczenia, propozycję FČAK przyjęli jednak nacjonalsocjaliści i wiele mniejszych, trudnych do ideowego zaszeregowania, ugrupowań. Tak

powstała partia, nazwana Czeską (potem Czechosłowacką) Partią Socjalistyczną (**ČSS**). Anarchiści otrzymali niewiele miejsc w jej kierownictwie, ale przesądzili o relatywnie radykalnym programie, przyjętym przez ČSS, a przeciwstawiającym socjalizmowi państwowemu walkę o prawa ekonomiczne. Wbrew stanowisku nacjonalsocjalistów zatwierdzili też prawa mniejszości narodowych. W perspektywie czasowej okazało się, iż tylko aktywiści byłej FČAK traktowali ów program serio, w odróżnieniu np. od socjalistów narodowych, dla których był to jedynie krótkotrwały kompromis, pozwalający na wzmocnienie ich własnych sił mocną ekipą północno-czeskich działaczy anarchistycznych.

Sojusz anarchokomunistów z narodowymi socjalistami wydaje się zadziwiający, szczególnie, gdy weźmie się pod uwagę, iż szło o scalenie partii z dwu przeciwległych biegunów myśli, powstałe w istocie po to, by wykorzystać nastroje robotników dla celów czysto nacjonalistycznych. Do niedawna przecież uczestnicy walki socjalnej postrzegali je raczej negatywnie. Aspektem nie bez znaczenia w chwili powstawania sojuszu był fakt, iż tuż przed wybuchem I wojny, mieniący się w roku 1918 nacjonalsocjalistami byli - jako przedstawiciele radykalnej czeskiej młodzieży - podobnie aktywni w działaniach antymilitarystycznych. Środowisko anarchistyczne zbliżył też do działaczy narodowych wspólny los uczestników wojennej niedoli. Razem też poddawali krytyce postępowanie władz socjaldemokratów.

Anarchistom nie wystarczyło teoretyzowanie, postanowili czynnie przyspieszyć upadek Monarchii Austro-Węgierskiej. Pokusili się więc o zainicjowanie strajku powszechnego na północy Czech, przy czym starali się zjednać do tego dzieła niektórych prawicowych polityków o zapatrywaniach narodowych, a nawet bankierów. Strajk zakończył się klęską. Jedynym widocznym jego skutkiem było wysłanie anarchokomunistycznych emisariuszy na najgorsze odcinki frontu. Vrbenský na przykład, choć dentysta - to jednak lekarz - do końca działań zbrojnych służył na terenach objętych epidemią cholery. Jeszcze raz członkowie ruchu wzięli udział w strajku z 14. października 1918 roku, ale i ten nie przyniósł sukcesu.

Powstanie niepodległej Republiki Czechosłowackiej (28. października 1918) w niewielkiej tylko mierze było dziełem aktywności mas pracujących. Trzeba je raczej rozpatrywać jako logiczną konsekwencję I wojny światowej i jej wyników oraz starań podjętych przez - głównie emigracyjnych - polityków. Powstałe państwo wcale nie było socjalistyczne - ruch socjalistów odbierano tak na zewnątrz kraju, jak i przez własną społeczność - jako niespójny i mało konsekwentny. Realną siłę polityczną stanowili: prawica i politycy centrowi, reprezentanci rodzimego kapitału.


Michał Kacha

ANARCHISTYCZNY MINISTER

Ruch anarchistyczny nie zamierzał jednak kapitulować. Ogólnonarodowe hasło „budowania republiki" porwało i członków ČSS. W dodatku posiadanie partii umożliwiło im uczestniczenie w owym budowaniu od podstaw. Anarchiści byli we władzach ČSS, niektórych wybrano na posłów a Bohuslav Vrbenský został ministrem zaopatrzenia, grając w kraju jedne z pierwszych skrzypiec. Rządzili jednak głównie politycy prawicowi. Przewodniczącym parlamentu wybrano np. **Karla Kramářa**, który potem, w latach 30-tych, współpracował z rodzimymi faszystami. 8. stycznia 1919 roku, ledwie parę miesięcy po ukonstytuowaniu się władzy, Kramář został ciężko ranny w zamachu, przeprowadzonym przez anarchistę **Št'astnego**.

Vrbenský sprawował swoją funkcję na tyle świadomie i uczciwie, że zasłużył na wdzięczność społeczeństwa, które udało mu się uchronić przed towarzyszącym zazwyczaj okresom powojennym głodem. Najlepiej świadczy o tym fakt, iż kiedy połowie roku 1919 przeprowadzono kolejne wybory i popularny anarchista, choć wciąż poseł - nie znalazł się w nowym rządzie - na północy Czech doszło do serii strajków, popierających powierzenie mu poprzedniej teki ministerialnej. Vrbenský sam je wygaszał! Wcześniej robotnicy mieli świadomość, że posiadają w rządzie **swojego** człowieka. Były minister wybrał drogę wygaszenia strajków, będących w gruncie rzeczy zagrożeniem dla młodej republiki, gdy pewien był już, iż dały one jednak prawicy bodziec, potrzebny do przeprowadzenia liberalnych reform społecznych.

Pokusa dalszego wywierania głębszego wpływu na losy Czechosłowacji nie opuszczała działaczy anarchistycznych, pomysły ich były jednak zupełnie chybione. Głównym tego przykładem może być sygnowany przez Vrbenský'ego i dr **Theodora Bartoška** (anarchizującego adwokata, w latach 1910-1925 prezesa antyklerykalnych „Volné myšlenky" [Wolnych Myśli]) projekt uspołecznienia majątku narodowego i przekazaniu go wszystkim potrzebującym oraz ruchowi spółdzielczemu. Szkic ustawy, przez swych autorów uważany za minimalistyczny i prowizoryczny, powędrował do kosza a po cichu określano go wręcz jako „***bolszewicką wycieczkę do Czechosłowacji***". (7) Podobny brak sukcesów cechował też i Vlasto Borka, który został redaktorem naczelnym oficjalnego organu ČSS, dziennika „**České slovo**" (Czeskie słowo). Nie umiał on powstrzymać ataków swych (przeważnie narodowosocjalistycznie nastawionych) dziennikarzy wobec walk rewolucyjnych w Rosji i w Niemczech ani też utemperować ich poglądów na sprawy własnego kraju. Zjazd FČAK, który odbył się na początku lutego roku 1919, nie był w stanie określić roli, jaką w ČSS winni pełnić anarchiści. Stąd zarysowujący się wyraźnie sceptycyzm wobec poczynań ČSS, które poczytywano za odstępstwo od zasad anarchizmu. Wielu członków ruchu wznowiło po zjeździe niezależną od ČSS działalność, między innymi wydając własne czasopisma. Tym niemniej przywódcy krytykowanej partii, mimo oficjalnego poparcia zarzutów wobec ČSS jako całości, przesądzili o pozostaniu w niej anarchistów, proponując by w miejsce własnej aktywności zająć się propagowaniem myśli klasyków ruchu, choćby poprzez przekłady Piotra Kropotkina. Przeciwko „wierchuszce", partycypującej wówczas jeszcze w sprawowaniu władzy państwowej (poseł i minister Vrbenský, posłanka Štychová czy anarchizujący poeta Stanislav Kostka Neumann), nie zaprotestował wystarczająco jasno nawet Michąl Kácha, aczkolwiek rezolutnie wypowiedział kolegom posłuszeństwo i jeszcze w 1919 roku odszedł z partii. Postępowanie przywódców ruchu wiodło bezpośrednio do likwidacji czeskiego anarchizmu. Prywata przeważyła nad pryncypiami i zraziła wielu szeregowych jego uczestników, którzy z drugiej jednak strony bez dotychczasowych „wodzów" - działać na rzecz wyznawanych idei długo już nie potrafili.

BOLSZEWIZACJA RUCHU

Jedność ruchu anarchokomunistycznego nie trwała długo, aczkolwiek jego członkowie wciąż mogli wywierać pozytywny wpływ na działalność ČSS. W kolejnych wyborach do parlamentu posłami zostali: Vrbenský, Štychová, Bartošek i górniczy leader **Draxl**. Vrbenský dwukrotnie jeszcze piastował (na krótko) tekę rządową - był ministrem szkolnictwa i robót publicznych. Jednakże ČSS sterowała wciąż ku polityce narodowosocjalistycznej, co wiodło do pogłębiającej się izolacji anarchistów wśród partyjnych kolegów.

Obok głównego nurtu sporów pojawiła się grupa, skupiona wokół czasopisma „**Červen**" (Czerwiec), jakie jeszcze w 1918 roku założył wspomniany już poeta S. K. Neumann, a które kierowało swoją uwagę na propagowanie nowoczesnej kultury. Pismo przyciągnęło wielu młodych twórców, zafascynowanych najpierw ideami anarchizmu, następnie bolszewizmu, by wymienić tu późniejszego noblistę **Jaroslava Seiferta**, **Vitězslava Nezvala** i malarkę **Toyen**. Redakcja „Czerwca" coraz bardziej ulegała wpływom bolszewickim, głównie dzięki nadsyłanym reportażom, które z radykalnym zapałem, acz znacznie mniejszą zdolnością do pełnej analizy wydarzeń, pisał w rewolucyjnej Rosji anarchistyczny dziennikarz **Emanuel Vajtauer**. Bolszewizm zwiódł także samego Neumanna, który szybko zwątpił w możliwość realnej współpracy z narodowymi socjalistami. Zaczął on rewidować swoje poglądy. Uznał wreszcie, iż anarchizm nie przystaje nijak do epoki rewolucyjnych zmagań, mawiając w związku z tym o „***sędziwych teoriach i martwych zasadach***". Stale dokształcał się, wertując Leninowską interpretację marksizmu. Lektury dzieł Włodzimierza Iljicza przywróciły mu wiarę w radykalność socjalizmu, którą stracił w zetknięciu z czeskimi socjaldemokratami. Leninowska wizja rewolucji była dla Neumanna

pełną realizacją anarchistycznej akcji bezpośredniej. Na skutki nie trzeba było długo czekać - w 1920 roku poeta opuścił ČSS, zakładając z ideowymi przyjaciółmi **SKS** (Związek Grup Komunistycznych). Nowa organizacja poszukała natychmiast kontaktów z dawnymi anarchistami i zyskała dla swych bolszewickich poglądów wielu radykalniejszych aktywistów. W SKS doszedł w pełni do głosu artystyczny indywidualizm Neumanna, z którego znany był jeszcze jako anarchista. Grupy miały być nieduże, ale *„skuteczne, dzięki zdolnościom tworzących je ludzi"*. W podobny sposób chciał też Neumann założyć partię komunistyczną. Widział ją jako partię *„uświadomionych kadr"*, które swą aktywnością porwą *„indyferentne masy"*. Ta wizja ściągnęła na Neumanna atak ze strony Trzeciej Międzynarodówki, który skierował SKS z drogi na lewo ku partii socjaldemokratycznej, kierowanej nie przez kogo innego, jak wrogiego anarchistom działacza socjaldemokratycznego z lat I wojny światowej, **Bohumira Šmerala**, który został pierwszym przewodniczącym socjaldemokratów po reaktywowaniu ugrupowania w roku 1921. Starzy działacze anarchistyczni zbliżyli się w ten sposób do lewicy za pośrednictwem socjaldemokratów, co było powodem walk frakcyjnych w SKS przy końcu roku 1920. Sam Neumann nadal zachował w partii znaczne wpływy.

Bez echa w tym czasie minął list **Piotra Kropotkina**, wysłany na ręce **Hugo Sonnenscheina** (który w jakiś czas po zetknięciu się z Kropotkinem został bolszewikiem i marzył o utworzeniu w Czechosłowacji partii bolszewickiej), a adresowany do czeskich mas robotniczych. Książę-anarchista przestrzegał w nim przed braniem przykładu z autorytarnego socjalizmu, powstającego w Sowieckiej Rosji. Sonnenschein pismo to zataił przed członkami ruchu anarchistycznego, dzięki czemu mógł spokojnie ukazywać postać Kropotkina jako przykład tego, kto pochopnie ocenił realia i stał się ich statystą.

ZAMACH

Działalność ruchu zamierała. Czas wykazywał niemożliwość kontynuowania tych dróg rozwoju, jakie wybrali po zakończeniu wojny anarchiści. Ekonomiczne posunięcia prawicy doprowadziły na skraj rozpaczy wszystkich, którzy wciąż mieli nadzieję na lewicowy kierunek rozwoju wspólnego państwa Czechów i Słowaków. 5. stycznia 1923 roku dziewiętnastoletni **Josef Šoupal**, były członek komunistycznej KSČ, który pożegnał partię ze względu na swe radykalnie anarchistyczne poglądy, dokonał zamachu na **Aloisa Rašina**, wielce niepopularnego ministra finansów, odpowiedzialnego za politykę ekonomiczną kraju, wpływającą negatywnie na szerokie masy obywateli. O, ironio tenże Rašin w latach 90-tych XIX wieku był więziony za przynależność do protoanarchistycznej **„Omladiny"** („Młodzieży"). W wyniku ciężkich ran, 18. lutego minister zmarł. Šoupalowi groziła realnie kara śmierci na szczęście dla niego Rašin stał w opozycji do prezydenta republiki i skończyło się „jedynie" karą dwudziestu lat więzienia, której w całości nie odbył. Na wolność wyszedł na krótko przed wybuchem II wojny światowej. Zamach wywołał całą serię antylewicowych demonstracji i przyspieszył rozpoczęcie represji, gdyż prawica wykorzystała go do wprowadzenia „Prawa o ochronie republiki", obligującego do śledzenia „myśli wywrotowej". Niechcący więc Šoupal zdyskredytował myśl anarchistyczną w oczach potencjalnych jej zwolenników.

OSTATNIA SZANSA ODNOWY RUCHU ANARCHISTYCZNEGO

Zamach na ministra finansów miał też destrukcyjny wpływ na sytuację w ČSS. Grupa Vrbensky'ego została izolowana od innych i utraciła realny wpływ na bieg wydarzeń. Stale groziło im wydalenie z szeregów ČSS. Ostatecznym pretekstem do rozstania stało się zatwierdzenie wspomnianego już „Prawa o ochronie republiki", kiedy to czworo anarchistycznych posłów z ramienia ČSS odmówiło udziału w głosowaniu. Wykluczono ich wówczas definitywnie z ugrupowania, przy okazji stracili też mandaty parlamentarne.

Wokół Vrbensky'ego poczęli się gromadzić ludzie, liczący na odnowienie przezeń ruchu anarchistycznego. Większość odmówiła jednak współpracy z weteranem czeskiej anarchii, przestała się uważać za bliskich mu ideowo i dążyła poprzez zmiany w programie ČSS do powstania kolejnej partii socjalistycznej. Grupa, chcąca reaktywować myśl anarchistyczną, została sama.

VSA

Na początku roku 1923 pojawiła się nowa anarchizująca formacja polityczna **VSA** (Wolne Stowarzyszenie Anarchistów). Utworzyli ją ludzie nie pogodzeni z rozłamem ruchu i pozbyciem się przez wielu towarzyszy dawnych idei. Najwyraźniejszą osobowością nowego ruchu był **František Petránek**. We wspomnieniach współczesnych ukazywany jest jako niezwykle ekstrawagancki człowiek i działacz. Ma o tym świadczyć choćby nadanie córce imion: Bakunina Satanela... Początek roku 1923 to również pojawienie się edytowanego przez Petránka czasopisma **„Bezvládí"** (Bez Władzy). Starano się w nim szerzyć podstawy anarchizmu i nawiązywać do tradycji przedwojennych. Pomimo dość radykalnego i krytycznego w stosunku do politycznych realiów charakteru pismo nie odważyło się wezwać do radykalnego zerwania z partyjniactwem i przeciwstawienia mu anarchistycznej alternatywy. Wręcz przeciwnie: ***„Czego wymagamy od anarcho-aktywistów? Chcemy, by umieszczali się w zarządach tych partii, w których aktualnie są i by wszyscy dostosowywali swoje przekonania do warunków porządku kapitalistycznego. Jednocześnie jednak musimy być świadomi losu każdego proletariusza! Nie wolno nam zapomnieć, że mamy do spełnienia cel wyższy, niż stanowienie demokratycznej republiki...*"** (8) pisano w pierwszym numerze „Bez Władzy". Anarchizm w wersji VSA pojmowany był indywidualistycznie i etycznie, co przejawiło się np. w umiarkowanie krytycznej reakcji wobec zamachu na Rašina: ***„Żadne strzały do członków rządu - nieprzyjaciela wszystkich nie przybliżą dobrobytu czeskiego ludu. Celować trzeba we własne słabości, zwrócić większą uwagę na swoją podłość, wszeteczność, alkoholizm, sferę erotyczną, łakomstwo, pychę, przesądy...*"**. (9) Uwagi, publikowane w „Bez Władzy", były niekiedy odległe od tego, co przyjęto uważać za kanon czeskiego anarchizmu - zaś ich autorzy dochodzili raz do ciekawych i pożytecznych dla ruchu, kiedy indziej znów pogmatwanych, indywidualistycznie hermetycznych wniosków. Sam Petránek napisał w podstawowej wykładni rozumienia anarchizmu: ***„Anarchizm to doktryna wybitnie relatywna, jednakże ma swoją metodę rzekłbym - metodę wolności. Istnieje znaczny rozdźwięk pomiędzy doktrynami socjologicznymi, których wystarczy się naczytać, by je głosić, a anarchizmem. Ten trzeba najpierw głęboko w sobie przeżyć, by mógł trwać i rozwijać się.*"** (10) Owo zajmujące spostrzeżenie, przypomina rozterki innych współczesnych Petránkowi teoretyków, choćby problem, postawiony przez **Dave Neala**: ***„Anarchizm ideologia czy metodologia?*"** (11) Koresponduje to z innym fragmentem: ***„Całkiem możliwe, iż całe miliony ludzi, ścigających swój cel, zwrócą serca i dłonie ku czarnemu sztandarowi anarchizmu. Zasadniczo jednak anarchizm nigdy nie stanie się chlebem powszednim mas. Anarchia jest czymś organicznym, z nią człowiek przychodzi na świat albo nie, nie może się tej idei nauczyć nikt, kto nie posiada jej we krwi (...), jest swoistym „uduchowieniem", przejawem kultu...*"**. (12)

Sukcesem Wolnego Stowarzyszenia Anarchistów była edycja książki antyklerykała, wówczas także anarchisty - **Zdeňka Lahulka-Faltysa: „Socjalizm, komunizm, anarchizm"**. Ona również kładła główny nacisk na etyczne aspekty anarchizmu, podobnie jak na systemy wychowania i oświaty. Mimo, iż dla autora ruch był tylko krótkim epizodem, książka na długi czas stała się ostatnim rozsądnym tekstem teoretycznym czeskiego anarchizmu.

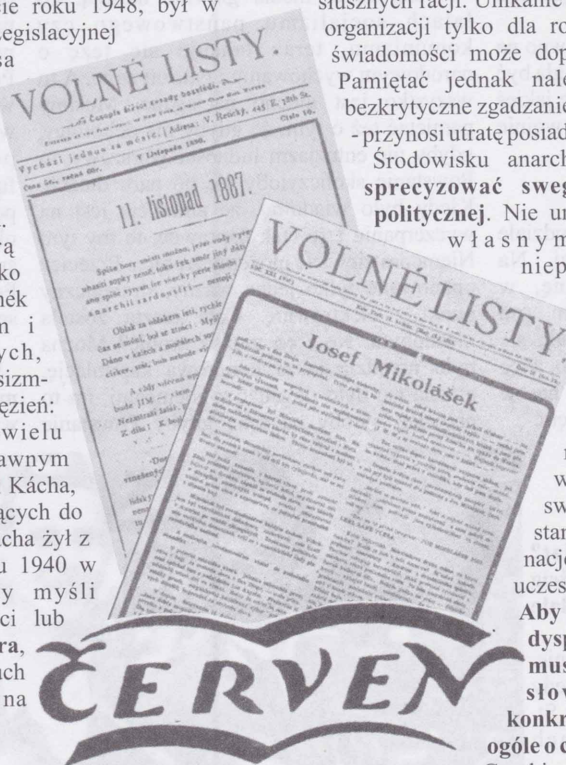
VSA nie egzystowało długo. Nie znalazło potrzebnego każdej organizacji społecznego poparcia, samo też nie bardzo potrafiło konkretnej określić własnego oblicza ideowego. Szybko doszło do konfliktu z „Prawem o ochronie republiki". Kilka edycji „Bez Władzy" skonfiskowała policja, a redaktor Petránek otrzymał kolejno trzy wyroki. Poza tym czasopismo było zadłużone i po dziewiątym numerze przestało się ukazywać. W zasadzie epizod VSA zakończył sny o anarchistycznej potędze na terenie Czechosłowacji. Powstało potem jeszcze wiele luźnych grup, głównie (i tradycyjnie już) w północnych Czechach, ale niczym nie zapisały się one w społecznej świadomości. Ich obraz jest wielce niejednoznaczny i opisanie go, bez długotrwałych badań, na razie nie wchodzi w rachubę.

OSTATNIE ECHA

Vrbenský i jego grupa jeszcze przez dwa lata próbowali prowadzić własną politykę, opartą na pierwotnych założeniach ČSS, w swojej **Niezależnej Socjalistycznej Partii Robotniczej (NSSD)**. Po klęsce wyborczej - NSSD w roku 1925 połączyła się z komunistyczną KSČ, do której wprowadziła wielu wytrawnych działaczy (zwłaszcza górników) z północnych Czech.

Dalsze losy czołówki anarchistycznej nie mają z bazową ideą zbyt wiele wspólnego. Bohuslav Vrbenský był przez wiele lat prezesem SP SSSR (Towarzystwo Przyjaciół ZSRR) i zmarł w roku 1944 jako oficer czechosłowackiej jednostki, podporządkowanej Armii Czerwonej. Stanislav Kostka Neumann stał się oficjalnie pisarzem bolszewickim, autorem np. rozprawy **„Anti-Gide"**, w której z pozycji stalinowskich

polemizował z krytyczną wobec Kremla książką André Gide'a **„Powrót z ZSRR"**. Zmarł w roku 1947. Inny los spotkał dwu jego druhów z czasów zakładania KSČ. Popularyzator radzieckiej rewolucji, współpracownik „Czerwca", Emanuel Vajtauer, w roku 1929 został wykluczony z partii, po czym szybko zmienił o 180° swe polityczne zapatrywania. Szczyt jego kariery przypadł na okres nazistowskiej okupacji Czech, gdy był jednym z najzagorzalszych dziennikarskich kolaborantów. Przed zakończeniem II wojny zniknął nagle, co uchroniło go przed procesem i karą. Hugo Sonnenscheina pod zarzutem trockizmu również wyrzucono z KSČ, tyle że później, w latach 30-tych. Podczas II wojny jako komunista i Żyd więziony był w kilku niemieckich obozach koncentracyjnych, łącznie z Auschwitz . Przeżył, ale już w 1947 roku rodzimi bolszewicy wytoczyli mu sfingowany proces. Zmarł w więzieniu w roku 1953. Theodor Bartošek, po komunistycznym przewrocie roku 1948, był w okresie 1949-1951 członkiem Rady Legislacyjnej Ministerstwa Sprawiedliwości. Luisa Štychowa została posłanką KSČ i zajmowała niezbyt znaczące funkcje aż do śmierci w roku 1969. Vlasta Borek skorzystał na swej znajomości rosyjskiego. Kiedyś tłumaczył na czeski klasyków anarchizmu, teraz dzieła Lenina. Wynagrodzono to Borkowi karierą dyplomatyczną. Zmarł w roku 1952 jako wiceminister spraw zagranicznych. Zdenék Lahulek-Faltys stał się psychologiem i autorem kilku pozycji książkowych, popularyzujących Kraj Rad oraz marksizm-leninizm. Do KSČ wstąpili po wyjściu z więzień: Šťastný i Šoupal. Naprawdę niewielu anarchistów dochowało wierności dawnym przekonaniom. Jednym z nich był Michal Kácha, który wycofał się z rozgrywek, zmierzających do upartyjnienia ruchu, już w roku 1919. Kácha żył z wydawania beletrystyki a zmarł w roku 1940 w skrajnej nędzy. Bliscy niekiedy myśli anarchistycznej byli niekiedy surrealiści lub marksistowscy dysydenci: **Záviš Kalandra**, **Egon Bondy** czy **Petr Uhl**. Sam ruch odnowił się w Czechach dopiero na przełomie lat 80-tych i 90-tych XX w.



Czeskie pisma anarchistyczne

WNIOSKI?

W połowie lat 20-tych cały ruch anarchistyczny przesiąkł bolszewizmem. Nie było co prawda tak, by czescy anarchiści mieli pod wpływem rewolucji radzieckiej same „diabelskie" myśli. Proces przechodzenia od „anarchobolszewizmu" do czystej bolszewii cechował wówczas cały ruch anarchistyczny, nigdzie jednak, jak w Czechosłowacji, nie zakończyło się to zniszczeniem **wszystkiego**, co od lat próbowano zbudować. Powodów było wiele. Anarchiści musieliby nade wszystko zmienić sposób myślenia **całego** społeczeństwa Czech. W czasach Austro-Wegier zaczął tam przeważać pęd do niepodległości, odbijając się negatywnie na działaniach ruchu - powstanie I Republiki tylko ów proces pogłębiło, zachwiawszy samoidentyfikację setek członków. Nigdzie też brać anarchistyczna tak masowo nie próbowała odchodzić od antyautorytaryzmu w stronę najgorszego z gatunków totalitaryzmu - poglądów bolszewickich. Skoro zdecydowano się na aktywne współtworzenie państwa, musiało dojść do konfliktu między jego autorytetem a ideą. Sowietyzacja stanowiła rodzaj ucieczki od problemu. Winna tu jest z pewnością kryzysowa sytuacja w ruchu, istniejąca u zarania I wojny światowej. Jak napisał czeski historyk myśli anarchistycznej, Václav Tomek: ***„Czeski ruch anarchistyczny końca XIX i początku XX w. nie zdążył się określić. Idee i polityka socjalna załamały się głównie z przyczyn wewnętrznych, prowadząc do kryzysu i kłopotów z samoidentyfikacją."*** (13)

Można by tu winić wewnętrzny system organizacji - funkcja mężów zaufania prowadziła ku centralizmowi. Nie to jednak zdecydowało. Musimy mieć świadomość, iż tak ustawiony system, choćby z technicznego punktu widzenia - sprawdzić się nie mógł. Przy okazji nietrudno zauważyć, iż większość organizacji anarchistycznych trwała przy federalizmie, jednocześnie optując za możliwością odwoływania przedstawicieli, dobrowolnością i rotacją funkcji.

Z przygód czeskiego ruchu anarchistycznego można, moim zdaniem, wyciągnąć kilka nauk na dzień dzisiejszy.

Mniemam np., że karygodnym błędem ČAF był rozdźwięk pomiędzy ideami (uznanymi za nienaruszalne i wielkie) a ich realizacją. Stojąc w opozycji do praktyki syndykalistów, „prawowierni" anarchiści postanowili założyć organizację, szerzącą niezłomne, anarchistyczne **poglądy**. Tymczasem tak przynajmniej uważam anarchizm nie jest wcale platońską ideą niezależną od czasu i miejsca. Jest zbiorem wytycznych postępowania, realizowanych w konkretnych sytuacjach, przejawiających się poprzez konkretne czyny. **Powstanie jednej, obecnej jednak społecznie grupy, znaczy dla anarchizmu więcej, niźli całe stosy ideowej, nawet bezkompromisowej, propagandy**.

Groźbę dla ruchu stanowi także jego **elitarność**. Każdy człowiek ma coś do powiedzenia na temat anarchistycznych pomysłów na życie. Dyskurs z nim doprowadza do sytuacji, gdy przestaje istnieć pojęcie „prawowierności". Wolne i samorządne społeczeństwo ma doprowadzić do równości szans - nikt nie może być „właścicielem" słusznych racji. Unikanie dyskusji wiedzie do izolacji; tworzenie organizacji tylko dla rozwoju własnych zdolności i własnej świadomości może doprowadzić do powstania nowych elit. Pamiętać jednak należy o nie popadaniu w skrajność bezkrytyczne zgadzanie się z każdym, miast mnogości spojrzeń - przynosi utratę posiadanych poglądów.

Środowisku anarchistów czeskich **nie udało się też sprecyzować swego stanowiska w sprawie walki politycznej**. Nie umiało ono dokonać wyboru pomiędzy własnym rodowodem, wybuchem niepodległościowego nacjonalizmu i mnogością ruchów socjalistycznych. Jako **całość** nie wypracowało własnego stanowiska ani długofalowej koncepcji rozwoju atakowało grupy socjalistyczne, by przecież rozpłynąć się wśród narodowych socjalistów i bolszewików, wyśmiewało prawo państwowe a poprzez swych posłów brało czynny udział w jego stanowieniu, ostro występowało przeciw nacjonalizmowi a w tym samym czasie uczestniczyło w walce o niepodległość.

Aby ruch anarchistyczny mógł prowadzić dysputę serio o problemach swojej doby, musi zrezygnować z propagandowej, słownej ekwilibrystyki na rzecz konkretnych rozwiązań, inaczej nie będzie w ogóle o czym mówić.

Czeskim działaczom zabrakło też spektakularnie odniesionych sukcesów. W walce tak długofalowej, jak prowadzona przez anarchistów, trzeba historię ruchu w Czechach potraktować jako ciekawy punkt odniesienia i rozpocząć krytyczną dyskusję. Stawiając sobie pozytywny cel, możemy zobaczyć, jakie przyczyny mogą przeszkodzić w jego realizowaniu.

Osobiście oceniam ruch anarchistyczny jako całkiem ciekawą kombinację bezkompromisowego programu przebudowy (anarchokomunizm) z organizacyjnymi kompromisami na rzecz danej teraźniejszości, czego przykładem są dla mnie tak udział Vrbenský'ego w działaniach partii politycznych, jak anarchistyczne Platformy Machna, Arszynowa i innych.

Ostatni wniosek, jaki nasuwa przykład czeskich anarchistów, to ten, iż izolowany od realnych potrzeb narodu - ruch nie ma szans na przetrwanie. Również anarchistyczne pojmowanie **internacjonalizmu** nie powinno być mnożeniem formalnych pojęć musi opierać się o praktykę. Ta z kolei wymaga nieustającej dyskusji, działającej wówczas jako zwornik społeczeństw.

tłum. z j. czeskiego **Lech „Lele" Przychodzki**

PRZYPISY:

1.Zob. Neumann S. K., *Obě federace*, Nový Kult, [przedruk w:] Tomek V., *Český anarchizmus 1890-1925, Praha*, 1996, s. 396 i [w:] *Existenci 4* (1998);
2. Text Vrbensky'ego przedrukowany [w:] Tomek V. , op. cit., ss. 625-636;
3. ibid., s. 632;
4. Krytyka pióra Káchy tamże, ss. 637-650;
5. ibid., s. 637;
6. Materiały zjazdowe przedrukowane [w:] Tomek V., op. cit., ss. 65-657;
7. Cyt. za: Tůma I., *Bohuslav Vrbenský*, Usti nad Labem, 1980, s. 41;
8. *Bezvládí* 1923; przedruk [w:] Tomek V., op. cit., s. 704;
9. *Bezvládí* 1923;
10. *Bezvládí* 1923; przedruk [w:] Tomek V., op. cit., s. 708;
11. Neal D., *Anarchismus - ideologie nebo metodologie*, *Existence 9* (2000);
12. ad. 10;
13. Tomek V., *Autorita nebo svoboda*, Praha, 2001

rozmowy anarchistów ...

"Na Starym Mieście, salutując nieregulaminowo, nie nosząc dwóch belek, podkreślałem, że jestem cywilem, ochotnikiem i anarchistą"

Jan "Krok" Kurdwanowski

... O POWSTANIU WARSZAWSKIM

***Łukasz Cholewicki* rozmawia z *Michałem Wojcieszakiem*, uczestnikiem Federacji Anarchistycznej sekcja Poznań (IV 1996 - XII 2000). Współzałożycielem grupy anarchistycznej solidarność, w której jest do dzisiaj...**

Kiedy się zaczęła twoja fascynacja Powstaniem?

Trudno mówić o jakiś datach. Na pewno na początku szkoły podstawowej... To mogła być czwarta albo piąta klasa... Czytało się jakieś książki, jakieś drobne rzeczy o drugiej wojnie światowej dla młodzieży.

Jakaś literatura obozowa?

Nie, to były jakieś ogólne książki o udziale Polaków w II Wojnie Światowej. Na podwórku bawiliśmy się w wojnę, w Poznaniu, tam gdzie mieszkałem (na ŚWIERCZEWIE), ta zabawa nazywała się „strzelano". I w telewizji było tego dużo, więc pewnie w jakiś sposób, jak każdy z nas w tamtych czasach, byłem tym przesiąknięty.

A o jakich czasach teraz mówisz?

To był przełom lat 70 i 80 tych.

Czyli to atmosfera tamtych lat? Panowie z orderami w telewizji? Wyścig zbrojeń? Okrągłe rocznice? To działało ci na wyobraźnię?

Nic z tych rzeczy, stan wojenny też nie. Tak naprawdę wszystko zaczęło się kiedy pani w bibliotece poleciła mi książkę St. Komornickiego „Na Barykadach Warszawy".

Co to była za książka? Co cię w niej urzekło?

To było o młodych, warszawskich chłopakach i dziewczynach, dokładniej były to wspomnienia dwudziestoletniego podchorążego Armii Krajowej, który był w Powstaniu. Ciekawostką jest to, że oddziałem, w którym walczył była 104 kompania Związku Syndykalistów Polskich.

Ha! Czy to było przy okazji twoje pierwsze zetknięcie z anarchizmem?!

W 104 kompanii walczyli anarchiści, ale wtedy słowo anarchia, anarchizm było dla mnie nieznane.

Czyli ta fascynacja powstaniem była pierwsza?

Tak. Ta książka zapadła we mnie bardzo głęboko. Często do niej wracałem i na pewno zainteresowanie powstaniem warszawskim jest owocem tej lektury.

Nie jest to dość dziwne hobby jak na anarchistę?

A co ty złego widzisz w Powstaniu?

A nie sądzisz, że to może budzić zdumienie u anarchisty? Te całe harcerskie wychowanie i patriotyzm jest nam przecież obce?

Myślę, że to media głównie lansują. Po latach socjalizmu państwowego czy komunizmu, teraz lansuje się tezę o narodowym wychowaniu i patriotyzmie. A to wszystko jest mocno naciągane. Musimy pamiętać też o tym, że gdyby nie ochotnicy, gdyby nie entuzjazm ludności Warszawy, to Powstanie skończyłyby się po paru dniach. Kiedy było wiadomo, że amunicja jest na wyczerpaniu i że tak naprawdę, to my tym Niemcom niewiele możemy zrobić... Przecież opanowano tylko jeden ważny, strategiczny punkt - elektrownię. Cała reszta została niezdobyta. No i co można zrobić? Można było urządzić jakąś honorową kapitulację, można się było dogadać z Niemcami, im to przecież byłoby na rękę gdyby Powstanie



zakończyło się po paru dniach. Ale nie, ludzie walczyli dalej. A dlaczego walczyli? Bo walczyli o wolność, wolność Warszawy. Żeby wreszcie można było mówić po polsku, żeby można było swobodnie chodzić po ulicach i robić to, co się chce i kiedy się chce. Żeby nie było godziny policyjnej, gestapo, patroli policyjnych na ulicach. Żeby nie było tego całego okupacyjnego gówna, które przez pięć lat dusiło Warszawę. I o to szła walka. Młodzież nie zastanawiała się jakie będzie przyszłe państwo polskie. Musimy też pamiętać o tym, że przez pięć lat okupacji wiele różnic klasowych się zatarło. Właśnie przez to, że była konspiracja i podziemie. Dla nich były ważniejsze rzeczy niż kto skąd przychodzi i skąd pochodzi. Myślę, że w Powstaniu Warszawskim zrealizowały się te wszystkie piękne idee, o których tyle mówimy w anarchizmie - braterstwo, solidarność i pomoc wzajemna. Na tych trzech fundamentach PW się opierało. A to, że pojawili się ludzie, którzy chcieli sobie przy okazji coś dla siebie ugrać, to już całkiem inna sprawa. Poziom polityczny, a poziom Powstania na samych dołach, to są dwie rożne sprawy.

Mówiąc o powstaniu, mówisz głównie o młodzieży - ci młodzi chłopcy, dziewczęta, wydaje się, że oni są najważniejsi dla Ciebie?

Bo taka jest prawda. Gdyby nie było entuzjazmu młodych ludzi, ich samozaparcia, poświęcenia, to Powstanie by się skończyło po tygodniu, dwu, nieważne, po prostu by się skończyło. Ich entuzjazm, szczerość w walce o wolność były tu decydujące.

To się wiąże jakoś ogólnie z twoja wiarą w młodzież?

To jest chyba ogólna norma, że najwięcej nadziei możemy zawsze pokładać w młodych, bo w nich jest najwięcej czystego i szczerego entuzjazmu oraz wiary w to, że można zmienić świat. W PW ukazało się to w pełnym świetle i w pełnej krasie.

A ile ty masz lat?

Za parę miesięcy stukną mi 33 lata. Jak na warunki powstańczej Warszawy, byłbym już starym człowiekiem.

A masz trochę tego entuzjazmu jeszcze w sobie?

To chyba normalne, że im człowiek ma więcej lat, tym tego entuzjazmu ma mniej. Jak ktoś kiedyś powiedział na początku naszej drogi jeśli w coś tam wierzymy, cel wydaje się bliski. Im więcej mamy lat, tym cel się oddala. Idziemy na kompromisy i widzimy, że cel jest nawet jeszcze możliwy do osiągnięcia, ale jest już bardzo daleko. I że może tego już nie zobaczymy. Oczywiście dla niektórych najważniejsza jest sama droga do celu, ale jeśli przez pięć lat przygotowywano się w Warszawie do powstania, to musiało ono wybuchnąć. Obojętnie czy chciałaby tego Komenda Główna Armii Krajowej czy ktokolwiek inny (np. komuniści z Polskiej Partii Robotniczej).

Tak cię słucham i muszę zadać to pytanie: Czy jesteś romantykiem?

No tak, to kolejny klasyczny polski problem, czy może bardziej polska antynomia - romantyzm a pozytywizm. Myślę, że jestem zbudowany z jednego z i z drugiego.

No tak, Poznaniak w końcu... Ale nie wydaje ci się, że to idealizowanie Powstania albo młodych, może mieć źródło w twoim romantyzmie?

Wiesz, tak samo jak mówisz, że jestem Poznaniakiem, mógłbyś powiedzieć, że jestem Niemcem. W końcu moja babiczka pochodzi z Allemanii. Romantyczne jest samo twierdzenie, że chcieć znaczy móc. Myślę, że jest to związane z tym kiedy możemy słowa i idee przekuć na czyny. A PW świadczy o tym, że ta teza się potwierdza. To, o czym marzono i śniono przez lata stało się ciałem żywym, stało się czynem. Czynem, za który trzeba było zapłacić bardzo wysoką cenę, ale myślę, że większość ludzi była na to mniej lub bardziej świadomie przygotowana. Że za wolność swoją i miasta będzie trzeba zapłacić.

Wielu historyków zwraca jednak uwagę, że ludność Warszawy było dość ambiwalentnie nastawiona do powstańców. Nie każdy chciał umierać za Warszawę...

Historycy rozpatrują sprawy post factum, patrzą na zimno. Entuzjazm Warszawiaków upadał wraz z upływem czasu. Po wybuchu walk entuzjazm ludzi spowodował, że Powstanie trwało. Gdyby nie było pomocy cywili, to walki zakończyłyby się po kilku dniach - kiedy akcja wojskowa wyczerpała się z takich prozaicznych powodów jak ograniczone stany amunicji, duże straty, itp. Gdyby nie było napływu ochotników, pomocy przy budowie barykad, organizowania przez ludność kuchni polowych, pomocy przy urządzaniu szpitali i punktów sanitarnych bez tego wszystkiego powstanie zakończyłoby się bardzo szybko. Bez masowego poparcia nie byłoby 63 dni wolnej Warszawy. Powstanie to przykład na zdolności samoorganizacji się społeczeństwa. Wiadomo, że łatwiej się organizować, kiedy wróg jest jasno określony i wiadomo kto jest kim. Gdyby Warszawiacy nie chcieli walczyć, to by się nie organizowali. Nie urządzali by pomocy dla np. uchodźców z dzielnic opanowanych przez Niemców, nie byłoby dzielenia się żywnością itp. Musimy pamiętać, że już pierwszego dnia wszystkie magazyny żywności AK zostały zajęte przez Niemców. De facto powstańcy przez pierwszą dekadę walki byli żywieni przez cywilów. Były kuchnie polowe, stołówki - wszystko zorganizowane przez ludność Warszawy.

ANARCHIŚCI W POWSTANIU WARWSZAWSKIM

Powiedz o udziale anarchistów w Powstaniu Warszawskim.

Z mojej wiedzy, która nie jest jeszcze dogłębna, bo wciąż wiele materiałów znajduje się w archiwach do których trzeba dotrzeć, wynika, że w PW udział brało od kilkudziesięciu do 100 anarchistów, anarchosyndykalistów i ich sympatyków. Nasi towarzysze byli na pewno w 104 kompani Związku Syndykalistów Polskich. Byli też obecni w Brygadzie Syndykalistycznej oraz w legendarnej, otoczonej nimbem tajemnicy Syndykalistycznej Organizacji „Wolność" (w skrócie „SOWa"). Wielu z nich należało przed wojną do Anarchistycznej Federacji Polski.

Wiesz coś więcej o ich motywacji? Rozterkach?

To jest potwierdzenie tego o czym mówiłem wcześniej. Dla nich była to walka o wolność. Wolność pojętą ogólnie oraz wolność Warszawy.

Czy zachowało się dużo materiałów źródłowych na ten temat?

Archiwa dalej ukrywają przed nami informacje o walce naszych towarzyszy. Mam nadzieję, że w najbliższym czasie to się zmieni. Wiem, że Michał Przyborowski, anarchista ze Słupska-Szczecina, przygotowuje do druku wspomnienia Pawła Lwa Marka z Anarchistycznej Federacji Polski, który był redaktorem „Syndykalisty". Pisma wydawanego w czasie Powstania. W tych wspomnieniach będzie więcej informacji. Część tych wspomnień ukazała się już drukiem w książce „Exodus Warszawy. Ludzie i miasto po powstaniu". W najbliższym numerze pisma grupy anarchistycznej solidarność „Kurier A" ukaże się materiał o udziale Brygady Syndykalistycznej w Powstaniu Warszawskim.



A masz jakieś informacje o losie tych anarchistów po Powstaniu?

Tu też najwięcej informacji dostarczają wspomnienia Pawła Lwa Marka. Wiadomo, że większa część poszła albo do obozów jenieckich, lub razem z ludnością cywilną do obozu przejściowego w Pruszkowie. Duża część członków Brygady Syndykalistycznej przemyciła się właśnie tam i stamtąd próbowała ucieczki. Marek właśnie tak zrobił. Jego żona pozostała w Warszawie, w bunkrze przetrwała cały okres aż do 17. I. 1945, kiedy to Warszawa została wyzwolona.

A po zakończeniu II Wojny Światowej?

Wiadomo, że w ówczesnych realiach działalność anarchistyczna była zakazana i nie podjęto żadnej działalności. Były to raczej osobiste kontakty pomiędzy działaczami, wymiana listów, szukanie się kto przeżył... Po nastaniu drugiej okupacji, kiedy ZSRR zajął Polskę, nie można było przyznawać się do anarchizmu. O tym jak wyglądała działalność anarchistyczna po zakończeniu wojny można dużo się dowiedzieć z ósmego numeru "A-taku"..

Ciekawa historia wiąże się z "Warszawianką" i "A Las Barricadas", jednym z hymnów hiszpańskich anarchistów. Są bardzo podobne do siebie?

Nie są podobne. "A las barricadas" jest oparte na melodii "Warszawianki", wersji z 1905 roku. Hiszpanie wzięli to od nas, ale nie wiem jak to do nich dotarło. Napisali tylko własne słowa. Tak jak „A las barricadas" było hymnem hiszpańskich anarchistów, tak „Warszawianka" była hymnem powstańców. Jest wiele relacji o spontanicznym śpiewaniu tej pieśni po zdobyciu niemieckich punktów oporu itp.

Wspomniałeś o Michasiu, w Poznaniu poza tobą jeszcze m.in. Marcin interesuje się Powstaniem. Ja wracam do tego samego cały czas, ale czy to nie jest z waszej strony jakieś bo ja wiem - poszukiwanie mitu? My nigdy nie mieliśmy dużych tradycji anarchistycznych żadnych rewolucji, akcji bezpośrednich. Może tego wam brakuje? Może Powstanie wchodzi w tę lukę?

Nie wiem czy tego szukamy tak na siłę... Ja np. widzę dużo punktów stycznych pomiędzy walkami w Warszawie, a w Barcelonie w lipcu 1936 roku. Masowe poparcie ludności, ten entuzjazm pierwszych chwil wolności - w Warszawie ludzie wynosili na barykady nawet własne meble! Proletariat też Powstanie poparł masowo, podobnie jak rewolucję w Hiszpanii. Na Woli były transparenty z napisem np. barykada im. Stanisława Okrzei, analogicznie jak w Hiszpanii na zdjęciach widać samochody przyozdobione w napisy. Tyle, że tam było CNT, FAI, a tu Armia Krajowa. Ta samoorganizacja ludzi - to jest tożsame. Ten sam duch ożywiał tych ludzi.

Łączy te dwa wydarzenia jeszcze to, że się je bezgranicznie idealizuje... Wręcz nie ma w nich ciemnych plam, są same dobre rzeczy. Nie zdarzały się jakieś drobne grzeszki? Pijaństwa? Plądry? Wszystko było tak piękne i idealistyczne?

Te wszystkie złe rzeczy miały oczywiście miejsce. Zdarzały się rabunki, gwałty, kradzieże, pijaństwa, ale dla mnie to nie jest takie ważne. Jasne, że wspomina się o tym w różnych opracowaniach i wspomnieniach. Duży problem był z np. alkoholem. Kazano likwidować zdobyte składy alkoholu, butelki z wódką były rozbijane na oczach ludzi. Ktoś zatruł się alkoholem metylowym, część oddziałów chodziła na akcję pijana - to wszystko i tak blednie przy wspaniałości tego, co ci ludzie zrobili. Wiadomo też, że ludzie kradli. Że byli skurwysyni, którzy sprzedawali wiadro wody za ileś tam papierosów czy żywność... Funkcjonował też czarny rynek, typowy paskarski handel, ale tacy ludzie

zawsze się znajdą.

Jak przyjąłeś informację o otworzeniu muzeum PW w 60. rocznicę jego wybuchu?

Bardzo mnie to ucieszyło. To muzeum miało powstać o wiele wcześniej, co roku praktycznie miało być otwarcie. Od 1989 szukano miejsca, znaleziono je, ale były jakieś problemy własnościowe. Dopiero kiedy do władzy w Warszawie doszedł Kaczor, to się ziściło.

A jak przyjmowałeś ten cały szum wokół tego? Tę całą otoczkę narodowo-maryjno-bogoojczyźnianą?

Ja to wszystko z góry odrzucam. Choć było mi bardzo ciężko patrzeć na otwarcie muzeum, kiedy w pierwszych słowach Prezydent Warszawy witał władze, potem biskupów, a na samym końcu dopiero powstańców. Przez to trzeba było przebrnąć, aby oddać tym ludziom cześć i chwałę. To dzięki tym wspaniałym, którzy pierwszego sierpnia 1944 podjęli walkę, możemy w tym kraju mówić po polsku, a nie np. po rosyjsku.

Dobra, a teraz z innej beczki. Wiem, że kolekcjonujesz książki o PW. Próbowałeś kiedyś policzyć swoją kolekcję?

Co do kolekcjonerstwa... Niektóre książki można powiedzieć, że się kolekcjonuje jak ma się kilka wydań tej samej pozycji...



A dlaczego kupujesz te kilka wydań?

Często pojawiają się nowe informacje, pierwsze wydanie jest z reguły takie jeszcze surowe, dopiero następne są znacznie poszerzone. Po prostu z biegiem czasu można dotrzeć do wielu źródeł, świadków, spotkać dawnych towarzyszy walki. Są też różne, często nowe zdjęcia.

No to ile tego masz?

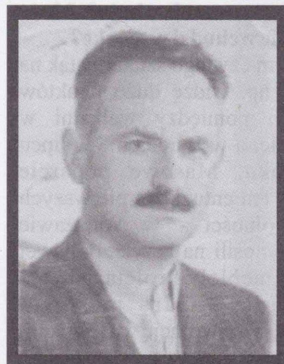
Jakieś dwieście - trzysta pozycji. Łącznie z albumami i broszurami. Dużo wydawnictw ukazuje się tylko w Warszawie i w ograniczonym nakładzie, ciężko do tego dotrzeć. Cały czas czegoś szukam. Mnóstwo rzeczy poukrywanych jest jeszcze po archiwach. Kolekcjonerstwo to ciężka sprawa i nie kończący się nigdy proces...

Coś na koniec?

Wyrażone wyżej opinie o Powstaniu Warszawskim są tylko moimi opiniami. Jeśli nawet w świetle dostępnej dziś wiedzy historycznej są błędne, to i tak należą tylko do mnie. Na dzień dzisiejszy nie mam zamiaru i ochoty z nikim na ich temat polemizować. Chętnie pomogę w poszukiwaniu książek na temat Powstania. Posiadam w walizce mały przenośny antykwariat z lekturą dotyczącą tego wspaniałego czasu. Jeśli jesteś zainteresowany (-a), pisz na adres Michał Wojcieszak os. Łokietka 8/76, 61-616 Poznań lub gas56@interia.pl Na pewno odpiszę. Serdecznie zapraszam do odwiedzenia strony www.1944.pl. Bella Ciao i a las barricadas - la lucha continua!

Dziękuję za rozmowę.

POWSTAŃCZE WSPOMNIENIA SYNDYKALISTY



Paweł Lew Marek (1902-1971) - w okresie międzywojennym działacz anarchistyczny, w latach 1931-37 sekretarz Anarchistycznej Federacji Polski. Po wojnie związany z ruchem związkowym, redaktor w piśmie „Głos Pracy".

...Od pierwszej chwili byłem przekonany, że powtórzy się rok 1939. Nie myślałem w tej chwili o naszych politycznych zamiarach. Żyłem sprawami domu (1) i tych ludzi, którzy stracili kontakt z własnym domem i rodziną. Stworzyliśmy z mężczyzn drużynę samoobrony. Na czym ta samoobrona miała polegać chwilowo nikt nie wiedział. Poszliśmy na strych, aby sprawdzić czy nie ma tam gratów, czy jest woda i piasek. Wszystko było w porządku. Za mało było tylko wody. To było pierwsze zadanie dla całej drużyny. Zgromadzić jak najwięcej i rozstawić ją po całym strychu. Robota ożywiła wszystkich. Najważniejszym problemem była sprawa wyżywienia. Nasza drużyna przyjęła na siebie obowiązki komitetu blokowego. Wszyscy przenieśli się do piwnicy. Dwie żydowskie pary małżeńskie wykazały niezwykłą ruchliwość, jakby chciały nadrobić okres przymusowej bezczynności. Zajęły się uporządkowaniem paleniska. Dozorca dostarczył baniak, który obie kobiety wyszorowały. Nikt nie pamiętał już wczorajszej sceny. Razem wszyscy próbowali, głowiąc się wspólnie nad tym, skąd wziąć produkty do gotowania. Ja dostarczyłem sól, ocet i torbę kaszy. Magazyn szkolny był dobrze zaopatrzony. Mnie pozostawiono klucze, a szpital znosił swoje prowianty. Naprzeciwko nas, do kawiarni sprowadził się oddział, który walczył na rogu Kredytowej i Królewskiej. Wzięliśmy na siebie utrzymanie w porządku lokalu i otrzymaliśmy od nich konserwy. Można więc było przystąpić do gotowania pierwszej zupy. tak zaczęło płynąć powstańcze życie w domu przy ul. Jasnej 10.

Zrozumiałem, że w tej chwili ludzi jeszcze nie interesują ich własne sprawy, że nie zawiązała się jeszcze w ich życiu codzienność w nowej sytuacji. Trawi ich niecierpliwość i chcą wiedzieć kiedy i jak zakończy się powstanie. A na to pytanie nikt nie mógł w tej chwili odpowiedzieć.

W piątym dniu powstania Edwardowi (2) udało się natrafić na ślad syndykalistów. Na Boduena uplasowała się jednostka PAL-u (3) i przez nią nawiązał kontakt ze Stojanem (4), który z grupą szeregowych członków Związku Syndykalistów Polskich usadowił się w siedzibie CKL-u. (5) Kierownictwo ZSP było wraz z 104-tą Kompanią na Starówce. W CKL-u był prezes Miller, odnalazła się tam także część kierownictwa PPS-Lewicy, a generał Skokowski (6) zajmował się organizacją oddziałów PAL-u. To były pierwsze wiadomości, jakie otrzymałem. Z Syndykalistycznej Organizacji „Wolność" nadal nikogo nie było.

Razem z Edwardem zaaranżowaliśmy spotkanie ze Stojanem. Edward bardzo szybko wszedł w rolę przedstawiciela „SOW-y", jakby ze sprawami tej organizacji miał od lat do czynienia. Tymczasem ani on, ani ja nie byliśmy formalnie jej członkami. W sytuacjach rewolucyjnych formalności jednak nie odgrywają roli. Od Stojana dowiedziałem się bliższych szczegółów o ZSP i jego kierownictwie, które miało ambicję odegrania samodzielnej roli politycznej. W tej sytuacji trzeba było stworzyć fakty. Zaproponowałem Stojanowi, abyśmy na zewnątrz występowali pod nazwą *Syndykalistyczne Porozumienie Powstańcze*, i jako takie nawiązali łączność z CKL-em i zapewnili organizacji odpowiednią reprezentację. Stojan porozumiał się z „szarą masą", która przyjęła ten projekt z dużym zadowoleniem, widząc możliwość wyrwania się w ten sposób z niebytu politycznego. Postanowiliśmy powołać do życia organ Syndykalistycznego Porozumienia Powstańczego. Szybko zgodziliśmy się na nazwę „Syndykalista" i mnie powierzono redakcję. Sprawami wojskowymi zajął się Edward. Do jego zadań należało też dostarczenie środków technicznych potrzebnych do wydawania pisma. Z początku „Syndykalista" nie wychodził regularnie. Wydania nie były numerowane i rozdawaliśmy gazetę do ostatniego numeru, nie

troszcząc się o pozostawienie „pamiątki dla potomności". Pierwsze numery były nadal hektografowane w moim pokoju, co wzbudzało podejrzenie komendantki szpitala, i jak się dowiedziałem od zaprzyjaźnionej sanitariuszki, przebąkiwano o szpiegostwie, volksdeutschach itp.

... Nareszcie pierwszy znajomy. Przyszedł Kondek. (7) Powstanie zdążyło już napiętnować jego twarz. Był czarny, niewyspany, przybity. On i Halina (8) znaleźli przytułek w kościele na placu Grzybowskim. Ojciec postawiony przez Niemców pod murem wraz z innymi mężczyznami zdołał uciec podczas egzekucji. Matka przykuta do łóżka została. Zostawili ją w przekonaniu, że zaraz wrócą i że Niemcy oszczędzą obłożnie chorą kobietę. Dotarła do nich wiadomość, że matka poruszając się na kolanach wydostała się z płonącego domu i gdy doczołgała się do Okopowej, została zamordowana. Ta wizja nie odstępowała go i przytłaczała. Przyniósł mi jeszcze jedną smutną wiadomość. Bronka (9), Julek (10) i moja żona (11) zostali aresztowani przez polski oddział bezpieczeństwa. Sąsiedzi, którzy cały czas nic nie wiedzieli o istnieniu kobiet w mieszkaniu, słysząc teraz podejrzany ruch, mimo że nikt się nie pokazywał, w ogólnej atmosferze poszukiwania „gołębiarzy" donieśli na najbliższą placówkę powstańczą, że volksdeutsche ukrywają się w domu. Przyszedł patrol, była wśród nich też dziewczyna. Mimo wyjaśnienia kim są, dokonano rewizji, podczas której znaleziono blankiety kenkart i pieczątki powierzone Julkowi do przechowania przez organizację syndykalistyczną. Zabrali wszystkich do wyjaśnienia sprawy i osadzili w areszcie na ul. Gibalskiego 2. Dziewczyna pocieszała, że zaraz wszystko się wyjaśni i będą mogli wrócić. Do mieszkania na Wroniej już nie wrócili.

... Dzień był dla mnie zbyt krótki. Uczestniczyłem w pracach drużyny, wykonywałem normalnie swoje zajęcia w szpitalu. Doszło do tego noszenie wody aż ze Złotej, rąbanie drzewa i spełnianie różnych poleceń chorych. Zwłaszcza, gdy słychać było odgłosy bombardowania, chorzy byli zadowoleni widząc mnie w pobliżu. Kręciłem się wśród nich, opowiadałem nowiny, dowcipy i organizowałem coś w rodzaju wieczorynek, na których każdy opowiadał o swoich przeżyciach okupacyjnych. Był tylko jeden młody człowiek, który milczał. Miał smutne oczy i patrząc na niego miałem wrażenie, że skądś znam to spojrzenie. Pragnąc go trochę rozruszać, zachęcałem do opowiadania. Ku memu zdziwieniu nie dał się długo prosić. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy zaczął opowiadać o swoim udziale w powstaniu w getcie, o tym jak później uciekł z pociągu do Treblinki, jak dostał się do Warszawy, jak się nim zaopiekował kolejarz, jak dostał papiery i pracował w fabryce. Powstanie zaskoczyło go na Marszałkowskiej. Zdobył karabin i walczył w PAŚCIE, gdzie dostał kule w pachwinę. I on się z kolei zdziwił, gdy będąc z nim sam na sam, powiedziałem mu wszystko o sobie.

... Wydawanie gazety, nowo nawiązane kontakty zaczęły mnie coraz bardziej absorbować. Komendantka dała mi niedwuznacznie do zrozumienia, że zaniedbuję swoje obowiązki, chociaż starałem się skoro świt nanieść wody, wynieść śmieci i narąbać drzewa. Nie byłem już jednak na każde zawołanie. Zaprzyjaźniłem się ze Stojanem, który czuł się odpowiedzialny za działanie ZSP w Śródmieściu, ponieważ był tu jedynym człowiekiem, zbliżonym do kierownictwa tej organizacji. Nie posiadał jednak własnej koncepcji, co w danej chwili należy robić. Odgadłem w nim jednego z tych ludzi, dla których sprawa stoi ponad wszystkimi osobistymi względami i ambicją. Zaczęliśmy współpracować ad hoc, bez układania się i zastrzeżeń. Razem chodziliśmy po piwnicach, docieraliśmy do barykad i odbyliśmy podczas bombardowania ryzykowną wyprawę na Powiśle, aby odwiedzić ranną towarzyszkę z ZSP Ewę (12). Przedstawił mi ją jako literatkę szczególnie zaangażowaną w środowisku robotniczym. Wizyta nie była długa. Ewa była spragniona informacji. Wiedzieliśmy już coś nie coś o zwiększeniu się szeregów 104-ej Kompanii ZSP, o jej bojowych wyczynach na Starówce. Wiedzieliśmy również, że syndykaliści zajęli się organizowaniem komitetów blokowych, pomocy społecznej i wznowili wydawnictwa, nadal wydając codziennie „Iskrę".

Wg mnie Związek Syndykalistów Polskich był organizacją, w którym krzyżowały się tendencje nacjonalistyczne, radykalizm społeczny i wybujałe ambicje polityczne jednostek. W jego szeregach skupiły się różne elementy, biorąc z zasad organizacji syndykalistycznych to co im najbardziej odpowiadało. Przekrój społeczny jej szeregów był dlatego niejednolity i istniał też pewien dystans, żeby nie powiedzieć obcość między różnymi ludźmi organizacji. Przekrój poglądów był szeroki: od anarchistów do zwolenników Piłsudskiego. Myślę właśnie, że to było powodem istnienia dwóch organizacji syndykalistycznych. Większość osób z SOW-y deklarowała się jednak jako anarchosyndykaliści i nie po drodze im było z ZSP z jej nacjonalistycznymi odchyłami.

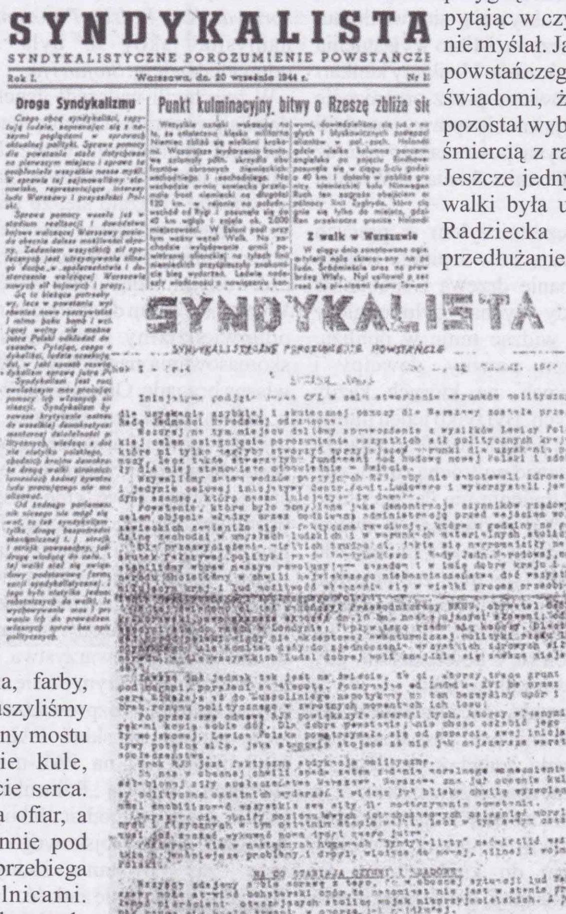
Po powrocie z Powiśla zetknąłem się pierwszy raz z prezesem CKL-u - Romualdem Millerem. Przyznałem się do redagowania „Syndykalisty" i poinformowałem, że odtąd istnieje tylko jedno przedstawicielstwo syndykalistyczne, tj. Syndykalistyczne Porozumienie Powstańcze i jako takie pragnie występować w CKL-u. Prezes Miller miał wątpliwości, pytał czy mogę przestawić jakiś dokument wspólnego uzgodnienia nowej linii i przez kogo jest podpisany. Pytania te zaskoczyły mnie, wydały mi się formalistyczne i nieżyciowe. Pozostała mi tylko jednak odpowiedź: *naszymi dokumentami są fakty*. Prezes Miller zagryzł wargami odruchowy uśmiech. I dalej indagował. A co powiedzą syndykaliści znajdujący się na Starówce lub Mokotowie? Nie zastanawiałem się nad tym, ale nadal trzymałem się linii faktów. *CKL jest w Śródmieściu* - odpowiedziałem - *i my tu się znajdujemy. Nikt nie może tego zjednoczenia kwestionować, po prostu ludzie tego nie zrozumieją. Zresztą* - zakończył rozmowę Romuald Miller - *jest to wasza wewnętrzna sprawa. Kto będzie Porozumienie reprezentował w CKL-u?* Bez namysłu, jakby to była sprawa od dawna postanowiona, odpowiedziałem: *Stojan i ja*.

W tej chwili nadszedł generał Skokowski w asyście adiutanta. Z daleka już zwracała uwagę jego korpulentna postać i okrągła męska a zarazem dobroduszna twarz. Miller przedstawił mnie i opowiedział trochę z humorem o naszym „zamachu stanu". Generałowi się to nawet spodobało. Okazało się, że już wiedział o naszym istnieniu. W jego ręce wpadła już nasza odezwa, a i wśród powstańców rozniosła się wieść o nietypowych barwach, które wyraźnie kontrastowały z biało-czerwonymi. Zdążył już nawet Edwarda awansować na porucznika. Wyraził się o nim dodatnio, że myśli po żołniersku, jest obowiązkowy i odpowiedzialny. Wówczas wspomniałem, że dla lepszego skomasowania naszych sił byłoby dobrze, gdybyśmy mogli założyć własną brygadę. Okazało się, że bez porozumienia ze mną wystąpił już z takim projektem Edward. Po kilku dniach generał Skokowski wyraził zgodę na utworzenie brygady syndykalistycznej i jej dowódcą został Edward. Szybszej kariery nie można było zrobić. Dla dodania sobie powagi nowo kreowany dowódca zapuścił brodę. Tego dnia poznałem drugiego generała PAL-u - Skałę. (13) Był zarośnięty, po cywilnemu ubrany i miał wygląd człowieka, który dopiero co powrócił z lasu. Wydawał się niezbyt inteligentny, wydaje się, że lubił wypić, a jego pytania indagacyjne budziły jakąś nieokreśloną podejrzliwość w stosunku do jego osoby. Im bardziej go potem unikałem, tym bardziej on szukał mego towarzystwa. Przez cały czas powstania nie mogłem się zorientować, czym on się zajmuje i komu przewodzi. Wiem tylko, że po kapitulacji rozprowadzał dziesięciodolarowy żołd wśród brygad wchodzących w skład PAL-u. Ja oczywiście zamieniłem swoją legitymację AK na PAL-u i stałem się niejako podkomendnym Edwarda z funkcją „Politruka" w stopniu kaprala. Na wyższą szarżę nie chciałem się zgodzić. Jako podoficer wszedłem tez później w skład kolegium Sądu Wojskowego PAL-u; na szczęście nie miał on przez cały czas Powstania żadnych spraw do rozstrzygnięcia. Ale formalności stało się zadość.

...Od Edwarda dowiedziałem się, że ze Starówki przybyło również kierownictwo ZSP i że nawiązał już kontakt ze 104 Kompanią ZSP, która mocno przetrzebiona przyszła jako ostatnia kanałami do Śródmieścia i znajduje się w tej chwili w „koszarach" Brygady Syndykalistycznej, mieszczącej się w kinie „Polonia" przy ul. Marszałkowskiej. (14) Łatwo tam było trafić, bo na frontonie wywieszona była czarno-czerwona flaga. Przywódcy ZSP, bardzo niezadowoleni z przemiany, jaka zaszła po stworzeniu Syndykalistycznego Porozumienia Powstańczego, pragnęli jak najszybciej spotkać się ze mną. Do spotkania doszło następnego dnia rano. Przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się sobie i z miejsca poczułem sympatię do Szwedowskiego (15), przywódcy ZSP. Natomiast „Poręba" (16) - niski w okularach, przez które patrzył na człowieka podejrzliwie, nie budził we mnie zaufania. Do Stojana były największe pretensje, że pozwolił ruchowi zwekslować w stronę „komuny". Po bliższym poznaniu zbliżyłem się do Poręby, który po doświadczeniach Starówki realniej oceniał szanse powstania i czekającego nas jutra. Ciążyło na nim, jak prawie na wszystkich wracających ze Starówki, uczucie przygnębienia graniczące z beznadziejnością wobec ogromu zniszczeń i ludzkich strat. Jednak po przybyciu na nowe miejsce zaczął przygotowywać dalsze wydawanie

„Iskry" i gazety „Czyn" (17). „Iskra" była już znana z czasów okupacji, przynosiła najświeższe wiadomości radiowe i była rozchwytywana. Oczywiście miała nadal podtytuł: Związek Syndykalistów Polskich. Biuletyn ten redagował „Marcinek" (18). Pogodziliśmy się z tym faktem, tym bardziej, że „Iskra" przyczyniła się do popularyzacji nazwy „syndykalista".

„Szwed" zaraz po przyjściu ze Starówki wykazał dużą aktywność, nawiązywał kontakty ze znajomymi ludźmi i spotkałem go też tego samego dnia w szpitalu, gdzie odwiedził dr Niepokoyczycką (19) i przedstawił mnie jako swego stronnika, nie mówiąc nic o dzielących nas różnicach. Starał się mnie zdobyć przez okazywanie mi serdeczności i uznania. Ale im więcej czułem dla niego osobistej sympatii ze względu na jego charakter, postawę i usposobienie, tym bardziej oddalały mnie jego poglądy i dążność do tworzenia kolejnej siły w ruchu lewicowym. Starał się mnie przekonać, że wszelkie sojusze są zaprzeczeniem syndykalizmu i interesów państwowości polskiej. Trudno jednak było dowiedzieć się od niego, jaką ma jutro być Polska. Mimo, że na każdym kroku podkreślał swój syndykalizm, ruch związkowy nie bardzo go interesował. Zajmowała go natomiast polityka w bardzo swoistej formie - negowania wszystkiego, co pochodziło tak z lewa jaki i z prawa. Nie uznawał żadnych realiów. Nie chciał wczorajszej Polski, mimo to z sentymentalnym romantyzmem tkwił w marzeniach legionowych. Odrzucał wszelkie poglądy tkwiące realizmem. Chociaż ewolucja przyszłej Polski zarysowywała się zupełnie jasno, on miał swoje własne plany odrodzenia niepodległości. Nie zbliżał się do ludzi z obozu lewicowego, którzy kwaterowali prawie obok nas, uznawali w nim wodza, imponował im jego romantyzm i konsekwencja.


SYNDYKALISTA

SYNDYKALISTYCZNE POROZUMIENIE POWSTANCZE

Rok I. Warszawa, dn. 20 września 1944 r. Nr 1[illegible]

Droga Syndykalizmu

Punkt kulminacyjny bitwy o Rzeszę zbliża się

Z walk w Warszawie

SYNDYKALISTA

SYNDYKALISTYCZNE POROZUMIENIE POWSTAŃCZE

Forpoczta przygotowała lokale, osobno dla redakcji i oddzielnie dla brygady. Przejście miało nastąpić wieczorem. Przedtem nagromadziliśmy prowiant. Była to właściwie tylko kasza oraz różne dodatki jak przyprawy do zup, sól, ocet, znajdujące się jeszcze w znacznych ilościach w szkolnym magazynie. Objuczeni plecakami, w których przenosiliśmy też maszynę do pisania, farby, powielacz, papier i rzeczy osobiste, wyruszyliśmy w kierunku Alei Jerozolimskich. Od strony mostu Poniatowskiego fruwały bezustannie kule, których świst mimo woli popędzał bicie serca. Wiedzieliśmy o tym, że było już kilka ofiar, a Niemcy trzymali ulicę prawie bezustannie pod obstrzałem, domyślając się, że tedy przebiega łączność między obydwiema dzielnicami. Wreszcie padła i dla naszej grupy komenda wyjścia do okopów. Wychyleni w milczeniu przebiegliśmy jeden za drugim pod gwizdem kul ulicę i dopiero gdy weszliśmy między domy rozwiązały się nam znów języki. Nie brak było pesymistycznych już głosów, żałujących że opuściliśmy jako tako urządzone miejsce, udając się w niewiadome. Nikt nie potrafił uzasadnić, dlaczego ta dzielnica śródmieścia miała znaleźć u Niemców większe pobłażanie. Niektórzy jeszcze tej samej nocy powrócili na stare miejsce, bo na ul. Żurawiej gdzie wylądowaliśmy, nie było nawet gdzie głowy położyć. Dla celów redakcji i organizacji zajęliśmy trzy pokoje, jeden z nich wychodził na ulicę Wspólną, a pozostałe na podwórze. Ludzie ulokowali się w piwnicach, znosząc z różnych stron materace, pościel i bieliznę. Nie brakowało tego i innych przedmiotów. Żona zamieszkała w piwnicy, gdzie przebywało już kilka kobiet z zespołu Stefana.

Jeszcze tego samego wieczoru zacząłem przygotowania do kolejnego numeru „Syndykalisty". Napisałem prawie cały numer, tylko bieżące wiadomości wziąłem od „Marcinka", który już uruchomił na naszym nowym miejscu redakcję „Iskry". Z rana żona przepisała na woskówce artykuły, ponieważ nie zdążyliśmy jeszcze nawiązać kontaktu z drukarnią w nowej dzielnicy. Dlatego, aby nie było przerwy w ukazywaniu się „Syndykalisty", wydawaliśmy go na powielaczu. Zaczęliśmy liczyć numerację od początku. Jednak już nazajutrz nie mogliśmy wydać naszej gazety, bo zabrakło nam farby i woskówek. Papieru mieliśmy pod dostatkiem. Odbyliśmy naradę ze Stojanem i Edwardem w sprawie stworzenia bazy technicznej, która zapewniłaby regularne ukazywanie się gazety. Stojan miał wyszukać drukarnię, a Edward postarać się o farby i woskówki.

Edward nosił dystynkcje kapitana, miał mundur jakby uszyty na miarę, na ramieniu czarno-czerwoną opaskę i do tego zapuścił brodę chcąc sobie dodać powagi. Brygada Syndykalistyczna została zasilona przez oficerów i żołnierzy 104-ej Kompanii ze Starówki. Mimo, że było wśród nich wielu wypróbowanych w boju oficerów, Edward nadal pozostał dowódcą. Wszyscy ze Starówki byli przygnębieni i zrezygnowani. Siedzieli cały dzień na kwaterze, która mieściła się w kinie „Polonia" przy ul. Marszałkowskiej. Trochę się piło i dużo mówiło, wspominano i wypatrywano końca. Był wśród nich sierżant "Morus" (20), dość otyły, ale pełen humoru i bardzo ruchliwy. Zatrzymał się gdzieś na mieście, ale codziennie odwiedzał brygadę i redakcję. Należał do bardzo odważnych i nie oszczędzających się na Starówce, humor nie opuścił go i tutaj. W jego obecności najbardziej przygnębieni uśmiechali się. Przychodził codziennie pytając w czym mógłby pomóc. O udziale w walce już nie myślał. Jak mi to tłumaczył, po Starówce nie ma już powstańczego frontu. Był zresztą jak my wszyscy świadomi, że walka jest bez perspektyw, ale jeśli pozostał wybór między śmiercią w walce a niewolniczą śmiercią z rąk Niemców, należy wybrać tę pierwszą. Jeszcze jednym uzasadnieniem dalszego prowadzenia walki była u powstańców nadzieja, że może Armia Radziecka wkroczy do Warszawy. A ponadto przedłużanie walki umożliwi uzyskanie lepszych warunków kapitulacji. Dlatego niewiele ludzi z naszego otoczenia wyszło z Warszawy, gdy Niemcy zawiesili na jeden dzień działania wojenne, aby zachęcić ludność do opuszczenia miasta. A ludzie mówili: *żołnierze zostają, to i my zostaniemy, podzielimy wspólny los*. Ta postawa ludności podniosła morale wojska i także w Brygadzie Syndykalistycznej następowało ożywienie i zaczęto się zastanawiać nad udziałem w barykadowej walce.

Około 10 września byliśmy już dobrze urządzeni. Dzięki Edwardowi otrzymaliśmy farbę i woskówki od R-PPS, która mieściła się w tym samym budynku co PPR przy ul. Wilczej 8. Tego dnia poszliśmy razem do nich i po dłuższych przekonywaniu Strużewskiej i Żaruka otrzymaliśmy od nich przybory do powielania i pożegnaliśmy się. Oni będąc dość słabi politycznie, sami do nas lgnęli, a za nami szła gloria 104-ej Kompanii i „Iskry". W czasie tego spotkania rzucono myśl zjednoczenia wszystkich sił lewicy robotniczej wokół zagadnienia związków zawodowych.

Stojan odkrył w międzyczasie drukarnię na Hożej. Mieściła się w piwnicy i wydawała się zabezpieczona przed nalotami. Z początku żądano od nas polecenia z komendantury, ale szybko dogadaliśmy się przedstawiając charakter naszego pisma i oczywiście podjęliśmy się troszczyć w odpowiednim stosunku o ich zaopatrzenie. W końcu zostało to zryczałtowane do jednego litra wódki za numer. Alkohol dostarczał Edward. Jednak i bez tego drukowaliby nam gazetę, po ukazaniu się bowiem pierwszego numeru znaleźliśmy wśród zecerów pokrewne dusze. Zresztą, gdy miałem wolną chwilę, sam pomagałem składać. Drukarnia była jednak zawalona pracą i coraz częściej musieliśmy uciekać do hektografu.

...Następnego dnia zjawił się Tomasz (21). Był ranny i całkowicie oderwany od organizacji. Gdzieś w okolicy Lwowskiej mieszkał w schronie z żoną i 6-miesięczną córeczką. Ucieszyłem się, gdy go zobaczyłem, ale on nie wykazywał z początku większego zainteresowania naszą działalnością. Był przygnębiony rozwojem sytuacji i troską o dziecko. Po krótkim jednak pobycie ożywił się, zaakceptował stanowisko „Syndykalisty" i przyrzekł pomoc przy

zamierzonym opracowaniu platformy syndykalistycznej. Rodzinne troski jednak przytłaczały go.

Tego samego dnia zjawił się Julek (22). Było raźniej, że przybywają starzy towarzysze. Julek mieszkał u matki przy ul. Pięknej. Utrata łączności z Bronką, po wyjściu z aresztu na Gibalskiego, gdzie byli zatrzymani po wybuchu Powstania, utrata kontaktu z towarzyszami wytworzyła u niego postawę obserwatora. Zapoznałem go z wszystkimi towarzyszami i odchodząc zabrał ze sobą plik egzemplarzy „Syndykalisty" do kolportażu.

...Ogoliłem się, umyłem, doprowadziłem nie zdejmowane na noc ubranie do porządku i zasiadłem do przygotowania następnego numeru „Syndykalisty". Wstępny artykuł miał być reakcją na tę noc. Przeżyliśmy może pozostał nam jeszcze jeden dzień życia trzeba więc starać się przetrwać, może jutro przyjdzie wyzwolenie. Podobno Pragę zajęła Armia Czerwona i jest tam Wojsko Polskie. Tytuł układa się sam: „Powstanie wyżej". Z artykułu pod tym tytułem cytuje tylko jeden charakterystyczny ustęp: *„Warszawa musi dotrwać w godnej postawie do chwili wyzwolenia. Warszawa już nie jest osamotniona i dlatego też padające obecnie bomby niemieckie przyjmujemy po żołniersku. Ci, co żyją, będą nadal walczyć, działać, organizować i przygotowywać przyszłość"*. Artykuł ten kończył się słowami: *„Warszawa obecnie robi swoje i Warszawa musi dać przykład światu, aby móc od niego zażądać naprawienia największej krzywdy, jaka kiedykolwiek w dziejach była miastu wyrządzona"*. (23)

Stary Konrad (24) przyniósł po tej nocy wiersz kończący się nutą optymizmu. Zaczynał się następującą strofą:

W zmaganiach nadludzkich, krwią ludu ofiarna
Warszawa bój toczy na śmierć i zwycięstwo
Choć w gruzach - pragnieniem wolności mocarna
Przyszłości w ofierze swe składa męczeństwo

Wiersz się kończył:

To pomoc! To gromy śmiertelne na wroga
Huk dział nam rozbrzmiewa melodią radości
Taranem pocisków otwarta już droga
Warszawie do życia, szczęścia i wolności

Tego dnia popołudniu odbyło się w lokalu PPS-Lewicy spotkanie KRN. Byli obecni: Kwiek, Bieńkowski, Żaruk i Krystyna Strużewska. Ze strony PPS-Lewicy byli: Gajewski, Salcewicz (25), Jezierski i Ketling (26). Z naszego ramienia byłem ja i Czemier. Toczyła się rozmowa na temat działalności KRN, co miało się równać likwidacji CKL-u, a następnie mówiono o sprawie wspólnego dowództwa dla AL.-u i PAL-u. Oczywiście nie dogadaliśmy się w tej sprawie, chociaż oni nam mocno akcentowali potrzebę ścisłej współpracy. Żarliwość przemówienia Bienkowskiego zrobiła na mnie duże wrażenie. Gdy zabierałem głos, zauważyłem mocno wpatrujące się we mnie oczy majora Ketlinga. I ja go poznałem. Właśnie nachylił się do Czemiera, aby go o mnie zapytać. Chcąc zaoszczędzić mu dalszych wywiadów odnośnie mojej osoby, z uśmiechem kiwnąłem potwierdzająco głową, że to ja i że się nie myli. On zdążył już jednak postawić Edwardowi pytanie, skąd ja tu się biorę. Edward się zmieszał. Szybko skończyłem moje przemówienie i przysiadłem się do nich.

Odkryliśmy się. W pierwszym roku okupacji pracowaliśmy razem u Hartwiga (27). Później odwiedził mnie raz w getcie i był przekonany przez cały czas, że ja nie żyję. Często dyskutowaliśmy w owym okresie, jednak trudno mi było wyrobić sobie zdanie o jego poglądach. Nigdy nie mówił mi o swojej działalności konspiracyjnej. Wykazał mi obecnie dużo serdeczności. Był więc drugim człowiekiem, który wiedział o moim położeniu. Wiedziałem, że tego nie zatrzyma dla siebie i z pewnością podzieli się tą wiadomością z towarzyszami z PPS-Lewicy i innymi. On lubił sensacje. Nie zawracałem sobie tym głowy. Nic mnie to nie obchodziło. Nie myliłem się jednak. Już następnego dnia zwrócili się do mnie Gajewski i Salcewicz z prośbą o spowodowanie, aby Brygada Syndykalistyczna zgodziła się przyjąć pod swoje skrzydła dużą grupę węgierskich i greckich Żydów, którzy uratowali się z Gęsiówki, brali udział w walkach na Starym Mieście i przeszli kanałami do Śródmieścia. Zająłem się zaraz tą sprawą, gdyż chodziło nie tylko o miejsce do spania, ale przede wszystkim o wyżywienie. Edward zgodził się bez słowa. Stworzyliśmy z nich cywilną kompanię, a jej przełożonym był człowiek, który wydostał się z Treblinki. Nazywał się Wiernik. Miał wygląd właściciela folwarku, postawny z sumiastym wąsem. Jego gęsta czupryna była biała jak śnieg, a wyraz jego oczu tragiczny. Znał dobrze ciesielską robotę i zbił już niejedną trumnę w ostatnich trzech tygodniach powstania.

Przychodziłem codziennie do tej kompanii niby dla pogadanek politycznych. Byli zadowoleni ze swego pobytu, nie szukali towarzystwa, bo i tak nie mogli się porozumieć, ale żywo interesowali się przebiegiem powstania i wiele godzin przegadywali, szukając jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. Niestety większość nie umiała pływać, wobec czego odpadały wszelkie plany przepłynięcia Wisły. Natomiast penetrowali miasto dla znalezienia jakiejś dobrej piwnicy, gdzie można by było się zabunkrować po upadku powstania.

Przypisy:

(1) Chodzi o budynek Prywatnego Gimnazjum i Liceum Męskiego im. Bolesława Prusa przy ul. Jasnej 10. W czasie okupacji działała tam szkoła powszechna, gdzie ponadto prowadzono tajne nauczanie na poziomie szkoły średniej, ćwiczenia tajnej podchorążówki, urządzano zebrania konspiracyjne. W czasie powstania uruchomiono powstańczy punkt sanitarny. Autor był od 1943. r. konspiracyjnym woźnym szkoły.

(2) Edward Wołonciej-Czemier (ur.1919) - przed wojną uczeń gimnazjum; w latach wojny uczeń i student na tajnych kompletach, żołnierz AK, syndykalista. W powstaniu walczył w szeregach Batalionu „Gustaw-Harnaś", w Brygadzie Syndykalistycznej. Po wojnie działacz OM TUR ZNMS, PPS, adwokat.

(3) Polska Armia Ludowa konspiracyjna organizacja wojskowa utworzona w kwietniu 1943 r. z inicjatywy RPPS.

(4) Stojan - mgr Władysław Domino, po wojnie radca prawny Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego w Warszawie.

(5) Centralny Komitet Ludowy - organ wykonawczy Centralizacji Stronnictw Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych utworzony 4.03.1944 r.

(6) Julian Skokowski (1886-1959) - generał. W czasie I wojny światowej oficer armii rosyjskiej, potem murmańczyk, oficer zawodowy WP. W czasie II wojny komendant PAL, w powstaniu dowódca Połączonych Sił AL., PAL, KB.

(7) Bernard Konrad Świerczyński „Kondek" (1922-2003) - przed wojną związany z ruchem anarchistycznym, w czasie okupacji pomagał ukrywającym się; uczestnik powstania. Po wojnie przyznano mu tytuł „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata". Dziennikarz.

(8) Krystyna Halina Świerczyńska, ps. „Halina" (ur. 1923). Po wojnie czynna w niesieniu pomocy społecznej.

(9) Bronisława Rosłoniec (ur. 1912) - przed wojną działaczka Anarchistycznej Federacji Polski. W czasie okupacji ukrywała się w mieszkaniu Stefana Rosłońca, za którego wyszła za mąż.

(10) Stefan Julian Rosłoniec „Julek" (ur. 1911) - przed wojną związany z Anarchistyczną Federacją Polski, z tego powodu więziony. W czasie okupacji pomagał wielu ukrywającym się, odznaczony tytułem „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata".

(11) Karolina Stefania Marek z domu Brojde (1906-1985) - urzędniczka. Przed wojną działaczka Anarchistycznej Federacji Polski w Częstochowie i następnie w Warszawie, z tego powodu zostaje aresztowana. W czasie wojny ukrywała się m.in. u Stanisława Rosłońca; w czasie powstania żołnierz AK, ps. „Kruk", w nasłuchu radiowym i redakcji Biuletynu Syndykalistycznego „Iskra" na Starym Mieście, następnie w Brygadzie Syndykalistycznej. Po kapitulacji „robinson warszawski".

(12) „Ewa" - Marcelina Grabowska

(13) „Skała" - Leon Korzewnikjanc, gen. brygady, ps. „Doliwa" z-ca komendanta sił zbrojnych AL., PAL-KB. Zmarł 10.06.1978

(14) Marszałkowska 56

(15) Stefan Szwedowski, ps. „Wojciech", „Szwed" (1891-1973) - prawnik, działacz polityczny i społeczny. Członek ZET-u, uczestnik strajku szkolnego, żołnierz I Brygady Legionów Polskich, współorganizator Związku Obrony Kresów Zachodnich. W czasie II wojny w konspiracji wojskowej i politycznej; współzałożyciel Związku Syndykalistów Polskich. Redaktor prasy podziemnej, sekretarz generalny ZSP, wiceprzewodniczący CKL.

(16) Jerzy Złotowski „Poręba" (ur. 1911-1944) - inżynier, ppor. rezerwy, w czasie wojny członek Komitetu Centralnego Związku Syndykalistów Polskich, komendant Komendy Głównej Oddziałów Bojowych ZSP: Sabotażowo-Dywersyjnych „Zew", 104 kompanii Syndykalistycznej i Brygady Syndykalistycznej. Poległ w powstaniu.

(17) „Iskra" i „Czyn" były redagowane w tym samym lokalu co „Syndykalista".

(18) „Marcinek" - profesor Stefan Kozakiewicz po wojnie vice dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie.

(19) Urszula Niepokoyczycka (ur. 1901) - lekarz pediatra. W czasie powstania komendantka szpitali na Kaliskiej i Chmielnej.

(20) „Morus" - Ignacy Gołuchowski, zginął 24.09.1944 r.

(21) Alfons Tomasz Pilarski „Jansen" (1902-1977). Przed wojna jeden z głównych animatorów anarchizmu w Polsce. Do 1933 roku działał na Śląsku w FAUD. Jeden z głównych organizatorów oporu przeciwko dochodzącemu do władzy Hitlerowi. Z tego powodu musiał uciekać do Polski, gdzie działał w Związku Związków Zawodowych. W momencie wybuchu wojny ucieka na Litwę, w 1942 wraca do Warszawy, bierze czynny udział w akcji „N" Po wojnie represjonowany. Do emerytury pracuje w Domu Słowa Polskiego.

(22) Stefan Julian Rosłoniec

(23) „Syndykalista" nr 7, 15 września 1944 r.

(24) Konrad Świerczyński (1888-1956) - animator ruchu anarchistycznego w okresie międzywojennym, księgarz. Uczestnik szturmu na pałac zimowy w 1917 roku w Petersburgu. W okresie międzywojennym wielokrotnie więziony za działalność anarchistyczną. W czasie powstania żołnierz Brygady Syndykalistycznej.

(25) Józef Salcewicz (ur. 1899) - inż. chemik. W czasie okupacji członek RPPS, żołnierz PAL; w czasie powstania w Brygadzie im. St. Dubois. W latach 1945-48 członek Rady Naczelnej PPS. Po wyzwoleniu przejmował obiekty przemysłowe na Opolszczyźnie.

(26) Cezary Janusz Ketling-Szemley „Apard", „Janusz" (1915-1979) - dr praw, adwokat, mjr rezerwy. W czasie okupacji współzałożyciel PLAN-u II, dowódca Brygady im. Stanisława Dubois.

(27) Autor pracował przed wojną w zakładach spedycyjnych Hartwiga jako kierownik działu zbiorowych załadunków. Organizował tam strajki.

Redakcja serdecznie dziękuje Michałowi Przyborowskiemu za udostępnienie fragmentów pamiętnika Pawła Lwa Marka Tytuł pochodzi od redakcji.

PRZYSZŁA POLSKA I EUROPA W ROZWAŻANIACH PROGRAMOWYCH ORGANIZACJI SYNDYKALISTYCZNJ "WOLNOŚĆ" W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ

Stanisław Ciesielski

Działająca w okresie okupacji hitlerowskiej Organizacja Syndykalistyczna "Wolność" stanowiła niewielki odłam polskiego ruchu syndykalistycznego. Niemniej, z uwagi na rozwinięcie ożywionej działalności wydawniczo-propagandowej (dwa stojące na dobrym poziomie technicznym czasopisma: "Droga Wolności" i "Walka Ludu", broszury programowe i druki ulotne) oraz wejście w 1944 r. w strukturę tworzoną przez szersze spektrum centrolewicowych ugrupowań demokratycznych (Centralizacja Stronnictw Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych), reprezentowane przez nią poglądy warte są analizy.

Podstawowym postulatem tej grupy syndykalistów było obalenie kapitalizmu i zbudowanie na jego gruzach nowego społeczeństwa, opartego na systemie uspołecznionej gospodarki. Realizacja zasadniczej zmiany struktury własności miała determinujące znaczenia dla możliwości przebudowy innych sfer życia społecznego i transformacji Polski w Rzeczpospolitą Społeczną. Syndykaliści uważali za konieczne całkowite uspołecznienie środków produkcji i wymiany, tj. ziemi, surowców, przemysłu, komunikacji, handlu, instytucji bankowo-finansowych, a także nieruchomości, których funkcjonowanie obliczone było na zysk (tzn. przede wszystkim domów czynszowych). Uspołecznienie rozumiane było jako zniesienie nie tylko prywatnej, ale i państwowej własności środków produkcji, tej ostatniej bowiem bynajmniej nie traktowano jako rzeczywiście społeczną. Zapowiadano, że "własność warsztatów pracy przejmą zorganizowani pracownicy tych warsztatów i oni wezmą na siebie odpowiedzialność za dalsze losy pracy, ograniczeni jednym jedynym nakazem: produkcją dla zaspokojenia potrzeb ludu". Zapanować więc miała grupowa własność środków produkcji. Właścicielami mieli być pracownicy danego przedsiębiorstwa czy instytucji, spełniający swe funkcje poprzez związki zawodowe, rady fabryczne, spółdzielnie produkcji rolnej, spółdzielnie handlowe i mieszkaniowe.

Każdy warsztat wytwórczy przechodzący w ręce załogi, byłby zarządzany przez Radę Załogową pochodzącą z wyboru. Przedsiębiorstwa tworzące pewne łańcuchy produkcyjne utworzyć miały organizacje gospodarcze wyższego rzędu, zarządzane przez rady przemysłowe.

W parcelacji ziemi obszarniczej widziano tylko pierwszy krok do budowy nowego ustroju agrarnego. Opierać się on powinien - w myśl postulatów syndykalistycznych - na dobrowolnych zrzeszeniach spółdzielczych i kooperatywach produkcyjnych tworzonych przez samodzielne gospodarstwa chłopskie.

Przewidywano i projektowano szeroki rozwój różnych form spółdzielczości, widząc w niej podstawę uspołecznienia handlu i kredytu. Odnosząc się do kwestii przyszłego ustroju politycznego, syndykaliści z OS "Wolność" głosili, że Polska "musi stworzyć system polityczny łączący harmonijnie siłę państwa z wolnością ludu, rozwój gospodarczy ze sprawiedliwym podziałem dochodu społecznego [...]". Jednakże wyraźną trudność sprawiała temu środowisku próba skonkretyzowania tego hasła.

Wszyscy obywatele mieli być równi wobec prawa i mieć zagwarantowaną wolność sumienia, twórczości, nauki i organizowania się. Deklarując, iż nowa Polska może być tylko demokratyczną republiką, ze znacznym sceptycyzmem odnoszono się do demokracji parlamentarnej, zwłaszcza w takich jej formach, jakie panowały przed przewrotem 1926 r.

Pięcioprzymiotnikowe wybory nie dawały - ich zdaniem - wystarczającej gwarancji, że parlament stanie się reprezentacją i wyrazicielem interesów liczebnie dominujących warstw pracujących. Dlatego nawet, jeśli dopuszczano wyłonienie przyszłego zgromadzenia konstytucyjnego w taki właśnie sposób, to zastrzegano się: "Gdyby skład przyszłej konstytuanty nie dał należytego odpowiednika struktury społecznej Narodu Polskiego, gdyby sfałszowano i tym razem wolę Ludu - pozostałaby tylko jedna droga - droga rewolucji". W istocie jednak ideałem syndykalistów była Polska zorganizowana na innych zasadach. " Wybrane nie przez mętny „ogół", lecz przez warstwy pracujące miast i wsi przedstawicielstwo polityczne, zasilone delegatami społecznych, gospodarczych organizacji i związków zawodowych, mogłoby być - pisali - pożądanym organem opinii publicznej". Zapowiadali jednak przede wszystkim dążenie do oparcia całego systemu ustrojowego na zasadach samorządowych i decentralistycznych. Przewidywano przy tym dwojaką formę samorządu: terytorialną i społeczno-gospodarczą. Wszystkie organy wyższych szczebli miały być wyłaniane od dołu ku górze i byłyby odpowiedzialne przed podstawowymi ogniwami struktury.

Polska stać się miała związkiem gmin zarządzanych przez swobodnie wybrane organy, reprezentujące ogół pracujących. Wyłączone z wyłaniania władz byłyby "elementy pasożytnicze" i "wrogowie nowego ładu". W reprezentacjach gminnych zasiadaliby ponadto delegaci organizacji gospodarczych, tj. związków zawodowych i spółdzielni. Dzięki takiemu składowi rada i zarząd "samowładnej gminy", reprezentujące wszystkie interesy i potrzeby i kierujące się ich zaspokajaniem, stałyby się podstawą organizacji całości życia zbiorowego. Rady i zarządy gmin miały w związku z tym koordynować pracę organów i instytucji działających w poszczególnych dziedzinach. Gminy tworzyć miały związki, a ogół tych gmin i związków stanowiłby Rzeczpospolitą Społeczną.

Obok samorządu terytorialnego istniałby samorząd gospodarczy oraz rozwinięta sieć organizacji zawodowych, spółdzielczych itp. Na wsi samorząd gospodarczy (rolniczy) w swych rękach skupiłby decyzje dotyczące rozwoju i bytu warsztatów rolnych. Natomiast w miastach robotnicy w fabrykach powoływaliby rady fabryczne (załogowe), decydujące o działalności ich przedsiębiorstw.

Wszystkie związki zawodowe i spółdzielcze łączyłyby się poprzez swych delegatów w obrębie gminy, okręgu i kraju, a całość aparatu gospodarczego podlegać miała Centralnej Radzie Gospodarczej, której podstawowym zadaniem byłoby wytyczanie ogólnego planu produkcji.

Pewne niezdecydowanie, a może zamieszanie, istniało w zakresie projektów odnoszących się do najwyższego poziomu struktury samorządowej. Pisano bowiem nie tylko o wspomnianej wyżej Centralnej Radzie Gospodarczej, ale równocześnie zapowiadano, że przedstawiciele wszystkich organizacji społeczeństwa utworzą organ naczelny w postaci Samorządu Chłopów i Robotników, a z drugiej strony wskazywano, iż ukoronowanie struktury samorządu terytorialnego stanowić miała Naczelna Rada Samorządu. Trudno powiedzieć, czy znajdowało w tym odbicie zróżnicowanie poglądów wewnątrz środowiska, czy brak skrystalizowanej koncepcji rozwiązania tego problemu w kontekście antycentralistycznych deklaracji.



W środowisku syndykalistów dostrzegalna była tendencja do dystansowania się od pomysłów "państwowotwórczych", tj. akcentujących rolę i funkcje państwa i aparatu państwowego. Wręcz przeciwnie - publicystyka OS "Wolność" obfitowała w uwagi o wyraźnie anarchistycznym rodowodzie: "Państwu jako organizacji wyrosłej z klasowego układu stosunków społecznych, odpowiadających interesom klas posiadających i wyrażającemu centralistyczną przemoc uprzywilejowanych mniejszości nad większością przeciwstawiają [syndykaliści] ustrój zrzeszeń społecznych bezklasowego społeczeństwa, będący wyrazem dążeń wyzwoleńczych klas pracujących, realizujących ideę współdziałania i wzajemnej pomocy - Rzeczpospolitą Społeczną -

Unię Wolnych Zrzeszeń". Za atrybuty dotychczasowego państwa uważano centralizm, totalizm (omnipotencję), niereprezentowanie społecznego interesu. Toteż istotą przebudowy miało być uczynienie z Polski "państwa uspołecznionego" w miejsce "upaństwowionego społeczeństwa": "Już nie administracja narzucona z góry, sztuczna hierarchia władzy lub partii, ani inne formy rządzenia „w imieniu" ludu; lud sam przejmie rządy i sam - zorganizowany w swoich związkach zawodowych i swoich gromadach wiejskich - ujmie w swoje ręce produkcję dóbr i ich sprawiedliwy rozdział pomiędzy wszystkich ludzi pracy". W nowej Rzeczypospolitej zniknąć więc miało nie tylko przeciwieństwo państwo - społeczeństwo, bowiem zniknąć miały organy państwowe nie będące samorządowymi organami społeczeństwa.

Spodziewano się, że w wyniku przekształceń ustrojowych ograniczeniu na rzecz prawa cywilnego będzie ulegać potrzeba stosowania prawa karnego, a wymiar sprawiedliwości przejdzie w ręce wybieralnych trybunałów chłopsko-robotniczych, sądów stowarzyszeniowych i zawodowych.

Zdaniem środowiska "Walki Ludu", narody europejskie w toku wojny stały w obliczu możliwości urzeczywistnienia się kilku odmiennych wzorców organizacji stosunków międzynarodowych:

1) kapitalistycznego, w którym klasy posiadające państw uprzywilejowanych będą wyzyskiwać klasy pracujące i inne narody,

2) faszystowskiego, przynoszący nie tylko wyzysk gospodarczy, ale i ucisk narodowy i rasowy o charakterze kolonialnym,

3) radzieckiego, opartego na zniewoleniu jednostki ludzkiej i grup narodowych przez hierarchię partyjną, będącą w istocie narzędziem imperializmu wielkorosyjskiego.

Żaden z nich nie realizował jednak ideałów wolności, sprawiedliwości i rzeczywistej demokracji. Alternatywą wobec tych możliwości miało być utworzenie federacji ogólnoeuropejskiej (Stanów Zjednoczonych Europy) jako całkowicie nowego, na nowych wartościach opartego ładu międzynarodowego.

O ile właściwy kapitalizmowi porządek międzynarodowy oparty był na uznawaniu za wartość dominującą interesów poszczególnych państw i na systemie zmiennych sojuszów rywalizujących ze sobą egoizmów kapitalistycznych i państwowych, o tyle porządek nowy hołdować miał zasadzie supremacji interesów całości społeczności międzynarodowej. Dążąc do jego ustanowienia należało: 1) w możliwie najszerszej skali usunąć wpływy kapitalistyczne, a maksymalnie rozszerzyć zasięg przebudowy społecznej, 2) przełamać teorię i praktykę nadrzędności interesu i suwerenności poszczególnych państw nad interesem powszechnym, 3) przełamać przeświadczenie, że podstawą narodowego życia gospodarczego musi być terytorium państwowe i ugruntować pogląd, że może nią być całość terytorium federacji europejskiej, 4) zbudować społeczno-moralne podstawy nowego ładu poprzez zwalczanie myślenia kategoriami wyłączności państwowej i egoizmu narodowego oraz poprzez krystalizowanie i rozpowszechnianie poczucia solidarności międzynarodowej.

Aby powstała nowa Europa wolnych i niezależnych narodów upaść musiał hitleryzm i stalinizm, ale także obalić należało system kapitalistyczny w państwach demokratycznych. W takiej nowej Europie Polska stać się mogła krajem przodującym w procesie reorganizacji życia gospodarczego i politycznego.

Odmienna od dotychczasowej musi być też metoda tworzenia nowego ładu międzynarodowego. O ile dotąd o pokoju i stosunkach między państwami decydowali politycy, starając się wytargować największe korzyści dla własnego kraju, a państwa silne narzucały swą wolę słabszym, to teraz nastąpić miała zasadnicza zmiana. Pokój zamykający wojnę chcieli widzieć syndykaliści jako efekt współdziałania i porozumienia ludów dokonujących przebudowy ustrojowej. Masy ludowe same powinny przygotować podstawy współżycia międzynarodowego tworząc od dołu, w bezpośrednim działaniu organy federacji międzynarodowej i różnego rodzaju organizacji, wspólnych dla wszystkich, pragnących pokojowego współżycia narodów. Przede wszystkim organizacje robotnicze, chłopskie i pracownicze powinny nawiązać bezpośrednie stosunki z takimi samymi organizacjami innych narodów, stworzyć międzynarodowe centrale, opracować programy przebudowy przemysłu, rolnictwa, szkolnictwa itp. i przystąpić do wcielania ich w życie.

W przekształceniu struktury politycznej i gospodarczej Europy na wolnościową, antykapitalistyczną i decentralistyczną dostrzegano jedyną realną szansę utrzymania przez Polskę, jak i inne narody, rzeczywiście niezawisłego bytu i zapewnienia swobodnego rozwoju kulturalnego. Nastąpiłoby przede wszystkim zniwelowanie przewagi mocarstw, zwłaszcza - co dla Polski było nader ważne - Niemiec i Rosji. Istnienie federacji europejskiej pozwoliłoby polskim wartościom kulturalnym promieniować poza obszar Polski i zarazem czerpać z bogactwa innych ludów.

Za konieczny etap na drodze do zbudowania Stanów Zjednoczonych Europy uważano ukształtowanie się Federacji Europy Środkowo-Wschodniej. Wynikało to z przekonania, że zamieszkujące ten obszar narody miały do wyboru albo ulec przemocy, albo stworzyć potężną dzięki swemu ustrojowi, braterską federację, zdolną przeciwstawić się wrogom. "Jądro krystalizacyjne" tej federacji chciano widzieć w Polsce. "Naród Polski - pisano - powinien pierwszy porzucić małostkową i małoduszną politykę egoizmu narodowego i z sercem gorejącym bezinteresowną, braterską miłością wyciągnąć dłoń do bratnich, sąsiednich ludów". Przyszła federacja powinna objąć Polaków, Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Jej granice na wschodzie, północy i południu byłyby identyczne z granicami etnicznymi sfederowanych narodów. Na zachodzie sięgnęłyby natomiast po Odrę i Nysę, przy czym Niemcy z przyłączonych tam terenów podlegaliby wysiedleniu, a zastąpić ich mieli polscy reemigranci. Federacja rozciągać się więc miała od Odry po Dźwinę, od Bałtyku po Karpaty, Dniestr i Morze Czarne. Spodziewano się nadto, że skupić by mogła wokół siebie sąsiednie narody: łotewski, estoński, fiński, czeski, słowacki, rumuński, węgierski, a ścisła współpraca powiązałaby ją z podobną Federacją Bałkańską. Udział w federacji regionalnej jako szczebelu pośrednim na drodze do związku ogólnoeuropejskiego pozwolić miał Polsce na umiejscowienie się - szczególnie istotne pod względem gospodarczym - w zwartym kompleksie, posiadającym wspólne cechy i interesy i zbliżonym pod względem struktury ekonomicznej (przewaga rolnictwa). Zasadami Stanów Zjednoczonych Europy i federacji regionalnych miały być: wolność poszczególnych narodów bez względu na liczebność, zajmowany obszar i dotychczasową pozycję polityczną, wyzwolenie klasowe w obrębie wszystkich grup narodowościowych tworzących federacje, koordynacja działalności gospodarczej usuwająca przewagę i uprzywilejowanie jednych obszarów gospodarczych wobec innych oraz ukształtowanie prawidłowego systemu wymiany i specjalizacji. Konstruowana przez syndykalistów z OS "Wolność" wizja przyszłej Polski i Europy była utopijna, nie liczyła się z rzeczywistością, zasadzała się na pobożnych życzeniach, a nie na właściwej diagnozie i prognozie rozwoju wydarzeń w Polsce i w skali międzynarodowej. Jest to o tyle interesujące, iż prasa tej organizacji zawierała równocześnie wiele istotnych i nie pozbawionych słuszności komentarzy bieżących. Tam wszakże, gdzie górę brały treści ideologiczne, tam syndykaliści wkraczali w sferę utopii. Ich rozważania pozostają jednak ciekawym materiałem, ilustrującym różnorodność polskiego myślenia o przyszłości.

Już kiedy rozsuwają się drzwi, muszę mieć oczy szeroko otwarte, właściwie z tym muszę, to lekka przesada, powinno być - wolę. Chodzi mi o wypatrzenie szefa ochrony. Chcę wiedzieć, czy kręci się po księgarni, czy siedzi przy kamerach. Chłopaczyna próbował mnie złapać i udowodnić, że coś wynoszę, na szczęście (odpukać) - bez powodzenia. Niestety wydaje mi się, że weszło mu na ambicję, złapanie mej skromnej osoby, toteż zawsze lepiej się rozejrzeć, czy się gdzieś tu nie czai.... O czym właściwie mowa, wdarł się tu jakiś chaos... Chaos, którego nie chcę opanować, a jedynie na kilka chwil wyłapać z jego czeluści, zupełnie prywatny (nie mający ambicji do bycia jakąś ostateczną FORMĄ)....

...PORADNIK ZŁODZIEJA KSIĄŻEK



Stanisław Krastowicz

Powinienem zacząć od jakiejś solidnej teorii, cofając się do klasycznego hasła Proudhona, później może odrobina anarchosyndykalizmu i kwestia praw pracowniczych w ponadnarodowych korporacjach, a to wszystko podlane sytuacjonistycznym żargonem. Znajdzie się pewnie trochę miejsca na teorie, ale raczej między wierszami, praktyce dziś daje pierwszeństwo, miejsce na piedestale.

Pokonaliśmy drzwi wejściowe, szybciej niż się nawet tytuł artykułu pokazał, a nie wiemy nic o miejscu do którego wkraczamy. Gmach to znaczący... pełen kultury (1). Sporo książek, pism, muzyki na różnych nośnikach. Krytycznie nastawiona jednostka, ma oczywiście prawo narzekać na asortyment, jednak co jakiś czas znajdzie się coś ciekawego nawet dla wybrednych. Niestety ceny książek mogą przyprawić o ból głowy, chyba że... stosuje się zakupy bezgotówkowe. Taka forma konsumpcji, nie wiedzieć czemu, nie cieszy się poparciem szefostwa mega-księgarni (2). Na tradycyjnych konsumentów w naszym lokalu czeka relaksacyjna muzyka i fachowa pomoc obsługi, zwolennicy bezgotówkowych zakupów muszą się liczyć z pewnymi utrudnieniami.

Akt 1

Zabezpieczenia

Zacznijmy od dokładnego przyjrzenia się książce czy pismu, które planujemy „zakupić". Wydawać się może, iż jest to zajęcie bezpłodne, bo jaki jest koń, każdy widzi; to jednak pozory. Najczęściej na wewnętrznej stronie okładki, znajdziemy pewną niespodziankę, mogącą utrudnić nam spokojne opuszczenie lokalu. Chodzi mianowicie o przezroczystą folię długości od 2 do ok. 5 cm, pod którą znajduje się podobnej długości metalowy pasek. Darując sobie szczegółowe techniczne wyjaśnienia, należy powiedzieć tylko tyle, że to ów namagnetyzowany pasek powoduje uruchomienie bramek alarmowych przy wyjściu. Oczywiście nie stanie się tak, jeśli zostanie wcześniej rozmagnetyzowany przy kasie, lub po prostu...zerwany. Kto bywa od czasu do czasu we wspomnianym przybytku, ten mógł zauważyć, że rozmagnetyzowanie, nie zawsze jest skuteczne, zupełnie inaczej niż zerwanie. Czynność to mało skomplikowana i właściwie nie wymagająca żadnych narzędzi, pomijając własne (doprowadzone do odpowiedniego wzrostu) paznokcie. Swego czasu dokonywano eksperymentów, z różnego rodzaju małymi nożykami, ale nie słyszałem by sprawdzały się one zbyt dobrze. Zerwane zabezpieczenie najlepiej wkleić do innej książki, wcześniej warto sprawdzić, czy resztki blaszki nie przykleiły się nam np. do ubrania. Z pozbawioną zabezpieczeń książką teoretycznie można swobodnie udać się do wyjścia. Praktyka wygląda jednak tak, że często przy wyjściu ochroniarz poprosić nas o paragon (jeśli wychodzimy bez firmowej reklamówki, to właściwie zawsze, a nawet z nią jest to prawdopodobne). Najlepiej więc książkę schować i dopiero wtedy wyjść. Wspomnieć należy i o tym, że nie zawsze zabezpieczenie znajduje się na wewnętrznej stronie okładki. Należy więc dobrze obejrzeć całą książkę. Tu znowu odwołam się do teorii, która mówi, iż powinno się szukać na początkowych lub końcowych kartkach (spis treści, przypisy, końcowe niezadrukowane kartki). Umieszczenie zabezpieczenia „głębiej", może spowodować, nie uruchomienie się alarmu przy wyjściu. Wyobraźmy sobie jednak taśmową, nudną, monotonną pracę, osoby naklejającej owe zabezpieczenia (jak z propagandowego obrazka o żywocie w fabryce) i już wiemy, że praktyka, może być inna. Warto więc dokonać precyzyjnych oględzin. Zdarza się również zastępowanie foliowych pasków powleczonymi plastikiem klipsami, zasada postępowania jest tu identyczna. Istnieje też dość częsty przypadek zerwania jedynie folii samoprzylepnej, podczas gdy metalowy pasek pozostaje na swoim miejscu, trzeba więc uważnie „podważać" całe zabezpieczenie, tak by nie czekało nas dodatkowe zrywanie.



Nie powinniśmy się również zdziwić, gdy nie znajdziemy żadnego zabezpieczenia. Według zdobytych informacji, nie opłaca się ich umieszczać na produktach tańszych niż ok 20 zł. Oznacza to, że zdecydowana większość gazet, pism, czasopism i sporo książek nadaje się do „uspołecznienia", bez większych trudności. Miła niespodzianka, może nas spotkać, również w okresie wzmożonego ruchu (np. początek roku akademickiego, okres przedświąteczny itp), wtedy „system" ulega przeciążeniu i nawet drogie woluminy są „odbezpieczone". Oczywiście ostrożność jest zawsze wskazana!

Akt 2

Ochrona

Wspomniana powyżej instrukcja postępowania byłaby banalnie prosta, gdyby nie kamery, ochroniarze, pracownicy, no i oczywiści inni kupujący (3). Zacznijmy może od kamer, bo to one wzbudzają spore zaniepokojenie. Przychodzi na myśl Michael Foucault i jego teoria panaoptykonu (4), widzimy kamery, więc zakładamy, że jesteśmy obserwowani, nie widzimy jednak obserwującego, więc nie wiemy kiedy i czy na pewno jesteśmy obserwowani. Jeśli jednak dokonamy dokładnego rozpoznania terenu księgarni, zorientujemy się, że kamery nie są wszechobecne. Najbardziej powinniśmy się obawiać tych umieszczonych w kulistych obudowach. Mają one możliwość dużego zbliżenia i dzięki temu mogą wychwycić nas w czasie „pracy". Mniejsze kamery spełniają raczej funkcje odstraszającą, choć oczywiście i przy nich powinniśmy być ostrożni. Jak już wspomniałem dobry rekonesans, może nam pozwolić na znalezieniu, przynajmniej kilku miejsc, gdzie powinniśmy uniknąć „wzroku Wielkiego Brata". Warto pamiętać również o tym, że nie jesteśmy w księgarni sami, więc musielibyśmy mieć wypisane na twarzy „zwolennik zakupów bezgotówkowych", aby obserwowano nas cały czas(5). Kiedy wyzbędziemy się paranoi związanej z kontrolującą nas technologią, pozostaje bardzo nieprzewidywalny czynnik ludzki. Ochrona bywa czasami prawdziwą udręką (6), jednak i tu nie można popaść w jakąś skrajność. Praca w ochronie nie należy do wysoko płatnych i szczególnie satysfakcjonujących. W dużych księgarniach, mamy też dużą rotację pracowników(7). Konieczne jest wybadanie schematu jakim

posługuje się ochrona, jak często i jakimi trasami się przemieszcza (8), później pozostaje tylko się „przełamać". Nie ma innej rady jak opanowanie i spokój, oczywiste jest, że obracający się na wszystkie strony człowiek wzbudza podejrzenia. Początkującym zalecam, podjęcie prób dostosowania się wyglądem do przeciętnego klienta (9), można też posunąć się do tego, że celem odwrócenia uwagi dokonujemy drobnego zakupu np. gazety.

Jeśli już pokonamy pierwszy stres i zastosujemy się do instrukcji, powinniśmy po chwili wyjść bogatsi o nową ciekawą lekturę. Proste prawda! Na tym jednak nie koniec, bo trzeba by poradni, był bardziej szczegółowy.

Akt 3
Wpadka

Niestety nie da się uniknąć tego tematu, co nie znaczy, że nie da się uniknąć złapania na gorącym uczynku. Podstawowym powodem, iż mimo zastosowania się do wszystkich powyższych zasad, możemy zostać złapani jest...rutyna. Należy więc, zawsze trzymać się wszelkich wspomnianych zasad bezpieczeństwa, być ostrożnym i nie ryzykować niepotrzebnie. Jeśli chcemy by, nasze działania pozostały bezpiecznymi, nie warto odwiedzać księgarni zbyt często. Pamiętajmy co mówią statystyki, w naszym kraju nie czyta się, aż tak dużo książek, a tym bardziej nie kupuje. Najlepiej działać ratalnie np. jednego dnia szukam ciekawej pozycji i działam szybko jeśli czuję się bezpiecznie, jeśli nie, wracam dopiero po kilku dniach. Chodzi o to by nie zwracać na siebie uwagi tym, że ciągle przebywa się w księgarni, kręci się między regałami, a rzadko widać nas przy kasie. Dobrym pomysłem jest przed wyjściem zerknięcie, czy przy wyjściu nie dzieje się nic podejrzanego. Jeśli zostaniemy zauważeni w czasie działania, lub po prostu wydamy się podejrzani, to ochrona będzie się starać nas zatrzymać dopiero przy wyjściu (nie czekając czy zadziała bramka). Informacja o tym kogo/i czy zatrzymać zostanie przekazana ochroniarzowi przez krótkofalówkę. Jeśli więc zatrzymamy się na chwilę, niby to przeglądając prasę i zerkniemy czy przy wyjściu nie powstaje jakieś zamieszanie, może to nam uratować skórę. Dodatkową formą zabezpieczenia, jest zerwanie kodu kreskowego znajdującego się na książce (10). W tym momencie, jeśli zostaniemy zatrzymani „na bramce", możemy się tłumaczyć, że książkę kupiliśmy w innej księgarni (11), oczywiście wszystko ze spokojem i pewnością siebie. Jeśli już jednak zdarzy się pech ostateczny, nie ma co się załamywać. Należy być uprzejmym i skruszonym, niezależnie od pyskówek ze strony ochrony (12). Wszystkie przypadki o których słyszałem kończą się raczej spokojnie. Jeśli złapano nas z „zakupami", których wartość nie przekroczyła 250 zł, to kwalifikuje się to jako wykroczenie i czeka nas wizyta w Sądzie Grodzkim. Wizyta w sądzie nie jest jednak taka pewna, częściej proponuje się polubowne załatwienie sprawy. Sprowadza się to do tego, że płacimy za towar, który chcieliśmy wynieś. Czasem kończy się na tym, że podpisujemy oświadczenie, że w przypadku ponownego złapania, zostaniemy obciążeni jakimiś dodatkowymi karami ze strony księgarni (13). Należy pamiętać, że jeśli już nie uda się załatwić sprawy polubownie, to wszelkie sprawy powinny być załatwiane w obecności policji, to policjanci spisują protokół itp. Jeśli przekażemy swoje dane ochronie i nie zerkniemy uważnie na to co nam dają do podpisania, mogą próbować nas wmanewrować w coś, czego sami nie zrobiliśmy. (14) Sprawa w sądzie, jeśli już do niej dojdzie, również nie musi się skończyć źle - w momencie gdy jest to nasze pierwsze przewinienie i w dodatku jesteśmy pełni skruchy i solennie obiecujemy poprawę (a dodatkowo nie mamy pracy i krucho u nas z pieniędzmi) skończy się najpewniej na kilku dniach pracy w zieleni miejskiej.

Akt 4
Zakończenie

Dobrze, że zabezpieczyłem się już na samym początku pisząc, iż interesuje mnie w tym tekście raczej strona praktyczna, niż jakaś ideologiczno-teoretyczna podbudowa, dla działalności zwanej kradzieżą książek. Dyskusja na temat kradzieży zajęła by kolejne stronice. Podstarzali anarchiści i anarchistki mogą pamiętać jeden z numerów Mać Pariadki, w którym głowiono się na temat „za" i „przeciw". Ja pozwolę sobie przynajmniej dziś, na tylko kilka uwag.

Na teren działania wybieram dużą firmę, ponieważ jej coraz większy monopol na sprzedaż/dystrybucje, uderza w małe księgarnie/wydawnictwa. Duży może więcej, nie oznacza jednak, że czyni coś lepiej. Drobne księgarnie zwyczajnie bardziej dbają o asortyment i łatwiej w nich znaleźć pracowników pasjonatów, a nie sprzedawców rodem z marketu, co to w tym wypadku zamiast mydła i powidła, wciskają w promocji



makulaturę. Z tego samego powodu dziwnie czułbym się „działając" w lokalnej i swojskiej księgarni - ot taka złodziejska „etyka". Inna sprawa to fakt, by pamiętać, że się kradnie (bez względu na to, że nawet dla potrzeb tego tekstu wprowadziłem kilka zamiennych określeń, nadal jest to kradzież). Z tego powodu z dużym dystansem podchodzę do tego co sam wyżej napisałem, mianowicie, że okradam dużą korporację. Okradam korporację, nie wydawców, czy autorów, ponieważ to sprzedawca, musi się z nimi rozliczać, nawet jeśli ponosi straty. To, że często tego nie robi albo robi z opóźnieniem jest wynikiem jego pozycji na rynku, tego, że może sobie na to pozwolić. Mimo to nie wbijam sobie do głowy, że prowadzę jakąś walkę, krucjatę, rewolucyjną partyzantkę, nie, ja po prostu kradnę. Nie chcę szukać adrenaliny, by nie popaść w uzależnienie od niej, podobnie jak staram się nie wpaść w pułapkę kolekcjonerstwa „trofeów". Prawda jest bowiem taka, że to co zaoszczędzę, dokonując bezgotówkowych zakupów w jednej księgarni, wydam zapewne gdzie indziej, wspierając inną gałąź systemu. Innymi słowy staram się pamiętać, że nie żyje w świecie pełnym jedynie czerni i bieli, jest jeszcze sporo odcieni. I tyle na dziś, bo miało być raczej praktycznie niż teoretycznie, a za chwilę rozważania niebezpiecznie się rozpędzą (może w następnym numerze znajdzie się na to miejsce, zachęcam do korespondencji **gas56@interia.pl**).

(1) Celowo daruje sobie wymienienie nazwy swoistego monopolisty, którego salony prasowe są dobrze znane. Powstają przecież kolejne mega-księgarnio-sklepo-muzyczno-komputerowo twory, a zasady ich działania są bardzo podobne, nie warto więc przywiązywać się do jednej marki

(2) Trochę inaczej jest z pracownikami, ale to osobny temat

(3) Zasada „psa ogrodnika", choć w dzisiejszych czasach, smutnych samotnych ludzi ponowoczesnych (jakby mógł napisać jakiś socjolog) nie zawsze się sprawdza, co tylko ułatwia zadanie. Warto jednak pamiętać o wyszukiwaniu w tłumie ochroniarzu w cywilu

(4) Kto nie czytał temu polecam M.Foucault „Nadzorować i karać"

(5) Patrz fragment o monotonii naklejania zabezpieczeń i zastosuj do pracy człowieka, który musi przez 8 do 12 godzin patrzeć się w ekrany.

(6) Patrz wstęp

(7) Obrońców praw pracowniczych zapewniam, że ze źródeł wewnętrznych firmy wiem, iż jest to związane z marnymi zarobkami i swego rodzaju strategią firmy (choć to tyczy się bardziej sprzedawców niż ochroniarzy), niż z stratami związanymi ze znikaniem towaru z półek. Jakieś 3 lata temu warszawski sklep zanotował poważne straty związane ze zniknięciem sporej ilości płyt CD, nawet wówczas nie udało się obciążyć kosztami pracowników (mimo nie funkcjonowania związków zawodowych). Ostatecznie okazało się, że za całą sprawą stało dwóch pracowników ochrony, którzy postanowili dorobić do pensji.

(8) Kiedy uda się nam wybadać, o której godz. dokonuje się zmiana ochrony, możemy „zaatakować" wtedy gdy przynajmniej część z nich myśli o powrocie do domu, a nie o pracy (jeśli kiedykolwiek intensywnie o niej myślą)

(9)Oznacza to zrezygnowania np. w kwestii stroju z spodni z dużymi kieszeniami, albo noszenia na zakupy dużego plecaka, czy torby. To wszystko wzbudza podejrzenia

(10) Niektórzy mylnie biorą rzeczony kod kreskowy za zabezpieczenie książki, oczywiście tak nie jest, choć warto go również obejrzeć, bo kto wie, czy jakiś „żartowniś" nie umieścił pod nim właściwego zabezpieczenia

(11) Oczywiście jeśli przed wyjściem książkę schowaliśmy do torby/plecaka, a nie pod bluzę, no chyba, że będziemy umieli racjonalnie wyjaśnić dlaczego nosimy książkę pod bluzą czy kurtką, ale to już „wyższa szkoła jazdy".

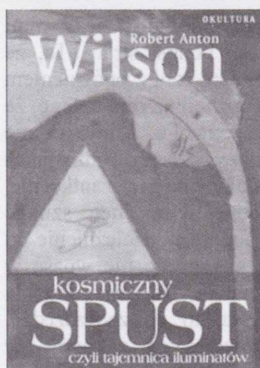
(12) No oczywiście do pewnej granicy, nie dajmy się sponiewierać i jeśli sytuacja zaczyna być nieciekawa, to domagajmy się przyjazdu policji .Wiem, że anarchistom może być to niesmaczne, chodzi jednak o to, że dla policji ochroniarze, to taka pseudo-policja z którą nie wchodzi się w komitywę, więc prędzej możemy liczyć, że uspokoją sytuacje niż ją zaognią tak to jest ze służbami mundurowymi (nawet w „mundurkach" ochrony), że ważna jest tu hierarchia. Jeśli i to nie skutkuje trzeba próbować ucieczki.

(13) Oczywiście w przypadku skierowania sprawy do sądu również starają się nas zmusić do podpisania podobnego świstka

(14) Patrz przypis nr 6 i przemyśl zanim cokolwiek podpiszesz

PODRĘCZNIK DEPROGRAMOWANIA

Bartłomiej Ożóg



Robert Anton Wilson jest postacią wyjątkową i dosyć osobliwą, więc warto poświęcić mu nieco więcej uwagi. Urodził się 18 stycznia 1932 roku w Irlandii, skąd później wraz z rodziną wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie uzyskał tytuł profesora fizyki i psychologii. Zdobył on również ogromną wiedzę z zakresu filozofii, okultyzmu, znajomości tajnych stowarzyszeń i organizacji politycznych. Bliski przyjaciel Timothy Leary'ego (wraz z nim napisał książkę *Neuropolitics*) z którym prowadził wiele badań dotyczących świadomości i obwodów układu nerwowego. Wilson również jest anarchistą i jak sam twierdził najbliższa była mu wizja społeczeństwa jaką w XIX wieku stworzyli amerykańscy anarcho-indywidualiści: dobrowolne stowarzyszenia, pomoc wzajemna, poszanowanie jednostkowych wyborów, życie w małych społecznościach (wywiad dla *MindFuck* nr1/2004).

Publikuje wiele swoich tekstów w pismach anarchistycznych, okultystycznych, naukowych, fantastycznych. Przybierając różne życiowe role, min. jako dziennikarz (*Playboy, Seed*), pisarz (wydane w Polsce *Trylogia Iluminatus, Seks, narkotyki i okultyzm*), reżyser teatralny (sztuka *Wilhelm Reich in Hell*), naukowiec, okultysta, wolnościowiec, całe życie dąży do przekraczania wizji rzeczywistości która została nam narzucona od dziecka w postaci programu wprowadzonego przez instytucje państwowe, religijne, kulturowe i naukowe. Rzeczywistość według Wilsona wykracza poza ten skostniały, zaprogramowany charakter, jest o wiele bardziej płynna, zróżnicowana i wielopłaszczyznowa. Dostrzec tą wielopłaszczyznowość można poprzez różne techniki deprogramowania naszej świadomości, które pozwolą opuścić niewidzialną klatkę naszych skostniałych uzależnień.

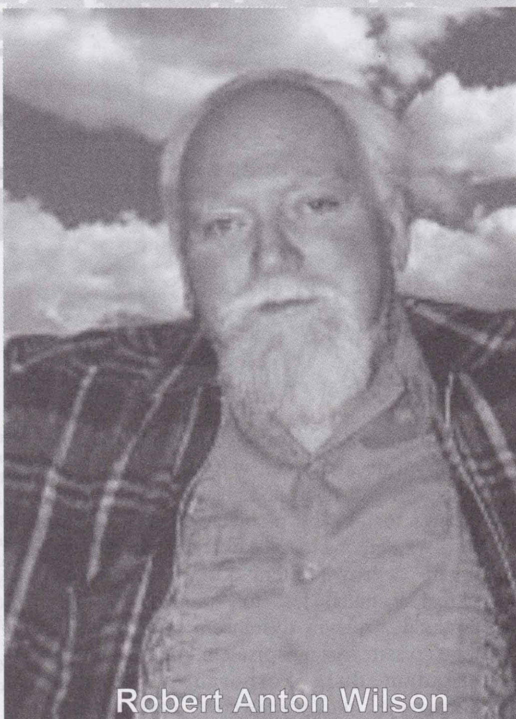
Książka *Kosmiczny spust* wprowadza nas w ten zadziwiający, tajemniczy świat ukrytych i powiązanych ze sobą zjawisk. Badając tajemnicę Iluminatów Bawarskich założonych podobno przez dr Adama Weishaupta 1 maja 1776 roku, Wilson dopatruje się różnorakich związków pomiędzy tym tajnym stowarzyszeniem a wieloma wydarzeniami z zakresu polityki i parapsychologii owianych nutą tajemnicy. Wilson jest sceptykiem i agnostykiem, który badanych zjawisk nie przyjmuje na zasadzie prawda - fałsz, tworzy on sobie osobistą skalę prawdopodobieństwa. Wszystkie teorie, sytuację, zjawiska, wydarzenia i możliwości które przedstawia czytelnikowi w tej książce, zaleca przepuścić przez własny katalizator prawdopodobieństwa. Wilson przytacza tu jedno z przykazań kontrkulturowego dzieła *Principia Discordia* (niektórzy twierdzą, że jest on jej współautorem): "*Nigdy nie wierz w to co czytasz",* ale też nie odrzucaj kategorycznie nawet najbardziej niewiarygodnych tez. A takich na pierwszy rzut oka niewiarygodności, pomieszanych z wywodami naukowymi możemy w tej książce spotkać wiele.

Tak więc wraz z Wilsonem badamy tajemnicę *oka w trójkącie* - będącego symbolem przejawiającym się w wielu tajnych stowarzyszeniach, lożach masońskich czy w mitologii egipskiej, zagłębiamy się w tajemnicę liczby "23", która ma istotny wpływ na wydarzenia naszego życia, badamy tajemnicę mitycznej Atlantydy, podróżujemy po tajemnicach naszego mózgu i umysłu, posilkując się teorią Wilsona - Leary'ego która przedstawia nasz system nerwowy jako układ złożony z ośmiu obwodów, i jak pisze Wilson, "*zazwyczaj pierwsze cztery obwody znajdują się w lewej półkuli i są odpowiedzialne za nasze życie na Ziemi. Pozostałe cztery mają charakter pozaziemski i spoczywają w uśpionej, nieaktywnej, prawej półkuli. Są one odpowiedzialne za naszą dalszą ewolucję. W ten sposób można zrozumieć, dlaczego u przeciętnego człowieka prawa półkula jest nieaktywna i aktywizuje się dopiero po zażyciu psychedelików*".

Psychedeliki również zajmują istotne miejsce w omawianej książce. Dzięki nim mamy możliwość kontaktu z inteligencją wyższą, nieuchwytną przez nasze pięć zmysłów, a znajdującą się w całym wszechświecie. Kontakt ten może występować bez ich udziału i przybierać formy na pozór różne od siebie, jak na przykład w przypadku udokumentowanych przez rząd USA kontaktów z tzw. istotami pozaziemskimi, objawienia Matki Boskiej, aniołów, wizjami mistyków, czy załamaniami rzeczywistości sprzecznymi z prawami klasycznej fizyki.

Badania Wilsona obejmują również szerokie spektrum kontaktów pozaziemskich, zarówno tych potwierdzonych przez rządy jak i tych mało wiarygodnych, czy wręcz śmiesznych. I tak pojawia się tajemnica *facetów w czerni*, dziwnego znikania i okaleczania bydła, Atlantydy, piramid egipskich i w końcu *psiej gwiazdy* - Syriusza najjaśniejszej gwiazdy na niebie.

Syriusz stanowi niesamowitą zagadkę, nad którą głowiło się wielu naukowców na wiele lat przed Robertem Wilsonem. Między innymi prof. Robert K. G. Temple, wysoce uznany i szanowany astronom, bada związek pomiędzy mieszkańcami Ziemi a gwiazdozbiorem Syriusza. Czy występował między nimi kontakt? Dlaczego ta gwiazda odgrywała tak zasadniczą rolę wśród starożytnych Egipcjan? Skąd afrykańskie plemię Dogonów posiada tak niesamowite informacje dotyczące systemu Syriusza przekazywane z pokolenia na pokolenie przez wiele tysięcy lat, skąd mieli dane o Syriuszu B - białym karle na wiele tysięcy lat przed odkryciem go przez astronomów w 1970 roku? Skąd znali jego cykl orbitalny i przybliżoną masę? Wreszcie co Syriusz ma wspólnego z iluminatami i okiem w piramidzie? Przemyślenia Wilsona o przekładalności pewnych zjawisk kosmicznych na rzeczywistość społeczno - polityczną Ziemi mogą początkowo śmieszyć czytelnika, lecz kiedy zestawia je z teorią Einsteina-Rosena-Podolsky'ego (ERP), która mówi, że niektóre cząsteczki znajdują się w stałym kontakcie ze sobą nawet wtedy, gdy znajdują się w różnych częściach wszechświata, wtedy uśmiech jakby zanika... Czy ma to jakiś związek z zabójstwem Kennedyego i Martina Lutera Kinga? Czy niektóre tajne stowarzyszenia zapoczątkowane w starożytności i istniejące do dzisiaj są partyzantami astralnymi, które wykorzystują wiedzę i kontakty kosmiczne do manipulowania ziemską rzeczywistością? Jakkolwiek informacje zawarte w tej książce wydają się dziwne, śmieszne, czy wręcz przerażające, warto się z nimi zapoznać osobiście.



Robert Anton Wilson

Czytając tą książkę ma się wrażenie pewnego chaosu; rzetelne badania naukowe pomieszane z magią, ufologią, okultyzmem, teoriami spiskowymi, tworzą specyficzną mieszankę wybuchową. Chaos przybiera postać porządku - co jest zgodne z współczesną fizyką chaosu deterministycznego. Książka ta zostawia pewien wirus w zaprogramowanym systemie postrzegania świata narzuconym nam od dziecka przez instytucję różnego rodzaju, co umożliwia nam proces deprogramacji własnej świadomości na nowe, dotąd zakazane tunele rzeczywistości.

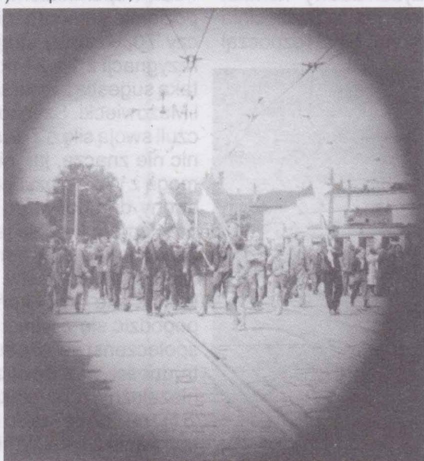
Lecz jak to Robert Anton Wilson gdzieś tam napisał: *"Twoim więzieniem jest to, w co wierzysz"*

Robert Anton Wilson *„Kosmiczny Spust, czyli tajemnica iluminatów"*, tłum. Dariusz Misiuna, Wydawnictwo Okultura, Warszawa 2004

JAK TO ZROBILIŚCIE?

Jany Waluszko

Lawrence Goodwyn w tytule swojej pracy pyta Polaków - jak to zrobiliście? Chodzi mu o rewolucję "Solidarności" 1980 roku, która w jego oczach jest największym w historii eksperymentem demokratycznym, a jednocześnie owocem 35 lat aktywności ruchu robotniczego w Polsce. Goodwyn wyraźnie podkreśla, iż było to zjawisko samorodne, bez jakichkolwiek zewnętrznych inspiracji, o czym dziś wielu z działaczy tamtego okresu nie chce pamiętać, a czego ogół po prostu nie wie. Oficjalna bajka brzmi tak, że robotnicy zrobili strajki zakończone powstaniem "Solidarności" pod wpływem agitacji Komitetu Obrony Robotników i innych grup opozycji czy wiadomości o protestach z innych części kraju rozpowszechnianych przez Radio Wolna Europa, a w wersji kościelnej pod wpływem wyboru papieża Polaka i jego pielgrzymki do kraju. Goodwyn stawia jednak proste pytanie, czemu nie oddziałało to w innych częściach kraju, szczególnie tam, gdzie sięgały wpływy KOR (jak Radom, Ursus, Warszawa) czy miała miejsce wizyta papieża, ale na Wybrzeżu (szczególnie w Gdańsku) i odpowiada, że nikt serio tego nie badał, więc tradycyjna odpowiedź jest bądź nieporozumieniem, bądź manipulacją. Z badań Goodwyna wynika, że Sierpień 1980 i takie jego elementy, jak strajk okupacyjny, międzyzakładowy komitet strajkowy i żądanie wolnych związków zawodowych, to owoc doświadczeń 35 lat walki robotników z systemem komunistycznym. Nikt im tego nie mógł podpowiedzieć - wręcz przeciwnie - tak KOR itp., jak i kościół robiły wszystko, by strajk poddać a przynajmniej ograniczyć radykalizm jego żądań (dowodem są cytaty z wypowiedzi prymasa Wyszyńskiego, czy Jacka Kuronia, który jeszcze długo potem mówił, że myślał, iż to niemożliwe i nadal tak myśli). Jak było naprawdę?



Goodwyn dzieli sytuacje na normalne i rewolucyjne - normalnie elita rządzi, a masy słuchają, nawet ci, co chcą przepchać się do elity, i nawet wówczas, kiedy większość norm mają w duszy, bo z tego nic nie wynika. Goodwyn tu nieco miesza, bo za świadomość ma tylko jej formę czynną czyli - po mojemu - wolę, tak jakby ktoś bierny nie mógł znać prawdy - to fakt, iż czynny udział w życiu daje lepszą orientację niż jego obserwacja, pomijająca na ogół czynnik ludzki i wierząca, że świat się dzieje sam, na bazie jakichś praw czy (w ostateczności) mocą sprawczą instytucji, lecz przegina z rolą organizacji. Dobry przykład to jego główna teza - KOR (a raczej WZZ, nie o to tu jednak idzie) można uznać za krok ku "Solidarności", ale była to odpowiedź na wydarzenia w Ursusie i Radomiu, ich samych zaś nikt **nie** przygotował, choć oczywiście ktoś musiał to robić. Była to spontaniczna reakcja na podwyżki cen żywności. Powtórką tego był poniekąd rok 1980, z tą różnicą, że o ile pierwsze strajki były spontaniczne i minęły bez większego echa, bo Gierek w tym wypadku nie tylko nie strzelał (różni go to od reszty kacyków, a miał okazję 3 razy, w 71, 76 i 80), ale i nie bił, o tyle dopiero strajk gdański w wyniku trafienia na grunt zorganizowany stał się czymś więcej niż protesty dawniejsze (od Poznania 1956 do lipca 1980). Idzie zatem nie o bunt czy rewolucję w ogóle, a raczej o ich przypadki udane. Nonkonformiści swym działaniem zmieniają świat, lecz bez koniunktury niewiele zdziałają - z drugiej strony koniunkturę ktoś musi wykorzystać, bo nic samo się nie dzieje. Liczy się dopiero zbieg obu wymiarów (możliwości i działania). Dla nonkonformizmu można stwarzać warunki (Abramowski między bazą a nadbudową widzi sumienie, ale i baza na jego wybory wpływa, więc i ją się zmienia, by zmienić system i stworzyć warunki sprzyjające wyborowi wolności, wspólnoty itp., nie ich przeciwieństw).



Goodwyn ma rację pisząc, iż to nie intelektualiści uczyli robotników protestów (oni na nich żerowali, w 1905, 1976 czy 1980 aż po dziś). Czyn nie bierze się z idei a z życia - kto ich uczył? Oni sami ze swych doświadczeń, dlatego w Radomiu, Ursusie i Płocku w 1976 wyszli na ulice, ale w Gdańsku wtedy i w 1980 (dzięki doświadczeniu '70) woleli strajkować, czego próbowali już w drugiej fazie 1970 i w 1971. Władza też się uczy - skoro robotnicy nie wyszli na ulice - w '81 zaatakowała zakłady, a w '89 zakazała strajku solidarnościowego. Paradoksalnie pomógł jej błąd z '80 - ponoć KOR itp. uznały, iż robotnicy zwariowali, chcąc w 1 z 21 postulatów zgody na Wolne Związki Zawodowe, lecz komuna wierząc w swoją własną bajkę o *inspirowaniu* mas przez *wrogie elementy* nie dała im szansy, aby spróbowali ich od tego odwieść i... aresztowała ich; gdyby przyjechali robotnicy i tak nie pozwoliłby im na to, ale staliby się oni dla mas *zdrajcami*, a dzięki aresztowaniu mogli uchodzić wręcz za *inspiratorów* (!) Sierpnia '80 i przez wpływ na Wałęsę tak zmanipulować związek, że skończyło się to okrągłym stołem i zdradą Solidarności. Robotnicy, inaczej niż inteligencja, już w '70 rozumieli, iż socjalizm się *zużył*, nie wypaliły ani on, ani reformy w jego ramach, więc w '80 poszli w *imidż* narodowo-katolicki (sami z siebie czy ktoś im podpowiedział?). Własnego niestety nie odkryli, co też otworzyło drogę dla manipulacji, zastąpieniu formą treści w czasach drugiej "Solidarności". Goodwyn dostrzega brak formacji demokratycznych w świecie - komuna oskarżała kapitalizm o niesprawiedliwość społeczną i bezrobocie, on ją o łamanie praw człowieka i obywatela, ale oba systemy zwalczały demokrację pod pozorem, że służy drugiej ze stron czy anarchii. Żadna ze stron nie ma także interesu w uczciwym badaniu dziejów narodzin i rozwoju (dodałbym - i upadku) "Solidarności". Inteligencja niedoceniała ruchu robotniczego, wierząc, iż chodzi mu o kasę, a nie wolność i demokrację. Dziś, póki co, jest inaczej, robotnicy walczą o kasę na konsumpcję, co jest akceptacją systemu. Gdyby szło o demokrację w ekonomii, samorządną rzeczpospolitą - znów grałoby to zasadniczą rolę w walce z systemem. Za komuny już sama walka o kasę godziła w system, bo jego podstawą była produkcja nie konsumpcja, a przecież próbowano realizować to i przez przejęcie władzy w zakładach przez rady pracownicze. Inteligencja tego nie dostrzegała. W latach 40-tych nie wsparły walki w obronie samorządów partie opozycyjne wobec komuny, socjaliści i ludowcy, tymczasem po zduszeniu samorządności komuna bez trudu rozprawiła się z opozycją. Podobnie było i potem (bez ruchu robotniczego opozycja nic nie znaczyła, starczy porównać efekty protestów robotniczych w '56, '70 i '80, w wyniku czego upadały kolejne ekipy rządzące, z protestem inteligencji w '68, który przeszedł dla władzy bez echa).

Jak wyglądała robotnicza samoedukacja? Dla Goodwyna jej początek, po rozbiciu tradycyjnego ruchu związkowego po wojnie, to wydarzenia poznańskie, jednak, inaczej niż w klasycznym ujęciu, walki uliczne nie były początkiem, lecz raczej końcem tej fazy ruchu. Mało kto wie, że wydarzenia '56 to nie spontaniczny protest, a owoc długiej walki, jaką załoga zakładów Cegielskiego z Poznania toczyła z władzą (od kierowników wydziałów i dyrekcji zakładu po władze lokalne i centralne). Dopiero negocjacje w ministerstwie i złamanie słowa przez ministra zdecydowało o wyjściu na ulice, by zaprotestować przeciw polityce władz przy okazji międzynarodowych targów, *na oczach świata*. O ile załoga Cegielskiego zorganizowała się w ciągu miesięcy sporów, to inni uczestnicy protestu nie byli do niego przygotowani; część zakładów pracy miała kontakt z załogą Cegielskiego, dzięki czemu błyskawicznie przyłączyło się do pochodu, w centrum miasta jednak nikt nie umiał opanować tłumu, co doprowadziło do rozruchów i wejścia wojska do Poznania. Mimo stłumienia wystąpień robotniczych, napięcie w kraju utrzymywało się nadal, co partyjna opozycja wykorzystała do usunięcia ekipy rządzącej i zastąpienia jej Gomułką. Na fali walk wewnątrz partii reaktywowano i ideę samorządu, ale szybko okazało się, że komunizm nie lubi władzy rad - obok niechęci Gomułki (tego samego, co likwidował je w latach 40-tych) zdaniem Goodwyna zadecydowała o tym słabość załóg, ich brak doświadczeń i możliwości dzielenia się nimi z innymi zakładami. To na niszczeniu organizacji społeczeństwa i wymiany między różnymi grupami miała polegać cenzura, nie tylko kontroli mediów jak widziała to zainteresowana wolnością słowa inteligencja. W efekcie na ogół udało się bez oporu zmanipulować rady, a potem je zlikwidować. Potrzebny był

inny pomysł, organizacja ludzi na skalę już nie zakładu a miasta czy całego kraju. Poznań był już na to za słaby, nowa jakość ruchu pojawiła się na Wybrzeżu.

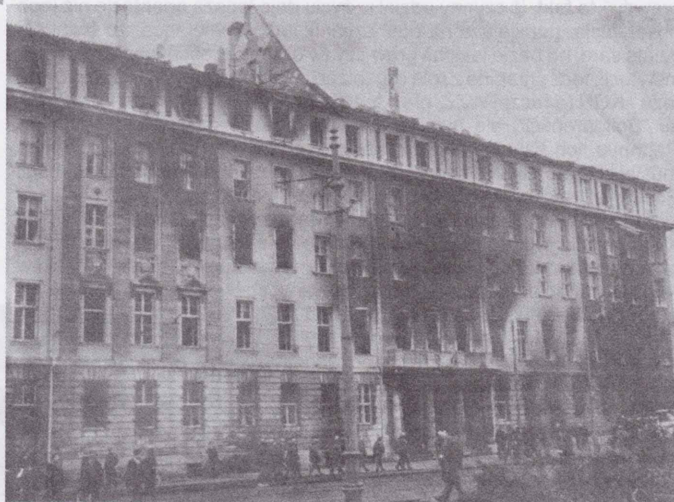
Wedle Goodwyna o roli Wybrzeża zdecydował charakter pracy w portach - kontakty z robotnikami z innych krajów, co jest regułą w świecie (ruch robotniczy w portach ma o wiele radykalniejszy charakter niż w innych zakładach, co dotyczy i górników, ale ci nie są tak otwarci jak portowcy). Pierwsze protesty miały miejsce już w drugiej połowie lat 50-tych, gdy na Wybrzeżu doszło do antyradzieckich wystąpień, ale i strajków ekonomicznych, a nawet groźby akcji solidarnościowej stoczniowców w obronie rybaków, co starczyło, aby władze odstąpiły od represji za strajk. Do prawdziwego wybuchu doszło w Grudniu 1970, w reakcji na podwyżki cen żywności gdańscy stoczniowcy wyszli na ulice, podpalono komitet partii, rabowano sklepy, doszło do walk z milicją. I tu zaszło coś dziwnego, działacze partii w stoczni, nie chcąc dopuścić do ponownego wyjścia ludzi na miasto rzucili hasło strajku okupacyjnego. Była to mało już znana broń robotników polskich odkryta w latach 30-tych (wraz z polonią dotarła ona wówczas do USA, gdzie tą formę walki nazywa się *strajkiem polskim*). Paradoks na tym polega, że to, co miało ograniczyć ruch protestu stało się z czasem jego największą siłą. W Stoczni Gdańskiej robotnicy szybko przejęli władzę w utworzonym przez partię komitecie strajkowym, w Gdyni w ogóle nie wyszli na ulice, od razu rozpoczynając strajk, powołano tu także międzyzakładowy komitet strajkowy, choć było to nieco na wyrost - podobnie jak w Szczecinie opierał się on na sile paru zakładów, nie całego regionu. MKS rozpoczął



układy z władzami lokalnymi, lecz władze centralne aresztowały obie strony, wzywając jednocześnie na przemian do pracy i pozostania w domach, co było najprawdopodobniej celową prowokacją - do idących do pracy zaczęto strzelać, doszło do rozruchów, podobnie jak w Szczecinie, choć tu szybko doprowadzono do układów między władzą i MKS, wojsko i milicja robotnicza wspólnie zaczęły patrolować miasto, a w efekcie sporów w samej partii Gomułkę zastąpił Gierek, który zrazu próbował zmanipulować robotników (słynne - *pomożecie*?), nie odwołano też podwyżki, ale kolejne akcje strajkowe w Gdańsku, Szczecinie i Łodzi (styczeń i luty) zmusiły go do ustępstw. Partia nie zgodziła się na wolne związki zawodowe, za to dokonano częściowo wolnych wyborów władz w oficjalnych związkach, dzięki czemu do ich kierownictwa weszli prawdziwi działacze niezależni.

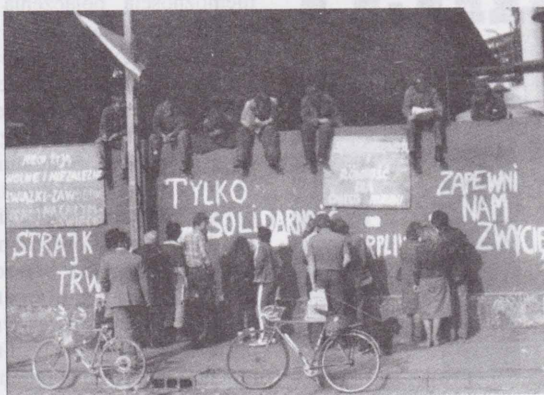
Okazało się szybko, że podobnie jak w latach 40-tych i 50-tych, decydowanie przez robotników na dole niewiele znaczy wobec faktu, że lepiej zorganizowana partia może swoją wolę narzucić na poziomie centralnym, a tam, gdzie nie udawała się manipulacja stosowano represje (działaczy wyrzucano z pracy, zmuszano do emigracji, czasem nawet zabijano). Z drugiej strony w Gdańsku zaczął się tworzyć niezależny ruch robotniczy, między innymi w oparciu o obchody rocznicy masakry na Wybrzeżu w Grudniu '70. Po rozruchach w 1976, do których doszło w kilku miastach (znacznie liczniejsze były, o czym mało kto wie, strajki w całej Polsce) oraz represjach wobec robotników Radomia i Ursusa, opozycja inteligencka w Warszawie zorganizowała najpierw pomoc dla ofiar represji, a potem rzuciła hasło tworzenia WZZ, jednak brak efektów (w Radomiu zgłosił się tylko jeden człowiek) i obawa przed represjami wobec nielicznych działaczy sprawiły, że KOR wycofał się z tego, a nawet wystąpił przeciw komitetom założycielskim WZZ powstałym na Śląsku i w Gdańsku. KOR chciał dogadać się z reformatorami w partii, robotnikom proponując, aby dążyli do opanowania oficjalnych związków (nie mając ich doświadczeń, nie rozumiał, iż jest to ślepa uliczka, o czym robotnicy przekonali się już wiele razy). Tymczasem WZZ i gdańska opozycja wybrali inną drogę niż proponowana przez działaczy z Warszawy, tworząc własny związek (aż po jego jawne struktury), organizując wydawnictwa i akcje protestacyjne. Gdy w 1980 doszło do kolejnych strajków w odpowiedzi na kolejną próbę podwyżki cen, w odróżnieniu od reszty kraju byli oni przygotowani do walki o swoje postulaty znacznie wychodzące poza żądania płacowe. W innych ośrodkach (nawet kiedy strajk ogarniał całe miasto, jak w lipcu w Lublinie) starczyło dać trochę kasy, by strajk się skończył. W Gdańsku od razu zażądano obok podwyżki płac uczczenia ofiar '70 i legalizacji WZZ. Stocznia dostała swoje dość szybko i po 2 dniach chciano zakończyć strajk, ale na prośbę mniejszych zakładów podjęto wbrew nadziei władz strajk solidarnościowy, tworząc MKS, w którym już pierwszego dnia afiliowało się ponad 100 zakładów pracy z regionu gdańskiego. Dla Goodwyna ważnym momentem była odmowa negocjacji z władzami poza Stocznią oraz włączenie radiowęzła dla ich transmisji, aby cała załoga wiedziała, co jest grane. Pozwoliło to uniknąć manipulacji, budując wzajemne zaufanie strajkujących i dając poczucie siły. Inny element tej organizacji to sieć kurierów, których MKS wysyłał w Polskę. Gdy władze pod wpływem rosnącego zasięgu strajku (a więc uderzenia w punkt najczulszy dla władzy opartej o kontrolę produkcji) zdecydowały się na negocjacje z MKS, ten zażądał jako warunku wstępnego zaprzestania represji (zatrzymań i pobić) wobec kurierów i ponownego uruchomienia połączeń telefonicznych z resztą kraju, bowiem wiedziano, że tylko jawny obieg informacji może uniemożliwić władzy manipulację i rozbicie strajku przez brak zaufania i solidarności (momentem zabawnym jest fakt, że nieświadomy niczego Kuroń myślał, iż obrona *osób wspierających strajk* dotyczy jego i innych członków opozycji a nie kurierów, o których, jak zauważa Goodwyn, mało kto wie do dziś).

Jak wspomniałem, kościół i opozycja, nie mając żadnego pojęcia o poziomie samoorganizacji robotników i bojąc się powtórki masakry z '56 czy '70, wzywały strajkujących do ograniczenia protestu, a przynamniej rezygnacji z 1 z 21 postulatów, czyli zgody władz na legalizację WZZ. Z taką sugestią zjawili się wysłani do Stoczni ich przedstawiciele, Geremek i Mazowiecki. Szybko zauważyli jednak, że jest to niemożliwe, robotnicy czuli swoją siłę a z drugiej strony wiedzieli, że żadne inne obietnice władz nic nie znaczą, jak nie będzie miał kto pilnować ich realizacji, więc nie mogą z WZZ zrezygnować. Wałęsa zgodził się jednak przyjąć *pomoc* ze strony doradców, co potem miało okazać się dla związku poważnym problemem (będzie jeszcze o tym w dalszej części tekstu). Tymczasem rozwój strajku (w tym i kolejne MKS-y w Szczecinie i Elblągu) zmusił władze do ustępstw, doprowadzając do powstania "Solidarności", co jednak nie było końcem walki, bowiem władza nie miała zamiaru pogodzić się z istnieniem zorganizowanego, czyli istniejącego na serio społeczeństwa. Sposoby były dwa - sztucznie wywołane przez rząd trudności w zaopatrzeniu aż po granice głodu i utrudnienia działań niezależnych po ataki na działaczy związku z prowokacją bydgoską (III '81) na czele (szło o pobicie przywódców regionu, obecnych na spotkaniu z lokalnymi władzami). O ile na dole związku prowadziło to do radykalizacji (dążeń do objęcia kontroli nad produkcją przez oddanie zakładów pracy samorządom pracowniczym, jak w latach 40-tych i 50-tych, czy wręcz akcję bezpośrednią w postaci strajku czynnego), góra



była skłonna do ugody i *samo-ograniczania rewolucji*, w dużym stopniu pod wpływem tzw. doradców. Owocowało to m.in. ciągłym odwoływaniem strajku generalnego (warto w tym miejscu zauważyć, że strajk generalny, podobnie jak idea solidarności oraz organizacja regionalna związku zamiast branżowej są elementami typowymi dla syndykalizmu). W tym momencie chcę zwrócić uwagę na niekonsekwencję Goodwyna, który z jednej strony docenia fakt, iż w 1980 to strajk był podstawą siły robotników, a z drugiej uważa, że *gaszenie pożarów* (= tłumienie lokalnych protestów) przez elitę "Solidarności" i opozycji było lekcją demokracji, zaś radykalizm szedł w złym kierunku, co w dużym stopniu wynika z fascynacji paru osobami z Wałęsą, Geremkiem i Mazowieckim na czele i widzenia "Solidarności" przez ich pryzmat (podobnie z postaciami *negatywnymi*, jak Kuroń będący uosobieniem *złej* inteligencji. Goodwyn nie lubi też Gwiazdy i jego zasad, ale to on *miał rację*, choć może nie jako *realista polityczny*, bo bez nich w "Solidarności" nie ma nic niezwykłego. Goodwyn kłamie wręcz, gdy mówi o *wycofaniu* **się** Gwiazdy z polityki, co realnie polegało na uwięzieniu go przez komunę, potem zaś przemilczaniu czy potępianiu

oszołomów przez elity opozycji; mimo to był on aktywny nie do 13 XII '81, a do '93, co znam z autopsji). Sądzę, że to właśnie ugodowa postawa przywódców opozycji skłoniła rząd do ataku na społeczeństwo 13 grudnia 1981 (czasem mówi się o *mniejszym źle*, większym miała być rzekomo interwencja radziecka, ale wedle badań nic nie wskazuje na to, by ktoś w Moskwie gotów był do tego, a rzeczywistym *większym złem* w oczach władzy było zorganizowane społeczeństwo i to je wówczas likwidowano).



Pisząc o stanie wojennym, Goodwyn popada w daleko posuniętą abstrakcję, widząc jedynie rozgrywki personalne KOR z Wałęsą (osób, które w gruncie rzeczy niczym się w dążeniu do kontroli czy wręcz gaszenia aktywności społecznej nie różniły) oraz msze za ojczyznę i trwanie idei / oporu, za to pomija całkowicie walki uliczne, co wynika zapewne z jego niechęci do przemocy - choć biały, był uczestnikiem ruchu M.L. Kinga w USA. Niewiele też u Goodwyna można znaleźć o narastającym konflikcie elity opozycji, Wałęsy i doradców, z grupami radykalnymi, tak wewnątrz związku, jak i coraz częściej poza nim, bowiem taka "Solidarność" nie tworzyła możliwości samorealizacji coraz liczniejszym grupom, szczególnie młodym (zaowocowało to m.in. powstaniem grup anarchistycznych - i to znam z własnego w tym udziału, co podkreślam ze względu na wagę jaką do osobistych doświadczeń przywiązuje Goodwyn). Podobnie ogólnikowo pisze o ugodzie z '89, a przecież było to całkowite zaprzeczenie idei "Solidarności" (miast oddolnej inicjatywy społecznej układ odgórny kosztem ogółu). Wynika to zapewne z chęci nie negowania swych fascynacji = przedmiotu badań, a więc ruchu "Solidarności" i wodzostwa Wałęsy. Uznając klęskę ruchu czy zapędy dyktatorskie wodza wprost, musiałby w wielu miejscach zweryfikować swą wersję wydarzeń. Daje to w efekcie pracę bardzo nierówną, w pierwszej części (do pojawienia się Wałęsy i "Solidarności") niezwykle ciekawą i obiektywną, w drugiej powierzchowną i często sprzeczną z własnymi założeniami autora. Brak mi w niej też paru elementów, np. słabo omówiona kwestia idei Samorządnej Rzeczpospolitej. Goodwyn nie zna pracy "Bój o samorząd" Szymona Jakubowicza, będącej, obok jego własnej, jedną z nielicznych prób całościowego ujęcia historii powojennego ruchu robotniczego w Polsce. Goodwyn bardziej skupia się na wymiarze związkowym niż samorządowym, uznając po części rady za element manipulacji ze strony władz - czy z powodu mieszania ich z radami zakładowymi oficjalnych związków zawodowych? Nie wiem, na ile wynika to z jego opcji *klasowej*, kiedy dla mnie większa różnica jest między Gdańskiem i Warszawą niż robotnikami i inteligencją, gdy szło o kwestię walki z komuną w '80. Wizja Goodwyna do złudzenia przypomina J. Machajskiego z jego niechęcią do inteligencji, co sprawia, że obraz staje się u niego czarno-biały i Wałęsa jest *demokratą* tylko dlatego, że to robotnik, choć nawet Goodwyn widzi jego tendencje autorytarne czy zbieżność polityki z niby-wrogim KOR'em. Nie zmienia to faktu, że inteligencja ukradła mit "Solidarności", w '89 za stołki rozmieniając go na drobne przy *okrągłym stole* - o tym jednak u Goodwyna niewiele, musiałby bowiem uznać klęskę ruchu i podważyć wagę nauki, jaka z niego wyrasta, a to uderzyłoby w całą jego pracę.

ROBOTNIK WYBRZEŻA

PISMO KOMITETU ZAŁOŻYCIELSKIEGO WOLNYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH WYBRZEŻA MAJ 1980 NR 7

WYBORY DO RAD ZAKŁADOWYCH

Kampania sprawozdawczo-wyborcza opóźniona została o rok.Jeden z przedstawicieli CRZZ na konferencje zakładowe stwierdził,że ten rok potrzebny był na wychowanie nowego aktywu do Rad Zakładowych. Nie wiadomo co to dokładnie znaczy,bo żadnego ożywienia w działalności związków w przeciągu ubiegłego roku nie zaobserwowano.Wystąpił natomiast dalszy wzrost napięć między władzą a ogółem pracujących spowodowany błędami polityki gospodarczej i społecznej.Szczególnie w tych zakładach pracy,w których zdecydowano się na redukcje zatrudnienia i cięcia płacowe pomimo stale rosnących kosztów utrzymania.
W tej sytuacji tegoroczne wybory do Rad Zakładowego wywołały większe zainteresowanie pracowników niż poprzednie.Tak zwany aktyw społeczno-gospodarczy zakładów,w obawie aby Rady Zakładowe nie uzyskały chociby częściowej niezależności,zmobilizował wszystkie swe siły i wpływy.Wyniki są różne,ale "Nie od razu Kraków zbudowano".Raz zgłoszony wniosek,nawet jeśli nie przejdzie,pozostanie w świadomości.Postawiony po raz drugi ma już większe szanse akceptacji.Oceniając wyniki wyborów należy też wziąć pod uwagę,że partia i administracja ma ogromną przewagę nad załogą w możliwościach organizacyjnych.Aktywni pracownicy rozproszeni po wydziałach,pracowniach,brygadach nie znają się wzajemnie i mają trudności w porozumieniu się.Są szczególnie pilnowani,a "samowolne opuszczenie stanowiska pracy" można u nas zawsze uznać za "ciężkie naruszenie podstawowych obowiązków pracownika". Również sposób prowadzenia zebrania, udział dyrekcji,Komitetu Zakładowego,przedstawicieli CRZZ i WRZZ,nie podawanie do wiadomości ogółu pracowników ordynacji wyborczej i możliwości jej zmiany utrudnia załodze przeforsowanie swoich kandydatów i niedopuszczenie do Rady Zakładowej ludzi podporządkowanych partii i dyrekcji.
Podstawowy problem leży jednak gdzie indziej - ludzie nie wiedzą kogo wybrać.Nawet zdając sobie sprawę z tego,że poprzednia Rada Zakładowa nie zdała egzaminu,nie widzą żadnych kontrkandydatur. Wynika to ze zmonopolizowania i stłumienia przez partię wszelkiej aktywności publicznej.Bardzo często jedynymi ludźmi z doświadczeniem organizacyjnym,których załoga zna i darzy zaufaniem są organizatorzy turystyki i imprez kulturalnych.
Przebieg kampanii sprawozdawczo-wyborczej przedstawimy na przykładzie kilku gdańskich zakładów pracy.
CENTRUM TECHNIKI OKRĘTOWEJ Delegatami na zakładową konferencję związkową zostali wybrani przeważnie kierownicy pracowni i zespołów.Nawet niektórzy mężowie zaufania nie zostali delegatami.Tego zdumiewającego zjawiska w załodze o wysokim poziomie wykształcenia i wyrobienia społecznego sami pracownicy nie umieli potem wytłumaczyć.Następnym fenomenem było to,że pracownicy prototypowni podpisali list protestacyjny przeciwko klice zorganizowanej przez wiceprzewodniczącego Rady Zakładowej z pominięciem interesów klasy robotniczej.Reprezentantem tych interesów miał zostać Główny Mechanik. Równocześnie doszły wieści kto szykuje się do objęcia stanowisk w nowej Radzie.
Załoga poczuła się zagrożona.Po niewczasie pojawiły się wątpliwości,do końca zresztą nie wyjaśnione,czy można zgłaszać kandydatów do Rady spoza dele



Ciekawe - choć czasem kontrowersyjne - są rozważania teoretyczne Goodwyna (nb., język pracy jest dość trudny - akademicki i do tego amerykański: *politykę demokratyczną* chętnie zastąpiłbym *aktywnością społeczną* np.). Bliska mi, oprócz tego, że ktoś musi życie społeczne *zrobić*, bo nie *dzieje się* ono samo, jest kwestia jego widzenia, a ściślej - wyjaśniania błędów (zawsze uważałem, że nie wystarczy powiedzieć jak jest według mnie, ale trzeba wyjaśnić skąd biorą się błędy innych wizji). Dla Goodwyna jest to wynik *oglądania* ruchu z zewnątrz bez *udziału* w nim. Siłą ruchu jest komunikacja wewnętrzna i powszechna partycypacja - alienacja elity sprawia, że ruch słabnie i musi utrzymywać się przemocą (wobec *swoich* i *obcych*). Goodwyn widzi też głęboką różnicę między demokracją dawną i współczesną - w greckich polis, włoskich komunach, Anglii Cromwella i walczących o niepodległość USA (nie zna tradycji I RP, a może nie chce znać, bo nie-*ludowa*? Inteligencji zarzuca szlacheckie korzenie, jako źródło elitaryzmu) demokrację tworzyli obywatele, system były tym czym zorganizowane społeczeństwo, ale pojawienie się rynku rodzi zanik wolnej pracy i skrajne dysproporcje socjalne, a dla tych, co wierzą w ideały, jedynym wyjściem jawi się interwencja władz w ekonomię. Spór skupia się na jej zakresie, toczą go partie polityczne, ich wolę realizuje biurokracja, dla amatorów na co dzień nie ma już miejsca w takiej *demokracji*. Rynek rodzi de-socjalizację - w tym świecie praca i system nie są *moje*, teoria nic tu nie zmieni bez codziennej (!) praktyki. Goodwyn w "Solidarności" widzi odrodzenie ideału (coś jakby trzecią drogę w odwrotnym kierunku niż pozostałe). Nie przewidział, iż jego pupil do spółki z komuną to obali, iż "Solidarności" upadnie, iż nie będzie dalszego ciągu; nie jest nim demokracja rynkowa, co przegięła w drugą, i to poniekąd trudniejszą do kontestowania, stronę? "Solidarność" była inna, normalnie walczy elita, czasem klasy, rasy czy narody, a tu całe społeczeństwo (nie partia, a naród - to też element starej demokracji, nb. - silny w I Rzeczpospolitej).

Warunek rewolucji to według Jeffersona i Mao zdolność do publicznego oporu wobec władzy, która nie bierze się z objawienia prawdy o ucisku jak sądzą agitatorzy, bo ludzie sami wiedzą jak jest, ale boją się wyjść poza rutynę. Gdy robi to elita, mamy ugrupowanie polityczne, gdy masy - ruch społeczny. Uzyskać udaje się to tylko w praktyce, ale, to opis, nie przepis, co osłabia pożytek z tej wiedzy (zaś w świetle założeń Goodwyna tego właśnie się oczekuje, sam stwierdził, że chciał, by poznanie "Solidarności" stworzyło dla innych wiedzę o prawdziwej demokracji i to nie tylko teoretyczną). Dziś zadymy i media (to w praktyce to samo) nic nie dają - bo wolno to robić - pogłębia się tylko szum informacyjny rynku. Pomysłem mogłaby być solidarność, strajki o zasadę a nie kasę, ale nie ma na to chętnych. Równie trudno ją uzyskać z drugiej strony, jako konsument (nie producent) w postaci bojkotu rynku. Dziś w system łatwiej byłoby ugodzić takim *strajkiem*, być może *czynnym* (robienie tego, czego się potrzebuje, samemu miast kupowania na rynku), co idzie zresztą ku przywróceniu bazy dla dawnej demokracji, gdzie człowiek sam dla siebie produkował towary, kulturę i system. Póki co ogół woli ofertę rynku - *kup*! W efekcie nie tylko inteligencja nie umie już sama wydawać swych papierów i czeka, aż ktoś wyda i zapłaci prawa autorskie, ale i chłop *umiera z głodu*, jeśli nie kupi jedzenia w sklepie. Stąd też skupienie słabnącego ruchu związkowego na walce o kasę na konsumpcję (czy przeżycie?) zamiast walki o samorząd pracowniczy. Czy idea Solidarności jest już tylko historią i największa szansa ustanowienia rzeczywistej demokracji stała się kolejnym mitem (a może i to nie, przynajmniej u nas, przez rozczarowanie tym, co się stało po '89)?

Książka Goodwyna dostępna jest i w wersji internetowej (http://www.goodwyn.pl). Pełniejszą wersję mojej *recenzji* (tu z konieczności musiałem wiele spraw pominąć) można otrzymać pisząc na mój adres (jwal@pg.gda.pl).

PS. Już po napisaniu recenzji przeczytałem pracę Jerzego Eislera *Grudzień 1970* (Warszawa 2000), w świetle której widać, iż Goodwyn i w tym temacie nie jest zbyt dokładny, choć tu i uczonym, mającym dostęp do archiwów, trudno o precyzję, zaś błędy Goodwyna nie wpływają zasadniczo na obraz zdarzeń tak, jak w wypadku Wałęsy i "Solidarności".

Jak to zrobiliście ? : powstanie Solidarności w Polsce Lawrence Goodwyn ; [tł. z ang. Katarzyna Rosner, tł. przedmowy Bogumił Tadeusz Łączek]. Imprint Gdańsk : Krajowa Agencja Wydawnicza, 1992

FAHRENHEIT 9/11

Jacek Żebrowski

W lato przez polskie kina przetoczył się głośny film Michaela Moore'a "Fahrenheit 9/11". Ostatni obraz amerykańskiego dokumentalisty został uhonorowany najwyższą w świecie filmowym nagrodą, Złotą Palmą na festiwalu filmowym w Cannes. Sam festiwal przebiegał w gorącej atmosferze: podobnie jak podczas ubiegłorocznego festiwalu teatralnego w Awinionie, który został ostatecznie przerwany, na ulicach trwały starcia pracowników kultury z policją. Uczestniczył w nich także sam reżyser stając po stronie protestujących. Podobne wydarzenia już nie raz miały miejsce w Cannes: kilkadziesiąt lat temu projekcje zakłócali sytuacjoniści, a w latach 60. i 70. było to obok Awinionu, jedno z wielu miejsc protestów ówczesnych kontestatorów. Co prawda Cannes 2004 nie był festiwalem na miarę tego z 1968 roku, kiedy to został przerwany przez filmowców Nowej Fali (m.in. Jean-Luca Godarda i Françoisa Truffauta), którzy wtargnęli do sal projekcyjnych, zatrzymując projekcje, podczas gdy na ulicach trwały zamieszki wywołane przez anarchistów i lewicujące bojówki, ale jest to niewątpliwie fakt zasługujący na uwagę.

Przez pewien czas wydawało się, że protesty odbywają się wyłącznie na ulicach miast z okazji zjazdów prezydentów, premierów i bankierów, a tymczasem głos sprzeciwu dotarł w końcu do świata sztuki, który przez wiele ostatnich lat opływa w niebywałe jak nigdy luksusy pogrążając się w twórczym marazmie, gdy w tym samym czasie prym wiodą w kinach super- i hiperprodukcje pozbawione jakichkolwiek treści. Od 3-4 lat mamy jednak do czynienia z wzrastającym zainteresowaniem wśród niezależnych filmowców otaczającą ich rzeczywistością społeczno-polityczną mimo, że nie zawsze sięgają po środki tak bezpośrednie i nie zawsze wywołują wokół siebie tyle szumu co Michael Moore.

Głównym bohaterem filmu "Fahrenheit 9/11" są współczesne Staany Zjednoczone Ameryki Północnej. Na ostrzu krytyki amerykańskiego dokumentalisty znalazł się Bush i jego niewesoła kompania ponieważ, może nie tylko on osobiście, lecz długofalowa polityka amerykańskiego imperializmu, poparta przez kapitał i administrację, której przedstawicielem jest prezydent USA, są w głównej mierze winne obecnemu podziałowi świata na bogatą elitę i tzw. "odpady" oraz bezsensowną wojnę w Iraku, a także wszystkie wcześniejsze (Korea, Wietnam, Nikaragua, Salwador, Haiti, Somalia, Bośnia). Od czasu premiery filmu wywiązują się dyskusje nie tyle na temat samego filmu i jego równie kontrowersyjnego autora, ale także dyskusje prowokujące do głębszej refleksji na temat kondycji współczesnego świata, co do niedawna było głównie domeną środowisk będących częścią ruchu alterglobalistycznego czy w ogóle kontrkultury.

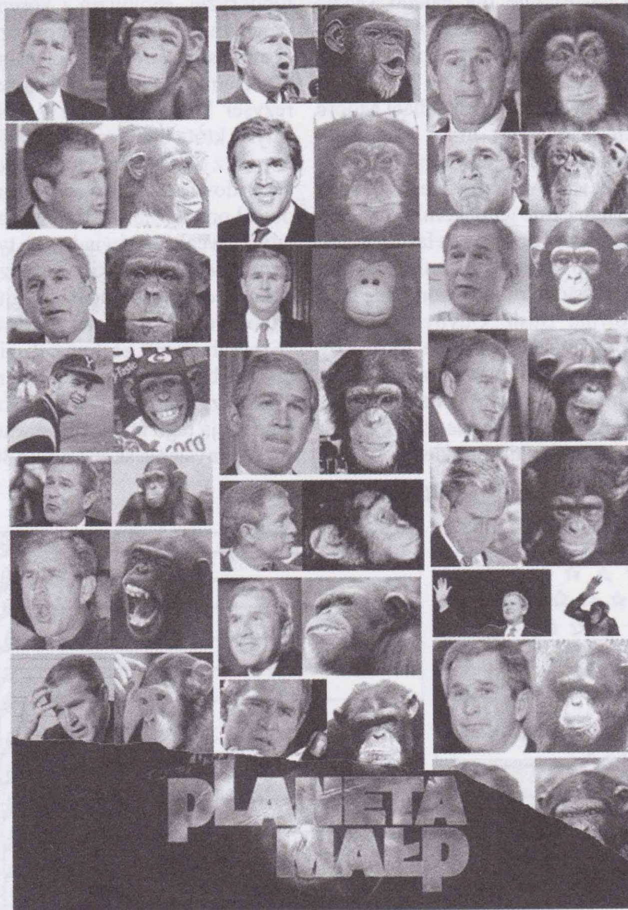
Bush jest pokazany w filmie jako kretyn i kompletny imbecyl, co podkreślają różne wycinki dokumentalne pokazujące Busha w prywatnych sytuacjach (scena z pancernikiem na ranczo) czy podczas publicznych wystąpień (stwierdzenia w rodzaju "Saddam próbował skrzywdzić mojego tatusia!"). Debilizm Busha rzucał się w oczy od samego początku jego prezydentury, wystarczyło obejrzeć któreś z jego wystąpień dla telewizji lub w Kongresie i przyjrzeć się mimice jego twarzy. Moore jednak wyciągnął z archiwów materiały najbardziej kompromitujące, np. kiedy Bush stroi głupie miny przed wystąpieniem w telewizji, kiedy to miał ogłosić wybuch wojny w Iraku. Innymi chwytem jaki zastosował Moore jest agresywny montaż wypowiedzi Busha, np. ten złożony ze słów "Saddam" i "Al-Kaida". W konsekwencji wygląda to tak jakby George II miał w temacie wyżej wymienionych jakąś niebezpieczną obsesję seksualną połączoną z niemożnością połączenia się z obiektem swego uwielbienia i nienasyconego pożądania.

"Fahrenheit 9/11" to jednak nie tylko satyra. Reżyser filmu posługuje się trzema metodami aby dotrzeć do widza: wspomnianą już satyryczną, intelektualną i emocjonalną. Ci, którzy mają się przekonać, że Bush to idiota zobaczą go jak stroi głupie miny; ci, dla których liczą się fakty usłyszą, że administracja amerykańska wykorzystała ataki z 11 września do załatwienia prywatnych porachunków ze swoimi byłymi agentami, którzy zbuntowali się przeciwko centrali (Hussein, Bin Laden) i że owa administracja manipuluje społeczeństwem dla własnych korzyści; wreszcie ci, których interesują ludzkie tragedie mogą zobaczyć dramat amerykańskiej rodziny wyznającej patriotyczno-konserwatywne wartości, która traci syna w Iraku. Film posiada jednak wiele wad np. przedstawianie Iraku przed wojną jako raju na Ziemi albo pomijanie niektórych ważnych informacji np. brak wytłumaczenia kwestii braku poparcia dla czarnych senatorów w Kongresie po sfałszowanych wyborach w 2000 r. Takich kwiatków jest u Moore'a kilka i sam Moore zasługuje na krytykę z powodu jednostronnego krytykowania władzy. Skupił się on jedynie na krytyce obecnego prezydenta jego administracji, a nie na krytyce hierarchicznej władzy w ogóle. Mimo wszystko jest to jednak film skierowany przede wszystkim do przeciętnego wyborcy amerykańskiego, aby zachęcić go do głosowania przeciwko Bushowi, a więc gra obliczona na zdobycie głosów przez Demokratów. Na uwagę zasługuje inny ważny fakt: w USA można nakręcić film uderzający we władzę, w którym można odsłonić kulisy jej interesów oraz kompletnie skompromitowac jej przedstawicieli, a wszystko to rozspowszechnić nie tylko we wszystkich kinach USA, ale i na całym świecie, jednak dzieje się tak zapewne tylko wtedy kiedy jedna elita walczy z drugą (vide kerryści vs. bushowcy). Istnieje oczywiście wiele innych bardziej rzetelnych dokumentów, m.in. rok temu polski oddział francuskiego kanału Planete wyemitował cztery doskonałe dokumenty obnażające oszustwa podczas wyborów 2000 r. czy powiązania administracji Białego Domu z koncernami paliwowymi, farmaceutycznymi i medialnymi.

Po polskiej premierze "Fahrenheita", odbyła się dyskusja emitowana na żywo w TVN 24. Uczestniczyli w niej: Andrzej Fidyk (reżyser), Krzysztof Kłopotowski (krytyk filmowy), Leszek Miller, Janusz Wróblewski (Polityka), Bartosz Węglarczyk (Gazeta Wyborcza) i Zygmunt Wrzodak. Dyskusję prowadziło dwóch napastliwych i momentami niemal chamskich dziennikarzy stacji TVN, stacji sponsorowanej zresztą przez ITI - notabene firmy uczestniczącej w tegorocznym Europejskim Forum Ekonomicznym w Warszawie. O ile Wrzodak i Miller byli w tej dyskusji bardziej lub mniej statystami, odpowiadając na zadawane pytania typowymi jak dla nich pozbawionymi treści frazesami, a dokumentalista Andrzej Fidyk wypowiadał się głównie na tematy dotyczące sztuki filmowej, to o wiele ciekawsza rozmowa toczyła się w kwintecie dziennikarze - Wróblewski-Kłopotowski-Węglarczyk. Największą elokwencją i wiedzą błysnął Krzysztof Kłopotowski oraz częściowo Janusz Wróblewski. Sądząc po wypowiedziach w czasie dyskusji, obydwaj mają w miarę trzeźwą ocenę tego co dzieje się w Ameryce i na świecie i nie poprzestają na wybiórczych informacjach (notabene pod koniec rozmowy kiedy Węglarczyk przedstawiał prywatne życie Moore'a, Kłopotowski rzucił mu ironicznie: "Pańskie argumenty są wybiórcze" czym wzbudził niemały aplauz widzów przysłuchujących się dyskusji). Ich przeciwieństwem był Wrzodak, który - sądząc po zagubionym wzroku - nie wiedział za bardzo gdzie się znajduje, bo jego bełkot nijak się miał do tematu rozmowy. Mimo, iż rozmówcy zgadzali się co do tego, że film jest nierówny pod względem merytorycznym (według nich objawia się to mieszaniem nachalnej propagandy i taniej satyry), a dobry pod względem warsztatowym, to najwięcej zarzutów przedstawiono rzekomej manipulacji Moore'a emocjami widzów. Sam reżyser zresztą nie kryje się z tym, a wręcz chełpi że "Fahrenheit 9/11" został zrobiony przeciwko Bushowi, aby ten przegrał nadchodzące wybory. Kiedy reżyser odbierał Oscara za "Zabawy z bronią", rzucił zza hollywoodzkiej ambony: "Wstydź się Bush! Twój czas się skończył!", a w czasie wręczania nagrody w Cannes (gdzie przewodniczącym jury był nie kto inny jak Quentin Tarantino), w jego wypowiedziach dominowały kolejne ataki na administrację Busha. Intencje twórcy "Fahrenheita" są jasne i czytelne, a postępowanie Busha & Co. powszechnie znane i powszechnie nie akceptowane (oprócz oczywiście omamionych propagandą

bushowską amerykańskich wyborców i zapatrzonych w raj za oceanem większości Polaków). W tym kontekście zarzuty o powierzchowną manipulację są co najmniej śmieszne: jak można zarzucać manipulację komuś, kto przed wejściem filmu do kin do tej manipulacji się przyznaje, a widz wie o tym i na to się godzi?! Manipulacja, ta w najgorszym wydaniu, jest najczęściej działaniem ukrytym, którego mechanizmy można odkryć dopiero po pewnym czasie, kiedy efekty działania tych mechanizmów ujawniają zamiary odwrotne od początkowo deklarowanych przez posługującego się nią, a osobną sprawą jest oczywiście waga i rozmiar tejże. Michael Moore przypomina mi w tym momencie zręcznego kuglarza żonglującego mediami i z ironią kłaniającemu się tak publiczności jak i establishmentowi. Jest więc manipulatorem, jednak wierzę, że jego intencje są czyste, bo jego film (i on sam ze swoimi wypowiedziami) spełnił rolę swoistego katalizatora nastrojów społecznych - zaognił dyskusję między, umownie rzecz biorąc, prawicą a lewicą - sam oczywiście stoi po lewej stronie spektrum. Moore manipuluje w podwójnym sensie - i jako artysta i jako człowiek - lecz żaden z rozmówców zdawał się nie szukać tego drugiego dna. Czyż nie przypomina on także innego współczesnego kuglarza, ironisty i kontestatora jakim jest Dario Fo? Czy ktoś jeszcze pamięta bogobojne i święte oburzenie Herlinga-Grudzińskiego na informacje o przyznaniu włoskiemu dramaturgowi literackiej Nagrody Nobla? No cóż, Gustaw pełen gniewu zaraz potem zszedł z tego świata, a autor "Przypadkowej śmierci anarchisty" żyje, tworzy i ma się całkiem dobrze.

Wracając do telewizyjnej dyskusji. Dziennikarzom wyraźnie nie podobały się wypowiedzi p. Kłopotowskiego, który przebywał przez kilkanaście lat w Stanach i jak sam powiedział, zna ten system od wewnątrz. Mówił on o tym, że demokracja w USA nie jest prawdziwą demokracją, a demokracją fasadową: "Wchodzimy w system paratotalitarny, gdzie rządzą koncerny (...) są łamane prawa jednostki, nie liczy się głos wyborcy, podstawowego elementu demokracji"*, czym oczywiście wzbudził drwiący śmiech przebywających w studiu. W podobnym do Kłopotowskiego tonie wypowiadał się Wróblewski: "Demokratyczne ideały zostały zaprzepaszczone na pewnym odcinku", równocześnie zbijając z tropu Węglarczyka - wysublimowaną intelektualnie miernotę. Ten z kolei, jak przystało na człowieka który stracił kontakt z rzeczywistością, niemal z pianą na ustach jak pies broniący swojego pana, forsował swoje poparcie dla Ameryki, Busha i wojny w Iraku: "A jak się ta broń znajdzie i będzie wielki atak, to co Panowie wtedy powiedzą?!" Tymczasem dziennikarze pastwili się nad Kłopotowskim, który rozpoczął wypowiedź słowami "A więc dziełem sztuki jakim jest ten film...", po czym przerwali mu gwałtownie: "Dzieło sztuki? Czy ja dobrze słyszałem? Pan powiedział: >>dziełem sztuki jakim jest ten film<< tak?". Węglarczyk zresztą bardzo się denerwował kiedy po raz pierwszy oglądał ten film. Zapewne dlatego, że to czego się bał okazało się prawdą, a prawdę tę ukazał mu komediant, a nie republikański demagog. W innym miejscu wyrażał swój żal i chciał niemal rezygnować z rozmowy, kiedy Kłopotowski mówił, całkiem słusznie, o demokracji fasadowej - słowie często dziś używanym w wielu dyskursach krytycznych, o czym najwyraźniej Węglarczyk nie wie i wiedzieć nie chce, bo podejrzewam, że po prostu tego terminu nie rozumie i tak samo powierzchowna jest jego refleksja o dzisiejszym świecie (albo też taki miał nakaz z „centrali", co najbardziej prawdopodobne). Nie potrafił zapanować nad sobą: wiercił się na krześle, pochrząkiwał, podnosił bez potrzeby głos, a jego argumenty w ogóle nie trzymały się kupy. Wygląda na to, że GW to swoisty gabinet psychoanalityczny dla znerwicowanych niespełnionych literatów, w którym na kozetce przy zaciemnionych kotarach kwiat polskiego dziennikarstwa kompensuje swoje bolesne doświadczenia z dzieciństwa.



Warto poruszyć jeszcze jedną sprawę czysto artystyczną. Andrzej Fidyk, dokumentalista, reprezentuje typową polską szkołę dokumentu opierającą się na tzw. "zwierciadle rzeczywistości", co było metodą twórczą także innych znakomitych polskich dokumentalistów takich jak Kazimierz Karabasz, Krzysztof Kieślowski, Jan Łomnicki, Marcel Łoziński i wielu, wielu innych. Metoda ta opiera się na szukaniu prawdy poprzez próbowanie różnych wariantów jej dociekania; na przyglądaniu się rzeczywistości, a nie na jej ocenie; na byciu z boku, a nie na ingerencji. Szkołę tę cechuje poszukiwanie prawdy obiektywnej, niemożliwej przecież do uchwycenia z powodu nieskończonej ilości punktów widzenia. Dokument Moore'a można by nazwać dokumentem zaangażowanym lub na przykład esejem dokumentalnym. Jest to esej dlatego, iż autor nie przygląda się rzeczywistości ale ocenia ją z własnego, subiektywnego punktu widzenia. Zaangażowanie tego dokumentu wynika z pozycji jaką zajmuje autor zarówno w dziele sztuki, jak i w świecie poza ekranowym: jest obliczony na pewien efekt i posługuje się środkami, które ten efekt pomogą uzyskać. Jest to zatem film z tezą, którą autor stawiając na początku filmu stara się ja udowodnić. Nie zagłębiając się w rzeczywistość poza ekranową można stwierdzić, że zarzut krytyki pod adresem Moore'a opierający się na skrzywianiu prawdy jest nieuzasadniony dlatego, że reżyser występuje tu nie jako przedmiot (jak to jest praktykowane w produkcjach hollywoodzkich), lecz jako podmiot - autor wyrażający swoje zdanie i pełniący rolę demiurga w swoim filmie, tak więc pokazuje jakąś prawdę: prawdę z własnego punktu widzenia. Postępuje on podobnie jak zmitologizowani przez polską krytykę reżyserzy kina autorskiego lat 60. i 70. Fellini, Bergman, Antonioni, Godard, Resnais przyjmujący właśnie osobisty punkt widzenia. Podobnie postąpił Michael Moore, tyle że tamci komentowali świat tworząc fikcyjne fabuły, które zawierały komentarze do otaczającej ich rzeczywistości, Amerykanin natomiast posłużył się oryginalnymi dokumentalnymi materiałami, zestawianymi według własnej, tylko przez autora przyjętej logiki zgodnej z przyjętą przez niego tezą. Janusz Wróblewski przyznał, że istnieje w światowym dokumencie tendencja do tworzenia filmów zaangażowanych, gdzie twórcy pokazują świat z własnego punktu widzenia, mimo iż przylepia się im łatki "propagandzistów" lub "agitatorów". Odwaga, oryginalność i niezależność artysty polega właśnie na wypowiadaniu własnego zdania i docierania z tym do odbiorcy. W innym wypadku twórca staje się marnym wyrobnikiem, dobrym warsztatowo ale bez osobowości i własnego zdania, uzależniony od cudzych pieniędzy, pochwał i układów - staje się kolejnym, jak wielu dzisiaj, bezbarwnym aparatczykiem w rękach biznesu i władzy. No właśnie, czy kimś takim jest Michael Moore, który jak wspomniałem zrobił film na zamówienie Partii Demokratycznej? Trzeba rozdzielić tu dwie rzeczy: po pierwsze w czasie kampanii wyborczej John Kerry wcale nie deklarował wycofania wojsk z Iraku (a film Moore'a jest wyraźnie antywojenny), z drugiej strony władza chce zawłaszczyć dla siebie współczesny ruch kontestacyjny, jak chociażby czynią to Demokraci. Trzeba jednak zdać sobie sprawę z tego, że świadomość obywatelska w krajach Zachodu jest o wiele wyższa niż w Polsce i na dobrą sprawę można protestować

przeciwko wszystkiemu na co się protestujący nie zgadza, inny jest więc w tym momencie punkt wyjścia rewolucjonisty albo reformatora, ale obydwaj mają w tym przypadku ten sam cel. W USA istnieje zupełnie inny sposób myślenia od typowego europejskiego podziału lewica-centrum-prawica, tak więc z naszej perspektywy Demokraci może i wydają się lewicowi, ale są takimi samymi sprzedawczykami jak Republikanie, bo w istocie obie partie niewiele różni jeśli chodzi o sposób finansowania jak i sam fakt ich walki o władzę. Tym razem wybór był jednak o wiele bardziej dramatyczny niż 4 lata temu. Po tym jak Bush wpędził świat w niepotrzebną wojnę i zasiał niepokój na całym świecie (bo sprawcą tzw. "strachu przed terroryzmem" są przecież Amerykanie, a nie muzułmańscy fundamentaliści), każdy kto zastąpiłby tę administrację byłby lepszy od poprzednika to mógłby być John Kerry czy ktokolwiek inny, przed takimi faktami postawiła ludzi historia. Tymczasem Bill Clinton, multikapitalista który wysyłał swoje wojska do Bośni i wydawał również setki błędnych decyzji (m.in. właśnie przeciwko Clintonowi protestowano w 1999 roku w Seattle), jawi się dzisiaj wielu ludziom niemal jako pacyfista i luzak, który "palił, ale się nie zaciągał", a wrażenie te zbudowała administracja Busha przez swoje katastrofalne dla całego świata decyzje. Amerykanie próbowali więc pozbyć się Jerzego Krzaka w jedyny dostępny sobie sposób, czyli wybory pośrednie, bo na rewolucję przed wyborami się nie zanosiło.

Światowy ruch protestu, którego częścią stał się już Michael Moore (brał udział m.in. w demonstracjach w Nowym Jorku przeciwko konwentowi Republikanów; jeździ po Ameryce z odczytami) jest w tej chwili na takim etapie rozwoju, że nawet jeśli wygrałby Kerry, to ruch ten nie zatrzymałby się w pół drogi. Ostatecznie jednak, mimo iż cały świat oprócz Polski opowiadał się przeciwko Bushowi (właśnie nie *za* Kerrym, ale *przeciwko* Bushowi), mimo zmobilizowania różnych światłych umysłów (m.in. Chomsky) i artystów (m.in. Moore), nie dało to pożądanego efektu. Wygrał ponownie Bush. Gdyby popatrzeć jeszcze na agresywną probuszowską propagandę w Polsce, można by zaryzykować twierdzenię, iż mimo kolejnego piania przez różne polskie "autorytety" sloganów o "wolnych mediach" i "demokracji", oni sami a za nimi społeczeństwo tego kraju opowiedziało się za niekompetencją, hipokryzją, korupcją, tyranią, niesprawiedliwością i terrorem.

Kiedy film pojawił się już na dobre w polskich kinach, nie wzbudził takiego entuzjazmu wśród widzów jak na świecie, a u większości polskich intelektualistów, którzy są w rzeczywistości oportunistami niezdolnymi do zajęcia własnego stanowiska, pojawił się stan przedzawałowy. Zupełnie dla mnie niezrozumiała, wpajana przez lata bezkrytyczna miłość do Władców Ameryki, których 99% społeczeństwa nigdy na oczy nie widziała poza telewizorem, powoduje, że mimo tych 70% sprzeciwu przeciwko wojnie w Iraku, szczególnie krytycy przodowali w dyskredytowaniu filmu Moore'a. Trudność z „Fahrenheitem" polega też na tym, że wszyscy zobaczyliśmy film jaki chcieliśmy zobaczyć, tj. krytykujący obecną władzę w Stanach Zjednoczonych. Bez względu na poziom (nie każdy na to zwraca uwagę), wątpliwości niektórych może budzić sponsoring filmu. Lista ta jest długa, ale wydaje mi się, że trudno byłoby zrobić taki film skromnymi środkami przez amatora z np. Dakoty i wypromować go na całym świecie. Aby osiągnąć efekt jaki zamierzył sobie autor i spora część intelektualno-artystycznego establishmentu amerykańskiego, potrzebne są do tego spore środki finansowe, a niezależność tego filmu jest niezależnością autora poprzez wybór takiego, a nie innego tematu - nie ma natomiast tu miejsca na niezależność finansową i Moore przyznaje się otwarcie, że zrobił film na zamówienie Demokratów. Z drugiej strony można być niemal pewnym, że taki film nie powstałby gdyby jego projekt został złożony w hollywoodzkich studiach. Podziw może wzbudzić też determinacja Amerykanów do zmiany władzy, determinacja której nie było od czasów Kennnedy'ego i Nixona, a więc od ponad 30 lat. Ta postawa to świadomość tego, że to co dzieje się w Ameryce ma faktyczny wpływ na to co dzieje się na całym świecie, a sprzeciw wobec Busha & Co. był tak olbrzymi, że zmusił do zaangażowania się w kampanię antybushowską środowisk akademickich, naukowych i artystycznych. A do tego wszystkiego zdajemy sobie sprawę (no, nie wszyscy...), że żyjemy w społeczeństwie spektaklu i tą samą bronią, środkami jakimi posługuje się spekatkl, chciał posłużyć się Moore. Żyjemy w czasach epatowania różnorodnymi spektaklami medialnymi i w takim natłoku informacji, że bez pewnego rodzaju demagogii, manipulacji i promocji, tak cenny głos nie przedostałby się przez szum informacyjny do tzw. zwykłego odbiorcy.

Jerzy Hoffman (tak, ten od „Potopu" i „Ogniem i mieczem"...) powiedział o swoich filmach dokumentalnych z lat 50. kręconych w samym środku socrealizmu, że kręcąc je "odpowiadał demagogią na demagogię". Michael Moore na początku XXI wieku przyjął podobną metodę. W czasach medialnych manipulacji i audio-wizualnego terroru tworzy on filmy, które odpowiadają manipulacją na manipulację. Posługuje się on środkami charakterystycznymi dla swojej epoki, a jako człowiek mający za sobą doświadczenia w telewizji zna zarówno metody manipulowania widzem, jak i strukturę koncernów medialnych, ich powiązania z władzą oraz panującą tam hipokryzję, serwilizm i korupcję. Znając ten system od środka, w pewnym sensie atakuje go niczym wirus. Krytycy starej daty oczekują tymczasem nudnych, długich esejów niezrozumiałych dla przeciętnego widza, do którego przede wszystkim chciał dotrzeć reżyser "Fahrenheit 9/11". Dlatego właśnie Moore posługiwał się satyrą, która była środkiem najlepszym do odbioru przez przeciętnego drwala z Wisconsin, który między kęsem hamburgera, a łykiem Coca-Coli, dowie się co nieco o matactwach swojego prezydenta. To, że dostał on nagrodę w Cannes, a filmem zachwycali się dziennikarze i artyści wcale nie świadczy o tym "jak nisko upadła dzisiejsza sztuka" (cytat jednej z polskich recenzji), ale wręcz przeciwnie - o wysokim poziomie świadomości politycznej (nawet w wydawałoby się odpornych na to społeczeństwach dobrobytu), której brak w Polsce. "Fahrenheitem" zachwycali się w Polsce przede wszystkim ludzie młodzi, bo to oni najlepiej rozumieją sytuację, w której przyszło im żyć - bez względu na to czy chodzi o sprawy lokalne czy globalne. Nie rozumieją tego na pewno staruchy wychowane w PRLu, których typ i sposób myślenia skończył się 30-40 lat temu i od tamtej pory tkwią oni jeszcze w mrokach swojej ciemnoty, strasząc nią ze stron swoich zacofanych gazet i bełkotliwych programów telewizyjnych.

Moore w wypowiedzi dla polskich widzów, rzekł: "Moim celem jest przekonanie wszystkich aby zmienić reżim w Stanach Zjednoczonych". Co najmniej dwie rzeczy są warte podkreślenia w tej wypowiedzi. Po pierwsze, Amerykanie nigdy do tej pory nie przeżyli takich totalitaryzmów i reżimów jakich ofiarą padły Niemcy, Włochy, Chiny, Japonia, Chile, Kambodża, Polska, ZSRR, Rumunia, Hiszpania, Irak, Iran i setki innych mniejszych i większych krajów na świecie. Wyjątkiem mogłyby być tutaj lata 50. które zrodziły kontrkulturę lat 60. jednak był to nieco inny kontekst i bardziej złożone realia. Jeżeli Amerykanie twierdzą, że żyją w reżimie, możemy tylko starać się zrozumieć (lub wyobrazić sobie) jak dalece zostały tam ograniczone prawa człowieka po 11 września, i dlaczego tak często padają słowa "reżim", "imperializm", "totalitaryzm". Na własnej skórze siłę USA odczuwają dziś na pewno Irakijczycy czy Afgańczycy, i każdy w miarę inteligentny obywatel tego kraju w pełni zdaje sobie z tego sprawę. Druga sprawa to "zmiana reżimu". Bez względu na to w jakich układach porusza/poruszał się Moore, nie ma on ostatecznie wątpliwości, że kandydat z ramienia Partii Demokratycznej John Kerry nie jest lepszy od Busha. I Kerry, i jego administracja są także w oczywisty sposób uzależnieni do koncernów, sponsorów, układów, układzików - zapewne konkurencyjnych i walczących z koncernami bushowców. Wybór między Kerrym i Bushem był więc ostatecznie, jak to mawiał Charles Bukowski "wybieraniem między zimnym gównem a ciepłym gównem".

* Większość cytatów z dyskusji w TVN24 oraz filmu Moore'a podaję z pamięci.

Za Waszą i Naszą

zaKORZENIEnie

WOLNOŚĆ

KOLUMNA INTERNACJONALISTYCZNA #5

NARODOWO-RADYKALNA ALTERNATYWA
Syjonistyczno-rewizjonistyczny ruch korporacyjny w II Rzeczpospolitej

W łonie syjonistów i znajdujących się pod ich wpływami związków korporacyjnych zaczęła od 1922 r. kształtować się potężna i wpływowa frakcja rewizjonistyczna. Jej ideologiem i przywódcą byt dziennikarz, urodzony w Odessie, Włodzimierz Żabotyński. W założeniach programowych rewizjoniści kontestowali skuteczność dotychczasowych zabiegów dyplomatycznych, nawoływali do militaryzacji ruchu syjonistycznego i stworzenia własnych oddziałów bojowych jako środka do przyspieszenia procesu formowania własnego państwa. **W obrębie Światowej Organizacji Syjonistycznej rewizjoniści wydali zdecydowaną wojnę elementom lewicującym, szerząc hasła kolonizacji Palestyny przez klasę średnią, syndykalizmu oraz obrony własności prywatnej.** Swoją odrębność programową zaakcentowali dążeniem do ideologicznej odnowy syjonizmu, a także do znalezienia nowej formuły organizacyjnej. W toku bezwzględnych walk frakcyjnych w 1935 r. z SOS wyodrębniło się niezależne rewizjonistyczne ugrupowanie pod nazwą Nowa Organizacja Syjonistyczna - NOS.

Przywódcy frakcji doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że o losach i kierunku rozwoju ruchu syjonistycznego zadecyduje młode pokolenie aktywistów. Dlatego wpływy rewizjonistów można mierzyć nie tylko liczbą stanowisk w syjonistycznych organizacjach politycznych, ale również popularnością programu neosyjonistycznego w korporacjach akademickich. Obiektywnie należy jednak stwierdzić, iż ruch rewizjonistyczny zdobył szersze wpływy w środowisku korporacyjnym dopiero w latach trzydziestych za sprawą nowo utworzonych stowarzyszeń. Starsze korporacje, bogate doświadczeniem swoich filistrów, z rzadka bowiem decydowały się przyjąć program rewizjonistyczny za podstawę swojej ideologii. „Starsi panowie" - filistrzy dbali o to, aby charakter ich organizacji nie zmieniał się i aby hasła, którym oni służyli, przewodziły pracy wewnętrznej następnych generacji. Sytuacja ta stalą się przyczyną ostrego kryzysu. „Starsi panowie" należeli w przeważającej większości do Światowej Organizacji Syjonistycznej. Rewizjoniści agitowali młodych, którzy w swych snach o potędze gotowi byli gromić nie tylko młodych filistynów, ale również swoich własnych, częściowo zasymilowanych już filistrów. W atmosferze potęgującej się aktywności politycznej dochodziło więc do poważnych sporów i stałych konfliktów. Nic więc dziwnego, że nowe korporacje, nie skrępowane sporami ze starszym pokoleniem, mogły prowadzić swobodną, ożywioną działalność, uwzględniając przy tym cele i zadania ruchu rewizjonistycznego.

Pierwsze korporacje rewizjonistyczne organizowały się w wielkich aglomeracjach miejskich: Emunah w Krakowie założona w 1925 r., następnie Galijah w Warszawie (1928 r.) i Jordania w Wilnie (1929 r.). Po nich zaczęły powstawać inne. [...] Działalność korporantów rewizjonistów prezentowała się wyjątkowo dobrze. Tylko w latach trzydziestych na uczelniach polskich założono osiem rewizjonistycznych korporacji, natomiast syjonistyczną jedną. Nowe formy organizacyjne budziły silny odzew w wielu kołach studentów Żydów i jednały im pokaźną liczbę zwolenników. Szybki rozrost narodowo-radykalnych korporacji żydowskich pochodził stąd, że organizacje te były odpowiedzią na tęsknotę poważnych zastępów młodzieży, której nie odpowiadały istniejące na terenie akademickim stowarzyszenia ideowe. Na skutek fermentu w młodzieżowym ruchu syjonistycznym korporanci rewizjoniści wchodzili więc na opustoszałe placówki. Znalazło to odbicie w działalności korporacji. Obok pracy wewnętrznej angażowano się na terenie ogólnym, np. w organizacjach samopomocowych, kołach naukowych itp., jak również na terenie neosyjonistycznym. Praktycznie w małych prowincjonalnych miejscowościach na kwaterach korporacyjnych skupiało się całe społeczno-polityczne życie rewizjonistyczne, np. w miastach Stryj i Bielsko, gdzie z korporacji Hebronia i Veritas wyszli wszyscy lokalni kierownicy ruchu rewizjonistycznego. Podobnie zresztą wyglądała sytuacja w większych miastach. Najstarsza w Polsce Akademicka Korporacja Syjonistyczno-Rewizjonistyczna (AKSR) Emunah przez długi okres była jedynym organizacyjnym wcieleniem idei neosyjonistycznych w Krakowie. Upolityczniony charakter tych korporacji był tym ściślej zachowany, im przenikanie się wzajemne organizacji partyjnych i korporacyjnych było dalej posunięte, dzięki członkom, którzy w znacznym procencie należeli równocześnie do dwóch wspomnianych typów organizacji.

Ogółem pod koniec lat trzydziestych do rewizjonistycznych organizacji zaliczano trzynaście korporacji. Ich głównym skupiskiem była Małopolska Wschodnia i Zachodnia. W sprawozdaniu za rok 1937-1938 kierowana przez byłego komendanta Betaru w Gdańsku, Leopolda Jollesa, korporacja Galiljah chwaliła się, że przyjmując w minionym roku 35 nowych członków zajęła co do liczebności pierwsze miejsce wśród korporacji żydowskich na terenie Lwowa. Pomysł szerszego ukierunkowania działalności korporacji neosyjonistycznych ujawnił się jednak dopiero w końcu lat trzydziestych, kiedy to zakiełkowała myśl połączenia rozrzuconych po kraju stowarzyszeń korporacyjnych w jeden Związek. Zapoczątkował ją zwołany z inicjatywy Korporacji Zeewia I Zjazd Korporacji Rewizjonistycznych Małopolski Wschodniej w Drohobyczu w listopadzie 1938 r. Na Zjeździe reprezentowane były wszystkie neosyjonistyczne związki korporacyjne z tego terenu: SKA Hebronia (Stryj), AKSR Galiliah (Lwów), AKSR Zeewia (Drohobycz) oraz AKSR Masada (Przemyśl). Realnym wynikiem Zjazdu było stworzenie Związku Korporacji, do którego zgłosiły akces wszystkie korporacje obecne na Zjeździe. Ponadto prezydium zwróciło się do wszystkich korporacji na terenie Polski, by przez wstąpienie wzmocniły jednolity ruch korporacyjny. Tymczasowym prezesem Związku został znany w Drohobyczu działacz rewizjonistyczny, prezes tamtejszego oddziału NOS, dr Leon Arnold - reprezentant Korporacji Zeewia.

W rewizjonistycznych korporacjach podstawą życia towarzyskiego i pracy wewnętrznej była - podobnie jak u ich niemieckich lub polskich odpowiedników - kwatera, czyli stałe miejsce spotkań. Zachował się ciekawy wspomnieniowy opis siedziby jednej z takich korporacji: „Lokal Arnonii składał się z dużego przedpokoju oraz średniej wielkości sali. Na głównej ścianie, na wprost wejścia (...) wisiała tarcza „Arnonii" (...). Tarcza była podzielona na cztery części. Na pierwszej znajdowała się menora, na drugiej - mapa Palestyny z zaznaczonym Jordanem, na trzeciej - barwy korporacji w kolorach niebieskim, złotym i czerwonym oraz na czwartej części - data założenia". Pod tarczą wisiały dwie wyjęte z pochew skrzyżowane szable oraz dwie szpady, które określały charakter białostockiej korporacji. Przy tejże ścianie stal sztandar „Arnonii", na którym na tle barw korporacji wyhaftowano w języku polskim i hebrajskim jej nazwę. (...) Jak pamiętam sztandaru używano podczas różnego rodzaju uroczystości przy honorowej asyście korporantów, m.in. w czasie modłów w Głównej Synagodze przy ulicy Szkolnej, odprawianych w święta państwowe. W sali znajdowały się czworokątne stołki, przy których w czasie zebrań (komerszów) zasiadali korporanci".

Żydowski narodowy radykalizm osadzony był w określonym nurcie politycznym ówczesnej Europy. Nie był „faszyzmem", ale do pewnych założeń faszyzmu się odwoływał. Zresztą sami syjoniści używali słowa „faszyzm" na polityczne określenie ruchu rewizjonistycznego. Wydaje się więc, że właśnie ten aspekt zagadnienia jest ważny, albowiem bezpośrednio związany jest z popularnością neosyjonistów i pośrednio z perspektywami dalszego rozwoju tego potężnego i dynamicznego zjawiska w ruchu korporacyjnym. Najliczniejszą i najaktywniejszą bazą przybudówką NOS był Związek Trumpendora (Brith Trumpendor) - popularnie zwany Betarem. W 1936 r.

PARANOJA

Nie jestem Mołdawianinem. Nigdy nie byłem w Mołdawii. Nie znam żadnego Mołdawianina. A mimo to, gdy w ostatnim numerze znanego antyfaszystowskiego miesięcznika „Searchlight" ukazał się artykuł o faszystowskim zagrożeniu w tym kraju - moje nazwisko figurowało tam na poczesnym miejscu. Kto był autorem tekstu? Tak, tak, zgadliście, to było łatwe - Rafał Pankowski.

W jego story pojawiam się jako teoretyk złowrogiego „etnopluralizmu" - czyli jawnie faszystowskiej idei obrony praw mniejszości. No cóż, co prawda obecnie uważam się raczej za „internacjonalistę", ale może i ten etnopluralizm nie jest taki groźny. W każdym razie komisja unijnego konkursu Netd@ys Europe 2004 wyróżniła jako najlepszy z polskich projekt „In search of culture", prezentujący stary cmentarz żydowski w Czechowicach - a w tym projekcie i ja miałem swój skromny udział.

W każdym razie musze przyznać, że Rafałek mnie dowartościował: wymienił mnie w jednym szeregu z Alainem de Benoist. Tym niemniej muszę rozwiać plotki, jakoby Rafał Pankowski pozostawał ze mną w zmowie mającej na celu reklamowanie mojej osoby. On tak od siebie. Naprawdę.

J.T.

Światowa Komenda Betaru liczyła przeszło 52 tyś. członków, z czego ponad 75% stanowili betarowcy w Polsce. Oznaczało to, że paramilitarna organizacja żydowska posiadała w Polsce zaplecze kadrowe większe, niż wynosił stan liczebny wielu ówczesnych armii małych państw europejskich. **Betarowcy nosili brunatne koszule (symbol ziemi palestyńskiej), pasy z koalicyjkami, a na czapkach i rękawach mundurów oznaki bożniczego świecznika. Pozdrawiano się gestem otwartej dłoni. W wielu krajach budowano „Brunatne Domy", siedziby oddziałów Betaru.** Przywódcą organizacji był Włodzimierz Żabotyński.

Na polskich wyższych uczelniach betarowcy stanowili antidotum na pieniące się i rekrutujące coraz większe szeregi studentów Żydów, czerwone bojówki radykalnorewolucyjne. Stąd też brały się częste starcia, bójki i demolowanie lokali „cukunftowców", komunistów, bundystów. Władze polskie popierały, a nawet wspierały tę działalność. Rewizjonistyczne korporacje odwdzięczały się za to swoistym kultem Naczelnika Państwa Polskiego. Na komerszach pierwsze toasty spełniano za Włodzimierza Żabotyńskiego i marszałka Józefa Piłsudskiego. W tak sprzyjającym klimacie politycznym młodzież, w tym korporanci, masowo zasilała szeregi betarowców.



Członkowie Betaru. 1933r.

W warstwie programowej korporacje rewizjonistyczne nie różniły się specjalnie od ich syjonistycznych odpowiedników. Dzieliły je jednak metody i polityczne powiązania. Zasadniczym celem syjonistyczno-rewizjonistycznych korporacji było: „zespolenie ideowe swych członków bratnim węzłem i zaprawienie ich, w imię prawdy i honoru, tak do pracy odrodzenia narodu żydowskiego, jak i do sumiennego spełniania obowiązków obywatelskich wobec Państwa Polskiego". Ponadto do głównych zadań należało przemienienie mentalności przeciętnego Żyda. Z bojaźliwego chałaciarza miał powstać nowy typ obywatela - żołnierz, bojownik pracy propalestyńskiej. Oddawano się więc prowadzeniu wykładów na temat historii Żydów, uwzględniając dzieje syjonizmu i rewizjonizmu oraz historię własnych korporacji. Wyrabiano fizyczną i mentalną gotowość do walki o „wolną" Palestynę przez wychowanie w duchu gotowości do ofiar i poświęceń. Zamierzano przez to wyszkolić człowieka dobrze rozwiniętego, który w korporacji i w życiu codziennym wyuczy się podporządkowywać swoje egoistyczne potrzeby dobru społecznemu. Z tego powodu na kwaterach korporacyjnych odbywały się lekcje samoobrony i szermierki oraz *comment,* na którym omawiano zachowanie się korporanta w każdej sytuacji. Środkiem wychowania były również liczne patriotyczne rocznice i obchody, które dla korporantów stały się sugestywną szkołą uczuć i czynów patriotycznych. Atmosfera na nich bywała niekiedy bardzo gorąca. Jako ciekawostkę warto przytoczyć wiec odbyty w Jerozolimie, gdzie do studentów z żydowskiej Korporacji El-Al przemawiał znany rewizjonista inż. Rosenblatt słowami: „Jesteście korporantami z pozoru, z czapki i z wstęgi, ile macie w sobie ducha prawdziwych korporantów. **Nie macie w sobie odwagi, by działać, jak korporanci niemieccy, którzy zamordowali Rathenaua (nie wchodzę w to, czy słusznie uczynili, czy nie), którzy zabili Karola Liebknechta i Różę Luksemburg".** Reakcje na takie wystąpienia należały przeważnie do gwałtownych. Przykłady można by mnożyć. Przytoczmy chociaż jeden. W grudniu 1936 r. „Dziennik Popularny" w artykule „Żydowski faszyzm w terenie" odnotował burdy w Warszawie, w Żydowskim Domu Akademickim, podczas odczytu „Walka młodzieży syjonistycznej z komunizmem" jednego z liderów obozu neosyjonistycznego: „Achi Meir zaczai mówić. Poczęły się dziać rzeczy niesamowite. Dwaj bojówkarze przeszli dosłownie przez barki siedzących i stawali obutymi nogami na ich kolanach, taki spacer odbył się w obie strony ze dwa razy. Powstało zamieszanie. Jeden ze zdeptanych wpadł na naiwny pomysł, odwołał się do przewodniczącego. W odpowiedzi rzuciło się nań z wielkim wrzaskiem kilku drabów, schwytano go za ręce i nogi, bito systematycznie w oczy, w nos, w szczękę, gdzie popadnie. Tych, co usiłowali wyrwać ofiarę z rak oprawców, odpychano i kilku jeszcze pobito. Krzesła zataczały wielkie łuki w powietrzu. Po jakimś czasie dopiero nastąpił względny spokój." Powyższe relacje mogą szokować. Kiedy jednak weźmiemy pod uwagę czekającą Żydów perspektywę bliskich walk w Palestynie oraz atmosferę występujących w Polsce ostrych antagonizmów narodowościowych, jeśli przypomnimy realne zagrożenie ze strony komunizmu nie powinien dziwić fakt, że neosyjoniści zgrupowani w korporacjach skłaniali się często do zajmowania ekstremistycznych postaw.

Działalność rewizjonistycznych korporacji przerwał wybuch drugiej wojny światowej. W chwili jej rozpoczęcia korporacje te reprezentowały najbardziej aktywną i świadomą część żydowskiej młodzieży. Akces do korporacji zgłaszali działacze społeczni i polityczni tej miary, co późniejszy premier Izraela - Menachem Begin (Zeewia). Ubocznym skutkiem zaangażowania społecznego stał się fakt traktowania przez rewizjonistów działalności w korporacji jedynie jako etapu realizacji większej idei, jakim było Żydowskie Państwo w Palestynie.

[na podst. D. Pater, *Żydowski Akademicki Ruch Korporacyjny w Polsce w latach 1898-1939*]

Idee

ISLAMOFOBIA - ZACHODNI NEOFASZYZM?

Naszym największym wyzwaniem jako istot ludzkich obecnie jest podążać drogą krytycznego, niezależnego myślenia.

Społeczeństwo zbyt ulega rozpalonym emocjom, nienawiści i uprzedzeniom, bez poważnego namysłu nad faktami historycznymi. We współczesnej historii byliśmy świadkami, jak dzięki wyrafinowanym instrumentom takim jak propaganda i mass-media, zachodnie państwa w przerażający sposób szufladkowały całe rasy, narody i grupy etniczne. W końcu już Napoleon określił ten problem w swym stwierdzeniu: „Autorytarny rząd, proszony o to, by milczeć - milczy... ale rząd reprezentatywny, proszony o zabranie głosu, KŁAMIE bezkarnie".

Po atakach z 11 września niektóre zachodnie państwa wprowadzają w błąd swoje społeczeństwo w sprawie prewencyjnych uderzeń militarnych, inwazji i okupacji tzw. Trzeciego Świata w imię pokoju i bezpieczeństwa. Zachodnie media odkryły nagle, że Saddam Hussein, który przez blisko 20 lat przedstawiany był przez nie z sympatią jako luminarz nowoczesności zwalczający wewnętrzną i zewnętrzną opozycję opowiadającą się za utworzeniem w Iraku reprezentatywnej republiki muzułmańskiej (w tym kurdyjskie grupy takie jak Ansar Al-Islam, zmasakrowane w czasie inwazji przez Stany Zjednoczone przy użyciu pocisków sterujących dalekiego zasięgu), nagle okazał się być tym naprawdę paskudnym dyktatorem wojskowym!

I rzeczywiście, to właśnie poparcie Zachodu utrzymywało Saddama (i wielu innych brutalnych dyktatorów) przy władzy przez tak długi czas, ale ci, którzy leją teraz krokodyle łzy nad mieszkańcami Iraku, nie chcą dyskutować na ten temat i udają, ze wiedzą lepiej, co jest lepsze dla Irakijczyków. Dodatkową zniewagą jest fakt, że Zachód nie znajduje argumentów za wyzwoleniem, czy choćby wysłaniem sił pokojowych, kilku milionów Palestyńczyków, którzy cierpią pod krwawą izraelską juntą militarną okupującą ich kraj. Nawet kiedy izraelscy terroryści atakują zachodnich obywateli (USS „Liberty", hotel „King David", Rachael Corrie - aktywistka pokojowa, wysłannicy Narodów Zjednoczonych itd.) żaden głos z Zachodu nie żąda globalnej wojny z izraelskim terrorem.

Nie ma wątpliwości, że wzrost cynicznego użycia propagandy w XIX i XX wieku w Europie otworzył drzwi do usprawiedliwienia kolonializmu, rasizmu i faszyzmu. To właśnie te wciąż żywe ideologie zmieniły nawet neutralną jednostkę w żarliwego zwolennika tego, co w innych okolicznościach byłoby postrzegane jako rażąca niesprawiedliwość czy zbrodnia.

Pojawienie się wzorca zachodniego neofaszyzmu przeciw islamowi wewnątrz tzw. Zachodnich Demokracji przyniosło nową falę nienawiści i przemocy, nawet w kręgach oficjalnych, a po 11 września 2001 świat zachodni zwrócił się przeciwko muzułmańskim społeczeństwom.

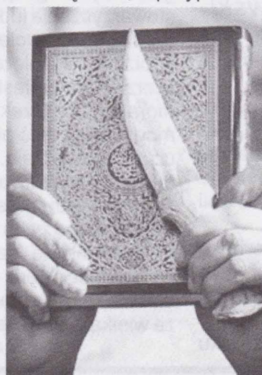
Czy jesteśmy świadkami narodzin najnowszej formy zachodniego faszyzmu? Jak można prowadzić światową wojną z terroryzmem, gdy nawet nie sprecyzowaliśmy definicji czym terroryzm jest, czy też przypisując go tylko jednemu społeczeństwu? Chrześcijaństwo, judaizm, nawet sekularyzm mają swój udział w organizacjach terrorystycznych, z których większość obiera na cel ataku zachodnich obywateli. Dlaczego zachodnie rządy ograniczają cywilną swobodę w świetle pojedynczych incydentów terrorystycznych... czy zachodnie rządy nie mogą stawiać oporu terroryzmowi bez przekształcania się w państwa policyjne?

Czy nie powinniśmy się martwić, że ta nowa fala z Zachodu, kierująca uprzedzenia i nienawiść przeciw całemu społeczeństwu islamskiemu, przywróci wspomnienia świeckich demokracji podtrzymujących rasistowskie prawa czy też segregujących społeczności na amerykańskich Indian, Afroamerykanów, Amerykanów japońskiego czy arabskiego pochodzenia?

Ogromny niepokój budzą okazywane publicznie oznaki ekstremizmu, których wiele teraz zdaje się przenikać do najwyższych poziomów biurokracji USA. Jak mamy interpretować głosy amerykańskich dziennikarzy opowiadających się za nuklearnym holokaustem, którego

ofiarami mają być całe islamskie narody? Czy nie mogą tego pojąć świeckie państwa zachodnie? I nie myślcie, że to nie może się stać, przecież atomowa broń masowej zagłady została użyta przeciwko całej cywilnej populacji jeden jedyny raz, i to właśnie przez świecką demokrację (ćwierć miliona japońskich mężczyzn, kobiet i dzieci zmasakrowanych w atakach bombowych na Hiroszimę i Nagasaki). Czy na pewno ta wojna była dużo bardziej przerażająca niż atak z 11 września? A może po prostu wmówiono nam, że życie tych z Zachodu jest więcej warte niż tych ze Wschodu? Do tego można dodać niepokojący fakt odmowy USA, żeby wstąpić do jakiegokolwiek międzynarodowej komisji zbrodni wojennych.

Wraz z rozprzestrzenieniem się świeckiej materialistycznej filozofii z Zachodu, świecki fanatyzm spowodował katastrofę ludzkości poprzez pełne przemocy ideologie, takie jak nacjonalizm, rasizm, faszyzm, kolonializm, komunizm, syjonizm i wiele innych poglądów czerpiących siłę z mentalności zachodnich materialistów.



Darwin zaproponował, żeby walkę o przeżycie odnieść także do przypadku ras ludzkich. Zgodnie z tym stwierdzeniem, uprzywilejowane rasy odnosiły zwycięstwo w walce. Tymi uprzywilejowanymi rasami, w mniemaniu Darwina, byli biali Europejczycy. Afrykanie czy Azjaci zostawali daleko w tyle. Darwin poszedł dalej i zasugerował, że te rasy wkrótce przegrają walkę o przetrwanie całkowicie i znikną: Kiedyś w przyszłości, nie tak bardzo odległej w perspektywie wieków, „cywilizowane" rasy ludzkie prawie całkowicie wyniszczą i zastąpią rasy „dzikusów" na całym świecie stwierdza Darwin w swojej książce z podtytułem „Zachowanie uprzywilejowanych ras w walce o życie". Ten sam darwinizm, którego pseudonaukowe idee są wciąż propagowane przez zachodnie szkoły jako fakty, jest w rzeczywistości bazą rasistowskich i okrutnych poglądów dotyczących ludzkiej koegzystencji.

Cała ta nienawiść i uprzedzenia przeciw Islamowi... cała ta islamofobia... czy patrzymy w twarz następnej zbrodni przeciw ludzkości w wykonaniu zachodniej potęgi?

http://www.islamaphobia.org/

SAMOSTANOWIENIE droga do pokoju

Punkty nacjonalistycznego i socjaldemokratycznego program EUSKO ALKARTASUNA (Solidarności Baskijskiej)

SUWERENNOŚĆ

- Uznanie postulatu samostanowienia Kraju Basków jako niezbywalnego prawa każdego kraju.

- Dobrowolny wybór decyzją większości dla utworzenia niepodległego i zjednoczonego państwa baskijskiego.

- Obrona Federacji Europejskiej opartej na wolnej unii krajów, a nie obecnych państw.

NARODOWY JĘZYK KRAJU BASKÓW

- Kontynuacja aktualnej kulturalnej współpracy politycznej pomiędzy północną i południową częścią Kraju Basków.

- Używanie języka baskijskiego w administracji i na wszystkich poziomach edukacji.

- Gwarancja programów telewizyjnych w języku baskijskim w telewizji francuskiej i hiszpańskiej.

- Używanie języka baskijskiego w kongresie i w senacie.

PROCES POKOJOWY

- Respektowanie indywidualnych i zbiorowych praw człowieka.

- Źródła konfliktu politycznego: spór pomiędzy Krajem Basków, a hiszpańskimi i francuskimi krajami.

- Przywództwo procesu pokojowego: rządy Gazteiz i Irunea.

- Aprobata Kraju Basków dla jakichkolwiek rozwiązań politycznych.

UNIA SIEDMIU KRAIN

- Utworzenie struktury sądowniczej dla poszanowania praw samorządowych całego Kraju Basków.

- Rozwijanie kulturalnych, socjalnych i ekonomicznych powiązań pomiędzy północną i południową częścią Kraju Basków.

- Powołanie Rady Samorządowej we francuskiej części Kraju Basków w celu osiągnięcia ostatecznego zjednoczenia.

- **Eusko Alkartasuna**, jedyna partia reprezentowana we wszystkich instytucjach siedmiu okręgów samorządowych Kraju Basków.

ANTYMILITARYZM

- Całkowite zalegalizowanie odmowy służby wojskowej.

- Likwidacja armii i jakichkolwiek cywilnych służb zastępczych.

- Wycofanie wszystkich armii z Kraju Basków.

- Respektowanie baskijskiego NIE dla NATO

eusko alkartasuna

- Eliminacja jakichkolwiek militarnych działań w społeczeństwie baskijskim.

- Rozwijanie światowej kultury rozbrojenia i solidarności w świecie.

PEWNA PRACA DLA KAŻDEGO

- Tworzenie miejsc pracy jako podstawowy cel polityki ekonomicznej.

- Rozwijanie specjalistycznych projektów celu stworzenia nowych miejsc pracy.

- Dzielenie się pracą i reorganizacja zdolności produkcyjnej.

- Promowanie stałych umów o pracę i zwiększenie kontroli warunków pracy.

- Ustanowienie właściwych stosunków w pracy.

DOBROBYT

- Koniec z biedą i dyskryminacją społeczną.

- Obrona i zreformowanie systemu emerytalnego.

- **Eusko Alkartasuna**, jest zaangażowana w budowanie państwa dobrobytu.

ROZWÓJ EKONOMICZNY I PRZEMYSŁOWY

- Mocne wsparcie dla SME w celu pozyskania kooperacji między nimi.

- Zwiększenie ilości nowych firm i przedsiębiorstw.

- Utrzymanie efektywności naszego przemysłu morskiego.

- Utworzenie niezależnego baskijskiego Banku Publicznego z prawem do samodecydowania.

- Żądanie od państwa zapewnienia źródeł pomocy dla infrastruktury.

- Wzmocnienie linii kolejowych łączących z całą Europą.

- Skierowanie przedstawicieli instytucji baskijskich do najważniejszych europejskich ośrodków decyzyjnych.

OCHRONA ŚRODOWISKA NATURALNEGO

- Polityka recyklingu i redukcji marnotrawstwa.

- Rozwijanie technologii przyjaznych naturze.

- Użycie alternatywnych źródeł energii.

- Zamknięcie elektrowni jądrowej Garona.

UZDROWIENIE POLITYKI

- Wsparcie komisji śledczych.

- Eliminacja wszelkich prawnych przywilejów dla członków parlamentu.

- Jawność pracy partii politycznych.

- Ujawnienie przestępstw finansowych.

- **Eusko Alkartasuna** pionierem w ustanowieniu Kodeksu Etycznego (maj 1990)

EUROPA

- Europa wolnych narodów, w której każdy z nich ma możliwość stania się niepodległym państwem.

- Bezpośrednia obecność reprezentantów politycznych narodów bezpaństwowych przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji mogących mieć na nie wpływ.

- Połączenie Komitetu Regionów i Rady Europejskiej w celu stworzenia Senatu Europejskiego z regionalnymi i narodowymi reprezentacjami.

Interwencje

KAMPANIA NA RZECZ PRZYWRÓCENIA BRETOŃSKIEGO W NAONED

Działacze w Walii i Bretanii walczą o zapewnienie, że język bretoński będzie nadal nauczany na uniwersytecie w Naoned (Nantes) w Bretanii.

Władze uniwersyteckie oznajmiły, że zamierzają zamknąć kurs języka bretońskiego, w wyniku czego nie będzie więcej możliwości studiowania go. Studenci, z pomocą Towarzystwa Walia - Bretania zorganizowali petycję, by zaprotestować przeciw temu. Możesz podpisać tą petycję w internecie: **http://www.cymru-llydaw.org.uk**

Od początku roku akademickiego 2004/2005 nie będzie możliwe nauczanie języka bretońskiego na uniwersytecie w Nantes. Choć władze uniwersytetu zapewniały, że język [bretoński] jest tu bezpieczny, Wydział [Języków] wedle swego kaprysu zakazał wykładów bez jakichkolwiek konsultacji. Studenci II roku i ci z III r., którzy uczą się bretońskiego jako drugiego języka, będą musieli zmienić [nauczany] język na jakiś inny. Jest grupa studentów I roku, którzy chcą uczyć się bretońskiego w tym roku, ale nie mogą zapisać się na kurs.

Petycja wzywa do przywrócenia języka bretońskiego jako przedmiotu akademickiego. Zostanie przedłożona rektorowi uniwersytetu w Nantes i dziekanowi tamtejszego Wydziału Języków. Okaż swą solidarność podpisując się.

J. B. Moffatt, jbmoffatt@hotmail.com
- sekretarz generalny Celtic League

12 grudnia 2004

ZWIĄZEK RYCERZY POLSKI

Edward Abramowski

1. Celem jest uszlachetnianie ludzi - wytworzenie w Polsce typu rycerza i zorganizowania ludzi tego typu dla prowadzenia dzieła wyzwolenia politycznego, społecznego i moralnego.
2. Za typ rycerza uważamy człowieka zdolnego poświęcić wszystko dla dobra Ojczyzny, kierującego się w stosunkach z ludźmi tylko miłością i braterstwem, występującego czynnie w obronie każdej krzywdy i niesprawiedliwości, spełniającego wobec siebie obowiązek ciągłego doskonalenia się w kierunku bohaterstwa, woli twórczej, samodzielności i miłości ludzi.
3. Dzieło wyzwolenia społecznego Związek prowadzi w kierunku powstania niepodległej Rzeczpospolitej Polski, Litwy i Rusi, jako trzech ludów jednakowo wolnych i równych sobie, a mających jedną wspólną Ojczyznę w granicach przedrozbiorowych.
4. Dzieło wyzwolenia społecznego Związek prowadzi w kierunku przebudowy ustroju społecznego w t.zw. Rzeczpospolitą Kooperatywną, gdzie życie gospodarcze i kulturalne narodu prowadzone jest przez stowarzyszenia ludowe, z minimalnem uczestnictwem władzy państwowej.
5. Dzieło wyzwolenia moralnego Związek prowadzi w kierunku tępienia egoizmu, służalczości i życia pojmowanego jako walki o zysk i karjerę szerząc natomiast zwyczaje braterstwa. Dla dokonania tej przemiany moralnej, Związek tworzy różne towarzystwa i instytucje wychowawcze, mogące zmienić nie tylko pojęcie człowieka, ale przede wszystkiem jego uczucia i zwyczaje.
6. Ideały wyznawane przez człowieka Związku obowiązują go zarazem w życiu prywatnem i społecznem. Postępowanie jego we wszystkich sprawach codziennego życia musi być zgodne z temi ideałami.
7. Wyzwolenie człowieka z egoizmu i ze służalczości wobec władzy, wyzwolenie które samo przez się tworzy inny typ dziejowy człowieka, człowieka odrodzonego do głębi swej istoty, wyzwolenie to Związek uważa za wielką misję dziejową polski w stosunku do ludzkości całej.

Przedruk z oryginału z r. 1915 znalezionego w papierach Abramowskiego.

ŻYCIORYS REWOLUCJONISTY

Roman Czarnomski urodził się w roku 1800. Pamiętał jeszcze czasy napoleońskie. Jak pisał w jednym ze swoich podań: „Byłem w oblężeniu Modlina z ojcem moim w 1812 roku. W 1818 roku, wybierając się z kilkoma do Bolivara denuncjowany zostałem, skutkiem czego skazany przez Konstantego na prostego żołnierza do pułku gwardii strzelców konnych. W roku 1823 awansowany na oficera. Byłem aresztowany z Krzyżanowskim, Mycielskim [...] w spisku Pestelowskim, lecz uwolnionym. W roku 1829 zostałem aresztowanym wraz z Borejką, lecz przed samą rewolucją uwolniony [...] w roku 1830 byłem adiutantem generała Kickiego, a później Dwernickiego, których obydwóch byłem prawą ręką, w czasie wojny wyszedłem na dowódcę pułku, otrzymawszy krzyż dwudziesty drugi w całej armii, a później kawalerski".

W powstaniu listopadowym dosłużył się Czarnomski stopnia majora. Wsławił się pod Nową Wsią, Kurowem i Boremlem. On to właśnie pod Stoczkiem poprowadził słynną szarżę na armaty rosyjskie. Po klęsce udał się na emigrację. Wiosną 1832 roku przez Strasburg wjechał do Francji. Nie omieszkał upamiętnić pobytu w Strasburgu, wyrywszy swoje nazwisko na wieży tutejszej katedry Notre Dame, gdzie przetrwało ono do naszych dni. We Francji Ludwika Filipa Czarnomski nie mógł sobie znaleźć miejsca. Starał się o przyjęcie do armii belgijskiej. Wreszcie podjął się jakiejś misji emisariuszowskiej do kraju.

„Sądząc, że Rząd Moskiewski nie wie, że byłem we Francji - przypominał u schyłku życia Czarnomski - wróciłem do Polski, gdzie zostałem wkrótce z powodu denuncjacji zaaresztowanym i pod sąd wojenny oddanym, tak że skonfiskowawszy mi cały majątek po rodzicach, siedziałem po więzieniach ruskich blisko lat osiem, nareszcie uwolniony i pod nadzór policyjny oddany".

W latach czterdziestych Czarnomski znów uszedł z zaboru rosyjskiego na wychodźstwo. Nie zadeklarował się nigdy jednoznacznie po stronie żadnego ugrupowania. Otarł się i o masonerię, i o Towarzystwo Demokratyczne Polskie, i o Zjednoczenie Emigracji Polskiej Lelewela. Rozeznania większego w programach politycznych nie posiadał, parł za to do walki wszędzie, gdzie bito się o niepodległość Polski, przeciw jej zaborcom, przeciwko despotom i monarchom, wszędzie, gdzie szermowano hasłami wolność - równość - braterstwo.

W dobie Wiosny Ludów wyróżnił się najpierw w Poznańskiem, później walczył w Badenii i na Węgrzech. Po klęsce Wiosny Ludów dotarł na wyspę Jersey, gdzie zbliżył się do Wiktora Hugo. Podczas wojny krymskiej zjawił się jako pułkownik w dywizji Władysława Zamoyskiego, walczącego u boku Anglików; potem przeszedł do służby tureckiej. W 1863 roku jako człowiek już niemłody porzucił Turcję, aby wziąć udział w powstaniu styczniowym. Niedługo jednak przebywał w swoich stronach rodzinnych - w Płockiem - i po raz czwarty, ostatni już, opuścił ziemię polską.

Wielokrotnie notowany jako wróg caratu mógł powrócić tu tylko z bronią w ręku. W roku 1870 zgłosił się więc do armii francuskiej, aby walczyć z Prusakami. Miał siedemdziesiąt lat - nie skorzystano z jego usług. Natomiast po wybuchu Komuny Paryskiej Walery Wróblewski zlecił mu pilnowanie składów amunicji. Mianowano go wtedy generałem. W Komunie Czarnomski nie odegrał faktycznie żadnej roli, ale zawsze podkreślał swój akces do niej. Widział w niej nade wszystko ruch patriotyczny, który mógł ocalić pozycję europejską Francji. Jak i wielu Polaków liczył się z tym, iż zwycięska demokratyczna Francja przyjdzie z pomocą jego ojczyźnie. Tym, którzy wypominali mu udział w Komunie Paryskiej, zwykł był odpowiadać: „W każdym zatargu między zadowolonymi i niezadowolonymi, Polak musi stanąć po stronie niezadowolonych".

[na podst. J. Borejsza: Rewolucjonista polski - szkic do portretu]

PATRZĄC Z LEWA

Jarosław Tomasiewicz

Zachęcony przez Redakcję zdecydowałem się podjąć polemikę z p. A. Gwiazdą, z którym znalazłem się w jednym numerze „Templum".

Nie wiem, czy zdaniem Autora zasługuję na miano „nacjonalisty" czy „neonacjonalisty". Prawdę mówiąc nie stoję o to, bo nie zależy mi na żadnych etykietkach; wolę się określać staromodnym mianem „patrioty". Tym niemniej problematyka nacjonalizmu w ogóle a polskiego w szczególności żywo mnie obchodzi.

Ale choć na lewicy kojarzony jestem z prawicą, to tutaj zabiorę głos z pozycji „lewicowych" (niech mi lewicowcy wybaczą!).

Znajduję w tekście p. Gwiazdy szereg myśli mi bliskich. Przede wszystkim wspólna jest nam konstatacja kryzysu, w jakim znalazły się europejskie nacjonalizmy. Pozwolę sobie rozwinąć tę myśl: moim zdaniem kryzys nacjonalizmu jako ideologii jest pochodną kryzysu narodu jako zbiorowości.

Zgadzam się również z p. Gwiazdą, gdy krytykuje on zawężanie pojęcia „narodu" do wspólnoty politycznej, łączącej obywateli jednego państwa. Dla mnie naród jest przede wszystkim wspólnotą kulturową. Ale takie rozumienie narodu sprawia, że odrzucam traktowanie narodu (jak czyni to Gwiazda) jako „wspólnoty krwi". Gdyby pochodzenie determinowało przynależność narodową to my, Polacy, musielibyśmy wyrzec się Chopina i Matejki.

Podoba mi się też idea „identytaryzmu" opisywanego przez Gwiazdę następująco: „Zamiast wywyższenia wspólnoty narodowej głosić należy przynależność do wielu wspólnot, zamiast pojęcia narodowości - tożsamość, zamiast nacjonalizmu - identytaryzm". Ja również opowiadam się za odrzuceniem ciasnego szowinizmu uważając, że miłość do swoich nie musi oznaczać nienawiści do obcych. Ja również popieram decentralizację rozumiejąc, że patriotyzm lokalny wcale nie wyklucza patriotyzmu narodowego.

Gdy jednak p. Gwiazda konkretyzuje swój program pojawia się więcej niezgodności. Generalnie sprzeciw mój budzi zasada budowania jedności przeciw innym: Europejczyków przeciw Amerykanom, Afrykanom, Azjatom czy komu tam jeszcze. Nie potrzeba mi zagrożenia ze strony Marsjan, by uznać gatunkową jedność rodzaju ludzkiego.

Tym bardziej nie chcę budować jedności na fundamencie rasizmu. „Biała rasa" jest taką samą abstrakcją jak np. „światowy proletariat". Jeśli nawet w różnych częściach świata wybuchają konflikty rasowe to nie mają one wspólnego mianownika, bo mityczna „biała rasa" nie jest żadną homogeniczną masą o jednolitych interesach. Gdyby tak było, to członkowie brytyjskiego NF powinni zaciągać się na wojnę domową w Sudanie, by wspierać europeidalnych Arabów z Północy przeciw negroidalnym Nilotom z Południa. Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę, że społeczeństwo wielorasowe nie jest wynalazkiem końca XX wieku. Stworzyli takowe starożytni Rzymianie a potem powtórzyli to europejscy kolonizatorzy XVI-XIX w.

To samo dotyczy kwestii żydowskiej. Gwiazda posługuje się figurą „lobby syjonistycznego", co można rozumieć jako uwspółcześnione określenie na „spisek żydowski". Tymczasem moim zdaniem można mówić raczej o „lobby kosmopolitycznym", dla którego narodowość, religia czy rasa jest sprawą co najwyżej drugorzędną. Jeśli nawet licznie reprezentowani są w tym lobby zasymilowani Żydzi, to nie wyrażają oni interesów narodu żydowskiego czy żydowskiej grupy wyznaniowej. Przekonać można było się o tym podczas poprzednich wyborów w Izraelu, gdy światowy establishment zaangażował się w popieranie izraelskiego liberała Baraka przeciw izraelskiemu nacjonaliście Netaniahu. Administracja USA zamiast wspierać bezwarunkowo Izrael stara się wymóc na nim kompromis z Palestyńczykami (choć niewątpliwie Waszyngton prowadzi politykę proizraelską, nie próbując być w tym konflikcie bezstronnym sędzią).

Odrzucam zdecydowanie lansowany przez p. Gwiazdę imperializm europejski. Nie wierzę, by jakiekolwiek „Imperium" szanowało tożsamość etniczną peryferyjnych ludów, będących w końcu potencjalną siłą odśrodkową. A ponadto nie o samą tu tylko „tożsamość" idzie. Jej kultywowanie może zostać sprowadzone do nieszkodliwego folkloru, podczas gdy tak samo co najmniej liczy się Wolność, suwerenność narodowa, możność stanowienia o swoich sprawach. Tego nie zapewni żadne Imperium.

Pamiętajmy też, że tożsamości uzupełniające tożsamość narodową (regionalna, europejska etc.) są w Polsce raczej potencjalne. Tu i Teraz liczy się więź narodowa, która wciąż jeszcze ma charakter realny.

Reasumując: bliski jest mi „identytaryzm", który akceptuje wszystkie tożsamości, żadnej nie wykluczając. Godząc się z nieuchronnością mniej czy bardziej sporadycznych konfliktów nie mam zamiaru konstruować mitu Wroga i wizji metafizycznej walki z nim.

[Polemika tyczy się tekstu Adama Gwiazdy "Krótka nota o bankructwie (i przyszłości) nacjonalizmu" z "Templum" nr 1 (2001). Tekst nie został opublikowany przez redakcję „Templum"]

Kontakt z Kolumną Internacjonalistyczną: Jarosław Tomasiewicz, skr. Poczt. 7, 53-503 Czechowice - Dziedzice

A MY CIĄGLE DLA WAS DRUKUJEMY!!!

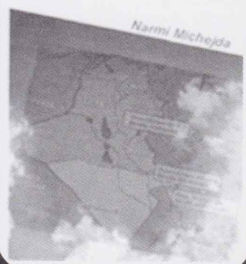
manufaktura
produkcyjno - dystrybucyjna

INNY ŚWIAT



Płonie Babilon

Narmi Michejda





Theodore Kaczynski

Społeczeństwo przemysłowe i jego przyszłość



Manifest Wojownika

K. W. Gierasimienko



Jarosław Tomasiewicz

"MIĘDZY FASZYZMEM A ANARCHIZMEM NOWE IDEE DLA NOWEJ ERY"



Wydawnictwo "Zima"

Narmi Michejda
"Płonie Babilon"
Kulisy wojny w Iraku, radykalna krytyka amerykańskiego imperializmu oraz polskich elit posłusznych "wielkiemu bratu" z Waszyngtonu. Jako uzupełnienie seria zdjęć z polskich demonstracji antywojennych.

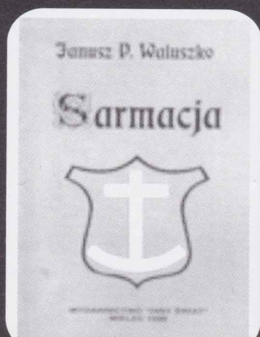
Remigiusz Kasprzycki
"Królestwo nie z tego świata. Chrześcijańsko - anarchistyczne przestanki filozofii profetycznej Mikołaja Biedrajewa"
Tytuł mówi sam za siebie. Okazuje się, że chrześcijański anarchizm to nie tylko Lew Tołstoj czy Catholic Worker.

Theodore Kaczynski (Unabomber)
"Społeczeństwo przemysłowe i jego przyszłość. Manifest wojownika"
Radykalna krytyka cywilizacji industrialnej napisana przez najdłużej poszukiwanego "terrorystę" w historii Stanów Zjednoczonych.

K.W. Gierasimienko
"Machno (jedna z prawd)"
Historia działań Nestora Machno, anarchistycznego przywódcy chłopskiego w okresie rewolucji na Ukrainie. Tym razem opisana przez ideowego wroga anarchistów, ale za to bardzo ciekawie napisana.

Jarosław Tomasiewicz
"Między faszyzmem a anarchizmem. Nowe idee dla Nowej Ery"
Zbiór artykułów przedstawiających różne teorie i praktyki społeczno-polityczne. Różne odcienie i mutacje anarchizmu, skrajnej lewicy, prawicy, ruchów ekologicznych i innych.









natalia krajewska
"osiem miesięcy w południowym meksyku czyli oaxaca od środka"
relacja z pobytu autorki w meksyku pisana przy pomocy e-maili. wiele ciekawych wątków tyczących się tamtejszego ruchu wolnościowego i działań na rzecz praw człowieka, sceny punk jak i zwykłego życia.

"Dlaczego nie lubimy Unii Europejskiej? Stanowisko środowisk antysystemowych wobec integracji z Unią Europejską"
Dlaczego anarchiści, radykalna lewica i ekolodzy byli i są przeciwnikami kolosa zwanego Zjednoczoną Europą...

Janusz P. Waluszko
"Sarmacja"
Wolnościowa interpretacja historii Polski ze szczególnym uwzględnieniem okresu Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Tego nie dowiesz się na lekcjach historii ani nie wyczytasz w naukowych opracowaniach.

Tomasz Szczepański
"Ruch anarchistyczny na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego w dobie rewolucji 1905-07"
Kawał historii polskiego ruchu anarchistycznego z opisami czołowych działaczy i teoretyków polskiego anarchizmu (Abramowski, Machajski, Wróblewski, Zieliński)

Prowadzimy również stałą sprzedaż archiwalnych numerów *"Innego Świata"* (#10-12, #14-20) oraz rozprowadzamy większość ukazujących się w kraju wydawnictw anarchistycznych, wolnościowych, ekologicznych czy kontrkulturowych (m.in wydawnictw *Trojka*, *Red Rat*, *Obywatel*, *Pracownia*, *Federacja Anarchistyczna* i inne). Wszystkich zainteresowanych prosimy o kontak!

www.innyswiat.most.org.pl
www.ikar.w.pl

Janusz Krawczyk
Kędziora 2/8, 39-300 Mielec
innykrawat@wp.pl


KAPITALIZM!
KANIBALIZM!